ŚWIAT DYSKU

# TERRY PRATCHETT

# PRAWDA

**Przełożył Piotr W. Cholewa**

Prószyński i S-ka

GFW

## NOTKA AUTORA

Czasami autor fantasy musi wskazać dziwne zjawiska rzeczywistości. Sposób, w jaki Ankh–Morpork radziło sobie z problemem powodzi (por. str. 243 i dalej), w niezwykły sposób przypomina metody zastosowane w mieście Seattle (stan Waszyngton) pod koniec dziewiętnastego wieku. Naprawdę. Pojedźcie tam i sami się przekonajcie. A przy okazji spróbujcie potrawki z małży.

Plotka rozprzestrzeniała się po mieście jak pożar (który rozprzestrzeniał się dość często, odkąd mieszkańcy Ankh–Morpork poznali znaczenie terminu „ubezpieczenie od ognia").

Krasnoludy potrafią zmieniać ołów w złoto…

Wibrowała w cuchnącym powietrzu dzielnicy Alchemików, którzy od stuleci próbowali osiągnąć to samo, na razie bez sukcesów, ale byli pewni, że uda się już jutro, a najdalej w przyszły wtorek. W każdym razie nie później niż do końca miesiąca.

Wywoływała spekulacje wśród magów Niewidocznego Uniwersytetu, którzy wiedzieli, że można zamienić jeden pierwiastek w drugi, jeśli tylko człowiekowi nie przeszkadza, że następnego dnia zmieni się z powrotem, a w takim razie po co to komu? Poza tym większość pierwiastków jest całkiem zadowolona ze swego stanu.

Plotka przebiła się do poharatanych, opuchniętych, a czasem całkiem brakujących uszu Gildii Złodziei, gdzie ludzie ostrzyli już łomy. Kogo obchodzi, skąd się bierze złoto?

Krasnoludy potrafią zmieniać ołów w złoto…

Plotka dotarła do spokojnych, ale niewiarygodnie czułych uszu Patrycjusza, w dodatku szybko, ponieważ nie da się długo rządzić Ankh–Morpork, jeśli człowiek nie śledzi najnowszych wieści. Patrycjusz westchnął, zanotował ją i dołożył do bardzo wielu innych notatek.

Krasnoludy potrafią zmieniać ołów w złoto…

Plotka dotarła też do spiczastych uszu krasnoludów.

— Potrafimy?

— Nie mam pojęcia. Ja na przykład nie potrafię.

— No tak, ale gdybyś potrafił, i tak byś się nie przyznał. Ja bym się nie przyznał, gdybym potrafił.

— A potrafisz?

— Nie.

— Aha!

* * *

Plotka dotarła do uszu Nocnej Straży, a konkretnie oddziału pełniącego służbę przy bramie, o dziesiątej wieczorem w lodowatą noc. Służba przy bramie w Ankh–Morpork nie jest wymagająca. Polega głównie na machaniu ręką i przepuszczaniu wszystkiego, co zechce przejechać przez bramę, chociaż w ciemności i zimnej mgle ruch był minimalny.

Kulili się pod łukiem bramy i wspólnie palili jednego wilgotnego papierosa.

— Nie można zamienić czegoś w coś innego — stwierdził kapral Nobbs. — Alchemicy próbują to zrobić od lat.

— Ale na ogół potrafią zamienić budynek w dziurę w ziemi — zauważył sierżant Colon.

— O to mi właśnie chodzi — zgodził się kapral Nobbs. — Niemożliwe. To ma związek z pierwiastkami. Jeden alchemik mi tłumaczył. Wszystko jest zrobione z pierwiastków, tak? Ziemia, Woda, Powietrze, Ogień i… cóś. Powszechnie znany fakt. I we wszystkim one są wymieszane tak jak należy.

Zatupał, żeby trochę rozgrzać stopy.

— Gdyby dało się zmienić ołów w złoto, wszyscy by to robili — dokończył.

— Magowie to robią — przypomniał sierżant Colon.

— No wiesz, magia… — Nobby machnął ręką.

Duży wóz wytoczył się z żółtych oparów i wjechał w bramę, ochlapując Colona wodą z kałuży — obiektu charakterystycznego dla dróg przelotowych Ankh–Morpork.

— Przeklęte krasnoludy — mruknął Colon, gdy wóz odjechał w stronę miasta. Ale nie mruknął zbyt głośno.

— Sporo ich popychało ten wóz — stwierdził refleksyjnie kapral Nobbs.

Wóz, kołysząc się, zniknął za zakrętem.

— To pewnie całe to złoto.

— Ha. No tak. To by było na tyle.

* * *

Plotka dotarła również do uszu Williama de Worde i w pewnym sensie tam się zatrzymała, ponieważ sumiennie ją zanotował.

Na tym polegała jego praca. Lady Margolotta z Überwaldu posyłała mu za to pięć dolarów miesięcznie. Księżna wdowa Quirmu także posyłała mu pięć dolarów. I król Verence z Lancre oraz kilku innych arystokratów z Ramtopów. Podobnie szeryf Al Khali, choć w jego przypadku na płatność składało się pół wozu fig dwa razy w roku.

Ogólnie rzecz biorąc, uważał, że nieźle się urządził. Musiał tylko bardzo wyraźnie napisać jeden list, starannie przerysować go od tyłu na klocku bukszpanowego drewna, dostarczonego mu przez pana Cripslocka, grawera z ulicy Chytrych Rzemieślników, a potem zapłacić panu Cripslockowi dwadzieścia dolarów, by ostrożnie usunął drewno nie będące literami, a następnie wykonał odpowiednią liczbę odbitek na kartkach papieru.

Oczywiście, należało robić to uważnie, pozostawiając wolne miejsca po „Do mojego Szlachetnego Klienta" i podobnych sformułowaniach — później uzupełniał tekst ręcznie. Ale nawet po odjęciu kosztów wciąż pozostawała mu większa część trzydziestu dolarów za jeden dzień pracy w miesiącu.

Młody człowiek pozbawiony licznych zobowiązań mógł w Ankh–Morpork żyć skromnie za trzydzieści do czterdziestu dolarów miesięcznie. Zawsze sprzedawał figi, bo choć można przeżyć, żywiąc się figami, po krótkim czasie człowiek zaczyna tego żałować.

Zawsze też trafiały się zarabiane tu czy tam dodatkowe kwoty. Świat listów był regionem zamkniętym dla wielu obywateli Ankh–Morpork, uważających je za tajemnicze płaskie obiekty. Jeśli jednak potrzebowali przelać coś na papier, wielu z nich wchodziło po skrzypiących schodach obok szyldu „William de Worde: Zapisywanie Rzeczy".

Na przykład krasnoludy. Krasnoludy zawsze szukały pracy w mieście, a po przybyciu natychmiast wysyłały do domu list mówiący o tym, jak doskonale sobie radzą. Zdarzało się to tak regularnie — nawet jeśli konkretnemu krasnoludowi szczęście do tego stopnia nie sprzyjało, że musiał zjeść własny hełm — że William zamówił u pana Cripslocka kilkadziesiąt typowych

listów, które należało uzupełnić tylko w kilku wolnych miejscach, by stały się całkiem akceptowalne.

Kochający krasnoludzi rodzice w całych górach czule przechowywali listy wyglądające mniej więcej tak:

Kochani [**Mamo & Tato**]

No więc dotarłem tu bez kłopotów i zatrzymałem się, przy [**Kogudziobnej 109, Mroki, Ankh–Morpork**]. Wszystko dobrze. Mam dobrą posadę pracuyę, dla [**p. G.S.P. Dibblera, przedsiębiorcy handlowego**] i będę yuż niedługo zarabiał dużo pieniędzy. Pamiętam wszyskie wasze dobre porady, nie piyę, w barach i się nie zadayę ze Trollami. No i to hyba tyle, muszę iźć, mam nadzieyę, że niedługo znóf zobaczem was i [**Emelic**], wasz kochayący syn

[**Tomas Złamobrew**]

…który zwykle chwiał się nieco, kiedy dyktował. To było łatwo zarobione dwadzieścia pensów, a w ramach usługi dodatkowej William starannie dobierał ortografię, by odpowiadała klientowi, i pozwalał wybierać własną interpunkcję.

Tego konkretnego wieczoru, kiedy deszcz ze śniegiem spływał rynnami na zewnątrz jego kwatery, William siedział w malutkim gabinecie nad Gildią Iluzjonistów i pisał starannie, nieuważnie słuchając smętnego, ale skrupulatnego katechizmu przyszłych iluzjonistów z kursu wieczorowego, odbywającego się w sali na dole.

— …uważajcie. Gotowi? Dobrze. Jajko. Kieliszek…

— Jajko. Kieliszek — powtarzała apatycznie klasa.

— …Kieliszek. Jajko…

— Kieliszek. Jajko.

— …Magiczne słowo…

— Magiczne słowo…

— Fazammm. I gotowe. Ahahahahaha…

— Faz–ammm. I gotowe. Aha–ha–ha–ha–ha…

William sięgnął po następną kartkę, zaostrzył świeże pióro, przez chwilę wpatrywał się w ścianę, po czym napisał, co następuje:

*# I w końcu, z zabawniejfych wieści, mówi się, że Krasnoludy potrafią Zmienić Ołów w Złoto. Nikt nie wie, skąd się owa płotka wzięła, a Krasnoludy chodzące po Mieście w swych słufnych sprawach witane są okrzykami jak na przykład „Hola, kurduplu, pokaż no, jak zrobić trochę złota!", choć czynią tak jedynie Nowo Przybyli, gdyż wfyscy tu wiedzą, co się dzieje, kiedy nazwaćKrasnoluda „kurdupłem", tzn. jest się Martwym.*

*Twój uniżony Sługa, William de Worde*

Zawsze lubił kończyć swoje listy jakimś weselszym akcentem.

Sięgnął po klocek bukszpanu, zapalił drugą świecę i ułożył list na drewnie tekstem w dół. Szybkie potarcie wypukłą stroną łyżki przeniosło atrament na drewno, a trzydzieści dolarów oraz dość fig, żeby człowieka poważnie zemdliło, stały się pewne jak w banku.

Jeszcze dziś wieczorem podrzuci to do pana Cripslocka, a kopie odbierze jutro po spokojnym lunchu. Przy odrobinie szczęścia w połowie tygodnia powinny już być wysłane.

William włożył płaszcz, owinął drewno w nawoskowany papier i wyszedł w zimną noc.

* * *

Świat zbudowany jest z czterech elementów: Ziemi, Powietrza, Wody i Ognia. To fakt dobrze znany nawet kapralowi Nobbsowi. A także błędny. Istnieje również piąty element, zwany ogólnie Niespodzianką.

Na przykład: krasnoludy znalazły metodę przemiany ołowiu w złoto, ale czyniły to trudniejszym sposobem. Różnica między nim a łatwym sposobem polega na tym, że trudny działa.

* * *

Krasnoludy pchały swój przeładowany, skrzypiący wóz wzdłuż ulicy, wytrzeszczając oczy we mgle. Lód tworzył się na wozie, sople zwisały im z bród.

Wystarczyłaby jedna zamarznięta kałuża.

Dobra stara pani Fortuna… Można na niej polegać.

* * *

Mgła zgęstniała, zmieniając każde światło w mętnie lśniącą plamę i tłumiąc wszystkie odgłosy. Dla kaprala Nobbsa i sierżanta Colona stało się oczywiste, że żadna horda barbarzyńców raczej nie włączy inwazji na Ankh–Morpork w swoje plany podróżne tego wieczora. Strażnicy nie mieli do nich żalu.

Zamknęli bramę. Nie była to czynność tak dramatyczna, jak mogłoby się wydawać, jako że klucze zginęły gdzieś już dawno. Spóźnieni podróżni zwykle rzucali kamykami w okna domów zbudowanych na szczycie muru, aż trafili na znajomego, który podnosił sztabę. Zakładano, że obcy najeźdźcy nie będą wiedzieli, w które okna rzucać kamykami.

Następnie obaj strażnicy powlekli się przez błoto i topniejący śnieg do Bramy Wodnej, przez którą rzeka Ankh miała szczęście wlewać się do miasta. Woda była niewidoczna w mroku, ale niekiedy dryfował pod parapetem widmowy kształt kry lodowej.

— Chwila — rzucił Nobby, kiedy chwycili za kołowrót kraty. — Ktoś tam jest na dole.

— W rzece? — zdziwił się Colon.

Zaczął nasłuchiwać. Daleko w dole usłyszał skrzypienie wioseł. Zwinął dłonie przy ustach i wydal tradycyjny okrzyk policyjnego wezwania:

— Hej! Ty!

Na chwilę zapadła cisza; słychać było tylko wiatr i szum wody. Potem odezwał się głos.

— Tak?

— Atakujecie miasto czy co? Znowu chwila milczenia. I:

— Co?

— Co co? — Sierżant Colon podniósł stawkę. — Jakie były inne możliwości?

— Nie gadaj mi tu głupot… Czy wy, tam na dole, w łódce, atakujecie miasto?

— Nie.

— To w porządku — ucieszył się Colon, który w taką noc chętnie wierzył ludziom na słowo. — No to ruszajcie się, bo zaraz opuszczamy kratę.

Po chwili wiosła zachlupotały, a ich skrzypienie ucichło w dole rzeki.

— Myślisz, że to wystarczy tak ich zwyczajnie zapytać? — odezwał się Nobby.

— Przecież powinni wiedzieć — odparł Colon.

— No tak, ale…

— To była malutka łódka wiosłowa, Nobby. Oczywiście, jeśli masz ochotę schodzić na sam dół po tych ślicznie oblodzonych stopniach, aż na nabrzeże…

— Nie, sierżancie.

— No to wracajmy na komendę.

* * *

William podniósł kołnierz płaszcza, spiesząc do Cripslocka, grawera i rytownika. Zatłoczone zwykle ulice były puste. Tylko najpilniejsze sprawy skłaniały dzisiaj ludzi do wyjścia. Zapowiadała się bardzo paskudna zima, mieszanina marznącej mżawki, śniegu i wiecznie obecnego, wiecznie się kłębiącego smogu Ankh–Morpork.

Wzrok Williama przyciągnęła niewielka plama światła w pobliżu Gildii Zegarmistrzów. W blasku widoczna była niska, przygarbiona sylwetka.

Podszedł bliżej.

— Gorąca kiełbaska? — zaproponował głos brzmiący tak, jakby stracił wszelką nadzieję. — W bułce?

— Pan Dibbler? — upewnił się William.

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler, najbardziej przedsiębiorczo pechowy biznesmen Ankh–Morpork, przyjrzał się Williamowi ponad swą przenośną tacą do gotowania kiełbasek. Płatki śniegu syczały w krzepnącym tłuszczu.

William westchnął.

— Pracuje pan do późna, panie Dibbler — stwierdził grzecznie.

— Ach, to pan Word. Czasy są ciężkie w branży handlu gorącymi kiełbaskami.

— Trudno związać koniec z mięsem, co? — zapytał William. Nie mógłby się powstrzymać nawet za sto dolarów i cały statek fig.

— Wyraźny krach na rynku spożywczym — przyznał Dibbler, zbyt głęboko pogrążony w smutku, żeby cokolwiek zauważyć.

— Trudno ostatnio znaleźć kogoś chętnego do zakupu kiełbaski w bułce.

William przyjrzał się tacy. To, że Gardło Sobie Podrzynam Dibbler sprzedawał gorące kiełbaski, było pewnym znakiem, że jego bardziej ambitne przedsięwzięcie znowu poszło śladem zgniłych wahoonie. Handel gorącymi kiełbaskami z tacy był stanem podstawowym egzystencji

Dibblera, który przez cały czas usiłował wznieść się ponad niego i bezustannie do niego wracał, kiedy najnowszy interes się rozsypywał. Właściwie szkoda, ponieważ Dibbler był doskonałym sprzedawcą gorących kiełbasek. Musiał być, biorąc pod uwagę owych kiełbasek naturę.

— Powinienem zdobyć porządne wykształcenie, jak pan — oświadczył przygnębiony Dibbler. — A potem mila robota pod dachem, bez dźwigania ciężarów. Mógłbym znaleźć swojego nicza, gdybym odebrał wykształcenie.

— Nicza?

— Któryś z magów mi o nich opowiedział. Wszystko ma swojego nicza. No wie pan… Takie miejsce, gdzie powinno być. Do czego się nadaje…

William pokiwał głową. Znał się na słowach.

— Niszę? — upewnił się.

— Coś podobnego, tak. — Dibbler westchnął. — Przegapiłem semafory. Po prostu nie zauważyłem, że to będzie szał. A potem ani się obejrzałem, a każdy miał już firmę sekarową. Wielkie pieniądze. Za wielkie jak na mój gust. Ale mogło mi się udać z Fungiem Szują. Zwyczajny pech.

— Naprawdę poczułem się lepiej, kiedy ustawiłem krzesło w innym miejscu — zapewnił go William.

Ta rada kosztowała go dwa dolary, wraz z zaleceniem, by zamykał klapę od wygódki, żeby Smok Nieszczęśliwości nie wleciał mu w siedzenie.

— Był pan moim pierwszym klientem i jestem za to wdzięczny — rzekł Dibbler. — Wszystko już miałam przygotowane, gongi Dibblera, lusterka Dibblera, forsa tylko czekała… To znaczy, wszystko było już ułożone dla osiągnięcia maksymalnej harmonii, ale wtedy… bęc! Zła karma znów na mnie spadła.

— No ale pan Passmore dopiero po tygodniu znowu mógł chodzić — przypomniał William.

Przypadek drugiego klienta Dibblera okazał się bardzo użyteczny dla jego listu z wieściami, co poniekąd wyrównało stratę tych dwóch dolarów.

— Skąd mogłem wiedzieć, że Smok Nieszczęśliwości naprawdę istnieje? — poskarżył się Dibbler.

— Bo chyba go nie było, dopóki pan go nie przekonał, że jest. Dibbler poweselał trochę.

— Co tam. Można mówić, co się chce, ale zawsze dobrze mi szła sprzedaż idei. Czy zdołam pana przekonać do idei, że kiełbaska w bułce jest właśnie tym, czego obecnie pan pragnie?

— Właściwie muszę zanieść to do… — zaczął William i wytężył słuch. — Zdaje się, że ktoś krzyczał…

— Mam gdzieś tutaj zimne paszteciki z mięsem. — Dibbler pogrzebał na tacy. — Mogę zaproponować przekonująco okazyjną cenę na…

— Na pewno coś słyszałem — przerwał mu William. Dibbler nastawił ucha.

— Coś jakby turkotanie?

— Tak.

Wpatrywali się w skłębione opary przesłaniające Broad–Way. Które to opary całkiem nagle stały się wielkim wozem przykrytym brezentem, sunącym niepowstrzymanie i bardzo szybko…

— Zatrzymać prasę!

Ten okrzyk William jeszcze usłyszał, zanim coś wyskoczyło z ciemności i trafiło go między oczy.

* * *

Plotka, piórem Williama przypięta do papieru niczym motyl do kawałka korka, nie dotarła do uszu pewnych osób, ponieważ zajęte były innymi, bardziej mrocznymi sprawami.

Łódź sunęła po syczących wodach rzeki Ankh, które zamykały się za nią bardzo powoli.

Dwaj ludzie pochylali się nad wiosłami. Trzeci siedział na spiczastym końcu. Od czasu do czasu się odzywał, jak na przykład:

— Nos mnie swędzi.

— Musisz zaczekać, aż dopłyniemy na miejsce — odparł jeden z wiosłujących.

— Moglibyście znów mnie wypuścić. Okropnie swędzi.

— Wypuściliśmy cię, kiedy się zatrzymaliśmy na kolację.

— Ale wtedy nie swędział. Odezwał się drugi z wiosłujących.

— Czy mam mu znowu przyłożyć …onym wiosłem w ten jego …ony łeb, panie Szpilo?

— Dobry pomysł, panie Tulipanie.

W ciemności rozległo się głuche uderzenie.

— Au!

— A teraz dość już narzekań, przyjacielu, bo pan Tulipan straci cierpliwość.

— …ona racja.

Potem zabrzmiał odgłos, jakby ruszyła pompa przemysłowa.

— Hej, bez przesady z tym paskudztwem, dobrze? — Jeszcze mnie nie zabiło, panie Szpilo.

Łódź wyhamowała powoli przy niedużym, rzadko używanym pomoście. Wysoka postać, która niedawno stała się obiektem działań pana Szpili, została wyciągnięta na brzeg i poprowadzona wzdłuż uliczki.

Po chwili zaturkotał odjeżdżający powóz.

Wydawało się całkiem niemożliwe, by w tak ponurą noc ktokolwiek mógł być świadkiem tej sceny.

Ale był. Wszechświat wymaga, by wszystko miało swego obserwatora. W przeciwnym razie przestanie istnieć.

Z pobliskiego zaułka wyszła jakaś postać, powłócząc nogami. Jakaś mniejsza postać sunęła niepewnie tuż obok. Obie spoglądały za odjeżdżającym powozem, aż zniknął w padającym śniegu.

— No, no, no… to ciekawe — odezwała się mniejsza z dwóch postaci. — Jakiś człowiek, cały zawinięty i w kapturze. Fardzo interesujące, prawda?

Wyższa postać przytaknęła. Miała na sobie obszerny, o kilka numerów za duży stary płaszcz oraz filcowy kapelusz, przefasonowany przez czas i pogodę w oklapły stożek, zwisający na głowie właściciela.

— Zgrzęzić — powiedziała postać. — Strzecha i spodzień, przedęty tłumok. Mówiłem mu. Mówiłem. Tysiącletnia wskazówka i krewetki. Demoniszcze.

Po chwili ta większa postać sięgnęła do kieszeni i wyjęła stamtąd kiełbaskę, którą przełamała na dwie części. Jedna część zniknęła pod kapeluszem, druga została rzucona mniejszej postaci, która brała na siebie większość wypowiedzi, a w każdym razie większość sensownych wypowiedzi.

— Wygląda mi to na frzydki uczynek — stwierdziła mniejsza postać, mająca cztery nogi.

Kiełbaska została skonsumowana w milczeniu. Potem obie postacie ruszyły w mrok.

Tak jak gołąb nie potrafi chodzić, nie kiwając głową, wyższa postać nie umiała się poruszać bez cichego, bezustannego mamrotania:

— Mówiłem im, mówiłem. Tysiącletnia wskazówka i krewetki. Powiadam, powiadam, powiadam. Och, nie. Ale oni tylko uciekają, mówiłem im. Niech ich demony. Progi. Powiadam, powiadam, powiadam. Zęby. Jak się nazywa wiek, powiadam, mówiłem im, nie moja wina,

prawdę, prawdę mówiąc, to rozsądne…

Plotka dotarła do jego uszu trochę później, ale wtedy był już jej elementem.

Co do pana Szpili i pana Tulipana, w tym momencie wszystko, co należy o nich wiedzieć, to że są ludźmi, którzy zwracają się do innych „przyjacielu". Tacy ludzie nie są przyjaźni.

* * *

William otworzył oczy.

Oślepłem, pomyślał.

A potem odsunął koc.

I wtedy uderzył go ból. Był to ostry, uparty rodzaj bólu, skupiony tuż powyżej oczu. Ostrożnie pomacał ręką. Zdawało się, że ma tam sińca oraz coś, co sprawiało wrażenie szczerby w ciele, jeśli nie w kości.

Usiadł. Znajdował się w pokoju z opadającym na ukos sufitem. Trochę brudnego śniegu leżało u dołu małego okienka. Poza łóżkiem, które składało się właściwie tylko z materaca i koca, innych mebli nie było.

Głuche uderzenie wstrząsnęło budynkiem. Kurz opadł z sufitu. William wstał, przyciskając dłoń do czoła, i chwiejnie podszedł do drzwi. Otworzył je i zobaczył o wiele większy pokój, czy raczej warsztat.

Od kolejnego wstrząsu zadzwoniły mu zęby.

Spróbował skupić wzrok.

Sala była pełna krasnoludów pracujących przy kilku długich blatach. Ale na drugim końcu cala grupa stała wokół czegoś, co wyglądało na skomplikowaną machinę tkacką.

Znowu huknęło.

William roztarł czoło.

— Co się dzieje? — zapytał.

Najbliższy krasnolud spojrzał na niego z dołu i nerwowo szturchnął sąsiada. Szturchnięcie przemieściło się, przekazywane wzdłuż szeregów, aż całą salę od ściany do ściany wypełniło czujne milczenie. Kilkanaście poważnych krasnoludzich twarzy spoglądało na Williama w skupieniu.

Nikt nie potrafi wpatrywać się z większym skupieniem od krasnoluda. Pomiędzy

przepisowym żelaznym hełmem a brodą pozostaje już bardzo niewiele miejsca, dlatego wyrazy twarzy krasnoludów są bardziej skoncentrowane.

— Ehem — powiedział William. — Halo…

Jeden z krasnoludów przy wielkiej maszynie ożywił się pierwszy.

— Wracajcie do pracy, chłopcy — rzekł.

Podszedł i surowo spojrzał Williamowi w krocze.

— Dobrze się szanowny pan czuje?

William się skrzywił.

— Tego… Co się stało? Ja, no… Pamiętam, że zobaczyłem wóz, a potem coś mnie trafiło…

— Wyrwał się nam — wyjaśnił krasnolud. — Ładunek też się zsunął. Przepraszamy.

— A co się stało z panem Dibblerem?

Krasnolud przekrzywił głowę.

— Ten chudy człowieczek z kiełbaskami? — upewnił się.

— Zgadza się. Nic mu się nie stało?

— Nie wydaje mi się — odparł krasnolud ostrożnie. — Sprzedał młodemu Gromtoporowi kiełbaskę w bułce. To wiem na pewno.

William się zastanowił. Wiele pułapek czyhało w Ankh–Morpork na nieostrożnego przybysza.

— W takim razie… Czy panu Gromtoporowi nic się nie stało?

— Prawdopodobnie. Przed chwilą krzyknął przez drzwi, że czuje się o wiele lepiej, ale przez jakiś czas zostanie tam, gdzie jest.

Krasnolud sięgnął pod stół i z powagą wręczył Williamowi owinięty w brudny papier prostopadłościan.

— Pańskie, jak sądzę.

William odpakował klocek drewna. Pękł w miejscu, gdzie przejechało po nim koło wozu, a tekst był rozmazany. Westchnął.

— Przepraszam… — zainteresował się krasnolud — ale do czego to miało służyć?

— To blok przygotowany na drzeworyt — odparł William. Nie był pewien, w jaki sposób zdoła krasnoludowi spoza miasta wytłumaczyć samą ideę. — Wiesz, co to grawerowanie? Taki… Taki niemal magiczny sposób tworzenia wielu kopii pisma. Niestety, muszę iść i szybko przygotować drugi.

Krasnolud spojrzał na niego dziwnie. Wyjął mu klocek z rąk i obracał w dłoniach.

— Rozumiesz, grawer wycina te kawałki…

— Ma pan jeszcze oryginał? — przerwał mu krasnolud.

— Słucham?

— Oryginał — powtórzył cierpliwie krasnolud.

— A tak…

William sięgnął do kieszeni.

— Mogę go na chwilę pożyczyć?

— No dobrze, ale będzie mi potrzebny, żeby…

Krasnolud przez chwilę przyglądał się listowi, po czym odwrócił się i z dźwięcznym „brzdęk" uderzył najbliższego towarzysza w hełm.

— Dziesięć punktów na trzy — powiedział, wręczając mu kartkę. Uderzony krasnolud kiwnął głową, a jego prawa ręka zaczęła poruszać się szybko nad rzędem małych pudełek, skąd wybierał jakieś przedmioty.

— Powinienem już wracać, bo przecież muszę… — zaczął William.

— To długo nie potrwa — zapewnił go główny krasnolud. — Proszę przejść tutaj, dobrze? To może zainteresować specjalistę od liter, takiego jak pan.

William podążył za nim wzdłuż szeregu zapracowanych krasnoludów do machiny, która łomotała monotonnie.

— Aha… to prasa rytownicza — stwierdził niezbyt pewnie.

— Ta jest trochę inna — wyjaśnił krasnolud. — My ją… udoskonaliliśmy.

Wziął kartkę z dużego stosu obok prasy i wręczył Williamowi, który przeczytał:

— Co pan o tym sądzi? — zapytał nieśmiało krasnolud.

— Ty jesteś Gunilla Dobrogór?

— Tak. Co pan sądzi?

— Noo… Muszę przyznać, że litery macie ładne i regularne — stwierdził William. — Ale nie rozumiem, co w tym niezwykłego. I źle napisaliście „świat". Powinno być „w" po „ś". Musicie wyciąć wszystko od nowa, bo ludzie będą się z was śmiali.

— Naprawdę? — upewnił się Dobrogór. Szturchnął któregoś z kolegów. — Daj mi małe „w", Caslong, dziewięćdziesiąt sześć punktów. Dziękuję.

Pochylił się nad prasą, sięgnął po klucz i zaczął coś poprawiać w mechanicznym mroku.

— Musisz mieć pewną rękę, żeby uzyskać takie równe litery — powiedział William.

Czuł lekkie wyrzuty sumienia, że wytknął błąd. Prawdopodobnie i tak nikt by go nie zauważył. Mieszkańcy Ankh–Morpork uważali, że ortografia to rodzaj opcjonalnego dodatku. Wierzyli w nią tak samo, jak wierzyli w interpunkcję: nieważne, gdzie się wstawiło znaki, byle były.

— Przypuszczam, że ten błąd… — „bums!" — nie ma znaczenia — zapewnił.

Dobrogór znowu otworzył prasę i bez słowa wręczył Williamowi wilgotną kartkę papieru. William przeczytał. W miejscu „f' znalazło się „w".

— Jak… — zaczął.

— To taki niemal magiczny sposób tworzenia wielu kopii pisma szybko — odparł Dobrogór.

Następny krasnolud zjawił się przy nim, trzymając dużą metalową ramę. Była pełna odwróconych metalowych liter. Dobrogór wziął ją i uśmiechnął się szeroko do Williama.

— Chce pan wprowadzić jakieś poprawki, zanim puścimy to na maszynę? Wystarczy słowo. Dwa tuziny wydruków?

— O bogowie… — westchnął William. — To jest druk, tak?

* * *

Lokal Pod Kubłem był tawerną. Swego rodzaju. Nie miewał przypadkowych klientów. Ulica, jeśli nawet nie była ślepym zaułkiem, to w każdym razie poważnie niedowidzącym z powodu zmiennych losów tej okolicy. Niewiele firm na nią wychodziło. Ciągnęły się tu głównie tyły różnych podwórzy albo składów. Nikt nawet nie pamiętał, czemu nazywała się Błyskotna. Nie było na niej nic specjalnie błyszczącego.

Poza tym nazwanie tawerny Kubłem nie należało do pomysłów, które trafiają na listę Najlepszych Decyzji Marketingowych w Historii. Jej właścicielem jest chudy, zasuszony pan Cheese, który uśmiecha się tylko wtedy, kiedy usłyszy o jakimś poważnym morderstwie. Tradycyjnie nie dolewa do pełna, a żeby jakoś to wyrównać, dolicza do rachunków. Jednakże bar został przejęty przez Straż Miejską jako nieoficjalny pub policyjny, gdyż policjanci lubią pić w miejscach, gdzie nikt inny nie zagląda i gdzie nie muszą pamiętać, że są policjantami.

Miało to swoje zalety. Nawet licencjonowani złodzieje nie próbowali teraz okradać Kubła — policjanci nie lubią, kiedy ktoś przeszkadza im w piciu. Z drugiej strony, pan Cheese nigdy jeszcze nie widział większej bandy drobnych przestępców niż ci, którzy nosili mundury straży. Trafiało do niego więcej lewych dolarów i dziwnych obcych monet niż w ciągu wcześniejszych dziesięciu lat w tym interesie. To było przygnębiające. Ale niektóre opisy morderstw okazywały się całkiem zabawne.

Część jego dochodów pochodziła z wynajmowania szczurzego labiryntu starych szop i piwnic przylegających do baru. Zwykle zajmowali je, na bardzo krótki czas, tego rodzaju entuzjastyczni producenci, którzy wierzyli, że dzisiejszy świat naprawdę, ale to naprawdę potrzebuje nadmuchiwanej tarczy do strzałek.

Teraz jednak przed Kubłem zebrał się spory tłumek ludzi czytających jeden z nieco nieortograficznych plakatów, jaki Dobrogór przybił do drzwi. Dobrogór wyszedł, odprowadzając

Williama, i przybił w to miejsce poprawioną wersję.

— Przepraszam za pańską głowę — powiedział. — Wygląda na to, że coś na panu nadrukowaliśmy. To na koszt firmy.

William poczłapał do domu, trzymając się w cieniu, na wypadek gdyby spotkał pana Cripslocka. Powkładał zadrukowane kartki do kopert, zabrał je do Bramy Osiowej i oddał posłańcom, uświadamiając sobie, że robi to na kilka dni przed planowanym terminem.

Posłańcy patrzyli na niego podejrzliwie.

Wrócił do swojej kwatery i popatrzył do lusterka nad umywalką… Sporą część jego czoła zajmowało duże „R" odbite w sinych barwach.

Zakrył je bandażem.

I wciąż miał jeszcze osiemnaście kopii. Po namyśle, w nagłym przypływie zuchwałości, przejrzał swoje notatki i znalazł adresy osiemnastu obywateli, którzy zapewne mogli sobie na to pozwolić. Do każdego napisał krótki liścik, oferując swoje usługi za… zastanowił się przez chwilę, po czym starannie wpisał „5$"… i starannie włożył zapasowe odbitki do osiemnastu kopert. Oczywiście zawsze mógł poprosić pana Cripslocka, żeby wykonał więcej kopii, ale to nie wydawało się właściwe. Kiedy staruszek poświęcał cały dzień na wyrzeźbienie słów, prośba, by skalał swe mistrzostwo, wykonując dziesiątki kopii, byłaby dowodem braku szacunku. Jednakże bryłom metalu i maszynom nie trzeba przecież okazywać szacunku. Maszyny nie są żywe.

Pewnie od tego zaczną się kłopoty. A zaczną się. Krasnoludy wydawały się całkiem nie przejmować, kiedy im mówił, jak wiele kłopotów będzie.

* * *

Powóz zatrzymał się przed dużym domem w mieście. Otworzyły się drzwiczki. Zamknęły się. Ktoś zastukał do innych drzwi. Te również się otworzyły. I zamknęły. Powóz odjechał.

Okna jednego z pokojów na parterze okrywały ciężkie kotary i na zewnątrz przesączało się tylko najdelikatniejsze lśnienie. Oraz tylko najsłabsze odgłosy, jednak każdy słuchacz by zauważył, że rozmowa zamiera nagle. Potem ktoś przewrócił krzesło i kilku ludzi jednocześnie krzyknęło.

— To on!

— To jakaś sztuczka, tak?

— Niech mnie piekło pochłonie! — Jeśli to on, pochłonie nas wszystkich!

Gwar ucichł. A potem ktoś zaczął mówić bardzo spokojnie.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Zabierzcie go stąd, panowie. Urządźcie go wygodnie w piwnicy.

Rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się i zamknęły.

— Moglibyśmy po prostu zamienić… — zaczął jakiś bardziej zrzędliwy głos.

— Nie, nie moglibyśmy. Jak rozumiem, nasz gość jest niestety człowiekiem o dość niskiej inteligencji.

Było coś takiego w głosie pierwszego mówcy, jakby sprzeciw był nie tylko nie do pomyślenia, ale zwyczajnie niemożliwy. Głos wyraźnie dobrze się czuł w towarzystwie słuchających.

— Ale wygląda jak wykapany…

— Tak. Zadziwiające, prawda? Jednakże nie komplikujmy sytuacji nadmiernie. Jesteśmy gwardią kłamstwa, panowie. Jesteśmy wszystkim, co stoi pomiędzy miastem a przepaścią, więc postarajmy się wykorzystać tę szansę. Vetinari może pragnąć, by ludzie stali się mniejszością w swoim największym mieście, ale szczerze mówiąc, jego śmierć w wyniku skrytobójstwa byłaby czymś… nieszczęśliwym. Spowodowałaby chaos, a chaosem trudno kierować. Wszyscy przecież wiemy, że są ludzie, którzy zanadto się wszystkim interesują. Nie. Jest przecież trzecia droga. Łagodne zsunięcie się z jednego stanu w drugi.

— A co się stanie z naszym nowym przyjacielem?

— Och, panowie, nasi pracownicy znani są jako ludzie pomysłowi. Jestem przekonany, że będą wiedzieli, jak sobie poradzić z kimś, kogo twarz już nie pasuje. Prawda?

Zabrzmiały śmiechy.

* * *

Na Niewidocznym Uniwersytecie panowało niejakie zamieszanie. Magowie biegali od budynku do budynku i spoglądali w niebo.

Problemem, oczywiście, były żaby. Nie deszcz żab, obecnie w Ankh–Morpork zjawisko dość rzadkie, ale konkretnie zagraniczne żaby nadrzewne z wilgotnych dżungli Klatchu. Były to małe, jaskrawo ubarwione i radosne stworzonka, wytwarzające w organizmach jedną z najpaskudniejszych toksyn świata. Dlatego właśnie zadanie opieki nad wielkim wiwarium, gdzie spokojnie spędzały dni swego żywota, powierzano studentom pierwszego roku — aby w razie

jakiegoś poważnego błędu nie przepadło zbyt wiele edukacji.

Z rzadka tylko któraś z żab była wyjmowana z wiwarium i umieszczana w małym słoju, gdzie na bardzo krótką chwilę stawała się żabą niezwykle szczęśliwą, a potem budziła się w wielkiej dżungli na niebie.

W ten sposób uniwersytet zdobywał aktywny czynnik przerabiany potem na pigułki i podawany kwestorowi, by był normalny. Przynajmniej pozornie normalny, ponieważ na dobrym starym NU nic nie układało się prosto. W rzeczywistości kwestor był nieuleczalnie obłąkany i bez przerwy miał halucynacje, jednak dzięki godnemu podziwu przejawowi myślenia lateralnego magowie uznali, że cała sprawa się rozwiąże, jeśli tylko znajdą środek, który wywoła u niego złudzenie normalności*.

Udało się doskonale, choć po drodze zdarzyło się kilka falstartów. Na przykład w pewnym momencie przez kilka godzin wierzył, że jest szafką biblioteczną. Teraz jednak konsekwentnie halucynował, że jest kwestorem, co niemal wyrównywało drobny efekt uboczny, prowadzący go również do przekonania, że potrafi fruwać.

Oczywiście wielu ludzi w całym wszechświecie także żywi błędną wiarę, że mogą bezpiecznie ignorować grawitację, zwykle po zażyciu jakiegoś lokalnego odpowiednika pigułek z suszonej żaby. Zazwyczaj prowadzi to do dodatkowej pracy ze strony fizyki elementarnej oraz powoduje krótkotrwałe zatory drogowe na ulicy poniżej. Kiedy jednak halucynacja, że potrafi latać, prześladuje maga, sytuacja wygląda całkiem inaczej.

— Kwestooorze! Proszę do mnie, ale natychmiast! — wrzeszczał Ridcully przez swój megafon. — Pamiętasz, co mówiłem o wznoszeniu się powyżej murów?

Kwestor opadł łagodnie na trawnik.

— Wzywał mnie pan, nadrektorze?

Ridcully pomachał mu kartką papieru.

— Parę dni temu wspominałeś, że wydajemy masę pieniędzy na grawerów, tak? — warknął.

Kwestor dostosował umysł do czegoś zbliżonego do właściwej prędkości.

— Wspominałem? — zdziwił się.

— Rujnują nam budżet, mówiłeś. Dokładnie pamiętam.

W rozklekotanej skrzyni biegów mózgu kwestora zaskoczyło kilka trybów.

— A tak. Tak. Szczera prawda — przyznał. Kolejne kółko zębate przesunęło się na miejsce.

* To bardzo powszechna halucynacja dotykająca większości ludzi.

— Prawdziwa fortuna, i to obawiam się, że co roku. Gildia Grawerów…

— Ten typ tutaj pisze — zaczął nadrektor i spojrzał na kartkę — że może zrobić dziesięć kopii po tysiąc słów za dolara sztuka. To tanio?

— Wydaje mi się, hm, że nastąpił błąd grawerski, nadrektorze — odparł kwestor. W końcu udało mu się uzyskać ten równy, uspokajający ton, który najlepiej się nadawał do rozmów z Ridcullym.

— Takie stawki nie zwróciłyby mu kosztów drewna.

— Pisze tutaj… — szelest — …do rozmiaru dziesięciu punktów.

Kwestor na moment stracił panowanie nad sobą.

— To śmieszne! — Co?

— Przepraszam, nadrektorze. Chciałem powiedzieć, że to niemożliwe. Nawet gdyby ktoś potrafił konsekwentnie rzeźbić tak małe elementy, drewno by się rozsypało już po kilku odciśnięciach.

— Znasz się na tym czy co?

— Brat mojego dziadka był rytownikiem, nadrektorze. A rachunki za druki to poważne obciążenie, jak pan dobrze wie. Mogę chyba nie bez podstaw oświadczyć, że potrafiłem utrzymać ceny gildii na bardzo…

— A nie zapraszają cię na swój doroczny bankiet?

— Jako poważny klient, uniwersytet oczywiście dostaje zaproszenie. A jako wyznaczony przedstawiciel naturalnie widzę w tym element moich obowiązków wobec…

— Piętnaście dań, jak słyszałem.

— …i oczywiście naszą polityką jest utrzymywanie przyjaznych kontaktów z innymi gi…

— Nie licząc bakalii i kawy.

Kwestor się zawahał. Nadrektor często prezentował połączenie tępej głupoty z niepokojącą intuicją.

— Kłopot, nadrektorze, polega na tym, że zawsze ostro się sprzeciwialiśmy użyciu w celach magicznych druku typu ruchomego, ponieważ…

— Tak, tak, wiem o tym — przerwał mu Ridcully. — Ale jest przecież masa innych papierów, aż codziennie chyba więcej… Formularze, tabele i bogowie wiedzą co jeszcze. Zawsze dążyłem do biura bez papierów…

— Tak, nadrektorze. I dlatego zapewne chowa pan dokumenty w kredensie, a nocą wyrzuca

przez okno.

— Czyste biurko, czysty umysł — stwierdził nadrektor. Wcisnął kwestorowi do ręki ulotkę. — Może zajrzyj do nich, co? Zobacz, czy nie przesadzają. Tylko piechotą, jeśli można.

* * *

Następnego dnia coś ciągnęło Williama do szop przy tawernie Pod Kubłem. Poza wszystkim innym nie miał nic do roboty, a nie lubił czuć się bezużyteczny.

Na świecie istnieją podobno dwa rodzaje ludzi. Jedni, kiedy dostają szklankę dokładnie w połowie napełnioną, mówią: „Ta szklanka jest w połowie pełna". Ci drudzy mówią: „Szklanka jest w połowie pusta".

Jednakże świat należy do tych, którzy patrzą na szklankę i mówią: „Co jest z tą szklanką? Przepraszam bardzo… No przepraszam… To ma być moja szklanka? Nie wydaje mi się. Moja szklanka była pełna. I większa od tej!".

A na drugim końcu baru świat pełen jest innego rodzaju osób, które mają szklanki pęknięte albo szklanki przewrócone (zwykle przez kogoś z tych, którzy żądali większych szklanek), albo całkiem nie mają szklanek, bo stały z tyłu i barman ich nie zauważył.

William należał do tych bezszklankowych. Co było dziwne, gdyż pochodził z rodziny, która nie tylko miała bardzo duże szklanki, ale też mogła sobie pozwolić na ludzi stojących dyskretnie w pobliżu z butelkami i pilnujących, by szklanki zawsze były pełne.

Była to bezszklankowość z wyboru, a zaczęła się jeszcze w młodym wieku, kiedy posłano go do szkoły.

Brat Williama, Rupert, starszy syn, trafił do szkoły Gildii Skrytobójców w Ankh–Morpork, powszechnie uznawanej za jedną z najlepszych na świecie dla klasy pełnych szklanek. William, syn mniej ważny, wylądował w Hugglestones, szkoły z internatem tak ponurej i surowej, że tylko wyższe klasy szklanek mogły pomyśleć o posyłaniu tam swoich synów.

Szkoła Hugglestones była granitowym budynkiem na zalanych deszczem wrzosowiskach, a jej oficjalnym celem było przerabianie chłopców w mężczyzn. Stosowane metody uwzględniały pewien procent odrzutów, a składały się — jak zapamiętał William — z bardzo prostych i brutalnych zabaw w zdrowym deszczu na dworze. Niscy, powolni, grubi albo po prostu niepopularni byli wycinani, tak jak to zaplanowała natura. Jednak dobór naturalny działa na wiele

sposobów i William odkrył u siebie pewne zdolności przetrwania. Dobrą metodą przeżycia na boiskach Hugglestones było biegać bardzo szybko, dużo krzyczeć, a równocześnie być zawsze możliwie daleko od piłki. Zyskało mu to — co zaskakujące — reputację ucznia entuzjastycznego, a entuzjazm był w Hugglestones ceniony wysoko, choćby z tego powodu, że prawdziwe osiągnięcia trafiały się rzadko. Grono nauczycielskie w Hugglestones wierzyło, że w odpowiednich ilościach entuzjazm może zastąpić mniej istotne cechy, takie jak inteligencja, zdolność przewidywania czy wyszkolenie.

Tak naprawdę William odczuwał entuzjazm jedynie wobec tego, co dotyczyło słów. W Hugglestones nie liczyło się to zbytnio, jako że większa część jego absolwentów zamierzała mieć do czynienia z piórem tylko w takim zakresie, jakiego wymaga złożenie podpisu — wyczyn osiągalny dla większości już po trzech czy czterech latach. Oznaczało jednak długie poranki spokojnej lektury, gdy wokół niego pierwsze szeregi potężnie zbudowanych napastników — którzy pewnego dnia mieli się stać co najmniej zastępcami przywódców krainy — uczyli się, jak trzymać pióro, by go nie połamać.

Opuścił szkołę z dobrą opinią, co zwykle zdarzało się uczniom, których większość nauczycieli tylko mgliście potrafiła sobie przypomnieć. Potem jego ojciec stanął przed problemem, co począć z nim dalej.

William był młodszym synem, a rodzinna tradycja nakazała wysyłać młodszych synów do tego czy innego Kościoła, gdzie nie mogli narobić, zbyt wielu szkód na poziomie fizycznym. Ale zbyt wiele lektur odniosło skutek — William odkrył, że traktuje modlitwy jako skomplikowany sposób pertraktacji z burzą i piorunami.

Praca zarządcy ziemskiego była niemal w tym samym stopniu akceptowalna, jednak Williamowi wydawało się, że ogólnie rzecz biorąc, ziemia całkiem dobrze sama sobą zarządza. Bardzo cenił wiejskie okolice, wszakże pod warunkiem że znajdowały się po drugiej stronie okna.

Kariera wojskowa jakoś nie wydawała się możliwa. William żywił głęboko zakorzenioną niechęć do zabijania ludzi, których nie znał.

Podobało mu się czytanie i pisanie. Lubił słowa. Słowa nie krzyczały i nie wydawały innych głośnych dźwięków, które to cechy w dużej mierze definiowały resztę jego rodziny. Nie wymagały biegania po błocie w lodowatym chłodzie. Nie polowały na nieszkodliwe zwierzęta. Robiły to, co im kazał. Dlatego oświadczył, że chciałby pisać.

Ojciec eksplodował. W jego osobistym świecie skryba stał tylko o stopień wyżej od nauczyciela. Dobrzy bogowie, człowieku, tacy nawet nie jeżdżą konno! Takie to są te Słowa.

W rezultacie William ruszył do Ankh–Morpork, zwykłego punktu przeznaczenia dla ludzi zagubionych i nie mających celu. Tam zaczął utrzymywać się ze słów, choć na skromnym poziomie. Uważał, że i tak mu się udało w porównaniu z Rupertem, który był duży i dobroduszny — naturalny materiał dla Hugglestones, gdyby nie przypadek narodzin.

A potem wybuchła wojna z Klatchem…

Była to nieważna wojna, która się skończyła, zanim jeszcze rozpoczęła na dobre. Taka wojna, co to obie strony udawały, że się naprawdę nie wydarzyła. Ale jedną z rzeczy, które się naprawdę wydarzyły w ciągu tych kilku niespokojnych dni nerwowego chaosu, była śmierć Ruperta de Worde. Zginął za swoje przekonania; głównym wśród nich była bardzo hugglestońska wiara, że odwaga może zastąpić pancerz oraz że Klatchianie odwrócą się i uciekną, jeśli na nich dostatecznie głośno krzyknąć.

Ojciec Williama podczas ich ostatniego spotkania długo się rozwodził na temat dumnych i szlachetnych tradycji de Worde'ów. Wiązały się one zwykle z nieprzyjemnym zgonem, najlepiej cudzoziemców, ale — jak to zrozumiał William — de Worde'owie zawsze uważali, że własna śmierć to przyzwoita druga nagroda. De Worde pierwszy stawał do szeregu, kiedy wzywało go miasto. Dla tego celu istnieli. Rodzinna dewiza brzmiała *Le Mot Juste*. Właściwe Słowo we Właściwym Miejscu, mówił lord de Worde. Po prostu nie mógł zrozumieć, że William nie chce się dostosować do tej pięknej tradycji, więc rozwiązał problem na sposób właściwy sobie i sobie podobnym: udając, że nie istnieje.

Po czym między de Worde'ami zapanowało lodowate milczenie, przy którym zimowe chłody wydawały się sauną.

W tym posępnym nastroju naprawdę pocieszyła Williama wizyta w hali drukarskiej i spotkanie tam kwestora, który dyskutował z Dobrogórem na temat teorii słów.

— Zaraz, zaraz — powiedział kwestor. — Owszem, w istocie, teoretycznie słowo jest zbudowane z pojedynczych liter, jednak mają one tylko… — z gracją machnął długimi palcami — …teoretyczną egzystencję, jeśli można tak to określić. Są one, to jasne, słowami *partis in potentia* i ekstremalnym uproszczeniem jest wyobrażanie sobie, że posiadają *unis et separato* egzystencję realną. W istocie sama koncepcja liter istniejących samodzielnie jest filozoficznie niezwykle wręcz niepokojąca. W istocie byłyby bowiem niczym nosy lub palce biegające po

świecie same w sobie…

To trzy „w istocie", pomyślał William, który zauważał takie rzeczy. Trzy „w istocie" użyte przez kogoś w jednej krótkiej wypowiedzi oznaczały zwykle, że jego wewnętrzna sprężyna zaraz pęknie.

— Mamy całe pudła liter — odparł spokojnie Dobrogór. — Możemy z nich złożyć wszelkie słowa, jakich pan zażąda.

— I na tym, widzi pan, polega cały kłopot — tłumaczył kwestor. — Przypuśćmy, że metal zapamięta słowa, które drukował. Grawerzy przynajmniej roztapiają swoje płyty, a oczyszczające działanie ognia daje…

— Przepraszam, wasza szanowność — przerwał mu Dobrogór. Jeden z krasnoludów klepnął go lekko w ramię i podał prostokąt papieru. Dobrogór wręczył go kwestorowi.

— Ten oto młody Caslong pomyślał, że ucieszy się pan z takiej pamiątki. Złożył to bezpośrednio ze skrzynki i przeciągnął po kamieniu. Bardzo jest szybki.

Kwestor usiłował od stóp do głów zmierzyć krasnoluda surowym wzrokiem, choć wobec krasnoludów nie była to skuteczna taktyka zastraszania. Od stóp do głów mierzą tak niewiele, że brakuje miejsca na odpowiednią surowość.

— Doprawdy? — rzekł. — Jakże…

Przesunął wzrokiem po papierze.

I nagle wytrzeszczył oczy.

— Ale to przecież… kiedy mówiłem… Dopiero co powiedziałem… Skąd wiedzieliście, co powiem… Znaczy, moje własne słowa… — jąkał się.

— Oczywiście brak im justyfikacji — zauważył Dobrogór.

William zostawił ich samych. Kamienia się domyślił — nawet rytownicy używali do pracy dużego płaskiego kamienia. I widział, jak krasnoludy wyciągają kartki papieru z metalowych liter, więc to również miało sens. No i słowa kwestora naprawdę nie miały żadnej justyfikacji. Przecież metal nie ma duszy.

Spojrzał ponad głową krasnoluda, który pilnie składał litery w metalowej ramce; krótkie palce przesuwały się od jednej do drugiej przegródki na leżącej przed nim wielkiej tacy czcionek. Duże litery u góry, małe na dole. Można było nawet się domyślić, co składa krasnolud, obserwując tylko ruchy jego dłoni nad tacą.

— Z–a–r–a–b–i–a–j–$–$–$–W–e–W–o–l–n–y–m–C–z–a–s… — wymruczał.

Pojawiła się pewność. Zerknął na karty przybrudzonego papieru obok tacy — pokrywało je wąskie, spiczaste pismo, identyfikujące piszącego jako kogoś o skłonnościach analnoretentywnych i słabym uchwycie.

Żadne muchy nie siadały na G.S.P. Dibblerze. Pobierałby od nich czynsz.

Niemal podświadomie William sięgnął po notes, polizał ołówek i starannie zapisał własnym stenograficznym pismem:

„Niezwkłe scny rzgrły s w Mcie po Uruchomniu Mszyny Drukarskiej p bar Pd Kubłem prz G. Dobrogóra, krsld, c wbudzło wlk zainterswanie wśrd ogółu, w tym ptntatów handlwych".

Przerwał. Rozmowa na drugim końcu sali stawała się wyraźnie bardziej pojednawcza.

— Ile za tysiąc? — upewnił się kwestor.

— Nawet taniej przy dużych zamówieniach — zapewnił Dobrogór. — Ale niski nakład to też żaden problem.

Twarz kwestora promieniała — jak u kogoś, kto zajmuje się liczbami i właśnie widzi, że pewna wielka i niewygodna liczba w najbliższej przyszłości stanie się o wiele mniejsza, a wobec takich argumentów filozofia nie ma wielkich szans. Na obliczu Dobrogóra widoczny był radosny grymas kogoś, kto wymyślił, jak zmienić ołów w jeszcze więcej złota.

— Cóż, naturalnie tak poważny kontrakt wymaga osobistej ratyfikacji nadrektora — uprzedził kwestor. — Ale mogę zapewnić, że bardzo uważnie słucha wszystkiego, co mu powiem.

— Nie mam żadnych wątpliwości, wasza lordowska mość — odparł z satysfakcją Dobrogór.

— Aha, przy okazji — dodał kwestor. — Czy wydajecie u siebie Doroczny Bankiet?

— O tak. Stanowczo — zapewnił krasnolud.

— Kiedy?

— A kiedy by panu pasowało?

William notował: „Dże intrsy prwdopodobn z Pewną Instytucją Edukacyjną w Mcie", po czym, jako że był uczciwy z natury, dodał: „jak słszmy".

Całkiem dobrze mu szło. Ledwie dziś rano wysłał jeden list, a już miał ważną notatkę do następnego…

…tyle że, oczywiście, klienci nie spodziewają się następnego przez jeszcze prawie miesiąc. I miał przeczucie, że wtedy nikogo nie będzie to specjalnie interesowało. Z drugiej strony, jeśli im o tym nie opowie, ktoś na pewno będzie narzekał. Miał już taki kłopot z deszczem psów na ulicy Kopalni Melasy w zeszłym roku, a przecież on nawet się nie zdarzył.

Ale nawet jeśli krasnoludy ułożą list naprawdę wielkimi czcionkami, jedna wiadomość nie wystarczy.

Niech to…

Musi trochę się pokręcić i znaleźć coś jeszcze.

Nagły impuls kazał mu podejść do kwestora, który zbierał się już do wyjścia.

— Bardzo przepraszam — powiedział.

Kwestor, który był w znakomitym nastroju, żartobliwie uniósł brew.

— Hmm? Pan de Worde, prawda?

— Tak, proszę pana. Ja…

— Niestety, na uniwersytecie sami wszystko zapisujemy.

— Chcę pana zapytać, co pan sądzi o tej machinie drukarskiej pana Dobrogóra — wyjaśnił William.

— A czemu?

— No… bo chciałbym wiedzieć. I chciałbym zapisać to w moim liście z nowinami. Wie pan, poglądy jednego z czołowych przedstawicieli thaumaturgicznej instytucji Ankh–Morpork…

— Tak? — Kwestor się zawahał. — To ten liścik, który wysyła pan do księżnej Quirmu, diuka Sto Helit i tym podobnych osób, tak?

— Tak, proszę pana — potwierdził William. Magowie byli strasznymi snobami.

— Hm… w takim razie… Może pan napisać, że powiedziałem, że to krok we właściwym kierunku, który… no… z radością powitają wszyscy ludzie postępowi i który wepchnie miasto przemocą w Wiek Nietoperza. — Patrzył czujnie, jak William notuje jego słowa. — A nazywam się dr A.A. Dinwiddie, dr mag. (7 st.), dr thaum., bak. ok., mgr num., lic. wr. Dinwiddie przez o.

— Tak, doktorze Dinwiddie. Tylko że… Wiek Nietoperza już prawie się kończy. Czy nie wolałby pan, żeby miasto zostało raczej przemocą z niego wypchnięte?

— W istocie.

William zapisał to. Nie rozumiał, dlaczego pewne obiekty zawsze wpycha się przemocą. Nikt jakoś nie miał ochoty, by — przykładowo — prowadzić je delikatnie za rękę.

— I mam nadzieję, że prześle mi pan kopię, kiedy już się ukaże, naturalnie — dodał kwestor.

— Tak, doktorze Dinwiddie.

— I gdyby chciał pan jeszcze o cokolwiek spytać w dowolnej chwili, proszę się nie krępować.

— Dziękuję panu. Ale zawsze sądziłem, że Niewidoczny Uniwersytet jest przeciwny użyciu

ruchomej czcionki…

— Och, sądzę, że już najwyższy czas, byśmy podjęli ekscytujące wyzwania, jakie stawia przed nami Wiek Nietoperza.

— My… Ale to ten, który niedługo mamy opuścić…

— Więc już najwyższy czas, żebyśmy je podjęli, prawda?

— Słuszna uwaga, proszę pana.

— A teraz muszę lecieć — powiedział kwestor. — Tylko że mi nie wolno.

* * *

Lord Vetinari, Patrycjusz Ankh–Morpork, trącił kałamarz z atramentem. Pływały w nim kawałki lodu. — Nie masz tu nawet porządnego ognia? — zdziwił się Hughnon Ridcully, najwyższy kapłan Ślepego Io i nieoficjalny rzecznik warstw religijnych miasta. — Przyznaję, sam nie lubię duchoty, ale tutaj można zamarznąć.

— Rześko, w samej rzeczy — zgodził się lord Vetinari. — To dziwne, ale lód nie jest taki ciemny jak reszta atramentu. Jak pan sądzi, wasza wielebność, dlaczego tak się dzieje?

— Pewnie z powodu nauki — odparł lekceważąco Hughnon. Jak jego magiczny brat, nadrektor Mustrum, kapłan nie lubił się kłopotać pytaniami w oczywisty sposób głupimi. I magia, i bogowie wymagali ludzi solidnych i rozsądnych. Bracia Ridcully byli solidni jak skały. I pod pewnymi względami równie rozsądni.

— No cóż… O czym mówiliśmy?

— Musisz to powstrzymać, Havelocku. Znasz przecież… porozumienie.

Vetinari wydawał się skupiony na obserwacji atramentu.

— Muszę, wasza wielebność? — zapytał spokojnie, nie podnosząc głowy.

— Wiesz, dlaczego wszyscy jesteśmy przeciwni ruchomej czcionce.

— Proszę mi jeszcze raz przypomnieć… Coś podobnego, podskakuje na powierzchni…

Hughnon westchnął.

— Słowa są zbyt ważne, żeby powierzać je maszynom. Jak wiesz, nie mamy nic przeciwko grawerom. Nie mamy nic przeciwko słowom należycie utrwalonym. Ale słowa, które można rozłożyć i wykorzystać do zbudowania innych słów… to po prostu niebezpieczne. I sądziłem, że ty również nie wspierasz tych pomysłów…

— Ogólnie biorąc, nie — zgodził się Patrycjusz. — Ale wiele lat rządzenia tym miastem, wasza wielebność, nauczyło mnie, że nie można stosować hamulców wobec wulkanu. Czasami lepiej pozwolić, by sprawy biegły swoim torem. Zwykle po jakimś czasie same wygasają.

— Nie zawsze byłeś taki łagodny, Havelocku.

Patrycjusz rzucił mu zimne spojrzenie, które o kilka sekund przekroczyło granicę dobrego samopoczucia.

— Moimi hasłami zawsze były elastyczność i zrozumienie, wasza wielebność — rzekł.

— Mój boże, naprawdę?

— W samej rzeczy. I chciałbym, aby wasza wielebność i jego brat zrozumieli, w elastyczny sposób, że to przedsięwzięcie prowadzą krasnoludy. A czy wasza wielebność wie, jakie jest największe krasnoludzie miasto na świecie?

— Co? No, zaraz… To miejsce w…

— Każdy zaczyna tak odpowiadać. Ale w rzeczywistości jest to Ankh–Morpork. Żyje tu obecnie ponad pięćdziesiąt tysięcy krasno — ludów.

— To chyba niemożliwe?

— Zapewniam, że tak jest. Mamy w tej chwili bardzo dobre stosunki z krasnoludzimi społecznościami w Miedziance i Überwaldzie. W kontaktach z krasnoludami dbam o to, by przyjazna dłoń zawsze była wyciągnięta nieco ku dołowi. A w obecnym okresie chłodów z pewnością wszyscy jesteśmy zadowoleni, że barki z węglem i olejem codziennie docierają tu z krasnoludzich kopalni. Czy wyrażam się jasno?

Hughnon zerknął na kominek. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu żarzyła się tam w samotności jedna bryła węgla.

— I oczywiście — ciągnął Patrycjusz — coraz trudniej ignorować ten nowy typ, zaraz… aha, druku, kiedy ogromne drukarnie istnieją już w Imperium Agatejskim oraz, czego wasza wielebność z pewnością jest świadom, w Omni. A z Omni, jak wasza wielebność bez wątpienia wie, Omnianie eksportują wielkie ilości swojej świętej Księgi Oma i broszury, które tak chętnie rozdają.

— Ewangeliczny nonsens — stwierdził Hughnon. — Powinieneś już dawno go zakazać.

Raz jeszcze spojrzenie trwało o wiele za długo.

— Zakazać religii, wasza wielebność?

— No… Kiedy mówię „zakazać”, chodzi mi o…

— Z całą pewnością nikt nie nazwie mnie despotą, wasza wielebność — rzekł surowo Vetinari.

Hughnon Ridcully podjął chybioną próbę poprawienia nastroju.

— W każdym razie nie dwukrotnie, ahaha.

— Słucham?

— Powiedziałem… w każdym razie nie dwukrotnie… ahaha.

— Bardzo przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem.

— To był, hm, taki drobny żarcik, Have… panie.

— Ach. No tak. Ahaha — powiedział Vetinari, a jego słowa uschły w powietrzu. — Nie, obawiam się, że nikt nie zabroni Omnianom swobodnie głosić ich dobrej nowiny na temat Oma. Ale nie traćmy serca! Z pewnością wy także macie jakieś dobre nowiny o Io?

— Co? O tak, naturalnie. W zeszłym miesiącu był trochę przeziębiony, ale znowu dobrze się czuje.

— Kapitalnie. To rzeczywiście dobra nowina. Nie wątpię, że drukarze z radością rozpowszechniają w waszym imieniu. I z pewnością postarają się zaspokoić wszelkie wymagania.

— A czy są jakieś inne powody, panie?

— Sądzi wasza wielebność, że mam jakieś inne? — zdziwił się lord Vetinari. — Moje motywy są, jak zawsze, absolutnie przejrzyste.

Hughnon uświadomił sobie, że „absolutnie przejrzyste" może oznaczać, że niczego nie zasłaniają, ale też że wcale ich nie widać. Vetinari przerzucił plik dokumentów.

— Jednakże… Gildia Grawerów w ostatnim roku trzykrotnie podnosiła ceny.

— Ach… rozumiem.

— Cywilizacja zasilana jest słowami, wasza wielebność. Cywilizacja jest słowami… które, ogólnie biorąc, nie powinny być zbyt kosztowne. Świat się kręci, wasza wielebność, a my musimy wirować razem z nim. — Vetinari się uśmiechnął. — Był taki czas, kiedy narody walczyły ze sobą niczym wielkie, chrząkające bestie z bagien. Ankh–Morpork władało sporą częścią tych bagien, ponieważ miało największe pazury. Dzisiaj jednak złoto zajęło miejsce stali i znowu Ankh–morporski dolar jest walutą popularną. Jutro… być może, bronią będą tylko słowa. Liczne słowa, szybkie słowa, ostatnie słowa. Proszę spojrzeć przez okno. I powiedzieć, co pan widzi.

— Mgłę — odparł najwyższy kapłan.

Vetinari westchnął. Czasami pogoda zupełnie nie miała wyczucia konwencji narracyjnej.

— Gdyby dzień był słoneczny — rzekł ostrym tonem — widziałby pan wielką wieżę semaforową na drugim brzegu rzeki. Słowa płynące tam i z powrotem ze wszystkich zakątków kontynentu. Nie tak dawno potrzebny był prawie miesiąc, żeby wymienić listy z naszym ambasadorem w Genoi. Teraz mogę dostać odpowiedź już jutro. Pewne sprawy stały się łatwiejsze, ale w innym sensie uczyniło je to trudniejszymi. Musimy zmienić sposób naszego myślenia. Słyszał pan o s–komercji?

— Oczywiście. Statki kupieckie zawsze…

— Chodzi mi o to, że dzisiaj może pan wysłać sekara aż do Genoi i zamówić… funt krewetek, jeśli pan zechce. Czy to nie oszałamiające?

— Będą bardzo drogie, kiedy tu dotrą, wasza lordowska mość.

— Oczywiście to był tylko przykład. Ale teraz proszę pomyśleć o krewetkach jako nagromadzeniu informacji. — Vetinariemu błyszczały oczy.

— Sugeruje pan, że krewetki mogą podróżować semaforowo? — zdziwił się najwyższy kapłan. — Dałoby się chyba przerzucać je od jednej…

— Usiłowałem wskazać fakt, że informacja także jest kupowana i sprzedawana — wyjaśnił Patrycjusz. — Jak również że to, co kiedyś uważano za niemożliwe, jest dzisiaj całkiem łatwo osiągalne. Królowie i władcy przychodzą i odchodzą, pozostawiając po sobie tylko posągi na pustyni, a tymczasem kilku majsterkujących w warsztacie młodych ludzi może zmienić sposób działania świata.

Podszedł do stołu, na którym leżała rozłożona mapa Dysku. Była to mapa człowieka pracy — innymi słowy mapa kogoś, kto często musiał się nią posługiwać. Pokrywały ją notki i znaczniki.

— Zawsze wypatrywaliśmy najeźdźców za murami miasta. Zawsze uważaliśmy, że zmiana przychodzi z zewnątrz, zwykle na ostrzu miecza. A potem nagle rozglądamy się i odkrywamy, że przyszła z wnętrza głowy kogoś, kogo byśmy nawet nie zauważyli na ulicy. W pewnych okolicznościach wygodne może się okazać usunięcie tej głowy, ale ostatnio jest ich tak wiele…

Wskazał roboczą mapę.

— Tysiąc lat temu sądziliśmy, że świat jest misą. Pięćset lat temu myśleliśmy, że jest kulą. Dzisiaj wiemy, że jest płaski, okrągły i płynie przez kosmos na grzbiecie żółwia. — Odwrócił się i rzucił najwyższemu kapłanowi kolejny uśmiech. — Nie zastanawia się pan, jaki kształt okaże

się prawdziwy jutro?

Ale do rodzinnych cech Ridcullych należało to, że nie rezygnuje się z tematu, dopóki nie wykorzysta się wszystkich argumentów.

— Poza tym one mają takie małe szczypce, wie pan, i pewnie by się czepiały…

— Co takiego?

— Krewetki. Czepiałyby się…

— Trochę zbyt dosłownie traktuje pan moje wypowiedzi — przerwał mu ostro Vetinari.

— Och…

— Próbowałem jedynie wyjaśnić, że jeśli nie chwycimy bieżących wydarzeń za kołnierz, one złapią nas za gardło.

— To doprowadzi do kłopotów, panie — rzekł Ridcully. Przekonał się, że jest to ogólny komentarz pasujący do prawie każdej dyskusji. Poza tym tak często był prawdziwy… Patrycjusz westchnął.

— Doświadczenie mówi mi, że niemal wszystko prowadzi do kłopotów. Taka jest natura rzeczy. Jedyne, co możemy zrobić, to maszerować ku nim ze śpiewem na ustach.

Wstał.

— Mimo to złożę osobistą wizytę krasnoludom, o których mowa.

Wyciągnął rękę do dzwonka leżącego na biurku, znieruchomiał, po czym uśmiechnął się po raz kolejny i sięgnął do rury ze skóry i mosiądzu zwisającej na dwóch mosiężnych hakach. Ustnik był w kształcie smoka.

Gwizdnął w nią i powiedział:

— Panie Drumknott… Mój powóz poproszę.

— Czy mi się wydaje… — Ridcully zerknął nieufnie na tę nowo — modną rurę komunikacyjną — …czy rzeczywiście czuć tu jakiś okropny zapach?

Vetinari zajrzał pod biurko.

Pod biurkiem stał kosz. A w koszu coś, co na pierwszy rzut oka — a już na pewno na pierwsze pociągnięcie nosa — sprawiało wrażenie zdechłego psa. Cztery łapy sterczały wyciągnięte w powietrzu. Jedynie z rzadka lekkie puszczanie wiatrów sugerowało, że w psie trwa jakiś życiowy proces.

— To jego zęby — wyjaśnił lodowato Patrycjusz.

Pies Wuffles odwrócił się na brzuch i popatrzył na kapłana jednym wrogim czarnym okiem.

— Dobrze wygląda jak na psa w jego wieku — oświadczył Hughnon w rozpaczliwej próbie wspięcia się na opadającą nagle linę.

— Ileż to lat już sobie liczy?

— Szesnaście — odparł Patrycjusz. — W psich latach to ponad setka.

Wuffles z wysiłkiem podniósł się do pozycji siedzącej i warknął, uwalniając z kosza kłąb stęchłego fetoru.

— Bardzo zdrowy. — Hughnon starał się nie oddychać. — Jak na swój wiek, naturalnie. Przypuszczam, że do zapachu można się przyzwyczaić.

— Jakiego zapachu? — spytał Vetinari.

— Aha. Tak. Rzeczywiście.

* * *

Kiedy powóz lorda Vetinariego toczył się po topniejącej mazi w stronę ulicy Błyskotnej, jego pasażera mogłaby zaskoczyć wiadomość, że ktoś bardzo do niego podobny tkwi w pobliskiej piwnicy, przykuty łańcuchem do ściany.

Łańcuch był całkiem długi i umożliwiał swobodny dostęp do krzesła i stołu oraz do dziury w podłodze.

W tej chwili osobnik ów siedział przy stole. Po drugiej stronie miejsce zajął pan Szpila, pan Tulipan zaś opierał się groźnie o ścianę. Każda doświadczona osoba natychmiast by zrozumiała, że tutaj się odbywa zabawa w dobrego glinę i złego glinę, z tą drobną różnicą, że nie było żadnych glin. Był tylko na pozór nieskończony zapas pana Tulipana.

— A więc… Charlie, co na to powiesz? — spytał pan Szpila.

— To chyba nie jest wbrew prawu? — upewnił się człowiek nazwany imieniem „Charlie".

Pan Szpila rozłożył ręce.

— Czym jest prawo. Charlie? To tylko słowa zapisane na papierze. Ale na pewno nie zrobisz nic złego.

Charlie niepewnie skinął głową.'

— Tylko że dziesięć tysięcy dolarów to nie są pieniądze, jakie się dostaje za nierobienie niczego złego — stwierdził. — Nie za powiedzenie paru słów.

— Ten oto pan Tulipan dostał kiedyś jeszcze więcej pieniędzy właśnie za powiedzenie paru

słów, Charlie — uspokoił go pan Szpila.

— Tak jest. Powiedziałem „Dawać tu całą …oną gotówkę, bo załatwię dziewczynę” — wyjaśnił pan Tulipan.

— To było właściwe? — zdziwił się Charlie, który zdaniem pana Szpili miał silnie rozwinięte skłonności samobójcze.

— Tak, absolutnie właściwe w danych okolicznościach.

— No, może… Ale ludzie nieczęsto zarabiają takie pieniądze — niepokoił się samobójczy Charlie.

Bez przerwy zerkał na potężnie zbudowanego pana Tulipana, który w jednej ręce trzymał torbę, a w drugiej łyżkę. Używał tej łyżki, by przenosić drobny biały proszek do nosa, do ust, a raz Charlie mógłby przysiąc, że do ucha.

— Wiesz, jesteś wyjątkowym człowiekiem, Charlie — tłumaczył pan Szpila. — Potem przez bardzo długi czas nie będziesz mógł się pokazywać.

— Tak — potwierdził pan Tulipan w gejzerach białego proszku. W całej piwnicy ostro zapachniało naftaliną.

— No dobrze, ale w takim razie czemu mnie porwaliście? W jednej chwili zamykałem na noc, a w następnej „bang!”. I jeszcze przykuliście mnie do muru.

Pan Szpila postanowił zmienić kurs. Charlie za dużo dyskutował jak na kogoś przebywającego w tym samym pomieszczeniu co pan Tulipan, zwłaszcza pan Tulipan, który wchłonął już pół torby sproszkowanego środka na mole.

— Nie warto roztrząsać tego, co było, przyjacielu. — Uśmiechnął się do Charliego szeroko i przyjaźnie. — Tu chodzi o interes. Chcemy tylko zająć ci kilka dni, po czym otrzymasz fortunę, a co ważniejsze, całe życie, żeby ją wydawać.

Charlie okazywał się kimś bardzo, naprawdę bardzo głupim.

— A skąd wiecie, że nikomu nie powiem? — upierał się.

Pan Szpila westchnął ciężko.

— Ufamy ci, Charlie.

Charlie prowadził sklep odzieżowy w Pseudopolis. Przecież sklepikarze muszą być sprytni, prawda? Zwykle są ostrzy jak noże, gdy chodzi o wyliczenie dokładnej kwoty niewydanej reszty. To tyle, jeśli chodzi o fizjonomikę, myślał pan Szpila. Ten człowiek mógłby ujść za Patrycjusza nawet w dobrym oświetleniu, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa lord Vetinari już

dawno domyśliłby się wszystkich paskudnych ścieżek, jakimi może się potoczyć przyszłość. Tymczasem Charlie wyraźnie sądził, że wyjdzie z tego żywy, a może nawet przechytrzy pana Szpilę. Naprawdę usiłował być przebiegły! Siedział o kilka stóp od pana Tulipana, człowieka, który wciągał do nosa sproszkowany środek na mole, i próbował ich wywieść na manowce. Naprawdę można było go podziwiać.

— W piątek muszę być z powrotem — oznajmił Charlie. — Do piątku wszystko się skończy, prawda?

* * *

Szopa, którą wynajmowały obecnie krasnoludy, we wcześniejszych etapach swego rozchwianego życia była już kuźnią, pralnią i tuzinem innych przedsiębiorstw. Ostatnio służyła jako fabryka koni na biegunach, produkowanych przez kogoś, kto wierzył, że coś będzie Następnym Wielkim Przebojem, gdy już tylko dzień dzielił jego pomysł od stania się Ostatnią Wielką Porażką. Stosy niedokończonych koni — których panu Cheese nie udało się sprzedać, by odzyskać zaległy czynsz — aż po blaszany dach zasłaniały jedną ze ścian. Wisiała tam półka pełna zardzewiałych puszek z farbą i kamieniejących w słojach pędzli.

Prasa zajmowała środek hali. Pracowało przy niej kilku krasno — ludów. William widywał już prasy — używali ich grawerzy. Ta jednak miała w sobie coś organicznego. Krasnoludy chyba tyle samo czasu poświęcały na jej przebudowę, co na użytkowanie. Pojawiały się dodatkowe wałki, nowe pasy transmisyjne… Prasa rozrastała się z godziny na godzinę.

Dobrogór pracował przed kilkoma zamocowanymi ukośnie skrzynkami, z których każdą podzielono na kilkadziesiąt przegródek.

William przyglądał się, jak krasnolud sięga do małych pudełek pełnych ołowianych liter.

— Dlaczego macie większą przegródkę na E?

— Bo tej litery używamy najczęściej.

— I dlatego jest w samym środku skrzynki?

— Właśnie. E, potem T i A…

— Znaczy, można by się spodziewać, że w środku będzie A.

— My ułożyliśmy E.

— Ale macie więcej N niż U. A U to samogłoska.

— Ludzie częściej używają N, niż mogłoby się wydawać.

Po drugiej stronie hali krótkie krasnoludzie palce Caslonga tańczyły nad jego kompletem skrzynek z literami.

— Można niemal odczytać, nad czym pracuje — zauważył William.

Dobrogór spojrzał. Na moment zmrużył oczy.

— …Zarabiaj… więcej… pieniędzy… w… czassie… wolnym… — powiedział. — Wygląda na to, że wrócił pan Dibbler.

William znowu popatrzył na skrzynki z literami. Oczywiście, pióro także potencjalnie zawierało wszystko, co człowiek nim pisał. To rozumiał. Ale działo się to czysto teoretycznie, w bezpieczny sposób. Tymczasem te matowe szare klocki wydawały się groźne. Nie dziwił się, że budzą u ludzi niepokój. Poskładaj nas odpowiednio, zdawały się mówić, a będziemy, czym tylko zechcesz. Możemy znaczyć wszystko. A już na pewno możemy znaczyć kłopoty.

Zakaz stosowania ruchomej czcionki nie był w ścisłym sensie prawem. Grawerom się nie spodoba, ponieważ w ich opinii świat funkcjonował właśnie tak, jak powinien, i nie ma co narzekać. Lord Vetinari podobno nie lubił druku, ponieważ zbyt wiele słów denerwuje ludzi. Magowie i kapłani z kolei nie lubili druku, ponieważ słowa są ważne.

Wyrzeźbiona stronica jest wyrzeźbioną stronicą, kompletną i wyjątkową. Ale jeśli wziąć ołowiane litery, których poprzednio użyto, by złożyć słowa boga, i ułożyć z nich książkę kucharską, jak to wpłynie na świętą mądrość? A skoro już o tym mowa, jak wpłynie na ciasto? A gdyby wydrukować księgę zaklęć, a potem z tych samych czcionek złożyć podręcznik nawigacji — cóż, wtedy rejs mógłby się skończyć praktycznie wszędzie.

Jakby na dany sygnał — ponieważ historia lubi porządek — William usłyszał turkot hamującego powozu. Kilka chwil później w progu stanął lord Vetinari. Opierał się ciężko na lasce i z zainteresowaniem rozglądał po hali.

— Och… lord de Worde — powiedział zdziwiony. — Nie miałem pojęcia, że jest pan zaangażowany w to przedsięwzięcie…

William zaczerwienił się i podszedł do najwyższego władcy miasta.

— Pan de Worde, jeśli wolno…

— A tak. Oczywiście. W samej rzeczy. — Patrycjusz przebiegł wzrokiem po mrocznej hali, zatrzymał się na chwilę przy stosie obłąkańczo uśmiechniętych koni na biegunach, a potem ocenił zapracowane krasnoludy. — Tak. Naturalnie. Czy pan tym wszystkim kieruje?

— Chyba nikt tym nie kieruje, wasza lordowska mość — odparł William. — Ale pan Dobrogór mówi chyba w imieniu wszystkich.

— Więc jaki konkretnie jest powód pańskiej tu obecności?

— No… — William zawahał się, choć wiedział, że wobec Patrycjusza nigdy nie jest to dobrą taktyką. — Szczerze mówiąc, wasza lordowska mość, mają tu ciepło, a moje biuro jest lodowate i… no, to fascynujące. Proszę posłuchać, wiem, że tak naprawdę…

Patrycjusz skinął głową i uniósł dłoń.

— Może będzie pan tak dobry i poprosi pana Dobrogóra, żeby tu podszedł.

Prowadząc Gunillę ku wysokiej postaci Vetinariego, William starał się szeptem przekazać mu kilka porad.

— Doskonale — rzekł Patrycjusz. — Chciałbym zadać panu jedno czy dwa pytania, jeśli wolno…

Dobrogór kiwnął głową.

— Po pierwsze, czy pan Gardło Sobie Podrzynam Dibbler jest zaangażowany w to przedsięwzięcie i pełni jakąkolwiek funkcję kierowniczą?

— Co? — zdumiał się William. Nie spodziewał się czegoś takiego.

— Oślizły typ, sprzedaje kiełbaski…

— Ach, on. Nie. Tylko krasnoludy.

— Rozumiem… A czy ten budynek został wzniesiony na pęknięciu czasoprzestrzeni?

— Co? — Gunilla nie zrozumiał. Patrycjusz westchnął.

— Gdy ktoś rządzi tym miastem tak długo jak ja, wie już ze smutną pewnością, że kiedy tylko jakaś dobra dusza otwiera nowe przedsięwzięcie, zawsze, z jakąś niesamowitą zdolnością przewidywania, umiejscawia je tam, gdzie wyrządzi najwięcej szkody osnowie rzeczywistości. Kilka lat temu mieliśmy przecież fiasko ruchomych obrazków w Świętym Gaju, prawda? A ta historia Muzyki z Wykopem… Nigdy nie udało się tego do końca wytłumaczyć. Magowie tak często przebijają się do Piekielnych Wymiarów, że równie dobrze mogliby zainstalować obrotowe drzwi. No i chyba nie muszę przypominać, co się stało, kiedy pan Hong postanowił otworzyć swój lokal „Potrójnie Szczęśliwy Traf — Bar Rybny, Dania na Wynos" przy ulicy Dagona w noc zaćmienia księżyca. Tak? Widzicie, panowie, przyjemnie byłoby wiedzieć, że ktoś gdzieś w tym mieście zaangażowany jest w jakieś nieskomplikowane przedsięwzięcie, które nie doprowadzi do potworów z mackami i straszliwych istot wędrujących po ulicach i pożerających

ludzi. A więc…?

— Co? — powtórzył Dobrogór.

— Nie zauważyliśmy żadnych szczelin — zapewnił William.

— Aha… Ale być może, w tym samym miejscu jakiś niezwykły kult odprawiał kiedyś rytuały pradawnych, których sama esencja przesyciła okolicę i które czekają tylko na właściwe okoliczności, by powstać znowu, chodzić po mieście i pożerać ludzi?

— Co? — zapytał znowu Gunilla.

Spojrzał bezradnie na Williama, który mógł jedynie dodać:

— Produkowano tu konie na biegunach.

— Doprawdy? Zawsze uważałem, że jest w takich koniach coś odrobinę złowieszczego — stwierdził Vetinari, choć wyglądał na rozczarowanego. Ale natychmiast poweselał i wskazał duży płaski kamień, na którym układano czcionki. — Aha! — zawołał. — Nieświadomie przeniesiony tu z porośniętych ruin megalitycznego kamiennego kręgu, kamień ten jest bez wątpienia przesiąknięty krwią tysięcy ofiar, które powrócą, by szukać zemsty.

— Mój brat wyciął go w skale specjalnie dla mnie — odparł Gunilla. — I naprawdę nie muszę słuchać takiego gadania, mój panie. Za kogo się pan ma, że przychodzi do mnie i opowiada takie głupoty?

William stanął między nim a Vetinarim w tempie porównywalnym z prędkością grozy.

— Czy mógłbym z panem Dobrogórem zamienić kilka słów na osobności i wyjaśnić mu jeden czy dwa fakty? — zapytał nerwowo.

Jasny, uprzejmy uśmiech Patrycjusza nawet nie drgnął, kiedy William odprowadzał krasnoluda do kąta.

— Doskonały pomysł — przyznał lord Vetinari. — Z pewnością później panu za to podziękuje.

Stał nieruchomo wsparty o laskę i przyglądał się prasie z wyrazem dobrodusznego zaciekawienia. Tymczasem na boku William de Worde szkicował Gunilli polityczne uwarunkowania Ankh–Morpork, zwłaszcza te związane z nagłymi zgonami. Tłumaczeniu towarzyszyły wymowne gesty.

Po trzydziestu sekundach wykładu Dobrogór wrócił i stanął wyprostowany przed Patrycjuszem. Wsunął kciuki za pas.

— Zawsze mówię szczerze — oświadczył. — Zawsze mówiłem i zawsze będę…

— A co nazywasz szpadlem? — zainteresował się Vetinari.

— Nigdy nie używamy szpadli — oburzył się krasnolud. — Szpadle są dla farmerów. Ale szuflę zawsze będę nazywał szuflą, ot co.

— Tak, tak właśnie myślałem.

— Młody William twierdzi, że jest pan bezlitosnym despotą, który nie lubi druku. Ale ja uważam, że jest pan sprawiedliwym człowiekiem i nie będzie pan przeszkadzał uczciwemu krasnoludowi, który chce tylko zarobić na życie. Mam rację?

Uśmiech pozostał niewzruszony na swoim miejscu.

— Panie de Worde, jeśli można na chwilę…

Lord Vetinari objął go przyjaźnie za ramię i odszedł kawałek od obserwujących rozmowę krasnoludów.

— Powiedziałem tylko, że niektórzy uważają… — zaczął William. Patrycjusz machnął lekceważąco ręką.

— Drogi panie, myślę, że chyba mógłbym dać się przekonać, wbrew własnemu doświadczeniu, że mamy tu do czynienia z niewielkim przedsięwzięciem, które niewykluczone, że będzie się rozwijać i nie zapełni moich ulic niewygodnym okultystycznym śmieciem. Trudno sobie wyobrazić coś takiego w Ankh–Morpork, ale jestem skłonny uznać taką możliwość. A tak się składa, że odnoszę wrażenie, iż kwestię druku z pewną ostrożnością należałoby na nowo rozważyć.

— Naprawdę?

— Tak. Mam więc ochotę zezwolić pańskim przyjaciołom na realizację ich kaprysu.

— Właściwie to nie są moi…

— Oczywiście muszę dodać, że w razie jakichkolwiek problemów mackowatej natury pan będzie za nie osobiście odpowiedzialny.

— Ja? Ale przecież…

— Hm… Sądzi pan, że jestem niesprawiedliwy? Może nawet bezlitosny i despotyczny?

— No więc, tego…

— Pomijając wszystko inne, krasnoludy są ciężko pracującą i wartościową grupą etniczną naszego miasta — oświadczył Patrycjusz. — Ogólnie, chciałbym uniknąć trudności na tym poziomie, zwłaszcza wobec nieustabilizowanej sytuacji w Überwaldzie i wobec całej kwestii Muntabu.

— Gdzie leży Muntab? — zainteresował się William.

— No właśnie. A przy okazji, jak się czuje lord de Worde? Powinien pan częściej do niego pisywać.

William milczał.

— Zawsze uważałem, że to smutne, kiedy rodziny oddalają się od siebie. Zbyt wiele jest na świecie baraniego uporu i niechęci. — Vetinari przyjaźnie klepnął go po ramieniu. — Na pewno zadba pan o to, żeby ta drukarska działalność pozostała w granicach przyrodzoności, samowitości i odgadnioności. Czy wyrażam się jasno?

— Ale przecież nie kontroluję…

— Hmm?

— Tak, wasza lordowska mość — rzekł posłusznie William.

— Dobrze. Doskonale. — Patrycjusz wyprostował się, odwrócił i uśmiechnął promiennie do krasnoludów. — Załatwione — powiedział. — Coś takiego! Mnóstwo małych literek złożonych razem. Możliwe, że to idea, której czas właśnie nadszedł. Niewykluczone, że nawet ja sam od czasu do czasu będę miał dla was jakieś zlecenie.

— Specjalne stawki dla zamówień rządowych — mruknął krasnolud.

— Och, nawet bym nie pomyślał, by płacić mniej od innych klientów — zapewnił Patrycjusz.

— Nie miałem zamiaru brać mniej niż…

— No cóż, z prawdziwą radością gościliśmy tu waszą lordowską mość — oświadczył stanowczo William, sterując Vetinariego w stronę drzwi. — I niecierpliwie oczekujemy na zaszczyt pracy dla pana.

— Jest pan całkiem pewien, że pan Dibbler nie jest w to zaangażowany?

— Wydaje mi się, że drukuje tu jakieś materiały, ale to wszystko.

— Zadziwiające. Zadziwiające — stwierdził lord Vetinari, wsiadając do powozu. — Mam nadzieję, że się nie rozchorował.

Dwie postacie obserwowały jego wyjazd z dachu naprzeciwko.

— …! — powiedziała bardzo cicho jedna z nich.

— Chciał pan zaprezentować jakąś myśl, panie Tulipanie? — spytała druga.

— To jest ten człowiek, który rządzi miastem?

— Tak.

— No to gdzie są jego …eni ochroniarze?

— Gdybyśmy chcieli załatwić go tutaj i teraz, jak użyteczna byłaby, powiedzmy, czwórka gwardzistów?

— Jak …ony czekoladowy czajnik, panie Szpilo.

— No właśnie.

— Ale mógłbym go stąd rozwalić …oną cegłą!

— Jak rozumiem, istnieją liczne organizacje, które mają w tej kwestii Stanowcze Poglądy, panie Tulipanie. Ludzie mówią, że ten śmietnik znakomicie się rozwija. Kiedy wszystko idzie dobrze, człowiek na szczycie ma wielu przyjaciół. Wkrótce skończyłyby się panu cegły.

Pan Tulipan patrzył za odjeżdżającym powozem.

— Słyszałem, że on właściwie nic nie robi — poskarżył się.

— Owszem — zgodził się gładko pan Szpila. — To w polityce najtrudniej wykonać jak należy.

Pan Tulipan i pan Szpila wnosili do swojej spółki różne umiejętności. W tej chwili pan Szpila wnosił polityczne doświadczenie. Pan Tulipan szanował je, nawet jeśli nie rozumiał. Zadowolił się cichym mruknięciem:

— Łatwiej by było zwyczajnie rąbnąć …onego drania.

— Och, gdybyż ten …ony świat był taki prosty — westchnął pan Szpila. — I niech pan odstawi ten honk, co? To jest towar dla trolli, gorszy niż slab. Dodają do niego tłuczonego szkła.

— To chemia — odparł posępnie pan Tulipan.

Pan Szpila westchnął ponownie.

— Może spróbuję od nowa — zaproponował. — Niech pan uważnie słucha. Prochy to chemia, ale… i zwłaszcza na tę część proszę zwrócić uwagę… chemia to niekoniecznie prochy. Pamięta pan kłopoty z węglanem wapnia? Kiedy zapłacił pan temu człowiekowi pięć dolarów?

— Dobrze się potem czułem — burknął pan Tulipan.

— Po węglanie wapnia? Nawet dla pana to przecież… Niech pan posłucha, przecież wciągnął pan nosem tyle kredy, że ktoś mógłby pewnie obciąć panu głowę i szyją pisać na tablicy.

To najpoważniejszy kłopot z panem Tulipanem, myślał pan Szpila, kiedy schodzili powoli na dół. Nie chodzi o to, że był uzależniony od narkotyków. Chciał być uzależniony od narkotyków. A na razie był uzależniony od głupoty, która włączała się, kiedy natrafił na cokolwiek sprzedawanego w małych torebeczkach. W rezultacie pan Tulipan szukał drogi do raju w mące, soli, proszku do pieczenia i kanapkach z marynowaną wołowiną. Na ulicy, gdzie podejrzani

ludzie handlowali clangiem, slipem, chopem, rhino, skunksem, triplinem, floatem, honkiem, podwójnym honkiem, gongerem i slackiem, pan Tulipan zawsze bezbłędnie potrafił dotrzeć do kogoś, kto sprzedawał proszek curry w cenie — w przeliczeniu — po sześćset dolarów za funt. To było takie… krępujące.

Obecnie eksperymentował z całą kolekcją chemikaliów rekreacyjnych, dostępnych dla ankhmorporskiej populacji trolli, ponieważ handlując z trollami, miał pewną szansę przechytrzenia kogokolwiek. W teorii slab i honk nie powinny mieć żadnego wpływu na ludzki mózg, może poza rozpuszczaniem go. Pan Tulipan jednak się nie poddawał. Próbował już raz normalności i wcale mu się nie podobała.

Pan Szpila westchnął po raz kolejny.

— Chodźmy — powiedział. — Trzeba nakarmić ćwoka.

W Ankh–Morpork bardzo trudno obserwować, nie będąc obserwowanym. Tak więc dwaj ukradkowi obserwatorzy rzeczywiście znajdowali się pod czujną obserwacją.

Obserwował ich nieduży pies, wielokolorowy, choć w większości brunatnoszary. Od czasu do czasu drapał się z dźwiękiem, jakby ktoś próbował ogolić drucianą szczotkę.

Na szyi miał kawałek sznurka. Umocowany był do innego kawałka sznurka, a raczej do dłuższego sznurka złożonego z niestarannie powiązanych kawałków.

Sznurek ten trzymał w dłoni jakiś człowiek. Tak w każdym razie można było wnioskować z faktu, że sznurek znikał w tej samej kieszeni brudnego płaszcza co rękaw, który zapewne miał wewnątrz rękę, a zatem teoretycznie również dłoń na jej końcu.

To był dziwny płaszcz. Sięgał od chodnika niemal po rondo kapelusza, mającego kształt podobny do głowy cukru. W miejscu styku pojawiała się sugestia siwych włosów. Druga ręka wsunęła się w podejrzane głębie kieszeni i wyjęła zimną kiełbaskę.

— Dwóch ludzi szpieguje Patrycjusza — stwierdził pies. — Fardzo ciekawe.

— Niech ich demoniszcze — odparł człowiek i przełamał kiełbaskę na dwie demokratyczne połowy.

* * *

William napisał krótki akapit o Patrycjuszu Zaglądającym Pod Kubeł i przejrzał swój notes.

Właściwie to zadziwiające. W jeden dzień zapisał nie mniej niż dwanaście wiadomości do

swojego listu z nowinami. Trudno uwierzyć, co skłonni są powiedzieć ludzie, kiedy ich zapytać.

Ktoś ukradł złote kły z posągu Offlera, boga krokodyla. Za wyjawienie mu tego William obiecał sierżantowi Colonowi drinka, ale i tak w pewnym sensie zapłaci} już zaliczkę, dodając do notatki zdanie: „Straż prowadzi Pościg za Złoczyńcą i jest pewna Schwytania w szybkim Czasie".

On sam nie był o tym do końca przekonany, ale sierżant Colon wyglądał na całkiem szczerego, kiedy mu to mówił.

Natura prawdy zawsze Williama niepokoiła. Został wychowany tak, by zawsze ją mówić, czy też, dokładniej, „przyznawać się", a pewne przyzwyczajenia bardzo trudno przełamać, jeśli zostały wbite dostatecznie mocno. Lord de Worde skłaniał się do wiary w stare przysłowie, że jak się nagnie gałązkę, takie wyrośnie drzewo, a William nie należał do gałązek szczególnie giętkich. Lord de Worde nie był człowiekiem stosującym przemoc — on tylko takich zatrudniał. Lord de Worde, o ile William sobie przypominał, w ogóle nie przejawiał wielkiego entuzjazmu do czegokolwiek, co wiązało się z dotykaniem innych ludzi.

W każdym razie William zawsze był przekonany, że nie wychodzi mu wymyślanie czegokolwiek. Wszystko, co nie było prawdą, po prostu się rozsypywało. Nawet drobne białe kłamstwa typu „Na pewno zapłacę przed końcem tygodnia" zawsze prowadziły do porażki. Takie „opowiadanie historyjek" w kompendium de Worde'a stanowiło grzech gorszy od kłamstwa;' była to bowiem próba sprawienia, by kłamstwo brzmiało ciekawie.

Dlatego też William de Worde mówił prawdę — w odruchu kosmicznej samoobrony. Przekonał się, że nawet trudna prawda nie jest aż tak trudna jak łatwe kłamstwo.

Pod Załatanym Bębnem wybuchła niezła bijatyka. William był dosyć zadowolony z notki: „# Po czym Brezock Barbarzyńca podniósł stół i zadał cios Moltinowi Łapaczowi, który z kolei pochwycił Kandelabr i zakołysał się na nim, krzycząc równocześnie «A masz, ty B*k*rcie, którym jesteś!!!», kiedy to wybuchł ogólny chaos i 5 do 6 osób odniosło obrażenia".

Zaniósł to wszystko Pod Kubeł.

Gunilla przeczytał z zaciekawieniem. Wydawało się, że krasnoludy potrzebują bardzo krótkiego czasu, by złożyć drukiem jego list.

I to dziwne, ale wieści…

…kiedy już były wydrukowane, ze wszystkimi literami tak równymi i regularnymi…

…wydawały się bardziej prawdziwe.

Boddony, który był chyba w drukarni zastępcą szefa, spod zmrużonych powiek patrzył nad ramieniem Dobrogóra na kolumny druku.

— Hmm — powiedział.

— Co o tym myślisz? — spytał William.

— Jakieś takie… szare — odparł krasnolud. — Cały ten druk naraz. Wygląda jak w książce.

— To chyba dobrze, prawda? — upewnił się William.

To, że coś wygląda jak książka, wydawało mu się słuszne.

— Może chciałbyś, żeby to jakoś bardziej porozsuwać? — zaproponował Gunilla.

William wpatrywał się w druk. I nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Zdawało się, że zrodził się z samej stronicy.

— A może — powiedział — zamiast tych „#" damy krótki tytuł każdej wiadomości?

Sięgnął po skrawek papieru i nabazgrał: „5/6 Rannych podczas Bójki w Tawernie".

Boddony przeczytał to z poważną miną.

— Tak — zgodził się w końcu. — Wygląda… odpowiednio.

Przesunął papier po blacie.

— Jak nazywasz tę kartkę z nowinami? — zapytał.

— Nie nazywam — odparł William.

— Jakoś trzeba ją nazwać. Co wpisujesz u góry?

— Na ogół coś w rodzaju „Do szanownego lorda…".

Boddony pokręcił głową.

— Tak nie można — uznał. — Potrzebne jest coś trochę bardziej ogólnego. Bardziej chwytliwego.

— A może „Plusy Ankh–Morpork"? — zaproponował William. — Przykro mi, ale nie jestem dobry w nazwach. Zamiast tych podwójnych plusów, które zastąpiliśmy tytułami…

Gunilla wyjął z fartucha niedużą ramkę i wybrał kilka liter ze skrzynki na stole. Skręcił je razem, posmarował tuszem i przewinął kartkę papieru.

William przeczytał: „Pulsy Ankh–Morpork".

— Trochę pomieszałem — wymruczał Gunilla. — Nie uważałem.

Sięgnął po czcionki. William go powstrzymał.

— Sam nie wiem — powiedział. — Hm… Zostaw tak, jak jest… Tylko usuń to „y".

— Załatwione — stwierdził Gunilla. — Pasuje ci, chłopcze? Ile chcesz kopii?

— No… Dwadzieścia? Trzydzieści?

— A może ze dwie setki? — Gunilla skinął na krasnoludy, które wzięły się do pracy. — Na mniej nie warto uruchamiać prasy.

— O bogowie! Nie wyobrażam sobie, żeby w mieście znalazło się tylu ludzi skłonnych płacić po pięć dolarów!

— No dobrze. To bierz po pół dolara. Będzie z tego pięćdziesiąt dolarów dla nas i tyle samo dla ciebie.

— Oj… naprawdę? — William patrzył na rozpromienionego krasnoluda. — Ale przecież muszę je jakoś sprzedać. To nie ciasteczka w sklepie. Ani nie… — Pociągnął nosem. Oczy zaczęły mu łzawić. — Ojej… Będziemy mieli kolejnego gościa. Znam ten zapach.

— Jaki zapach? — zdziwił się krasnolud.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

Trzeba to przyznać w kwestii Zapachu Paskudnego Starego Rona, odoru tak intensywnego, że zyskał własną osobowość i w pełni uzasadniał użycie wielkiej litery: po wstępnym szoku organy węchowe rezygnowały i zamykały się, tak samo niezdolne do zrozumienia jego istoty, jak ostryga nie jest w stanie zrozumieć oceanu. Po kilku minutach w jego obecności ludziom wyciekała woskowina z uszu, a włosy zaczynały bieleć.

Zapach rozwinął się do tego stopnia, że prowadził obecnie na wpół niezależne życie, często sam bywał w teatrze albo czytywał tomiki poezji. Ron nie dorównywał klasą swemu Zapachowi.

Paskudny Stary Ron wbijał ręce w kieszenie, ale z jednej z nich opadał kawałek sznurka, a raczej liczne kawałki sznurka powiązane w jeden. Drugi koniec umocowany był do małego psa szarawej proweniencji, możliwe, że teriera. Pies utykał, a do tego poruszał się tak jakby ukośnie, jak gdyby próbował wkręcić się do świata. Chodził jak pies, który już bardzo dawno temu odkrył, że życie zawiera więcej ciśniętych butów niż porośniętych mięsem kości. Jak pies w każdej chwili gotowy do ucieczki.

Popatrzył zaropiałymi oczami na Williama i powiedział:

— Szczek.

William odniósł wrażenie, że powinien bronić ludzkości.

— Przepraszam za ten zapach — zaczął. Po czym przerwał i przyjrzał się psu.

— O jakim zapachu ciągle mówisz? — zdziwił się Gunilla. Nity na jego hełmie zaczynały pokrywać się rdzą.

— On… tego… on należy do… pana… no, Rona — wyjaśnił William, rzucając psu nieufne spojrzenie. — Ludzie mówią, że to skutek gruczołów.

Był pewien, że widział już kiedyś tego psa. Zawsze znajdował się tak jakby w kącie obrazu — spacerował ulicą albo po prostu siedział na rogu i patrzył, jak świat się przed nim przesuwa.

— Czego on chce? — zainteresował się Gunilla. — Myślisz, że zamierza zamówić u nas druk czegoś?

— Nie wydaje mi się — stwierdził William. — On jest kimś w rodzaju żebraka. Tyle że nie chcą go już w Gildii Żebraków.

— Nic nie mówi…

— No, on zwykle stoi w miejscu, dopóki ludzie nie dadzą mu czegoś, żeby sobie poszedł. Hm… słyszałeś pewnie o zwyczaju przyjęcia powitalnego, kiedy to różni sąsiedzi i dostawcy witają nowych mieszkańców?

— Owszem.

— No więc to jest ciemna strona tego zwyczaju.

Paskudny Stary Ron kiwnął głową i wyciągnął rękę.

— Jakoś, panie Prasa. I nie ma co się podlizywać, prostaki, mówiłem im, nie rugam aligantów, demoniszcze. Tysiącletnia wskazówka i krewetki. Licho.

— Hau.

William znów popatrzył na psa.

— Wark — powiedział zwierzak.

Gunilla poskrobał się w coś ukrytego w gęstwinie brody. — Jedną cechę tego miasta zdążyłem już zauważyć — rzekł. — Ludzie kupią tu niemal wszystko od człowieka na ulicy.

Sięgnął po plik świeżych kartek, jeszcze wilgotnych od tuszu.

— Rozumiesz mnie? — upewnił się.

— Demoniszcze.

Gunilla szturchnął Williama pod żebro.

— Co to znaczy? Tak czy nie?

— Prawdopodobnie tak.

— Dobra. No więc patrz tutaj. Jeśli sprzedasz te kartki po, hm, po dwadzieścia pensów sztuka, możesz zatrzymać…

— Zaraz! Nie możemy sprzedawać aż tak tanio!

— Dlaczego nie?

— Dlaczego? Bo… bo… bo wtedy każdy będzie mógł to przeczytać. Dlatego.

— I dobrze, bo to znaczy, że każdy będzie mógł zapłacić dwadzieścia pensów — odparł spokojnie Gunilla. — Biednych ludzi jest o wiele więcej niż bogatych i o wiele łatwiej wyciągnąć od nich pieniądze. — Wykrzywił się do Paskudnego Starego Rona. — Może cię zdziwi pytanie — rzekł — ale czy masz jakichś przyjaciół?

— Mówiłem im! Mówiłem! Niech ich demoniszcze!

— Zapewne tak — wyjaśnił William. — Trzyma się z grupą, hm… nieszczęśników, którzy mieszkają pod którymś z mostów. Właściwie nie tyle się trzyma, ile raczej zsuwa.

— No więc tak — powiedział Gunilla, machając Ronowi egzemplarzem „Pulsu". — Przekaż im, że jeśli sprzedadzą to ludziom po dwadzieścia pensów, mogą sobie zatrzymać po jednym błyszczącym pensie.

— Tak? A ty możesz sobie wsadzić tego błyszczącego pensa tam, gdzie słońce nie dochodzi — odparł Ron.

— Aha, czyli nie… — zaczął Gunilla. William położył mu dłoń na ramieniu.

— Przepraszam, jedną chwilę… Co takiego powiedziałeś, Ron?

— Demoniszcze — oświadczył Paskudny Stary Ron. Wcześniejsze zdanie brzmiało jak wypowiedziane głosem Rona i wydawało się dochodzić mniej więcej z okolic twarzy Rona, tyle że prezentowało spójność bardzo dla niego nietypową.

— Chcesz więcej niż pensa? — zapytał ostrożnie William.

— Robota jest warta pięć pensów od sztuki — odparł Ron. — Mniej więcej.

William popatrzył w dół, ku małemu szaremu psu. A pies odpowiedział mu przyjaznym spojrzeniem.

— Hau — powiedział. William znów podniósł wzrok.

— Dobrze się czujesz, Paskudny Stary Ronię?

— Gutla giwa, gutla giwa — odparł Ron tajemniczo.

— No dobrze… Dwa pensy — zaproponował Gunilla.

— Cztery — zdawał się mówić Ron. — Ale skończmy z tymi targami. Dolara za trzydzieści?

— Zgoda.

Dobrogór splunął na dłoń i wyciągnąłby ją, by przypieczętować umowę, gdyby William nie złapał go nerwowo za przegub.

— Nie…

— O co chodzi?

William westchnął.

— Czy cierpisz na jakąś straszliwą i oszpecającą chorobę?

— Nie!

— A chciałbyś?

— Och… — Gunilla opuścił rękę. — Dobrze. Powiedz swoim kumplom, żeby przyszli tu jak najszybciej. Zgoda?

Zwrócił się do Williama.

— Można im wierzyć?

— No… w pewnym sensie. Chyba nie byłoby dobrym pomysłem zostawianie gdzieś na wierzchu rozpuszczalników do farb.

Na zewnątrz Paskudny Stary Ron i jego pies wyszli. Co zaskakujące, na ulicy rozmowa wciąż się toczyła, mimo że technicznie uczestniczyła w niej tylko jedna osoba.

— Widzisz? Mówiłem ci. Najlepiej, jeśli zostawisz mi gadanie, jasne?

— Demoniszcze.

— Właśnie. Mnie się trzymaj, a raczej nie zginiesz.

— Demoniszcze.

— Doprawdy? Cóż, to chyba musi mi wystarczyć. Szczek, szczek.

* * *

Dwunastu ludzi mieszkało pod Bezprawnym Mostem w luksusach. Nietrudno osiągnąć luksus, kiedy określa się go jako coś do jedzenia co najmniej raz dziennie, a zwłaszcza gdy ma się tak szeroką definicję „czegoś do jedzenia". Formalnie byli żebrakami, choć rzadko kiedy musieli żebrać. Można ich uznać za złodziei, chociaż brali tylko to, co zostało wyrzucone, zwykle przez ludzi, którzy chcieli jak najszybciej uniknąć ich obecności.

Obcy sądzili, że przywódcą grupy jest Kaszlak Henry, który byłby mistrzem miasta w kaszlu, gdyby ktokolwiek inny stanął do walki o ten tytuł. Jednak grupa rządziła się zasadami prawdziwej demokracji tych, co nie mają głosu. Był wśród nich Arnold Boczny, któremu brak nóg dawał dodatkową przewagę w każdej barowej bójce, gdzie człowiek o mocnych zębach na

wysokości krocza naprawdę robił, co chciał. A gdyby nie kaczka, której obecności na głowie konsekwentnie zaprzeczał, Kaczkoman byłby uznawany za wytwornie się wyrażającego i wykształconego człowieka, równie zdrowego na umyśle jak jego sąsiad. Pech chciał, że tym sąsiadem był Paskudny Stary Ron.

Pozostałych osiem osób było Ogólnie Andrewsem.

Ogólnie Andrews był jednym człowiekiem posiadającym znacznie więcej niż jeden umysł. W stanie spoczynku, gdy nie musiał się mierzyć z żadnym konkretnym problemem, oznaką tego były jedynie dostrzegalne w tle skurcze i migotania, gdy jego twarz przechodziła losowo pod kontrolę na przemian Jossi, lady Hermiony, małego Sidneya, pana Viddle'a, Kędzierzawego, Sędziego i Druciarza. Był również Burkę, ale zespół widział go tylko raz i więcej nie chciał, zatem pozostałe siedem osobowości trzymało go bezpiecznie zagrzebanego. Nikt w ciele nie reagowakna nazwisko Andrews. W opinii Kaczkomana, który chyba najlepiej z całego zespołu radził sobie z myśleniem prostoliniowym, Andrews był zapewne jakąś niewinną i gościnną osobą o dyspozycji metapsychicznej, która została zwyczajnie przygnieciona przez dusze kolonizujące.

Tylko w łagodnym towarzystwie pod mostem taka zbiorowa osobowość jak Andrews mogła znaleźć przyjazną niszę. Przyjęli go, a raczej ich, do swego bractwa wokół dymiącego ogniska. Dobrze tu pasował ktoś, kto nie był tą samą osobą przez czas dłuższy niż pięć minut.

Inną cechą jednoczącą cały zespół — choć prawdopodobnie nic nie mogłoby w pełni zjednoczyć Ogólnie Andrewsa — była gotowość do wiary, że psy potrafią mówić. Grupa zebrana wokół tlącego się ognia wierzyła, że słyszała, jak mówią… na przykład ściany. W porównaniu z nimi pies nie był trudny. Poza tym szanowali fakt, że Gaspode był z nich wszystkich najbystrzejszy i nigdy nie pił niczego, co korodowało pojemnik.

— Sprófujemy jeszcze raz, dofrze? — zaproponował. — Jeśli sprzedacie trzydzieści tych rzeczy, dostaniecie dolara. Całego dolara. Jasne?

— Demoniszcze.

— Kwak.

— Haaargghhh… gak!

— Ile to będzie w przeliczeniu na stare buty?

Gaspode westchnął.

— Arnoldzie, możesz użyć tych pieniędzy, żefy kupić tyle starych…

Od strony Ogólnie Andrewsa rozległo się burczenie i reszta zespołu znieruchomiała. Kiedy

Ogólnie Andrews milczał przez chwilę, nigdy nie było wiadomo, kim się stanie.

Zawsze istniała możliwość, że pojawi się Burke.

— Czy mogę zadać pytanie? — odezwał się Ogólnie Andrews nieco zachrypłym sopranem.

To lady Hermiona. Uspokoili się. Ona nie sprawiała kłopotów.

— Tak… droga pani? — odpowiedział Gaspode.

— To chyba nie będzie… praca, prawda?

Samo wymówienie tego słowa przyprawiło resztę zespołu o atak napięcia i oszołomionej paniki.

— Haaaruk… gak!

— Demoniszcze!

— Kwak!

— Nie, nie, nie — zapewnił pospiesznie Gaspode. — To przecież żadna praca. Zwykłe dawanie ludziom jakichś rzeczy i franie pieniędzy? Dla mnie to nie wygląda na pracę.

— Nie będę pracował! — krzyknął Kaszlak Henry. — Jestem społecznie nieprzystosowany w całej dziedzinie robienia czegokolwiek!

— My nie pracujemy — oświadczył Arnold Boczny. — Jesteśmy dżentelmenami le–su–lar.

— Ehem… — chrząknęła lady Hermiona.

— Dżentelmenami i damami le–su–lar — poprawił się elegancko Arnold.

— Zima jest bardzo surowa. Dodatkowe pieniądze by się przydały — zauważył Kaczkoman.

— A po co? — zdziwił się Arnold.

— Za dolara dziennie żylibyśmy jak królowie, Arnoldzie.

— Znaczy jak? Ktoś by nam poucinał głowy?

— Nie, chciałem…

— Ktoś schowałby się w wychodku z rozżarzonym do czerwoności pogrzebaczem i…

— Nie! Chodziło mi o to, że…

— Ktoś by nas utopił w beczce wina?

— Nie, to by było umieranie jak królowie, Arnoldzie.

— Nie jestem pewien, czy znalazłafy się feczka wina tak wielka, żefyś nie zdołał dopić się do wolności — mruknął Gaspode. — Więc co wy na to, panowie? Och, i pani, oczywiście… Czy mam… Czy Ron ma powiedzieć chłopakowi, że damy sofie radę?

— Pewnie.

— W porządku.

— Gawwwark… ptfu!

— Demoniszcze!

Spojrzeli na Ogólnie Andrewsa. Wargi mu się poruszały, twarz dygotała. Po chwili wystawił w górę pięć demokratycznych palców.

— Wniosek przeszedł — oświadczył Gaspode.

* * *

Pan Szpila zapalił cygaro. Palenie było jego jedyną wadą. A przynajmniej jedyną, którą uważał za wadę. Pozostałe to jedynie kwalifikacje zawodowe.

Wady pana Tulipana także nie miały granic, przyznawał się jednak tylko do taniego płynu po goleniu, bo przecież człowiek musi coś pić. Prochy się nie liczyły, choćby dlatego że tylko raz udało mu się zdobyć takie prawdziwe. Obrabowali wtedy końskiego doktora, a pan Tulipan połknął dwie wielkie pigułki, od których wszystkie żyły pod skórą mu zgrubiały i sterczały jak fioletowe węże ogrodowe.

Nie byli bandytami. A przynajmniej nie myśleli o sobie jak o bandytach. Nie byli też złodziejami. A przynajmniej nigdy nie myśleli o sobie jak o złodziejach. Nie myśleli też o sobie jak o skrytobójcach. Skrytobójcy są eleganccy i mają zasady. Szpila i Tulipan — Nowa Firma, jak chętnie określał ich pan Szpila — nie przestrzegali żadnych zasad.

Uważali się za pośredników. Byli ludźmi, którzy bywali w różnych miejscach, którzy sprawiali, że działy się różne rzeczy.

Trzeba tu zaznaczyć, że kiedy mówi się „myśleli", oznacza to „pan Szpila myślał". Pan Tulipan używał głowy bardzo często, z odległości około ośmiu cali, ale poza jedną czy dwoma zaskakującymi dziedzinami nie był człowiekiem skłonnym do używania mózgu. Ogólnie biorąc, wielosylabowe przemyślenia pozostawiał panu Szpili.

Pan Szpila z kolei nie radził sobie dobrze z ustawiczną, bezmyślną przemocą i podziwiał fakt, że pan Tulipan miał jej pozornie niewyczerpane rezerwy. Kiedy spotkali się po raz pierwszy i dostrzegli u siebie nawzajem te cechy, które przekształcą ich partnerstwo w coś więcej niż sumę jego części, pan Szpila zauważył, że pan Tulipan nie jest — jak wydawało się reszcie świata — jeszcze jednym wariatem. Pewne negatywne cechy potrafią osiągnąć granice perfekcji

zmieniające samą ich naturę — a pan Tulipan przekształcił wściekłość w formę sztuki.

Nie była to wściekłość na cokolwiek, lecz czysta, platoniczna wściekłość płynąca gdzieś z gadzich głębin duszy, niewysychająca fontanna rozżarzonej urazy. Pan Tulipan wiódł życie na tej cienkiej linii, którą większość ludzi osiąga tuż przed tym, nim poderwie się i zacznie wielokrotnie uderzać kogoś kluczem do śrub. Pan Szpila zastanawiał się czasem, co mu się przydarzyło, co napełniło go taką wściekłością, ale dla pana Tulipana przeszłość była innym krajem — krajem o bardzo silnie strzeżonych granicach. Niekiedy pan Szpila słyszał, jak krzyczy przez sen.

Niełatwo było wynająć pana Tulipana i pana Szpilę. Należało znać odpowiednich ludzi. Albo, żeby wyrazić to bardziej precyzyjnie, należało znać nieodpowiednich ludzi, a by ich poznać, należało bywać w pewnych typach barów i przeżyć, co stanowiło pierwszy test. Nieodpowiedni ludzie, naturalnie, nie znali pana Tulipana i pana Szpili. Ale znali… kogoś. I ten ktoś ogólnie wyrażał bardzo ostrożną opinię, że być może wie, jak się skontaktować z ludźmi typu szpilowatego lub tulipanicznego. Chwilowo nie mógł sobie przypomnieć niczego więcej ze względu na luki w pamięci, spowodowane brakiem pieniędzy. Po otrzymaniu lekarstwa sugerował bardzo ogólnie inny adres, gdzie zainteresowany spotykał w ciemnym kącie jeszcze innego człowieka. Ten z naciskiem twierdził, że nigdy nie słyszał o nikim zwanym Tulipanem ani Szpilą. A także pytał, gdzie klient będzie, powiedzmy, dzisiaj o dziewiątej wieczorem.

Wtedy dopiero następowało spotkanie z panem Tulipanem i panem Szpilą. Wiedzieli już, że klient ma pieniądze, że chce coś załatwić, a jeśli był naprawdę głupi, znali też jego adres.

Dlatego niespodzianką dla Nowej Firmy okazał się fakt, że ostatni klient zgłosił się do nich bezpośrednio. To było niepokojące. Niepokoił również fakt, że był martwy. Trupy nie budziły niepokoju u Nowej Firmy, ale nie lubiła, kiedy się odzywają.

Pan Slant odchrząknął. Pan Szpila zauważył, że uniósł się nad nim obłoczek kurzu. Albowiem pan Slant był zombi.

— Muszę ponownie zaznaczyć, że w tej sprawie jestem tylko pośrednikiem…

— Tak jak my — zauważył pan Tulipan.

Pan Slant zasugerował miną, że nawet za tysiąc lat nie będzie taki jak pan Tulipan, jednak powiedział:

— Istotnie. Moi klienci chcieli, bym znalazł… ekspertów. Znalazłem panów. Przekazałem pewne zapieczętowane instrukcje. Przyjęli panowie zlecenie. Jak rozumiem, w rezultacie podjęli

panowie pewne… działania. Nie wiem, jakie to działania. I konsekwentnie nie będę wiedział, jakie to działania. Moje relacje z panami pozostaną, jak to się mówi, na odległość ramienia. Czy się rozumiemy?

— Co to za …one ramię? — zapytał pan Tulipan. W obecności martwego prawnika robił się nerwowy.

— Widzimy się tylko wtedy, kiedy to konieczne, mówimy tak mało, jak to tylko możliwe.

— Nie cierpię …onych zombi — stwierdził pan Tulipan.

Dziś rano spróbował czegoś, co znalazł w pudle pod zlewem. Jeśli to czyści rury, uznał, to znaczy, że jest chemiczne. Teraz odbierał dziwne przekazy od swoich jelit.

— Z pewnością jest to uczucie odwzajemnione — rzekł pan Slant.

— Rozumiem, co pan mówi — oświadczył pan Szpila. — Mówi pan, że jeśli coś pójdzie źle, to nigdy w życiu…

— Ehem… — kaszlnął pan Slant.

— …pozagrobowym — dodał natychmiast pan Szpila — nas pan nie widział. No dobrze. Gdzie są pieniądze?

— Zgodnie z żądaniem, uzgodniona wcześniej suma zostanie zwiększona o trzydzieści tysięcy dolarów na pokrycie wydatków szczególnych.

— W klejnotach. Nie w gotówce.

— Oczywiście. A moi klienci raczej nie wypisaliby panom czeku. Precjoza zostaną dostarczone jeszcze dzisiaj. Sądzę też, że powinienem wspomnieć o kolejnej kwestii.

Suchymi palcami przerzucił suche dokumenty w suchej aktówce. Po chwili wręczył panu Szpili teczkę.

Pan Szpila przeczytał. Szybko odwrócił kilka stron.

— Może pan to pokazać swojej małpie — rzucił pan Slant.

Pan Szpila zdążył chwycić rękę pana Tulipana, zanim dotarła do głowy zombi. Pan Slant nawet nie drgnął.

— Ma tu historię naszego życia, panie Tulipanie!

— No to co? I tak mogę mu rozwalić ten …ony przyszywany łeb!

— Nie, nie może pan — odparł pan Slant. — Pański kolega wyjaśni dlaczego.

— Ponieważ nasz prawniczy przyjaciel z pewnością wykonał liczne kopie. Prawda, panie Slant? I zapewne ukrył je w najrozmaitszych miejscach, na wypadek gdyby zgi… na wypadek…

— …jakiegoś nieszczęśliwego wydarzenia — dokończył gładko pan Slant. — Brawo. Jak dotąd, panowie, wasza kariera rozwijała się niezwykle interesująco. Jesteście jeszcze dość młodzi. W krótkim czasie dzięki swym talentom doszliście bardzo daleko i zyskaliście dobrą reputację w wybranej profesji. Co prawda nie mam pojęcia, jakie zadanie wykonujecie… najmniejszego pojęcia, co muszę podkreślić z całą mocą… ale nie wątpię, że zaimponujecie nam wszystkim.

— Czy wie o tym kontrakcie w Quirmie? — zapytał pan Tulipan.

— Tak — potwierdził pan Szpila.

— A tym z drucianą siatką, krabami i …onym bankierem?

— Tak.

— A numer ze szczeniaczkami i tym dzieciakiem?

— Teraz już tak — odparł pan Szpila. — Wie prawie wszystko. Bardzo sprytne. Panie Slant, a wie pan, gdzie zakopane są ciała?

— Rozmawiałem z jednym czy dwoma — wyjaśnił pan Slant. — Wydaje się jednak, że nigdy nie popełniliście przestępstwa w granicach Ankh–Morpork. W przeciwnym razie oczywiście bym się z wami nie spotykał.

— Kto powiedział, że nie popełniliśmy …onego przestępstwa w Ankh–Morpork? — zaprotestował pan Tulipan z oburzeniem.

— Jak rozumiem, nigdy wcześniej nie odwiedzali panowie tego miasta.

— I co? Mieliśmy cały …ony dzień!

— Czy ktoś was schwytał?

— Nie.

— W takim razie nie popełniliście przestępstwa. Czy mogę wyrazić nadzieję, że interesy panów w naszym mieście nie wiążą się z żadną działalnością przestępczą?

— Skąd ta myśl? — obruszył się pan Szpila.

— Tutejsza Straż Miejska bywa pod pewnymi względami bardzo uparta. A rozmaite gildie zazdrośnie strzegą swych obszarów zawodowych.

— Bardzo poważamy policjantów — zapewnił pan Szpila. — Żywimy głęboki szacunek dla ich pracy.

— Normalnie kochamy …onych policjantów — dodał pan Tulipan.

— Gdyby odbywał się bal policyjny, jako jedni z pierwszych kupilibyśmy bilety — obiecał

pan Szpila.

— Zwłaszcza gdyby umieszczono je na postumencie albo w eleganckiej gablocie — uzupełnił pan Tulipan. — Gdyż lubimy rzeczy piękne.

— Chciałem tylko się upewnić, że dobrze się nawzajem rozumiemy — rzekł pan Slant i zatrzasnął aktówkę.

Wstał, skinął im głową i sztywnym krokiem wyszedł z pokoju.

— Co za… — zaczął pan Tulipan, ale pan Szpila uniósł palec do warg.

Przeszedł na palcach do drzwi i otworzył je. Prawnika nie było.

— On przecież wie, jaki …ony interes mamy tu załatwić — szepnął rozgorączkowany pan Tulipan. — Więc po co to …one udawanie?

— Ponieważ jest prawnikiem — odparł pan Szpila. — Ładny lokal — dodał odrobinę głośniej niż normalnie.

Pan Tulipan popatrzył wokół.

— E tam — rzucił lekceważąco. — Tak pomyślałem na początku, ale to przecież osiemnastowieczna kopia …onego baroku. Wszystkie proporcje mają zrąbane. Widział pan kolumny w holu? Widział pan? …ony szesnastowieczny Efeb, a do nich …one kwiatony z Drugiej Dynastii Djelibeybiańskiej! Ledwie się powstrzymałem od śmiechu!

— Tak — przyznał pan Szpila. — Jak już wspominałem, pod wieloma względami jest pan człowiekiem zaskakującym.

Pan Tulipan podszedł do zasłoniętego obrazu i odsunął kotarę.

— Niech mnie, to przecież …ony da Quirm — stwierdził. — Widziałem reprodukcję. „Kobieta trzymająca fretkę”. Namalował ją, kiedy wyniósł się z Genoi i był pod wpływem …onego Caravatiego. Proszę spojrzeć na …oną technikę malarską! Widzi pan, jak linia ręki kieruje …ony wzrok na obraz? Proszę popatrzeć na grę świateł w pejzażu, który widać przez to tutaj …one okno! Widzi pan, jak nos fretki zdaje się śledzić człowieka w całym pokoju? To był …ony geniusz, nie ma co. I przyznam się, że gdybym był tu sam, toby mi …one łzy stanęły w oczach.

— Jest bardzo ładny.

— Ładny?! — powtórzył pan Tulipan zrozpaczony prymitywnym gustem kolegi.

Podszedł do posągu przy drzwiach i przyjrzał mu się uważnie. Potem delikatnie przesunął palcami po marmurze.

— Tak myślałem! To …ony Scolpini! Mogę się założyć o wszystko. Ale nigdy nie widziałem tego w katalogach. A oni zostawili tę rzeźbę w …onym pustym domu, gdzie każdy może wejść i ją zwinąć!

— To miejsce ma potężną ochronę. Widział pan znaki na drzwiach.

— Gildie? Banda …onych amatorów. Moglibyśmy przejść przez to miasto jak nóż przez …ony kruchy lód. Amatorzy, kamulce, ozdoby trawnikowe i chodzące trupy… Moglibyśmy rozwalić całe to …one Ankh–Morpork!

Pan Szpila nie odpowiedział. Owszem, wpadł mu do głowy podobny pomysł, jednak — w przeciwieństwie do partnera — nie podążał na ślepo za wszystkim, co wyglądało jak myśl.

Firma rzeczywiście nie działała jeszcze w Ankh–Morpork. Pan Szpila trzymał się z daleka, ponieważ, cóż, było dostatecznie wiele innych miast, a instynkt przetrwania podpowiadał mu, że Wielkie Wahoonie* powinno jeszcze zaczekać. Miał Plan — od dnia, kiedy spotkał pana Tulipana i odkrył, że jego własna pomysłowość połączona z nieustającą wściekłością kolegi gwarantuje udaną karierę. Rozwijali interesy w Genoi, w Pseudopolis, w Quirmie — miastach mniejszych i łatwiejszych do nawigowania niż Ankh–Morpork, chociaż ostatnio się wydawało, że coraz bardziej je przypominają.

Ich sukcesy, jak sobie uświadomił, wynikały z tego, że ludzie wcześniej czy później miękną. Weźmy na przykład trollową Brekcję. Kiedy wytyczono już trasy przerzutowe slabu i honku aż do Überwaldu, kiedy wyeliminowano rywalizujące klany, trolle zmiękły. Tonowie zaczęli się zachowywać jak arystokracja. Wszędzie wyglądało to tak samo — potężne stare gangi i rodziny osiągały stan pewnej równowagi ze społeczeństwem, a ich szefowie obrastali w tłuszcz i zaczynali działać jak wyspecjalizowani biznesmeni. Obcinali fundusze na żołnierzy, a zatrudniali kamerdynerów. Potem, kiedy pojawiały się jakieś kłopoty, szukali mięśni, które potrafią myśleć… Wtedy pojawiała się Nowa Firma, gotowa i chętna.

I wyczekująca.

Pewnego dnia nadejdzie czas nowej generacji, myślał pan Szpila. Tej, która załatwia sprawy po noweftnu, nieobciążona kajdanami dawnych, hamujących rozwój tradycji. Ludzie, którzy się przydarzają. Na przykład pan Tulipan przydarzał się przez cały czas.

---

* Wahoonie to najrzadsze i najbardziej cuchnące warzywo świata, w konsekwencji wysoko cenione przez koneserów (którzy rzadko kiedy cenią coś pospolitego i taniego). Także slangowa nazwa Ankh–Morpork, chociaż miasto nie cuchnie aż tak bardzo.

— Hej, rzuci pan na to …onym okiem?! — zawołał pan Tulipan, odsłaniając kolejny obraz. — Podpisany przez Gogliego, ale to …ona podróbka. Proszę spojrzeć, jak pada tutaj światło… A liście na tym drzewie? Jeśli …ony Gogli to malował, to chyba …oną nogą. Pewnie jakiś jego …ony uczeń.

Kiedy byli w mieście, pan Szpila podążał za panem Tulipanem, który zostawiał ślad z proszku do szorowania i psich tabletek na robaki, przez galerie sztuki. Pan Tulipan upierał się przy tym. Takie wizyty miały wielką wartość edukacyjną, zwłaszcza dla kuratorów.

Pan Tulipan posiadał instynkt sztuki, którego tak mu brakowało przy chemii. Kichając cukrem pudrem i śliniąc się talkiem do stóp, pozwalał się prowadzić do prywatnych galerii, gdzie przekrwionymi oczyma badał podsuwane mu nerwowo tace miniatur z kości słoniowej.

Pan Szpila obserwował w niemym podziwie, jak kolega barwnie i wyczerpująco opisuje różnice między kością słoniową podrabianą w starym stylu — z użyciem kości — i …onym nowym sposobem, jaki wymyśliły krasnoludy, z użyciem rafinowanego oleju, kredy i …onego spirytusu naclańskiego.

Pan Tulipan podchodził chwiejnie do gobelinów, długo opowiadał o splocie prostym i wysokim, zalewał się łzami przed sceną w zieleni, a potem wykazywał, że duma galerii, trzynastowieczny gobelin ze Sto Lat, nie ma więcej niż sto lat właśnie, bo widzicie ten …ony kawałek purpury, o tutaj? W żaden sposób nie mieli wtedy takiego …onego barwnika. A to co takiego? Agatejskie naczynie do balsamowania z dynastii P'gi Su? Ktoś panu opchnął skorupy z …onej pralni, drogi panie! Ta …ona glazura to chłam!

To było niesamowite. Pan Szpila bywał tak oszołomiony, że niemal zapominał, by wsunąć do kieszeni kilka cennych drobiazgów. Chociaż od dawna wiedział o fascynacji kolegi sztuką. Kiedy musieli czasem spalić jakąś rezydencję, pan Tulipan zawsze pilnował, żeby naprawdę bezcenne dzieła wynieść najpierw — nawet jeśli musieli wtedy zmarnować trochę czasu, by przywiązać mieszkańców do łóżek. Gdzieś pod psychicznymi bliznami po samookaleczeniach, w samym sercu wibrującej wściekłości, tkwiła dusza prawdziwego konesera i bezbłędny instynkt piękna. Niezwykłe zjawisko u człowieka, który wciągał nosem kreski soli kąpielowych.

Wielkie drzwi na drugim końcu pokoju otworzyły się szeroko, ukazując mroczną przestrzeń za progiem.

— Panie Tulipanie… — odezwał się pan Szpila.

Tulipan oderwał się od skrupulatnego badania stolika — być może Tapasiego — pokrytego

wspaniałą intarsją, wykorzystującą dziesiątki rzadkich …onych oklein.

— Tak?

— Pora znowu spotkać się z szefostwem — poinformował pan Szpila.

* * *

William szykował się, żeby wyjść z gabinetu już na dobre, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Uchylił je ostrożnie, ale zostały odepchnięte do końca.

— Ty całkowicie… absolutnie… niewdzięczna osobo!

Nie było to miłe określenie, zwłaszcza jeśli wypowiadała je osoba płci żeńskiej. Używała prostych słów, jak „niewdzięczna", w taki sposób, jaki w ustach pana Tulipana wymagałby trzech kropek i końcówki „ona".

William widywał już Sacharissę Cripslock, zwykle pomagającą dziadkowi w jego malutkim warsztacie. Nigdy nie zwracał na nią szczególnej uwagi. Nie była specjalnie atrakcyjna, ale też nie wyglądała szczególnie źle. Zapamiętał ją po prostu jako dziewczynę w fartuchu, wykonującą w tle jakieś nieważne prace, jak odkurzanie miotełką czy układanie kwiatów. O ile w ogóle uformował jakąś opinię na jej temat, to taką, że cierpi na nieuzasadnioną pretensjonalność i złudzenie, że etykieta oznacza dobre wychowanie. Brała manieryzmy za maniery.

Teraz mógł się jej przyjrzeć o wiele dokładniej, głównie dlatego że zbliżała się do niego groźnie. W ten beztroski sposób, typowy dla ludzi wierzących, że zaraz mają zginąć, uświadomił sobie, że jest całkiem ładna, jeśli oceniać to przez stulecia. Koncepcje urody zmieniają się z latami; dwa wieki temu oczy Sacharissy by sprawiły, że wielki malarz Caravati przegryzłby własny pędzel; trzysta lat temu rzeźbiarz Mauvaise spojrzałby tylko na jej podbródek i upuścił sobie dłuto na nogę; tysiąc lat temu efebiańscy poeci zgodziliby się, że sam jej nos mógłby wyprawić w morze co najmniej czterdzieści okrętów. Miała też dobre średniowieczne uszy.

Dłoń jednak okazała się całkiem współczesna, kiedy wymierzyła Williamowi soczysty policzek.

— Te dwadzieścia dolarów miesięcznie to prawie wszystko, co mieliśmy!

— Przepraszam… Nie rozumiem…

— No dobrze, nie jest może bardzo szybki, ale w swoim czasie był jednym z najlepszych grawerów w mieście!

— Och… No tak. Eee… — William poczuł nagłe wyrzuty sumienia wobec pana Cripslocka.

— A pan mu to zabrał, ot tak!

— Ale ja nie chciałem! Krasnoludy zwyczajnie… Wszystko się zdarzyło przypadkiem!

— Pracuje pan dla nich?

— Raczej z nimi… tak jakby…

— A my tymczasem głodujemy?

Sacharissa oddychała gwałtownie. Miała też dobrze skonstruowane inne cechy, które nigdy nie wychodzą z mody i są na miejscu w dowolnym stuleciu. Najwyraźniej wierzyła, że surowe, staromodne sukienki tonują nieco ich efekt. Myliła się.

— Proszę posłuchać… Praktycznie nie mogę się od nich oderwać… — oświadczył William, starając się nie gapić zbyt otwarcie. — To znaczy od krasnoludów nie mogę się oderwać. Lord Vetinari był bardzo… stanowczy w tej kwestii. Nagle wszystko zrobiło się bardzo skomplikowane.

— Gildia Grawerów dostanie szału, wie pan o tym? — spytała.

— No… tak. — Desperacka myśl trafiła Williama nawet mocniej niż dłoń Sacharissy. — To jest coś. Czy mogłaby pani, no… powtórzyć to oficjalnie? Wie pani, na przykład „Dostajemy szału", twierdzi rzecznik… rzeczniczka Gildii Grawerów.

— Dlaczego? — spytała podejrzliwie.

— Gwałtownie potrzebuję czegoś, co mógłbym umieścić w moim następnym wydaniu — odparł zrozpaczony William. — Czy pani mi pomoże? Zapłacę… no, dwadzieścia pensów za tekst, a potrzebuję co najmniej pięciu dziennie.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć drwiąco, ale włączyły się obliczenia.

— Dolar dziennie? — upewniła się.

— Więcej, jeśli będą ładne i długie — obiecał William.

— Do tego pańskiego niby — listu?

— Tak.

— Dolar?

— Tak.

Przyjrzała mu się nieufnie.

— Przecież pana na to nie stać. Sam pan dostaje tylko trzydzieści dolarów. Mówił pan dziadkowi.

— Sytuacja trochę się zmieniła. Prawdę mówiąc, sam jeszcze nie całkiem się orientuję.

Wciąż przyglądała mu się z powątpiewaniem. Ale powoli zwyciężało w niej naturalne ankhmorporskie zainteresowanie odległą perspektywą dolara.

— No owszem, słyszę różne pogłoski — przyznała. — I… zapisywać je? Myślę, że to odpowiednie zajęcie dla damy, prawda? Kulturalne.

— No… coś koło tego, jak sądzę.

— Nie chciałabym robić czegoś, co nie jest… właściwe.

— Och, jestem pewien, że to właściwe.

— I gildia nie może mieć nic przeciwko, prawda? Przecież robi pan to od lat…

— Proszę posłuchać. Ja jestem mało ważny. Jeśli gildia chce protestować, muszą to załatwić z Patrycjuszem.

— Więc… no dobrze… jeśli jest pan pewien, że to odpowiednie zajęcie dla młodej damy…

— W takim razie proszę jutro przyjść do drukarni — rzekł William. — Myślę, że uda nam się za kilka dni przygotować następny papier z nowinami.

* * *

Sala balowa, cała w pluszach, czerwieni i złocie, pogrążona była w półmroku, pachniała stęchlizną i wyglądała upiornie z owiniętymi w pokrowce żyrandolami. Światło stojących pośrodku świec odbijało się mgliście w lustrach na wszystkich ścianach; kiedyś te zwierciadła pewnie rozjaśniały pomieszczenie, jednak przez lata pokryły się plamami, zmatowiały i odbicia świec przypominały rozmyte, podwodne lśnienie, widoczne przez las glonów.

Pan Szpila był już w połowie drogi na środek, kiedy uświadomił sobie, że słyszy tylko własne kroju. Pan Tulipan zatrzymał się i ściągał właśnie pokrowiec z czegoś zepchniętego pod ścianę.

— A niech mnie… — zaczął. — To przecież …ony skarb! Tak myślałem! Autentyczny …ony Intaglio Ernesto! Widzicie te zdobienia z macicy perłowej?

— To nie jest odpowiednia chwila, panie Tulipanie…

— Wykonał tylko sześć egzemplarzy! No nie, nawet nie zadbali o …one strojenie!

— Do demonów, mamy przecież być profesjonalistami!

— Być może pański… kolega chciałby dostać to w prezencie?

— odezwał się głos ze środka sali.

Wokół kręgu światła ustawiono sześć foteli. Były staroświeckie, z oparciami wygiętymi z boków i ku górze, co prawdopodobnie miało kiedyś chronić przed przeciągami, ale obecnie dawało siedzącym osobiste jeziora głębokiego cienia.

Pan Szpila był tu wcześniej. I podziwiał to ustawienie. Ktokolwiek stanął wewnątrz kręgu świec, nie mógł zobaczyć, kto siedzi w głębinach foteli, a przy tym sam był doskonale widoczny.

Teraz przyszło mu do głowy, że również ludzie w fotelach nie mogli zobaczyć innych siedzących.

Pan Szpila był jak szczur. To porównanie bardzo mu odpowiadało — wiele cech przemawia na korzyść szczurów. A te fotele ustawiał ktoś, kto myślał w podobny sposób.

— Pański przyjaciel, pan Żonkil… — odezwał się jeden z foteli.

— Tulipan — poprawił pan Szpila.

— Pański przyjaciel, pan Tulipan, chciałby może, aby ten klawikord był częścią waszego honorarium? — zaproponował fotel.

— To nie jest żaden …ony klawikord — warknął pan Tulipan.

— To …ony wirginał. Jedna struna na nutę zamiast dwóch! Tak nazywany, bo służył… onym młodym damom.

— Coś podobnego! Naprawdę? — zdumiał się jeden z foteli.

— A ja myślałem, że to coś w rodzaju dawnego pianina!

— Służył młodym damom do gry — wyjaśnił szybko pan Szpila.

— A pan Tulipan nie kolekcjonuje sztuki. On tylko ją… docenia. Nasze honorarium będzie wypłacone w klejnotach, tak jak się umawialiśmy.

— Jak pan sobie życzy. Proszę wejść do kręgu.

— …ony klawikord… — mruczał pan Tulipan.

Nowa Firma zajęła miejsca i stanęła pod skrytymi spojrzeniami foteli.

Fotele zobaczyły tyle:

Pan Szpila był niski i szczupły, jak obiekt będący jego imiennikiem, i głowę miał nieco zbyt dużą. Gdyby chcieć go określić jednym słowem, innym niż „szczur”, najtrafniejsze byłoby „ruchliwy”; pił niedużo, pilnował, co je, a swoje ciało — choć odrobinę zdeformowane — uważał za świątynię. Dodatkowo zbyt mocno pomadował włosy i czesał je w przedziałek na środku, w stylu, który wyszedł z mody dwadzieścia lat temu. Jego czarny garnitur był trochę przybrudzony, a małe oczka poruszały się bezustannie, dostrzegając wszystko.

Oczy pana Tulipana trudno byłoby zobaczyć z powodu pewnego opuchnięcia, spowodowanego zapewne nadmiernym entuzjazmem dla środków w torebkach*. Owe torebki były także prawdopodobną przyczyną niejakiej plamistości skóry i grubych żył widocznych na czole. W każdym razie pan Tulipan był człowiekiem o potężnej budowie, na granicy rozerwania odzieży, i mimo artystycznych skłonności wywoływał wrażenie potencjalnego zapaśnika, który oblał test na inteligencję. Jeżeli jego ciało było świątynią, to jedną z tych podejrzanych, gdzie w podziemiach ludzie robią dziwne rzeczy ze zwierzętami. A jeśli pilnował tego, co jadł, to tylko dlatego, że lubił patrzeć, jak się wije.

Kilka foteli zastanowiło się — nie nad tym, czy postępują właściwie, gdyż to nie podlegało dyskusji, ale czy zaangażowali właściwych ludzi. W końcu pan Tulipan nie był człowiekiem, którego chcieliby widzieć zbyt blisko otwartego ognia.

— Kiedy będziecie gotowi? — zapytał fotel. — Jak się czuje dzisiaj wasz… protegowany?

— Sądzimy, że dobrym terminem będzie wtorek rano — odparł pan Szpila. — Do tego czasu osiągnie najlepszą możliwą formę.

— Ale wskutek waszych działań nie nastąpią żadne gwałtowne zgony — przypomniał fotel. — To ważne.

— Pan Tulipan będzie łagodny jak baranek — zapewnił pan Szpila.

Niewidoczne spojrzenia starały sj? omijać pana Tulipana, który tę właśnie chwilę wybrał, by wciągnąć nosem dużą dawkę slabu.

— Ehm… No tak — rzekł fotel. — Jego lordowska mość ma nie odnieść żadnej szkody większej, niż okaże się to ściśle konieczne. Vetinari martwy byłby bardziej niebezpieczny niż Vetinari żywy.

— I za wszelką cenę należy unikać wszelkich kłopotów ze Strażą Miejską.

— Tak, wiemy już o straży — zapewnił pan Szpila. — Pan Slant nas uprzedził.

— Komendant Vimes kieruje bardzo… efektywną formacją.

— Żaden problem.

— I zatrudniają wilkołaka.

Biały proszek strzelił fontanną w powietrze. Pan Szpila musiał klepnąć kolegę w kark.

— …ony wilkołak?! Czy wyście powariowali?!

---

* Twój Mózg na Prochach to przerażający widok Ale pan Tulipan był żywym przykładem, ze równie straszny jest Twój Mózg na koktajlu z maści dla koni i sproszkowanych tabletek na odwodnienie

— Hm… Dlaczego pański partner wciąż powtarza „ony”, panie Szpilo? — zdziwił się fotel.

— Chyba wam …ony rozum odebrało! — denerwował się pan Tulipan.

— To taka wada wymowy — odparł pan Szpila. — Wilkołak? Dzięki, że nas panowie poinformowali. Naprawdę bardzo dziękuję. Kiedy złapią trop, są gorsze od wampirów. Wiecie o tym, panowie, prawda?

— Rekomendowano nam panów jako ludzi zaradnych.

— Kosztownych ludzi zaradnych… Fotel westchnął.

— Rzadko trafiają się inni. Dobrze więc, bardzo dobrze. Pan Slant omówi z panami tę kwestię.

— No tak, ale one mają taki węch, że byście w życiu nie uwierzyli — nie ustępował pan Tulipan. — Po co pieniądze …onemu trupowi?

— Czy są jeszcze jakieś niespodzianki? — zapytał pan Szpila. — Macie tu inteligentnych strażników i jeden z nich jest wilkołakiem. Coś jeszcze? Może mają też trolle?

— O tak. Kilka. I krasnoludy. I zombi.

— W straży? Co to za miasto, panowie?

— To nie jest nasze miasto. Nie mu tu rządzimy — oświadczył fotel.

— Ale troszczymy się o to, w jakim kierunku zmierza — dodał inny.

— Aha — stwierdził pan Szpila. — Zgadza się. Przypomniałem sobie. Jesteście zatroskanymi obywatelami.

Znał zatroskanych obywateli. Gdziekolwiek się pojawiali, zawsze mówili tym samym prywatnym językiem, w którym „tradycyjne wartości” oznaczały „powiesić kogoś”. Nie przeszkadzało mu to, ogólnie biorąc, ale zawsze warto lepiej rozumieć klienta.

— Mogliście zaangażować kogoś innego — zauważył. — Macie tu Gildię Skrytobójców.

Fotel syknął przez zęby.

— W obecnej chwili kłopot z tym miastem polega na tym — zaczął tłumaczyć — że spora liczba inteligentnych poza tym osób uważa status quo za… wygodne, choć przecież nie ulega wątpliwości, że doprowadzi miasto do katastrofy.

— Aha — rzekł pan Szpila. — To są obywatele beztroscy.

— Otóż właśnie, panowie.

— Dużo ich jest?

Fotel zignorował pytanie.

— Oczekujemy, że wkrótce zobaczymy panów znowu. Jutro wieczorem, mam nadzieję, poinformujecie nas o swojej gotowości. Dobranoc.

Krąg foteli milczał jeszcze przez chwilę po wyjściu Nowej Firmy. Potem jakaś postać w czerni weszła przez szerokie drzwi, zbliżyła się do światła, skinęła głowami wyszła.

— Oddalili się już od budynku — stwierdził fotel.

— Co za upiorni ludzie!

— Chyba jednak powinniśmy skorzystać z Gildii Skrytobójców.

— Ha! Nieźle im się powodzi przy Vetinarim. A poza tym przecież nie chcemy jego śmierci. Jednakże przyszło mi do głowy, że w późniejszym terminie możemy mieć dla gildii jakieś zlecenie.

— Rzeczywiście. Kiedy nasi przyjaciele bezpiecznie opuszczą miasto… O tej porze roku drogi bywają niebezpieczne…

— Nie, panowie. Trzymajmy się planu. Osobnik zwany Charliem zostanie w pobliżu, dopóki wszystko nie zostanie załatwione, na wypadek gdyby znów był potrzebny. Potem nasi dżentelmeni zabiorą go bardzo daleko stąd i… zapłacą mu. Niewykluczone, że później zwrócimy się do skrytobójców, na wypadek gdyby pan Szpila miał jakieś sprytne pomysły.

— Słusznie. Choć nadal uważam, że to wielka strata. Co moglibyśmy osiągnąć z takim Charliem…

— Mówiłem przecież, że nic by z tego nie wyszło. Ten człowiek to klaun.

— Chyba ma pan rację. W takim razie lepiej załatwić to raz na zawsze.

— Jestem pewien, że dobrze się rozumiemy. A teraz… spotkanie Komitetu De — elekcji Patrycjusza uważam za zamknięte. I niebyłe.

* * *

Lord Vetinari miał zwyczaj tak wczesnego wstawania, że pora snu była dla niego jedynie pretekstem, by zmienić ubranie.

Lubił tę zimową porę tuż przed świtem. Zwykle zalegała mgła i trudno było zobaczyć miasto, a przez kilka godzin nie dobiegał stamtąd żaden głos, może niekiedy z wyjątkiem urwanego wrzasku.

Ale tego ranka spokój został zakłócony przez krzyk tuż przed bramą pałacu.

— Hoinarołup! Patrycjusz podszedł do okna.

— Mącinogi–auć!

Wrócił do biurka i zadzwonił po swojego sekretarza, Drumknotta, którego posłał za mur, by zbadał sprawę.

— To żebrak znany jako Paskudny Stary Ron, panie — zameldował Drumknott pięć minut później. — Sprzedaje ten… papier.

Podał arkusz dwoma palcami, jakby się bał, że wybuchnie. Vetinari przeczytał tekst. A potem przeczytał jeszcze raz.

— No, no… — powiedział. — „Puls Ankh–Morpork”… Czy jeszcze ktoś to kupuje?

— Sporo ludzi, panie. Wracający z nocnej zmiany, idący na targ i tym podobni.

— Nie widzę tu żadnej wzmianki o Hoinarołupie ani Mącinogi–auciu.

— Nie, panie.

— Bardzo dziwne. — Patrycjusz przeczytał jeszcze jakiś fragment. — Hmmm… Odwołaj wszystkie moje poranne spotkania, dobrze? Przyjmę Gildię Heroldów o dziewiątej, a Gildię Grawerów dziesięć po.

— Nie wiedziałem, że pragną się z panem spotkać.

— Zechcą — odparł Patrycjusz. — Kiedy to zobaczą, zechcą. No, no… Widzę, że podczas bójki w tawernie rany odniosło pięćdziesiąt sześć osób.

— Wydaje się, że to raczej sporo, panie.

— To musi być prawda, Drumknott. Jest na papierze. Aha, i poślij wiadomość do tego miłego pana de Worde’a. Spotkam się z nim o dziewiątej trzydzieści.

Znowu przesunął spojrzeniem po kolumnach szarego druku.

— I proszę, niech będzie powszechnie wiadomo, że nie chciałbym się dowiedzieć o jakiejkolwiek krzywdzie, która spotkała pana de Worde’a.

— Panie, czy chodzi ci o to, że nie chcesz się dowiedzieć o krzywdzie, jaka spotkała pana de Worde’a, czy że nie chcesz, by jakakolwiek krzywda spotkała pana de Worde’a?

— Czyżbyś do mnie mrugał, Drumknott?

— Ależ nie!

— Drumknott, uważam, że prawem każdego obywatela Ankh–Morpork jest, by mógł niezaczepiany chodzić po ulicach miasta.

— Na bogów, panie! Naprawdę?

— Tak jest.

— Ale wydawało mi się, że mocno się sprzeciwiasz drukowi z użyciem ruchomej czcionką panie. Twierdziłeś, że wtedy druk będzie zbyt tani i ludzie…

— Szeełarna–plp! — zawołał sprzedawca drukowanych nowin przed bramą.

— Czy jesteś gotów na nowe milenium, które otwiera się przed nami, Drumknott? Czy obejmiesz przyszłość chętnymi ramionami?

— Nie wiem, panie. Czy niezbędne jest specjalne ubranie?

* * *

Inni domownicy siedzieli już przy śniadaniu, kiedy William zbiegł na dół. Spieszył się, ponieważ pani Arcanum miała Stanowcze Poglądy na temat ludzi, którzy spóźniają się na posiłki.

Pani Arcanum, właścicielka Domu Noclegowego Eukrazji Arcanum dla Uczciwych Ludzi Pracy, była tym, kim nieświadomie próbowała stać się Sacharissa. Nie zwyczajną przyzwoitą kobietą, ale Przyzwoitą Kobietą — stanowiło to jej styl życia, religię i hobby zarazem. Lubiła ludzi również przyzwoitych. Czystych i Przyzwoitych — używała tego określenia, jakby jedna z tych cech nie mogła istnieć bez drugiej. Miała w pokojach przyzwoite łóżka i gotowała tanie, ale przyzwoite posiłki dla swoich przyzwoitych lokatorów, którzy poza Williamem byli w średnim wieku, samotni i niezwykle wręcz trzeźwi. Zwykle wykonywali jakieś nieciekawe zawody i prawie wszyscy byli mocno zbudowani i dobrze wyszorowani, nosili poważnie wyglądające buty i prezentowali przy stole niezręczną uprzejmość.

Co dziwne — w każdym razie wobec opinii Williama na temat takich osób jak pani Arcanum — nie miała nic przeciwko krasnoludom ani trollom. A przynajmniej czystym i przyzwoitym krasnoludom i trollom. Dla pani Arcanum Przyzwoitość liczyła się wyżej niż gatunek.

— Piszą tu, że w bójce odniosło rany pięćdziesięciu sześciu ludzi — oznajmił pan Mackleduff, który jako lokator z najdłuższym stażem pełnił przy stole funkcję kogoś w rodzaju przewodniczącego. „Puls” kupił w drodze z piekarni, gdzie pracował jako szef nocnej zmiany.

— Coś podobnego! — zdziwiła się pani Arcanum.

— Myślę, że to musiało być pięć albo sześć — sprostował William.

— Tu stoi pięćdziesiąt sześć — upierał się pan Mackleduff. — Czarno na białym.

— To musi być prawda — uznała pani Arcanum przy powszechnej aprobacie. — Inaczej nie

pozwoliliby im tego napisać.

— Zastanawiam się, kto to robi — odezwał się pan Prone, który dużo podróżował jako hurtowy sprzedawca butów.

— No, na pewno jacyś specjalni ludzie do takiej pracy — odparł pan Mackleduff.

— Naprawdę? — zdziwił się William.

— O tak… — zapewnił pan Mackleduff, typowy przedstawiciel potężnie zbudowanych mężczyzn, którzy natychmiast stają się ekspertami od czegokolwiek. — Przecież nie pozwoliliby byle komu tak sobie pisać, co zechce. To logiczne.

W rezultacie William dotarł do szopy za Kubłem w nastroju zadumy.

Dobrogór uniósł głowę znad kamienia, gdzie starannie składał afisz teatralny.

— Tam leży dla ciebie gotówka. — Skinął w stronę blatu.

Pieniądze były głównie w miedziakach. I było ich razem prawie trzydzieści dolarów.

William patrzył z niedowierzaniem.

— To nie może być prawda — szepnął.

— Pan Ron i jego koledzy cały czas przychodzili po nowe wydruki.

— Ale… ale tam były zwykłe wiadomości — upierał się William.

— Nic specjalnie ważnego. Po prostu… zwyczajne, codzienne zdarzenia.

— No ale ludzie lubią wiedzieć o zwyczajnych, codziennych zdarzeniach — odparł krasnolud. — Uważam, że jutro możemy sprzedać trzy razy tyle, jeśli obetniemy cenę o połowę.

— O połowę?

— Ludzie chcą być poinformowani. Tak tylko pomyślałem. — Krasnolud się uśmiechnął. — Jakaś młoda dama czeka na zapleczu.

W czasach, kiedy szopa służyła za pralnię, jeszcze w epoce pre–końskiej–na–biegunach, tanimi panelami odgrodzono niewielką jej część do wysokości piersi, by wydzielić miejsce dla ekspedientów i osoby, która miała za zadanie tłumaczyć klientom, dlaczego zniknęły ich skarpety. Sacharissa siedziała tam na stołku, ściskając w dłoniach torebkę. Łokcie trzymała przyciśnięte do boków, by jak najmniej wystawiać się na wszechobecny brud.

Skinęła mu głową.

Zaraz, pomyślał, dlaczego ją prosiłem, żeby przyszła? A tak… Jest rozsądna, mniej więcej, porządkowała książki dziadka, a nie spotykał wielu osób umiejących czytać i pisać. Spotykał raczej takich, dla których pióro było straszliwie trudnym urządzeniem. Jeśli wiedziała, co to jest

apostrof, on jakoś zniesie to, że zachowywała się, jakby wciąż żyła w zeszłym stuleciu.

— To jest teraz pański gabinet? — spytała szeptem.

— Chyba tak.

— Nie uprzedził mnie pan o krasnoludach!

— Przeszkadzają pani?

— Ależ nie. Krasnoludy, jak wynika z moich doświadczeń, są bardzo praworządne i przyzwoite.

William uświadomił sobie, że rozmawia z dziewczyną, która nigdy nie bywała na pewnych ulicach w porze, kiedy zamykają bary.

— Mam już dla pana dwie wiadomości — mówiła dalej Sacharissa takim tonem, jakby przekazywała tajemnice państwowe.

— Tak?

— Mój dziadek mówi, że to najdłuższa, najostrzejsza zima, jaką pamięta.

— Tak?

— On ma osiemdziesiąt lat. To bardzo dużo.

— Aha.

— A spotkanie z powodu Dorocznego Konkursu Kółka Wypieków i Kwiatowego z Sióstr Dolly zostało wczoraj przerwane, ponieważ ktoś przewrócił stół z wypiekami. Dowiedziałam się o tym od sekretarz i zapisałam starannie.

— Tak? Hm… myśli pani, że to naprawdę ciekawe? Wręczyła mu kartkę wyrwaną z taniego zeszytu.

Zaczął czytać: „Doroczny Konkurs Kółka Wypieków i Kwiatowego z Sióstr Dolly odbywał się w czytelni przy ulicy Haka Lobbingu, Siostry Dolly. Przewodniczyła pani H. Rivers. Powitała wszystkie Członkinie i wyraziła się na temat Wspaniałych Eksponatów. Nagrody otrzymały…”.

William przebiegł wzrokiem po drobiazgowej liście nazwisk i nagród.

— Okaz w Wazonie? — zainteresował się.

— To był konkurs na najpiękniejsze dalie — wyjaśniła Sacharissa. William starannie wstawił słowo „Dalii” zaraz po „Okazie”. Czytał dalej.

— „Piękna wystawa Okryć dla Stolców”?

— Tak?

— Nie, nic. — William zmienił to na „Serwety na Stołki”, co było odrobinę lepsze.

Czytał, czując się jak podróżnik w dżungli — w każdej chwili oczekiwał, że ze spokojnej roślinności wyskoczy na niego jakaś bestia. Historia kończyła się: „Jednakże powszechny Nastrój został Zwarzony, kiedy wbiegł nagi mężczyzna, ścigany zaciekle przez Funkcjonariuszy Straży. Wywołał wielkie zamieszanie wśród Babek, nim został schwytany przez Pierniki. Spotkanie zakończyło się o godzinie 9 wieczorem. Pani Rivers podziękowała uczestniczkom".

— Przez Pierniki?

— Potknął się o nie — wyjaśniła Sacharissa. — Co pan o tym myśli? — spytała odrobinę nerwowo.

— Wie pani… — rzekł William nieco słabym głosem. — Myślę, że chyba nie da się tego napisać ani trochę lepiej. Hm… A pani zdaniem jakie było najważniejsze wydarzenie podczas tego spotkania?

Przerażona uniosła dłoń do ust.

— No tak! Zapomniałam o tym! Pani Flatter wygrała pierwszą nagrodę za biszkopt! A od sześciu lat była w finale.

William wbił wzrok w ścianę.

— Brawo — stwierdził. — Na pani miejscu bym to dopisał. Ale mogłaby pani też zajrzeć do komisariatu na Sióstr Dolly i zapytać o tego nagiego mężczyznę…

— Nigdy w życiu! Przyzwoite kobiety nie mają nic wspólnego ze strażą!

— To znaczy zapytać, dlaczego był ścigany, oczywiście.

— Po co mam to robić?

William spróbował ubrać w słowa niejasną ideę.

— Ludzie będą chcieli wiedzieć — rzekł.

— Ale czy straż nie będzie mieć nic przeciw temu, że ich wypytuję?

— Przecież to nasza straż. Nie rozumiem, czemu miałoby im to przeszkadzać. I może poszuka pani jakichś bardzo starych ludzi i zapyta ich o pogodę. Kto jest najstarszym mieszkańcem miasta?

— Nie wiem. Pewnie któryś z magów.

— Może zajrzy pani na uniwersytet i zapyta, czy pamięta ostrzejszą zimę niż ta.

— Czy tutaj umieszcza się wiadomości na papierze? — odezwał się jakiś głos.

Należał do niskiego człowieczka o promiennej, rumianej twarzy, jednego z ludzi obdarowanych przez los permanentną miną kogoś, kto właśnie usłyszał pieprzny dowcip.

— No bo wyhodowałem taką marchewkę… I myślę, że wyrosła w bardzo ciekawym kształcie. Co? Co o tym myślicie, e? Można się pośmiać, nie? Zabrałem ją do pubu i wszyscy konali ze śmiechu. Powiedzieli, że powinien pan o tym napisać w swoim… poranniku!

Podniósł marchewkę do góry. Miała bardzo interesujący kształt. A twarz Williama nabrała bardzo interesującej barwy.

— Dziwna marchewka — oświadczyła Sacharissa, przyglądając się jej krytycznie. — Co pan o tym myśli, panie de Worde?

— Ja… no… Niech pani idzie już4na uniwersytet, dobrze? A ja zajmę się tym… dżentelmenem — powiedział William, kiedy uznał, że znów potrafi normalnie mówić.

— Moja żona nie mogła się pozbierać ze śmiechu!

— Szczęśliwy z pana człowiek, drogi panie — odparł z powagą William.

— Szkoda, że na tym papierze nie może pan wstawiać obrazków, nie?

— Owszem, ale chyba mam już dość kłopotów — mruknął William, otwierając notes.

Kiedy sprawa rumianego człowieczka i jego prześmiesznego warzywa została załatwiona, William przeszedł do hali drukarni. Krasnoludy rozmawiały zebrane wokół klapy w podłodze.

— Pompa znowu zamarzła — oznajmił Dobrogór. — Nie możemy wymieszać farby. Stary Cheese twierdzi, że gdzieś tutaj była studnia…

Z dołu dobiegł krzyk. Dwa krasnoludy zeszły po drabinie.

— Słuchaj, Gunilla, czy jest jakikolwiek powód, żeby puścić to w druku? — spytał William, wręczając krasnoludowi raport Sacharissy ze spotkania Kółka Wypieków i Kwiatów. — Trochę nudne…

Krasnolud przeczytał tekst.

— Są siedemdziesiąt trzy powody — odparł. — To dlatego, że wymienione są siedemdziesiąt trzy nazwiska. Myślę, że ludzie chcieliby zobaczyć swoje nazwisko na papierze.

— Ale co z tym nagim mężczyzną?

— No tak… Fatalnie, że nie zapisała, jak się nazywa.

Z dołu dobiegł kolejny krzyk.

— Zajrzymy tam?

Ku całkowitemu brakowi zaskoczenia Williama, mała piwniczka pod szopą była zbudowana o wiele solidniej niż sama szopa. Ale też praktycznie każdy dom w Ankh–Morpork miał piwnice, będące kiedyś pierwszym, a nawet drugim albo trzecim piętrem dawnych budynków,

wzniesionych w którymś z okresów miejskiego imperium, kiedy to ludziom się wydawało, że przyszłość będzie trwać wiecznie. A potem wylewała rzeka niosąca ze sobą błoto, mury rosły w górę i teraz Ankh–Morpork wznosiło się głównie na Ankh–Morpork. Ludzie mówili, że ktoś z dobrym wyczuciem kierunku i z kilofem mógłby wędrować przez miasto pod ziemią, wybijając dziury w ścianach.

Pordzewiałe puszki i stosy przegniłego do gołych włókien drewna leżały pod jedną ze ścian. A pośrodku tej ściany widać było zamurowany otwór drzwiowy; bardziej współczesne cegły wydawały się już wytarte i popękane w porównaniu z otaczającym je starym kamieniem.

— Co jest po drugiej stronie? — zainteresował się Boddony.

— Pewnie dawna ulica — odparł William.

— Ulica też ma piwnicę? A co w niej trzyma?

— Och, kiedy powódź zalewała miasto, ludzie budowali wyżej. To, w czym stoimy, było pewnie kiedyś pokojem na parterze. Ludzie zamurowali drzwi i okna i postawili dodatkowe piętro. Podobno w niektórych dzielnicach jest sześć albo i siedem poziomów podziemi. W większości wypełnionych błotem. I zaznaczam, że starannie dobieram słowa…

— Szukam pana Williama de Worde'a — zahuczał głos nad nimi.

Ogromny troll przesłaniał światło z piwnicznej klapy.

— To ja — powiedział William.

— Patrycjusz zaraz cię przyjmie — oznajmił troll.

— Ale ja nie byłem umówiony z lordem Vetinarim…

— No tak… — odparł troll. — Byś się zdziwił, ilu ludzi umawia się z lordem Vetinarim i nic o tym nie wie. Więc się lepiej pospiesz. Ja bym się spieszył na twoim miejscu.

* * *

W ciszy słychać było jedynie tykanie zegara. William przyglądał się niespokojnie, jak — na pozór zapomniawszy o jego obecności — Vetinari raz jeszcze uważnie czyta „Puls".

— Bardzo… interesujący dokument — oświadczył Patrycjusz, odkładając arkusz. — Ale zmuszony jestem zapytać… dlaczego?

— To ten mój list z nowinami — odparł William. — Tylko że większy. No bo… ludzie chcą wiedzieć o różnych rzeczach.

— Jacy ludzie?

— No… właściwie wszyscy.

— Naprawdę? Powiedzieli panu?

William przełknął ślinę.

— Eee… Niby nie. Ale, jak pan wie, piszę swoje listy z nowinami już od dłuższego czasu…

— Do rozmaitych zagranicznych notabli i podobnych osób. — Vetinari pokiwał głową. — Do ludzi, którzy muszą wiedzieć. Wiedza jest elementem ich profesji. Ale to sprzedaje pan wszystkim na ulicy. Zgadza się?

— Raczej tak, wasza lordowska mość.

— Ciekawe. W takim razie nie spodoba się panu teza, że państwo przypomina trochę jedną z dawnych galer? Miały rzędy wioślarzy pod pokładem, a na górze sternika i całą resztę. Oczywiście w interesie wszystkich leży, by statek nie zatonął. Ale daję panu pod rozwagę, że może jednak nie jest w interesie wioślarzy, by wiedzieć o każdej ominiętej mieliźnie, każdej kolizji, jakiej udało się uniknąć. To by ich niepokoiło, gubiliby rytm. Wioślarze muszą tylko wiedzieć, jak wiosłować. Hmm?

— I że mają dobrego sternika — dodał William. Nie zdołał powstrzymać tego zdania. Samo się wypowiedziało. I zawisło w powietrzu.

Vetinari rzucił mu spojrzenie, które trwało o kilka sekund dłużej, niż to było konieczne. A potem natychmiast jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

— To oczywiste. Powinni wiedzieć, naturalnie. Żyjemy przecież w wieku słów. Pięćdziesięciu sześciu rannych podczas bójki w tawernie, co? Zdumiewające. Jakie jeszcze wieści ma pan dla nas?

— No więc… tego… Jest bardzo zimno…

— Naprawdę? Coś podobnego…

Na biurku lorda Vetinariego maleńka góra lodowa uderzyła o ściankę kałamarza.

— Tak, i wybuchła też… mała… burda na spotkaniu kółka gospodyń.

— Burda, tak?

— No, właściwie to raczej zamęt*. I jeszcze komuś wyrosło zabawnie ukształtowane

* Słowa przypominają ryby — pod takim względem, że pewne wyspecjalizowane typy mogą przetrwać np. jedynie w rafie koralowej, gdzie ich dziwaczne kształty i zastosowania chronione są przed groźbami otwartego

warzywo.

— To prawdziwa sensacja. A jaki to kształt?

— No… śmieszny, wasza lordowska mość.

— Panie de Worde, czy mogę panu udzielić pewnej rady?

— Oczywiście, wasza lordowska mość.

— Niech pan będzie ostrożny. Ludzie lubią, kiedy mówi im się to, co już wiedzą. Proszę o tym pamiętać. Robią się niespokojni, kiedy przekazuje im pan nowości. Nowości… no cóż, nowości nie są takie, jak się spodziewają. Chcieliby się dowiadywać, że… powiedzmy… pies ugryzł człowieka. Nie chcą czytać o tym, że człowiek ugryzł psa, bo to na świecie nie powinno się zdarzać. Krótko mówiąc, ludzie myślą, że chcą nowin, od A do Z, ale tak naprawdę zależy im na… starzynach. Widzę, że zaczyna pan już to rozumieć.

— Tak, proszę pana — odparł William.

Nie był całkiem pewny, czy w pełni wszystko zrozumiał, był jednak pewny tego, że ta część, którą zrozumiał, wcale mu się nie podoba.

— Jak mi się zdaje, Gildia Grawerów chciałaby omówić kilka spraw z panem Dobrogórem, Williamie. Ja jednak zawsze uważałem, że powinniśmy iść naprzód, ku przyszłości.

— Tak, wasza lordowska mość. Trudno byłoby iść w innym kierunku.

I znowu nastąpiło to za długie spojrzenie, a potem nagłe rozjaśnienie twarzy.

— Rzeczywiście. Miłego dnia, panie de Worde. Aha… i proszę uważać, jak pan chodzi. Jestem przekonany, że nie chciałby się pan stać nowinami… prawda?

* * *

Wracając na Błyskotną, William obracał w myślach słowa Patrycjusza. A nie jest rozsądnie zamyślać się zbyt głęboko, gdy chodzi się po ulicach Ankh–Morpork.

Przeszedł obok Gardło Sobie Podrzynam Dibblera i ledwie skinął mu głową. Zresztą Dibbler był zajęty. Miał dwóch klientów. Dwóch jednocześnie, jeśli jeden z nich nie podpuszcza drugiego, zdarzało się niezwykle rzadko. Ale ci dwaj trochę go niepokoili. Sprawdzali towar.

G.S.P. Dibbler sprzedawał swoja kiełbaski i pasztеciki w całym mieście, nawet przed bramą

---

morza. „Zamęt” i „burda” spotyka się tylko w niektórych rodzajach gazet (podobnie jak „napoje alkoholowe” spotykane są tylko w niektórych typach menu). Praktycznie nigdy nie używa się ich w normalnej rozmowie.

Gildii Skrytobójców. Potrafił dobrze oceniać ludzi, zwłaszcza kiedy chodziło o ocenę, kiedy trzeba skręcić niewinnie za róg, a potem uciekać ile sił w nogach. Właśnie uznał, że miał pecha, stojąc w tym miejscu… I że jest już za późno.

Nieczęsto spotykał zabójców. Morderców owszem, ale mordercy mieli zwykle jakieś powody, a poza tym na ogół mordowali przyjaciół i krewnych. Spotykał też wielu skrytobójców, ale skrytobójstwo miało pewien styl, a nawet pewne zasady.

Ci ludzie byli zabójcami. Ten większy, ze śladami białego proszku na marynarce i otoczony zapachem naftaliny, był zwykłym brutalnym zbirem, żaden problem. Ale tego mniejszego, z przylizanymi włosami, otaczał zapach gwałtownej i okrutnej śmierci. Nieczęsto człowiek miał okazję spojrzeć w oczy kogoś, kto zabija, ponieważ w danym momencie wydaje się to niezłym pomysłem.

Ostrożnie poruszając rękami, Dibbler odsłonił specjalną sekcję swojej tacy, sekcję wysokiej klasy, zawierającą kiełbaski, których składniki były 1) mięsem, 2) pochodzącym z określonego czworonogiego zwierzęcia, 3) prawdopodobnie lądowego.

— Mogę też polecić panom te oto — powiedział, a ponieważ trudno się pozbyć starych przyzwyczajeń, nie mógł się powstrzymać i dodał: — Najlepsza wieprzowina.

— Dobre są, tak?

— Nigdy nie zechce pan zjeść innej, drogi panie.

Wtedy odezwał się ten drugi.

— A co z tymi poprzednimi?

— Słucham?

— Racice, świńskie smarki, szczury i co tam jeszcze wpadnie do …onej maszynki do mięsa.

— Panu Tulipanowi — wtrącił pan Szpila — chodzi o bardziej organiczne kiełbaski.

— Tak — potwierdził pan Tulipan. — Bardzo dbam o …one środowisko.

— Jest pan pewien? Nie, nie, oczywiście! — Dibbler uniósł dłoń. Zachowanie obu klientów się zmieniło. Najwyraźniej wszystkiego byli całkiem pewni. — No więc… Chce pan niedobrą… mniej dobrą kiełbaskę, tak? Hm…

— Żeby miała w środku …one paznokcie — odparł pan Tulipan.

— No więc, ehm… mam tu… mógłbym… — Dibbler zrezygnował. Był handlowcem. Człowiek sprzedaje, co sprzedaje. — Może opowiem panu o tych kiełbaskach — podjął, gładko zmieniając bieg wewnętrznego silnika na wsteczny. — Kiedy w rzeźni ktoś odrąbał sobie kciuk,

nie zatrzymali nawet maszyny do mielenia. Prawdopodobnie nie znajdzie pan w niej żadnego szczura, ponieważ szczury omijają to miejsce. Są tam zwierzęta, które… No cóż, słyszał pan pewnie, jak mówią, że życie zaczęło się w czymś w rodzaju zupy? Tak samo te kiełbaski. Jeśli szuka pan niedobrej kiełbaski, nie znajdzie pan lepszej niż u mnie.

— Trzymasz je pan dla specjalnych klientów, co? — zapytał pan Szpila.

— Dla mnie, drogi panie, każdy klient jest kimś specjalnym.

— A masz pan musztardę?

— Ludzie nazywają to musztardą — odparł Dibbler, dając się ponieść entuzjazmowi. — Ale ja nazywam to…

— Lubię …oną musztardę — oznajmił pan Tulipan.

— …naprawdę doskonałą musztardą — dokończył Dibbler, nie tracąc rytmu.

— Weźmiemy dwie — zdecydował pan Szpila. Nie sięgnął po portfel.

— Na koszt firmy! — rzekł Dibbler. Ogłuszył dwie kiełbaski, zabułkował je i podał klientom.

Pan Tulipan wziął obie i jeszcze słój z musztardą.

— A wie pan, jak w Quirmie nazywają kiełbaskę w bułce? — zapytał pan Szpila, kiedy odchodzili.

— Nie — odparł pan Tulipan.

— Nazywają ją „le kiełbaska w le bułce".

— Jak to, w …onym zagranicznym języku? To jakiś …ony żart!

— Nie jestem …onym żartownisiem, panie Tulipanie.

— No przecież powinni je nazywać jakoś… no… kiełbaska dans le derriere — stwierdził pan Tulipan. Odgryzł kęs smakołyku Dibblera. — Hej, tak właśnie smakuje ta …ona przekąska — dodał z pełnymi ustami.

— W bułce, panie Tulipanie.

— Wiem, co chciałem powiedzieć. To …ona okropna kiełbaska.

Dibbler patrzył za odchodzącymi klientami. W Ankh–Morpork nieczęsto słyszy się taki język. Większość ludzi mówi, nie zostawiając w zdaniach wolnych miejsc, więc zastanowił się, co może znaczyć słowo „ony".

* * *

Tłum zbierał się przed dużym budynkiem przy Radosnym Mydle, a kolejka wozów sięgała już do Broad–Wayu. A kiedy gdziekolwiek zbiera się tłum ludzi, pomyślał William, ktoś powinien zanotować dlaczego.

W tym przypadku przyczyna była jasna. Jakiś człowiek stał na parapecie na zewnątrz okna na czwartym piętrze, przyciskając plecy do ściany, i z nieruchomym wyrazem twarzy patrzył w dół.

Daleko w dole tłum starał się okazać pomoc. Zniechęcanie kogokolwiek na jego miejscu nie leżało w prostej ankhmorporskiej naturze. To w końcu wolne miasto. Dlatego udzielano mu rad.

— Lepiej spróbować z Gildii Złodziei! — krzyczał jakiś człowiek. — Sześć pięter, a potem porządne, solidne kocie łby! Rozwalisz sobie czaszkę przy pierwszej próbie!

— Dookoła pałacu jest porządny bruk! — poinformował stojący obok.

— Tak, na pewno — zgodził się jego sąsiad. — Ale jeśli spróbuje skoczyć z pałacu, Patrycjusz go zabije. Mam rację?

— I co?

— Wiesz pan, to w końcu kwestia stylu, nie?

— Wieża Sztuk jest niezła — stwierdziła z przekonaniem pewna kobieta. — Prawie dziewięćset stóp. I piękny jest stamtąd widok.

— Fakt, trudno zaprzeczyć. Ale też ma się dużo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Po drodze w dół. A to nie jest najlepsza chwila na introspekcję.

— Słuchajcie, mam cały wóz krewetek i jeśli postoję tu dłużej, same wrócą do domu piechotą! — jęknął woźnica. — Dlaczego on po prostu nie skoczy?

— Zastanawia się. To przecież poważny krok.

Człowiek na krawędzi odwrócił głowę, gdy usłyszał szuranie. William przesuwał się bokiem po występie i bardzo się starał, żeby nie patrzeć w dół.

— Witam. Przyszedłeś pan mnie namówić, żebym zszedł, co?

— Ja… — William naprawdę się starał, żeby nie patrzeć w dół.

Z dołu parapet wydawał mu się o wiele szerszy. Zaczynał żałować, że tu wszedł.

— Nawet o tym nie myślę.

— Zawsze jestem otwarty na namowy do zejścia.

— Tak, tak… ehm… Czy zechce mi pan podać swoje nazwisko i adres?

W górze wiał nieprzyjemny wiatr. Tego się nie spodziewał. Ostre podmuchy były wyraźnie odczuwalne między dachami budynków; szarpały kartkami notesu.

— Po co?

— No… Ponieważ po upadku z tej wysokości na twardy grunt trudno ustalić takie szczegóły — odparł William, starając się nie oddychać zbyt głęboko. — A ponieważ chcę o tym napisać, tekst będzie lepiej wyglądał, jeśli powiem, kim pan był.

— Gdzie napisać?

William wyjął z kieszeni „Puls" i bez słowa wręczył go rozmówcy. Papier szeleścił na wietrze.

Desperat usiadł i przeczytał, poruszając przy tym bezgłośnie wargami. Nogi zwisały mu nad pustką.

— Więc to są tak jakby wydarzenia? — zapytał. — Jak u herolda, tylko że zapisane?

— Zgadza się. Od A do Z. No więc jak się pan nazywał?

— Co to znaczy „nazywał"?

— No, wie pan… to chyba oczywiste… — powiedział żałośnie William. Machnął ręką w pustkę i o mało co nie stracił równowagi. — Jeśli pan…

— Artur Crank.

— Gdzie mieszkałeś, Arturze?

— Przy Szczebiotliwej.

— A czym się zajmowałeś?

— Znowu to „zajmowałeś". Wiesz pan, straż zwykle częstuje mnie herbatą.

W głowie Williama odezwał się dzwonek alarmowy.

— Często tak… skaczesz?

— Zajmuję się tylko trudniejszymi fragmentami.

— To znaczy?

— Tymi, gdzie trzeba się wspinać. Oczywiście samo skakanie pomijam. Nie wymaga kwalifikacji. Bardziej interesuje mnie aspekt wołania o pomoc.

William spróbował przytrzymać się gładkiej ściany.

— A ta pomoc, której oczekujesz? to…?

— Odpalisz pan dwadzieścia dolarów?

— Albo skoczysz?

— No nie, nie dosłownie „skoczę", to chyba jasne. Nie do końca skoczę. Nie w ścisłym sensie. Ale nadal będę groził, że skoczę, jeśli łapiesz pan, o co mi chodzi.

William uznał, że budynek wydaje się o wiele wyższy niż wtedy, kiedy wspinał się po schodach. Ludzie w dole wyglądali na o wiele mniejszych. Rozpoznawał zwrócone ku górze twarze. Był tam Paskudny Stary Ron ze swoim zapchlonym psem i cała reszta ekipy, ponieważ jakieś niezwykłe ciążenie ściągało ich ku improwizowanym ulicznym widowiskom. William mógł nawet odczytać tabliczkę „Będę groził za jedzenie" Kaszlaka Henry'ego. Widział też kolumny wozów paraliżujące już połowę miasta. Czuł, jak uginają się pod nim kolana…

Artur go przytrzymał.

— Zaraz, to jest moje miejsce! — zawołał. — Znajdź pan sobie jakieś inne.

— Mówił pan, że skakanie nie wymaga kwalifikacji — powiedział William, próbując skoncentrować się na notatkach. Wokół niego świat wirował delikatnie. — A jaki był pański zawód, panie Crank?

— Robotnik dachowy. Rozległ się krzyk:

— Arturze Crank, w tej chwili złaź na dół!

Artur spojrzał na ulicę.

— A niech to, ściągnęli tu moją żonę — westchnął.

— Funkcjonariusz Fiddyment mówi, że… — odległe różowe oblicze pani Crank pochyliło się w stronę stojącego obok strażnika. — Że zakłócasz… handlowy… dobrobyt… miasta, ty stary durniu!

— Z żoną nie można się kłócić — stwierdził Artur z zakłopotaną miną.

— Następnym razem schowam ci portki, głupi staruchu! Złaź natychmiast, bo zobaczysz, jak oberwiesz!

— Trzy szczęśliwe lata małżeństwa — westchnął Artur i pomachał niewielkiej postaci w dole. — Pozostałe trzydzieści dwa też nie były takie złe. Ale nie umie gotować kapusty.

— Naprawdę? — zdziwił się William i jak we śnie runął do przodu. Ocknął się, leżąc na ziemi, tak jak tego oczekiwał, jednak wciąż w wersji trójwymiarowej, na co nie liczył. Uświadomił sobie, że nie jest martwy. Jedną z przesłanek tej tezy była twarz przyglądającego mu się kaprala Nobbsa. William uważał, że prowadził stosunkowo przyzwoite życie i gdyby umarł, nie powinien spotkać niczego o twarzy podobnej do kaprala Nobbsa — a to najgorsze, co może trafić w mundur, jeśli nie liczyć mew.

— Ach, żyje pan — stwierdził Nobbs z niejakim rozczarowaniem.

— Trochę… słabo się czuję — wymamrotał William.

— Jak pan chce, mogę panu zrobić sztuczne oddychanie usta–usta — zaproponował Nobbs.

Rozmaite mięśnie w ciele Williama skurczyły się spazmatycznie i szarpnięciem ustawiły ciało w pionie — tak gwałtownie, że stopy na moment oderwały się od ziemi.

— Już mi lepiej! — wykrzyknął.

— No bo uczyliśmy się tego na komendzie i jeszcze nie miałem okazji wypróbować…

— Zdrowy jak rydz! — wrzeszczał William.

— …ćwiczyłem na ręce i w ogóle…

— W życiu nie czułem się lepiej!

— Artur Crank stale robi takie numery — oświadczył strażnik. — Chce zdobyć trochę forsy na tytoń. Ale wszyscy klaskali, kiedy niósł pana na dół. Aż dziwne, że wciąż potrafi tak chodzić po rynnach.

William poczuł się dziwnie oszołomiony.

— Naprawdę…?

— I świetnie było, kiedy zacząłeś pan rzygać. Znaczy, z czwartego piętra wyglądało to całkiem ładnie. Ktoś powinien zrobić obrazek…

— Muszę już iść! — wykrzyknął William.

Chyba zwariowałem, myślał, idąc w stronę Błyskotnej. Dlaczego to zrobiłem, u demona? Przecież to nie moja sprawa… Tyle że, jeśli się chwilę zastanowić, teraz już tak.

* * *

Pan Tulipan czknął.

— Co teraz będziemy robić? — zapytał.

Pan Szpila zdobył plan miasta i teraz przeglądał go uważnie.

— Nie jesteśmy osiłkami w starym stylu, panie Tulipanie. Jesteśmy ludźmi myślącymi. Uczymy się. I to uczymy się szybko.

— To co będziemy teraz robić? — powtórzył pan Tulipan. Wcześniej czy później potrafił w końcu złapać, o co chodzi.

— Teraz wykupimy dla siebie niewielkie ubezpieczenie. Nie podoba mi się, żeby jakiś prawnik obrzucał nas błotem. Aha, jesteśmy. To druga strona uniwersytetu.

— Chcemy tu kupić jakąś magię? — zdziwił się pan Tulipan.

— Niedokładnie magię.

— Mówił pan chyba, że to miasto to …ona łatwizna.

— Ma swoje dobre strony, panie Tulipanie.

Pan Tulipan uśmiechnął się szeroko.

— …ona racja — przyznał. — Chcę wrócić do Muzeum Starożytności!

— Spokojnie, panie Tulipanie. Najpierw interesy, potem przyjemność.

— Chcę obejrzeć wszystko!

— Później. Później. Nie może pan poczekać dwudziestu minut, żeby nie wybuchnąć?

Mapa doprowadziła ich do Centrum Thaumatologicznego, po osiowej stronie uniwersytetu. Wciąż jeszcze było tak nowe, że nowoczesne budynki o płaskich dachach, laureaci wielu nagród Gildii Architektów, nie zaczęły nawet przepuszczać wody ani tracić szyb w oknach przy byle podmuchu.

Podjęto wysiłki, by najbliższą okolicę upiększyć za pomocą trawy i drzew. Ponieważ jednak Centrum Thaumatologiczne wzniesiono częściowo na dawnych terenach, znanych jako „nierealne nieruchomości", nie wszystko poszło zgodnie z planem. Obszar ten od tysięcy lat służył uniwersytetowi jako wysypisko. Pod murawą spoczywało o wiele więcej niż stare kości z baraniny — a magia wycieka. Na dowolnej mapie thaumicznych zanieczyszczeń nierealna nieruchomość byłaby środkiem niezwykle koncentrycznych okręgów.

Już teraz trawa stała się wielokolorowa, a niektóre drzewa sobie poszły.

Mimo to kwitło tu kilka firm — rezultat tego, co nadrektor, a przynajmniej ten, kto pisał mu przemówienia, nazwał „małżeństwem magii i nowoczesnego biznesu; w końcu dzisiejszy świat nie potrzebuje zbyt wielu zaczarowanych pierścieni ani magicznych mieczy; potrzebuje za to jakiejś metody, by pamiętać o umówionych spotkaniach. Właściwie to kupa bzdur, ale myślę, że wszyscy będą zadowoleni. Czy już pora na lunch?".

Jeden z produktów tego radosnego związku leżał teraz na ladzie przed panem Szpilą.

— To model Mk II — wyjaśnił mag, który cieszył się, że między nim a panem Szpilą jest lada. — To… samo wiodące ostrze thaumatologii.

— Świetnie! — ucieszył się pan Tulipan. — Lubimy …one ostrza.

— Jak to działa? — zainteresował się pan Szpila.

— Ma pomoc kontekstową — odparł mag. — Wystarczy, no… otworzyć wieczko.

Ku jego zgrozie w dłoni klienta magicznie pojawił się bardzo cienki nóż i nacisnął zaczep.

Wieczko odskoczyło. Mały zielony chochlik poderwał się na nogi.

— Bingely–bingely–bi…

Zamarł. Nawet stworzenie zbudowane z cząstek biothaumicznych zawaha się, czując nóż na gardle.

— Co to jest, do demona? — zdziwił się pan Szpila. — Mówiłem, że chcę czegoś, co słucha!

— On słucha, bardzo uważnie słucha — zapewnił pospiesznie mag. — Ale umie też mówić.

— Niby jak? Bingely–bingely?

Chochlik odchrząknął nerwowo.

— Gratuluję! — powiedział. — Stałeś się szczęśliwym nabywcą De–Terminarza Mk II, najnowocześniejszego produktu biothaumaturgicznego, wyposażonego w niezliczone użyteczne funkcje i całkiem niepodobnego do Mk I, który mogłeś niechcący zniszczyć, nadeptując na niego całym ciężarem.

I dodał:

— Urządzenie to dostarczane jest bez żadnej gwarancji dotyczącej jego niezawodności, dokładności, istnienia lub nie oraz przydatności do dowolnego konkretnego celu, a Produkty Bioalchemiczne w szczególności nie gwarantują, poręczają, sugerują ani nie wyrażają opinii na temat użytkowania swego produktu do jakichkolwiek zastosowań, jak również nie ponoszą żadnej odpowiedzialności prawnej ani materialnej wobec ciebie ani dowolnej innej osoby, istoty czy bóstwa za jakiegokolwiek rodzaju straty czy zniszczenia spowodowane przez to urządzenie lub obiekt albo przez jakiekolwiek próby zniszczenia go metodą uderzania o ścianę, zrzucania do głębokiej studni lub dowolnymi innymi środkami, a ponadto stwierdzają, że zgodę na niniejszą umowę albo dowolną inną umowę, która ją zastąpi, wyrażasz, zbliżając się na odległość do pięciu mil od produktu, obserwując go przez potężne teleskopy lub dowolną inną metodą, ponieważ jesteś kretynem, który tak łatwo daje się zagadać, że przy kawałku złomu z wysoką ceną z radością akceptuje aroganckie i jednostronne warunki, których nie przyjąłby nawet przy torbie psich chrupek i używany jest na wyłączne ryzyko nabywcy. Chochlik odetchnął głęboko.

— Czy mogę teraz zaprezentować ci, Tu Wstaw Swoje Imię, pozostałą część szerokiego wyboru moich interesujących i zabawnych dźwięków?

Pan Szpila zerknął na pana Tulipana.

— Dobrze.

— Na przykład mogę mówić „Tra–la!”.

— Nie.

— Rozweselający głos trąbki?

— Nie.

— „Ding!”?

— Nie.

— Mogę też przyjąć instrukcję, by podczas wykonywania rozmaitych czynności wygłaszać śmieszne i rozpraszające komentarze.

— Dlaczego?

— No… niektórzy lubią, kiedy mówimy na przykład „Wrócę tu, kiedy znowu otworzysz pudełko” albo coś w tym rodzaju…

— A czemu w ogóle wydajesz dźwięki? — zapytał pan Szpila.

— Ludzie lubią dźwięki.

— My nie — oświadczył pan Szpila.

— Doskonale! Mogę zagwarantować mnóstwo ciszy — obiecał chochlik. Ale samobójcze oprogramowanie zmusiło go, by mówił dalej. — A czy masz ochotę na inny schemat kolorystyczny?

— Co?

— Jaki mam mieć kolor? Czego byś chciał? — Kiedy to mówił, jedno z długich uszu powoli zmieniło barwę na fioletową, a nos nabrał nieco irytującego odcienia błękitu. .

— Nie chcemy żadnych kolorów — rzekł pan Szpila. — Nie chcemy dźwięków. Nie chcemy wesołości. Chcemy tylko, żebyś robił, co ci się powie.

— A może poświęcicie krótką chwilę i wypełnicie kartę rejestracyjną? — zaproponował desperacko chochlik.

Ciśnięty z prędkością atakującego węża nóż wytrącił mu kartę z dłoni i przybił ją do lady.

— Ale możecie też odłożyć to na później…

— Ten człowiek… — zaczął pan Szpila. — Gdzie on się podział? Pan Tulipan sięgnął pod ladę i wyciągnął maga.

— Ten człowiek twierdzi, że jesteś z tych chochlików, które umieją powtórzyć wszystko, co słyszały.

— Tak, panie Tu Wstaw Swoje Imię.

— I niczego nie wymyślasz?

— One nie mogą nic dodać od siebie. — Mag oddychał z trudem. — Absolutnie nie mają wyobraźni.

— Więc jeśli ktoś tego wysłucha, będzie na pewno wiedział, że to prawda?

— Tak, na pewno.

— Wygląda na to, że właśnie czegoś takiego szukaliśmy — uznał pan Szpila.

— A jak będą panowie płacić? — zainteresował się mag.

Pan Szpila pstryknął palcami. Pan Tulipan wypiął pierś, wyprostował ramiona i z trzaskiem zacisnął pięści, które przypominały dwie torby różowych orzechów.

— Zanim zaczniemy mówić o …onej zapłacie — rzekł — chcielibyśmy pogadać z typem, który ułożył tę …oną gwarancję.

* * *

To, o czym William musiał teraz myśleć jak o swoim gabinecie, bardzo się zmieniło. Dawne wieszaki z pralni, rozczłonkowane konie na biegunach i inne śmieci zniknęły bez śladu, a na środku pomieszczenia stały dwa zsunięte biurka.

Były bardzo stare i odrapane, a żeby powstrzymać je od kiwania, należało — wbrew zdrowemu rozsądkowi — wsunąć kawałki złożonej tekturki pod wszystkie cztery nogi.

— Znalazłam je w sklepie z rzeczami używanymi — wyjaśniła nerwowo Sacharissa. — Nie były bardzo drogie.

— Tak, to widać. Hm… panno Cripslock… zastanawiałem się… Pani dziadek potrafi wygrawerować obrazek, prawda?

— Tak, oczywiście. Dlaczego jest pan cały ubłocony?

— A gdybyśmy zdobyli ikonograf i nauczyli się go używać — ciągnął William, ignorując jej pytanie — mógłby wygrawerować obrazek, który namaluje chochlik?

— Myślę, że tak.

— A zna pani w mieście jakichś dobrych ikonografów?

— Mogę popytać. Co się panu stało?

— Och, było zagrożenie samobójstwem przy Radosnym Mydle.

— Coś z tego wyszło? — Sacharissa wydawała się zaskoczona tonem własnego głosu. — To znaczy, oczywiście, nie chciałabym, żeby ktoś zginął, ale właściwie… mamy jeszcze sporo

miejsca…

— Coś chyba uda się z tego zrobić. On, no… ocalił życie człowieka, który wszedł na górę, żeby go namówić do zejścia.

— Co za odwaga! Zanotował pan nazwisko tego człowieka, który wszedł za nim na górę?

— Nie. To był taki… Tajemniczy Mężczyzna.

— Tak, to już coś. Kilka osób czeka na spotkanie z panem na zewnątrz — poinformowała Sacharissa. Zajrzała do notesu. — Jest człowiek, który zgubił zegarek, zombi, który… nie mogłam zrozumieć, czego chce. Jest troll, który szuka pracy, i jeszcze ktoś, kto chce się poskarżyć na ten tekst o bójce Pod Załatanym Bębnem i zamierza odrąbać panu głowę.

— Ojej… No dobrze, po kolei.

Ten od zgubionego zegarka był łatwy.

— To był jeden z tych nowych, nakręcanych — tłumaczył. — Dostałem go od ojca. Szukałem przez cały tydzień!

— Właściwie to niezupełnie…

— Gdyby mógł pan napisać, że go zgubiłem, może ten, co znalazł, by go oddał? — powiedział mężczyzna z bezpodstawną nadzieją w głosie. — A ja zapłacę panu sześć pensów za fatygę.

Sześć pensów to sześć pensów. William zanotował parę słów.

Zombi okazał się trudniejszy. Przede wszystkim był szary, miejscami zielonkawy, i silnie pachniał płynem po goleniu o zapachu sztucznych hiacyntów. Niektóre z zombi odkryły, że ich szanse znalezienia przyjaciół w nowym życiu znacznie wzrosną, jeśli będą pachnieć kwiatami, zamiast po prostu pachnieć.

— Ludzie lubią słuchać i czytać o zmarłych — powiedział. Nazywał się pan Bendy i wymawiał to w taki sposób, by wyraźnie dać do zrozumienia, że „pan" jest ważną częścią nazwiska.

— Naprawdę?

— Tak — zapewnił z naciskiem pan Bendy. — Zmarli mogą być bardzo interesujący. Wydaje mi się, że ludzie będą zainteresowani czytaniem o zmarłych.

— Chodzi panu o nekrologi?

— No tak, przypuszczam, że tak. Mógłbym je pisać w interesujący sposób.

— Zgoda. Dwadzieścia pensów za każdy.

Pan Bendy kiwnął głową. Było jasne, że pisałby nawet za darmo. Wręczył Williamowi plik pożółkłych, szeleszczących kartek.

— Tu ma pan jeden interesujący. Na początek — powiedział.

— Tak? A czyj?

— Mój. Bardzo interesujący. Zwłaszcza ten kawałek, w którym umieram.

Następnym interesantem był rzeczywiście troll. Co niezwykłe u trolli, które zwykle noszą na sobie tylko tyle, by zadowolić tajemnicze ludzkie wymaganie przyzwoitości, ten miał garnitur. A w każdym razie obszerne rury z materiału, pokrywające całe ciało. „Garnitur" był jedynym sensownym określeniem.

— Jestem Rocky — wymamrotał ze spuszczoną głową. — Wezmę każdą robotę, szefie.

— A co robiłeś ostatnio? — zapytał William.

— Byłem bokserem, szefie. Ale nie podobało mnie się. Ciągle obrywałem.

— Umiesz pisać albo robić obrazki?

— Nie, szefie. Ale umiem nosić ciężkie rzeczy i umiem gwizdać piosenki, szefie.

— To… dobry talent, ale chyba nie…

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł mężczyzna o potężnych ramionach, ubrany w skóry. W ręku trzymał topór.

— Nie masz prawa wypisywać o mnie takich bzdur! — oznajmił, podsuwając Williamowi pod nos ostrze topora.

— Kim pan jest?

— Jestem Brezock Barbarzyńca i…

Mózg pracuje szybko, kiedy sądzi, że za moment zostanie rozcięty na polowy.

— Ach, jeśli chce pan złożyć skargę, musi pan się zwrócić do redaktora skarg, egzekucji i chłost — wyjaśnił William. — To pan Rocky, o ten.

— To ja — zahuczał z satysfakcją Rocky, kładąc przybyszowi dłoń na ramieniu. Właściwie to trzy palce, bo na tyle wystarczyło miejsca.

Brezock oklapł.

— Chciałem tylko… powiedzieć — rzekł powoli — że napisał pan, że walnąłem kogoś stołem. Nigdy bym tego nie zrobił. Co o mnie pomyślą, kiedy usłyszą, że biegam po mieście i walę ludzi stołami? Jak to wpłynie na moją reputację?

— Rozumiem.

— Dźgnąłem go nożem. Stół to broń dla maminsynków.

— Obiecuję, że wydrukujemy sprostowanie. — William sięgnął po ołówek.

— A nie mógłby pan dodać, że zębami urwałem ucho Siekaczowi Gadleyowi, co? Wszyscy by aż usiedli. Uszy to trudna robota.

Kiedy interesanci już wyszli, a Rocky zajął miejsce na stołku przed drzwiami, William i Sacharissa popatrzyli na siebie nawzajem.

— To był bardzo dziwny ranek — powiedział William.

— Sprawdziłam, jak było z tą zimą — pochwaliła się Sacharissa. — Była też nielicencjonowana kradzież u jubilera przy ulicy Rzemieślników. Ukradli dużo srebra.

— Jak się pani dowiedziała?

— Powiedział mi jeden z jubilerskich czeladników. — Sacharissa chrząknęła delikatnie. — On, tego… zawsze podchodzi, żeby ze mną pogawędzić, kiedy widzi, że mijam ich sklep.

— Naprawdę? Dobra robota!

— A kiedy tu na pana czekałam, wpadłam na pewien pomysł. Poprosiłam Gunillę, żeby to złożył.

Trochę wstydliwie przesunęła po blacie kartkę papieru.

— Lepsze wrażenie robi na samej górze strony — powiedziała zdenerwowana. — Co pan o tym myśli?

— A te sałatki owocowe, liście i zawijasy?

Sacharissa poczerwieniała.

— To ja zrobiłam. Takie nieoficjalne grawerstwo. Pomyślałam, że dzięki temu będzie wyglądać, no wie pan… imponująco i z klasą. Podoba się panu?

— Bardzo dobre — zapewnił William. — Ładne te… wiśnie…

— Winogrona…

— Tak, oczywiście, chciałem powiedzieć: winogrona. Skąd ten cytat? Jest bardzo znaczący, a jednocześnie, no… nie oznacza niczego konkretnego.

— Myślę, że to po prostu cytat — stwierdziła Sacharissa.

Pan Szpila zapalił papierosa i dmuchnął dymem we wciąż wilgotne powietrze piwniczki na wino. — Mam wrażenie, że nastąpiła tu jakaś przeszkoda w komunikacji — powiedział. — Przecież nie prosimy, żebyś nauczył się na pamięć jakiejś książki albo coś takiego. Masz tylko patrzeć na tego oto pana Tulipana. To takie trudne? Wielu ludzi to robi bez żadnego przeszkolenia.

— Ja… tak jakby… zgubiłem flaszkę — tłumaczył się Charlie. Pod jego stopami zabrzęczało kilka pustych butelek.

— Pan Tulipan nie jest przecież straszny — stwierdził pan Szpila. Musiał przyznać, że w tej chwili jest to kłamstwo wołające o pomstę do Dunmanifestin. Jego partner kupił porcję czegoś, co — jak przysięgał handlarz — było diabelskim pyłem, ale według pana Szpili wyglądało całkiem jak sproszkowany siarczan miedzi. Najwyraźniej zareagował z chemicznymi pozostałościami slabu, który pan Tulipan konsumował po południu, i zmienił jego zatoki w niewielki zasobnik elektryczności. Prawe oko pana Tulipana wirowało powoli, a z włosków w nozdrzach strzelały iskry.

— No, czy on wygląda przerażająco? — ciągnął pan Szpila. — Pamiętaj, jesteś lordem Vetinarim. Rozumiesz? Nie będziesz niczego wysłuchiwał od jakichś strażników. Jeśli zacznie ci odszczekiwać, tylko na niego popatrz.

— O tak — poradził pan Tulipan. Połowa jego twarzy rozbłyskiwała i gasła na przemian.

Charlie odskoczył.

— No, może niezupełnie tak — przyznał pan Szpila. — Ale blisko.

— Nie chcę już tego robić! — jęczał Charlie.

— Dziesięć tysięcy dolarów, Charlie. To dużo pieniędzy.

— Słyszałem o tym Vetinarim. Jeśli coś pójdzie nie tak, każe mnie wrzucić do jamy ze skorpionami!

Pan Szpila szeroko rozłożył ręce.

— No cóż, jama ze skorpionami nie jest aż tak zła, jak o niej mówią.

— To …ony piknik w porównaniu ze mną! — zahuczał pan Tulipan. Nos mu się zaświecił.

Oczy Charliego nerwowo szukały drogi wyjścia. Niestety, w jednym z nich błysnęła chytrość. Pan Szpila nienawidził obserwować Charliego, który usiłuje być sprytny. Przypominał wtedy psa, który próbuje grać na puzonie.

— Nie zrobię tego za dziesięć tysięcy dolarów — powiedział. — Znaczy… Jestem wam potrzebny…

Pozwolił, by słowa te zawisły w powietrzu. Właśnie tak pan Szpila miał ochotę postąpić z Charliem.

— Umówiliśmy się, Charlie — przypomniał.

— Niby tak, ale teraz uważam, że gra się toczy o dużo większe pieniądze.

— Co pan o tym myśli, panie Tulipanie?

Pan Tulipan otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zamiast tego kichnął. Wąska błyskawica uziemiła się na łańcuchu Charliego.

— Moglibyśmy się zgodzić na piętnaście tysięcy — uznał pan Szpila. — Chociaż musimy wtedy dołożyć z własnego udziału.

— No…

Charlie odsunął się jak najdalej od pana Tulipana, któremu włosy stały teraz sztorcem.

— Ale chcemy zobaczyć, że naprawdę się starasz, jasne? Od tej chwili. Masz tylko powiedzieć… No, co masz powiedzieć?

— „Zwalniam cię ze stanowiska, dobry człowieku. Możesz odejść".

— Tylko że nie tak powinno się to mówić. Prawda, Charlie? To jest rozkaz. Jesteś jego szefem. I musisz spoglądać na niego z wyższością. Jak ci to wyjaśnić… Jesteś sklepikarzem, prawda? Wyobraź sobie, że poprosił o kredyt.

* * *

Była szósta rano. Marznąca mgła trzymała miasto w duszącym uścisku.

Poprzez mgłę przychodzili… kuśtykali do hali prasy za Kubłem, a potem we mgle znikali na rozmaitych nogach, kulach i kółkach.

— Pus — Mrpikeerah!

Lord Vetinari usłyszał wołanie i znowu posłał do bramy nocnego sekretarza.

Zauważył tytuł. Uśmiechnął się do motta. Przeczytał słowa:

TO NAJOSTRZEJSZA ZIMA
W LUDZKIEJ PAMIĘCI
– I TO OFICJALNA WIADOMOŚĆ

Dr Fettle Dodgast (132) z Niewidocznego Uniwersytetu powiedział „Pulsowi": „Nie pamiętam, żeby było zimniej. Ale uważam, że nie mamy już takich zim jak wtedy, kiedy byłem ½ młody".

Sople długie jak męskie ramię były widziane na rynnach w całym mieście i zamarzło wiele pomp.

Dr Dodgast (132) stwierdził, że zima jest gorsza niż ta z 1902, kiedy wilki zaatakowały misto. Dodał: „I żeśmy się ucieszyli, bo od dwóch tygodni nie widzieliśmy świeżego mięsa".

...

Pan Josia Wintler (45) z Mirtbury 12b posiada %Zabewne Warzywo, które okaże wszystkim chętnym po wniesieniu niewielkiej kwoty. Bardzo jest śmieszne.

...

Pan Clarence Harry (39) prosi, by poinformować czytelników, iż zgubił cenny zegarek, prawdopodobnie w okolicy Sióstr Dolly. Nagroda dla znalazcy. Proszę się zgłosić do biura „Pulsu".

...

Niniejsza publikacja zatrudni ikonografika z własynm sprzęptem. Chętni proszeni o vizytę w biurze „Pulsu", pod znakiem Kubła.

...

Złoczyńca ukradł srebro wartości 200 $ od H. Hoglanda i Syna, jubilerów z ul. Żadnejtakiej wczoraj po południu. Pan Hogland (32), któremu grożono nożem, powiedział „Pulsowi": „Rozpoznam tego człowieka, jeśli go zobaczę, ponieważ niewielu ludzi ma na głowie wyłogi".

Lord Vetinari się uśmiechnął.

Ktoś zastukał cicho do drzwi. Vetinari spojrzał na zegar.

— Wejść — powiedział.

Nic się nie stało. Po kilku sekundach pukanie rozległo się znowu.

— Proszę wejść.

Jeszcze raz zapadła ciężka cisza.

Lord Vetinari dotknął pozornie całkiem zwyczajnej części blatu swojego biurka. Długa szuflada wysunęła się z czegoś, co wydawało się litą orzechową płytą. Wyjechała na zewnątrz jakby na oleju. Zawierała kilka wąskich narzędzi na czarnym aksamicie, a do opisu dowolnego z nich koniecznie by należało użyć słowa „ostry".

Wybrał jedno. Trzymając je swobodnie przy boku, podszedł bezgłośnie do drzwi i nacisnął klamkę. Odstąpił szybko, na wypadek gdyby ktoś nagle rzucił się do wnętrza.

Nikt ich nie popchnął. Po chwili drzwi, reagując na nierówne ułożenie zawiasów, odchyliły się do środka.

* * *

Pan Mackleduff wygładził papier. Przez wszystkich zasiadających przy śniadaniu było przyjęte, że jako człowiek, który kupuje „Puls", staje się nie tylko jego właścicielem, ale wręcz jego kapłanem, który przekazuje treści zasłuchanym tłumom.

— Piszą tu, że jakiś człowiek przy Mirtbury wyhodował warzywo o zabawnym kształcie — powiedział.

— Bardzo chciałabym je zobaczyć — oświadczyła pani Arcanum. Trochę dalej przy stole ktoś zakaszlał gwałtownie. — Dobrze się pan czuje, panie de Worde? — spytała, gdy pan Prone uderzył Williama w kark.

— Tak, tak, zupełnie dobrze — wykrztusił William. — Przepraszam. Herbata poleciała nie do tej dziurki.

— W tamtej części miasta mają dobrą glebę — ocenił pan Cartwright, wędrowny sprzedawca nasion.

William skupił się na swojej grzance. Tymczasem ponad jego głową każda wiadomość była prezentowana starannie i z szacunkiem godnym świętej relikwii.

— Ktoś groził nożem właścicielowi sklepu — oznajmił pan Mackleduff.

— Niedługo we własnych łóżkach nie będziemy bezpieczni — stwierdziła pani Arcanum.

— Nie wydaje mi się, żeby to była najbardziej mroźna zima od ponad stu lat — wtrącił pan

Cartwright. — Jestem prawie pewien, że ta sprzed dziesięciu lat była jeszcze gorsza. Prawie zupełnie zrujnowała mi sprzedaż.

— Bardzo dziwny był ten nekrolog, który pan nam przeczytał — zauważyła pani Arcanum. William bez słowa pokiwał głową nad jajkiem na miękko. — To chyba nie jest typowe, żeby opowiadać, co ktoś robił, kiedy już umarł.

Pan Długoszyb, który był krasnoludem i zajmował się czymś związanym z jubilerstwem, wziął kolejną grzankę.

— Różni bywają — stwierdził spokojnie.

— Ale miasto rzeczywiście robi się nieco zatłoczone — oświadczył pan Windling, który wykonywał jakąś nieokreśloną funkcję urzędniczą. — Zombi przynajmniej są ludźmi. Nikogo nie urażając, oczywiście.

Pan Długoszyb uśmiechnął się blado, smarując grzankę masłem. William się zastanowił, czemu nie lubi ludzi, którzy mówią „nikogo nie urażając". Pewnie dlatego że łatwiej im powiedzieć „nikogo nie urażając", niż powstrzymać się od urażania.

— Cóż, musimy chyba nadążać za nowymi czasami — westchnęła pani Arcanum. — Mam nadzieję, że ten drugi biedak znajdzie swój zegarek.

Istotnie, pan Harry czekał przed biurem, kiedy dotarł tam William. Chwycił go za rękę i uścisnął mocno.

— Zadziwiające, drogi panie, zadziwiające! — zawołał. — Jak pan tego dokonał? To jakaś magia. Wydrukował pan to zawiadomienie, a kiedy wróciłem do domu, niech mnie demon, jeśli zegarek nie znalazł się w kieszeni drugiego surduta! Niech bogowie błogosławią pański „Puls", powiadam!

W środku Gunilla przekazał Williamowi wiadomości. Dzisiaj od rana sprzedało się osiemset egzemplarzy. Po pięć pensów od sztuki. Część Williama wynosiła szesnaście dolarów. W pensówkach był to spory stos pieniędzy czekający na jego biurku.

— Szaleństwo — stwierdził William. — Przecież my tylko opisaliśmy różne wydarzenia.

— Pojawił się pewien kłopot, chłopcze — rzekł Dobrogór. — Będziesz chciał jutro wydać kolejny numer?

— Na bogów, mam nadzieję, że nie!

— W każdym razie mam dla ciebie historię — oświadczył ponuro krasnolud. — Słyszałem, że Gildia Grawerów montuje już własną prasę. I mają za sobą duże pieniądze. W dziedzinie

ogólnego druku możemy wypaść z interesu.

— A mogą to zrobić?

— Oczywiście. Już wcześniej używali pras. Czcionkę nietrudno wykonać, zwłaszcza jeśli ma się dość grawerów. Mogą naprawdę się postarać. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że tak szybko się do tego podłączą.

— Jestem zdumiony!

— No cóż, młodsi członkowie gildii widzieli produkcję docierającą tutaj z Omni i Imperium Agatejskiego. Okazuje się, że tylko czekali na taką szansę. Słyszałem, że w nocy odbyła się specjalna narada. Zmieniono obsadę kilku stanowisk.

— Na pewno warto byłoby to zobaczyć.

— Więc gdybyś mógł dalej wydawać swoje nowiny…

— Kiedy ja nie chcę tych wszystkich pieniędzy! — jęknął William. — Pieniądze ściągają kłopoty!

— Moglibyśmy sprzedawać „Puls" taniej — zaproponowała Sacharissa, spoglądając na niego dziwnie.

— Wtedy tylko zarobimy jeszcze więcej — odparł smętnie William.

— Moglibyśmy… więcej płacić ulicznym sprzedawcom.

— Ryzykowne — uznał Dobrogór. — Ile terpentyny może wypić jeden człowiek?

— No to przynajmniej moglibyśmy dopilnować, żeby dostawali solidne śniadanie — stwierdziła Sacharissa. — Porządny gulasz z określonego mięsa na przykład.

— Ale nie jestem nawet pewien, czy znajdzie się dość nowin, żeby wypełnić… — zaczął William i urwał.

Przecież to nie tak działało, prawda? Jeśli coś znalazło się na papierze, stawało się nowiną. Jeśli było nowiną, trafiało na papier, a jeśli trafiło na papier, było nowiną. I taka była prawda.

Przypomniał sobie rozmowy przy śniadaniu. „Oni" nie pozwoliliby tego napisać, gdyby to nie była prawda. Zgadza się?

William nie interesował się polityką. Ale odkrył, że kiedy myśli o „nich", uruchamia zapomniane mięśnie umysłu. Niektóre miały związek ze wspomnieniami.

— Można zatrudnić więcej ludzi, żeby pomagali zdobywać informacje — dodała Sacharissa. — A nowiny z innych miejsc? Z Pseudopolis i z Quirmu? Trzeba tylko porozmawiać z pasażerami wysiadającymi z dyliżansów…

— Krasnoludy chętnie przeczytają, co się dzieje w Überwaldzie i Miedziance. — Dobrogór pogładził się po brodzie.

— Dyliżans potrzebuje prawie tygodnia, żeby tam dojechać — przypomniał William.

— Co z tego? To nadal będą nowiny.

— Moglibyśmy chyba wykorzystać sekary — uznała Sacharissa.

— Wieże semaforowe? Oszalałaś? To kosztuje majątek!

— I co? Przecież pan się martwił, że mamy za dużo pieniędzy. Błysnęło światło. William odwrócił się na pięcie.

Na progu stał jakiś… obiekt. Miał trójnóg, zza którego widać było parę chudych nóg w czarnych nogawkach, a u góry duże czarne pudło. Jedno okryte czernią ramię wysuwało się zza niego, trzymając rodzaj niedużej skrzynki. Unosił się z niej dym.

— Ładne — odezwał się głos zza pudła. — Sviatło tak dobrze zię odbijało od hełmu kraznoluda, że nie mogłem zię povstrzymać. Szukaliście ikonografika? Nazyvam się Otto Chriek.

— Aha. Tak — odpowiedziała Sacharissa. — A znasz się na tym?

— Jestem pravdziwym magiem w ciemni. Cały czas eksperymentuję — zapewnił Otto Chriek. — Mam vłazny ekvipunek, a także entuzjastyczne i pozytyvne nastavienie.

— Sacharisso! — syknął z naciskiem William.

— Na początek możemy ci zapłacić dolara dziennie…

— Sacharisso!

— Tak? Co?

— To wampir!

— Muszę stanovczo zaprotestovać! — oświadczył schowany Otto. — Tak łatvo założyć, że vampirem jest każdy, kto móvi z übervaldzkim akcentem. Pravda? A przecież w Überwaldzie żyją tysiące ludzi nie będących vampirami!

William odruchowo machnął ręką, starając się ukryć zakłopotanie.

— No dobrze, przepraszam…

— Chociaż tak zię składa, że jestem vampirem — ciągnął Otto. — Ale gdybym poviedział: „Szanowanko, frajerzy i ty, laluniu, jak leci, ale numerek”, co byście wtedy pomyśleli?

— Uwierzylibyśmy bez zastrzeżeń.

— Poza tym v vaszym ogłoszeniu prosiliście o „vizytę”, vice pomyślałem, no viecie, że to taka akcja afirmatyvna — tłumaczy! Otto. — I mam jeszcze to…

Uniósł wąską, bladą dłoń pokrytą siatką błękitnych żyłek. Ściskał w niej lśniącą czarną wstążeczkę.

— Och… Podpisałeś ślubowanie? — spytała Sacharissa.

— W Sali Spotkań przy alei Jatek — oświadczył tryumfalnie Otto. — Co tydzień tam chodzę, śpiewamy pieśni, pijemy herbatę z ciasteczkiem i provadzimy zdrove rozmovy na tematy vzmacniania voli i utrzymyvania całej kvestii płynóv ustrojovych pod najściślejszą kontrolą. Nie jestem już głupią pijavką!

— Co o tym sądzisz, Dobrogór? — spytał William. Dobrogór poskrobał się w nos.

— Od was zależy — stwierdził. — Jeśli spróbuje czegokolwiek z moimi chłopakami, będzie musiał długo szukać własnych nóg. Co to za ślubowanie?

— Założyli Überwaldzką Ligę Wstrzemięźliwości — wyjaśniła Sacharissa. — Wampir wstępuje do nich i wyrzeka się ludzkiej krwi…

Otto zadrżał.

— Volimy to nazyvać „słovem na k".

— Słowa na k — poprawiła się. — Ten ruch zyskuje coraz większą popularność. Wiedzą, że to ich jedyna szansa.

— No więc… niech będzie — zdecydował William. Osobiście niespecjalnie lubił wampiry, ale wyrzucenie przybysza po tym wszystkim byłoby jak kopnięcie szczeniaczka. — Czy możesz przenieść swój sprzęt do piwnicy?

— Pivnica? — ucieszył się Otto. — Revelacja!

Najpierw przyszły krasnoludy, myślał William, wracając do swojego biurka. Obrażano je z powodu ich pilności i niskiego wzrostu, ale nie próbowały zadzierać nosa* i odnosiły sukcesy. Potem zjawiły się trolle, którym wiodło się trochę lepiej, bo ludzie rzadko rzucają kamieniami w stwory mające po siedem stóp wzrostu, które mogą te kamienie odrzucić. Następnie z trumien wyszły zombi. Jeden czy dwa wilkołaki przekradły się pod drzwiami. Gnomy zintegrowały się szybko, mimo marnego początku, ponieważ były twarde, a rozzłoszczone okazały się nawet bardziej niebezpieczne niż rozzłoszczone trolle — troll przynajmniej nie mógł wbiec człowiekowi do nogawki. Nie zostało już zbyt wiele gatunków.

Wampirom jakoś się nie udało. Nie były sympatyczne, nawet wobec siebie nawzajem, nie miały świadomości gatunkowej, były nieprzyjemnie dziwaczne i z całą pewnością nie prowadziły

* Co i tak byłoby dość trudne, jak podkreślały osoby nieuprzejme.

własnych sklepów spożywczych.

Ostatnio tym najbardziej inteligentnym zaświtało w głowach, że ludzie pogodzą się z obecnością wampirów, jeśli te przestaną być wampirami. Była to wysoka cena za społeczną akceptację — choć może nie aż tak wysoka w porównaniu z obcięciem głowy i wrzuceniem popiołów do rzeki. Lepiej już polubić stek tatarski*. Lepiej żyć, odwieszając na kołek dawne zwyczaje, niż ginąć od kołka wbitego w serce.

— Ehm… Ale chyba chcielibyśmy zobaczyć, kogo zatrudniamy — oznajmił głośno William.

Otto powoli i lękliwie wynurzył się zza obiektywu. Był chudy, blady i nosił owalne ciemne okulary. Czarną wstążeczkę wciąż ściskał w dłoni jak talizman, którym w pewnym sensie była.

— Spokojnie, przecież cię nie ugryziemy — powiedziała Sacharissa.

— Jeden uśmiech losu zasługuje na drugi — mruknął Dobro — gór.

— To było w złym smaku, panie Dobrogór — zwróciła mu uwagę Sacharissa.

— Tak jak i ja — odparł krasnolud, wracając do kamienia. — Byle tylko ludzie wiedzieli, gdzie stoję. To mi wystarczy.

— Nie pożałujecie — obiecał Otto. — Zapevniam, że jestem całkovicie zreformovany. Czego mam robić obrazki, jeśli volno spytać?

— Nowin — wyjaśnił William.

— A co to są noviny, jeśli volno?

— Nowiny to… — zaczął William. — Nowiny to… to coś, co drukujemy…

— Co o tym myślicie, a? — odezwał się wesoły głos.

William odwrócił głowę. Straszliwie znajoma twarz spoglądała na niego ponad tekturowym pudełkiem.

— Dzień dobry, panie Wintler — powiedział. — Ehm, Sacharisso, czy mogłabyś pójść…

Nie zdążył. Pan Wintler — należący do tych osób, które pierdzącą poduszkę uważają za szczyt inteligentnego dowcipu — nie mógł pozwolić, by powstrzymało go zwykłe lodowate przyjęcie.

— Dziś rano kopałem w ogródku i trafiłem na ten pasternak. No i pomyślałem: ten młody człowiek w drukarni pęknie ze śmiechu, kiedy to zobaczy, bo przecież moja żona nie mogła się powstrzymać i…

---

* Zresztą jedzenie surowego steku z ankhmorporskich rzeźni było życiem na krawędzi, pełnym ryzyka i emocji, które powinny zadowolić każdego.

Ku przerażeniu Williama sięgał już do pudełka.

— Panie Wintler, naprawdę nie uważam…

Ale dłoń już się wznosiła i zabrzmiał dźwięk, jakby coś skrobało o ściankę pudełka.

— Założę się, że młodą damę też to rozbawi, co?

William zamknął oczy.

Usłyszał westchnienie Sacharissy.

— Ojej — powiedziała. — Całkiem jak żywy!

Otworzył oczy.

— Och, to przecież nos — stwierdził. — Pasternak z tak jakby guzowatą twarzą i wielkim nosem!

— Chcecie, żebym vykonał obrazek? — spytał Otto.

— Tak. — William czuł się jak pijany z ulgi. — Zrobisz duży obrazek pana Wintlera i jego wspaniale nosiastego pasternaku, Otto. Twoje pierwsze zlecenie! Tak, rzeczywiście!

Pan Wintler się rozpromienił.

— A może pobiegnę do domu i przyniosę moją marchewkę? — zaproponował.

— Nie! — odpowiedzieli William i Dobrogór zgodnym chórem.

— Chcecie ten obrazek teraz? — zapytał Otto.

— Im szybciej nasz pan Wintler wróci do domu, tym szybciej będzie mógł znaleźć następną cudownie zabawną jarzynę. No jak, panie Wintler? Co to będzie następnym razem? Fasola z uszami? Burak w kształcie ziemniaka? Jakiś pęd z wielkim włochatym jęzorem?

— Dokładnie tu i teraz chcecie, żebym vykonał ten obrazek? — upewnił się Otto; każda sylaba aż ociekała entuzjazmem.

— W tej chwili, tak.

— Ha, właśnie dojrzewa mi brukiew, z którą wiążę spore nadzieje… — zaczął pan Wintler.

— Może pan tutaj spojrzeć, panie Vintler?

Otto stanął za ikonografem i odsłonił obiektyw. William zauważył wyglądającego na zewnątrz chochlika z gotowym do pracy pędzlem. Wolną ręką Otto powoli uniósł na kiju niedużą klatkę mieszczącą tłustą, senną salamandrę. Jego palec zawisł nad spustem, który miał opuścić jej na głowę mały młoteczek — akurat tak mocno, żeby ją zirytować.

— Uśmiech poproszę…

— Chwileczkę! — zawołała Sacharissa. — Czy wampir powinien…

Pstryk!

Salamandra rozbłysła, malując całą halę oślepiająco białym światłem i czarnymi cieniami.

Otto wrzasnął. Padł na podłogę, chwytając się za gardło. Poderwał się, dysząc ciężko i wytrzeszczając oczy; nogi się pod nim ugięły i zadygotały kolana; zatoczył się przez cały pokój i z powrotem. Runął za biurko, roztrzęsioną ręką zrzucając z niego papiery.

— Aarghaarghaaargh…

Potem zaległa pełna oszołomienia cisza. Otto wstał, otrzepał się i poprawił fular. Dopiero wtedy spojrzał na rząd zdumionych twarzy.

— Tak? — zapytał surowo. — Na co tak patrzycie? To normalna reakcja, nic więcej. Pracuję nad tym. Sviatło ve vszystkich jego formach jest moją pasją. Światło to moje płótno, a cienie zą moim pędzlem.

— Ale ostre światło ci szkodzi! — zdziwiła się Sacharissa. — Jest zabójcze dla wampirów!

— Tak. Trochę to przeszkadza, ale co robić…

— I to się, no… zdarza za każdym razem, kiedy robisz obrazek? — domyślił się William.

— Nie, czasami byva o viele gorzej.

— Gorzej?

— Czasami rozsypuję się v pył. Ale co nas nie zabija, to nas vzmacnia.

— Wzmacnia?

— Tak jest!

William pochwycił spojrzenie Sacharissy. Jej mina mówiła wszystko. Zatrudniliśmy go, masz serce teraz go wyrzucić? I nie żartuj z jego iiberwaldzkiego akcentu, jeśli naprawdę dobrze nie znasz überwaldzkiego. Zgoda?

Otto poprawił ikonograf i wsunął czystą kartkę.

— Jeszcze jedno ujęcie — powiedział wesoło. — Ale tym razem… vszyscy uśmiech!

* * *

Przychodziły listy. William był przyzwyczajony do pewnej ich liczby, zwykle od odbiorców swojego pisma z wiadomościami, którzy się skarżyli, że nie wspomniał o dwugłowych olbrzymach, plagach i deszczach zwierząt domowych, które — jak słyszeli — nawiedzały Ankh–Morpork. Jego ojciec miał rację, kiedy mówił, że kłamstwa mogą obiec świat dookoła, zanim

jeszcze prawda zdąży wciągnąć buty. I zadziwiające, jak bardzo ludzie chcieli w nie wierzyć.

Te listy… Miał wrażenie, że potrząsnął drzewem i strącił z gałęzi całe listowie. Kilka zawierało skargi, że zdarzały się przecież zimy o wiele ostrzejsze od obecnej, choć żadne dwa nie mogły się zgodzić co do tego, kiedy to było. Jeden stwierdzał, że jarzyny nie są już takie zabawne jak kiedyś, zwłaszcza pory. Jeszcze inny pytał, co robi Gildia Złodziei w sprawie nielicencjonowanych kradzieży. Był też jeden oznajmiający, że wszystkie te kradzieże to wina krasnoludów, których nie powinno się wpuszczać do miasta, by odbierały uczciwym ludziom pracę.

— Złóżcie jakiś tytuł, na przykład „Listy" na górze, i wydrukujcie je — zdecydował William. — Z wyjątkiem tego o krasnoludach. Tak mógł napisać pan Windling. Ba, tak mógł napisać mój ojciec, tyle że on przynajmniej wie, jak się pisze „niepożądane", i nie używałby kredek.

— Dlaczego ten list nie?

— Bo jest obraźliwy.

— Ale niektórzy uważają, że to prawda — stwierdziła Sacharissa. — Były spore kłopoty…

— Tak, lecz nie powinniśmy go drukować.

William zawołał Dobrogóra i pokazał mu list. Krasnolud przeczytał.

— Wydrukuj — poradził. — Zawsze zajmie parę cali.

— Ale ludzie będą protestować.

— To dobrze. Ich listy też wydrukujesz.

Sacharissa westchnęła.

— Chyba będą nam potrzebne. Williamie, dziadek mówił, że nikt w gildii nie będzie grawerował dla nas ikonogramów.

— Dlaczego nie? Możemy sobie pozwolić na ich stawki.

— Nie jesteśmy członkami gildii. Sytuacja robi się nieprzyjemna. Powiesz Ottonowi?

William westchnął i podszedł do drabiny.

Krasnoludy wykorzystywały piwnicę jako sypialnię, z natury zadowolone, że mają podłogę nad głowami. Ottonowi pozwoliły zająć wilgotny kąt. Wampir go odgrodził, wieszając na sznurku starą szmatę.

— O, vitam, panie Villiamie — powiedział, przelewając coś cuchnącego z jednej butelki do drugiej.

— Wygląda na to, niestety, że nie znajdziemy nikogo, kto by grawerował twoje obrazki.

Na wampirze nie zrobiło to wrażenia.

— Tak, zastanawiałem zię nad tym.

— Dlatego przykro mi, ale…

— Żaden problem, panie Villiamie. Zavsze znajdzie zię sposób. — Jaki? Przecież nie umiesz grawerować, prawda?

— Nie, ale… Drukujemy przecież tylko czerń i biel, pravda? A papier jest biały zam z siebie, czyli drukujemy tylko to, co czarne, tak? Przyjrzałem zię, jak kraznoludy robią litery, wszędzie mają pełno tych kavałków metalu i… Vie pan, że graverzy graverują metal kvasem?

— Tak.

— No vice muszę tylko nauczyć chochliki malovać kvasem. Koniec problemu. Uzyskanie szarości vymagało trochę namysłu, ale mam już chyba…

— Chcesz powiedzieć, że potrafisz skłonić chochliki, by wytrawiały obrazki bezpośrednio na płytach?

— Tak. To jeden z takich pomysłóv, które zą oczyviste, kiedy już zię na nie vpadnie. — Otto westchnął tęsknie. — A ja myślę o świetle przez cały czas… cały… czas…

William niejasno przypominał sobie, co ktoś mu kiedyś powiedział: jedyną rzeczą groźniejszą od wampira oszalałego na punkcie krwi jest wampir oszalały na punkcie czegoś innego. Cała ta skrupulatna determinacja, skierowana na wyszukiwanie młodych kobiet, które śpią przy otwartych oknach, z tą samą bezlitosną i staranną efektywnością kierowała się ku innym zainteresowaniom.

— A właściwie dlaczego pracujesz w zaciemnieniu? — zapytał.

— Przecież chochliki tego nie potrzebują.

— Ach, przeprowadzam eksperymenty — odparł z dumą Otto.

— Vie pan, że innym określeniem ikonografa byłby „fotograf? Od latacjańskiego słova „photus", które oznacza…

— „Skakać dookoła jak wariat i rozstawiać wszystkich po kątach, jakbyś był właścicielem"? — spytał William.

— Aha, zna pan to slovo, panie Villiamie!

William kiwnął głową. Zawsze się zastanawiał nad jego znaczeniem.

— V każdym razie pracuję teraz nad obscurografem.

William zmarszczył czoło. Zapowiadał się ciężki dzień…

— Malowanie obrazków ciemnością? — spróbował odgadnąć.

— Pravdzivą ciemnością, móviąc ściśle. — W głosie Ottona zabrzmiało podniecenie. — Nie zvykłym brakiem światła, ale światłem po drugiej stronie ciemności. Można je nazvać… żyvą ciemnością. My jej nie vidzimy, ale chochliki widzą. Czy vie pan, że übervaldzki węgorz lądovy, żyjący w głębokich jaskiniach, vystraszony emituje rozbłysk ciemnego światła?

William spojrzał na duży szklany słój na blacie. Na dnie leżało kilka paskudnych zwiniętych stworów.

— I to będzie działało?

— Chyba tak. Proszę chwilę zaczekać.

— Naprawdę powinienem już wracać…

— To potrva zekundę…

Otto delikatnie wyjął ze słoja jednego węgorza i umieścił go na podstawce, zwykle zajmowanej przez salamandrę. Starannie wymierzył w Williama ikonograf i skinął głową.

— Raz… dva… trzy… BUU! Nastąpił…

…nastąpiła jakby bezgłośna implozja, przelotne uczucie, że cały świat został ściśnięty w małą bryłę, zamrożony i rozbity na maleńkie ostre igiełki wbijane w każdą komórkę ciała Williama*. Potem znów napłynął mrok piwnicy.

— To było… bardzo dziwne — stwierdzi! William. Zamrugał. — Tak jakby przeszło przeze mnie coś lodowato zimnego.

— Viele jeszcze musimy zię nauczyć o ciemnym świetle. Zvłasz — cza teraz kiedy zostaviliśmy za sobą naszą odrażającą przeszłość i vkroczyliśmy v jazną przyszłość, v której całymi dniami w ogóle nie myślimy o słovie na k, ani razu — mówił Otto, majstrując przy ikonografie. Przyjrzał się uważnie obrazkowi namalowanemu przez chochlika, a potem zerknął na Williama. — No tak… vracamy do pracy.

— Mogę zobaczyć?

— Byłbym zakłopotany. — Otto odłożył prostokątny kartonik na swój prowizoryczny warsztat, rysunkiem w dół. — Cały czas robię coś źle.

— Ale naprawdę…

— Panie de Worde, cóś się dzieje!

Wołanie pochodziło od Rocky'ego, którego głowa przesłoniła otwór.

---

* Pod wieloma względami William de Worde miał bardzo bujną wyobraźnię.

— Co takiego?

— Cóś w pałacu. Kogosik zabili!

William skoczył do drabiny.

Sacharissa siedziała przy swoim biurku, całkiem blada.

— Ktoś zamordował Vetinariego? — spytał William.

— Eee… nie — odpowiedziała. — Nie… dokładnie.

Pod nimi, w piwnicy, Otto Chriek sięgnął po malowany w ciemnym świetle ikonogram i przyjrzał mu się ponownie. Po chwili poskrobał go długim, bladym palcem, jakby próbował coś usunąć.

— Dzivne… — powiedział.

Chochlik sobie tego nie wyobraził, to pewne. Chochliki nie miały żadnej wyobraźni. Nie potrafiły kłamać.

Rozejrzał się nieufnie po mrocznej piwnicy.

— Jest tu kto?! — zawołał. — Ktoś tu zię bavi w chovanego?

Na szczęście nikt nie odpowiedział.

Ciemne światło… Istniało wiele teorii na temat ciemnego światła…

— Otto!

Uniósł głowę, wsuwając obrazek do kieszeni.

— Słucham, panie Villiamie?

— Weź swoje rzeczy i chodź ze mną! Lord Vetinari kogoś zamordował! No… podobno — dodał szybko William. — To przecież nie może być prawda!

* * *

William miał czasem wrażenie, że cała populacja Ankh–Morpork to tłum, który tylko czeka, żeby się zebrać. Na ogół pokrywa miasto cienką warstwą, niczym jakaś ogromna ameba. Ale kiedy tylko coś się gdzieś wydarzy, skupia się wokół tego punktu jak komórka wokół drobiny pożywienia. I wypełnia ulice ludźmi.

Teraz gromadził się przed główną bramą pałacu. Ludzie przybywali pozornie całkiem przypadkowo. Jakaś grupka zwracała na siebie uwagę, przyciągała nowych i stawała się większą grupą. Wozy i karety przystawały, by sprawdzić, co się dzieje. Niewidzialna bestia rosła z każdą

chwilą.

Przy bramie zamiast gwardii pałacowej stali strażnicy. To był poważny kłopot. „Przepuśćcie mnie, jestem wścibski" nie należało do żądań mogących liczyć na spełnienie. Brakowało mu pewnego autorytetu.

— Czemu zię zatrzymaliśmy? — zapytał Otto.

— Ten przy bramie to sierżant Detrytus — odparł William.

— Aha. Troll. Bardzo głupi — ocenił Otto.

— Ale niełatwo go oszukać. Obawiam się, że będę musiał powiedzieć prawdę.

— Dlaczego to ma zię udać?

— Jest policjantem. Policjanci zwykle tracą orientację wobec prawdy. W końcu nieczęsto ją słyszą.

Wielki troll patrzył obojętnie, jak William się zbliża. Było to perfekcyjne spojrzenie policjanta. Niczego nie zdradzało. Mówiło: Widzę cię, a teraz czekam, żeby zobaczyć, co zrobisz źle.

— Dzień dobry, sierżancie — rzucił William.

Skinieniem głowy troll sugerował, że wobec posiadanych dowodów skłonny jest uznać, że istotnie trwa dzień i że w pewnych okolicznościach może być przez niektóre osoby uważany za dobry.

— Muszę się pilnie zobaczyć z komendantem Vimesem.

— Tak?

— Tak. W samej rzeczy.

— A czy on musi się pilnie zobaczyć z tobą? Jesteś de Worde, tak?

— Tak. Pracuję dla „Pulsu".

— Nie czytam tego — oświadczył troll.

— Naprawdę? Wypuścimy specjalne wydanie z dużym drukiem.

— To był bardzo śmieszny żart — uznał Detrytus. — Ale tak już jest, że choć ze mnie tępak, to właśnie ja tu stoję i mówię, że masz zostać przed bramą, więc… Co robi ten wampir?

— Proszę zię nie ruszać przez zekundę! — zawołał Otto.

ŁUUMPF!

— …szlagszlagszlag!

Detrytus patrzył, jak Otto przetacza się z wrzaskiem po bruku.

— O co mu chodzi? — zapytał po chwili.

— Zrobił obrazek ciebie, jak nie pozwalasz mi wejść — odparł William.

Detrytus, choć urodził się powyżej linii wiecznych śniegów na jakiejś dalekiej górze, choć do piątego roku życia nie widział człowieka, był jednak policjantem aż po czubki swych kanciastych, zwisających do ziemi palców. I zareagował odpowiednio.

— Nie można tak robić — oznajmił.

William sięgnął po notes i wzniósł ołówek nad kartką.

— Czy zechcesz wytłumaczyć moim czytelnikom, dlaczego nie można?

Detrytus rozejrzał się, trochę zaniepokojony.

— A gdzie oni są?

— Zapiszę, co mówisz.

Podstawy działań policyjnych znowu przyszły Detrytusowi z pomocą.

— Nie można tak robić.

— W takim razie czy mogę zapisać, dlaczego nie mogę niczego zapisywać? — spytał William, uśmiechając się uprzejmie.

Detrytus uniósł rękę i przesunął małą dźwigienkę z boku hełmu. Ledwie słyszalny furkot stał się odrobinę głośniejszy. Troll miał hełm z nakręcanym wentylatorem, który dmuchał powietrzem na jego krzemowy mózg, kiedy przegrzanie groziło zmniejszeniem sprawności działania. W tej chwili najwyraźniej potrzebował chłodnej głowy.

— Aha. To jakaś polityka, co? — zapytał.

— Um… Możliwe. Przykro mi.

Otto wstał chwiejnie i znowu majstrował coś przy ikonografie. Detrytus podjął decyzję. Skinął na funkcjonariusza.

— Fiddyment, zaprowadzicie tych… dwóch do pana Vimesa. Mają po drodze nie spaść z żadnych schodów i w ogóle.

Pan Vimes, myślał William, kiedy maszerowali za strażnikiem. Wszyscy w straży tak go nazywają. Ten człowiek był szlachcicem, a teraz jest diukiem, ale oni mówią o nim „pan Vimes". I to „pan" wymawiane jest starannie, z naciskiem, nie jak jakiś przydomek bez znaczenia, odruchowo dodawany do nazwiska. To był „pan", którego człowiek używał, kiedy chciał powiedzieć „Odłóż pan tę kuszę i odwróć się bardzo powoli". Zastanawiał się dlaczego.

William nie został wychowany w szacunku dla straży. Ci ludzie nie należeli do jego klasy.

Owszem, uznawano, że są przydatni — jak psy pasterskie, ponieważ oczywiście ktoś musiał utrzymywać porządek wśród ludu, ale przecież tylko głupiec by pozwalał owczarkowi spać w salonie. Straż, innymi słowy, była niestety koniecznym podzbiorem klas przestępczych, części populacji nieoficjalnie definiowanej przez lorda de Worde jako ci o dochodach mniejszych niż tysiąc dolarów rocznie.

Rodzina Williama i wszyscy ich znajomi mieli także w myślach wyraźną mapę miasta podzielonego na te części, gdzie spotyka się godnych obywateli, i inne, gdzie żyją przestępcy. Było dla nich prawdziwym szokiem… nie, poprawił się w myślach William, było afrontem odkrycie, że Vimes posługuje się całkiem inną mapą. Najwyraźniej polecił swoim ludziom, by zjawiając się w dowolnej rezydencji, korzystali z drzwi frontowych, nawet w biały dzień, choć przecież zwykły zdrowy rozsądek podpowiadał, że powinni używać wejścia kuchennego, jak każdy inny służący czy dostawca*. Ten człowiek po prostu nie umiał się zachować.

To, że Vetinari uczynił go diukiem, stanowiło tylko kolejny dowód, że traci kontakt z rzeczywistością.

William odruchowo chciał więc polubić Vimesa, choćby z powodu wrogów, jakich sobie narobił. O ile jednak mógł się zorientować, wszystko na temat tego człowieka należałoby poprzedzać słowem „fatalnie” — tak się wyrażał, tak był wykształcony, a wyglądał, całkiem jakby potrzebował drinka.

Fiddyment zatrzymał się w wielkim pałacowym holu.

— Nigdzie się stąd nie ruszajcie i niczego nie róbcie — ostrzegł. — Pójdę i…

Ale Vimes schodził już szerokimi schodami razem z jakimś olbrzymem, w którym William rozpoznał kapitana Marchewę.

Do Vimesowej listy można było dodać jeszcze: fatalnie ubrany. Nie chodzi o to, że nosił marne ubrania. Zdawało się jednak, że generuje wewnętrzne pole zaniedbania. Ten człowiek mógł pomiąć nawet hełm.

Fiddyment spotkał się z nimi w połowie schodów. Nastąpiła prowadzona szeptem konwersacja, z której wzniosły się jednoznacznie niechętne, wypowiedziane przez Vimesa słowa „On co?!”. Komendant spojrzał ponuro na Williama, a wyraz jego twarzy mówił jasno: To był fatalny dzień, a teraz jeszcze ty…

---

* Ludzie z klasy Williama uważali, że sprawiedliwość jest jak węgiel czy ziemniaki: człowiek zamawia ją, kiedy jest mu potrzebna.

Po chwili Vimes zszedł na sam dół i zmierzył Williama niechętnym wzrokiem.

— Czego pan chce? — zapytał.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tu zaszło, bardzo proszę.

— Dlaczego?

— Ponieważ ludzie chcą wiedzieć.

— Ha! Dowiedzą się aż za szybko.

— Ale od kogo?

Vimes obszedł Williama dookoła, jakby badał jakiś dziwny i nieznany obiekt.

— Jesteś chłopakiem lorda de Worde, tak?

— Tak, wasza łaskawość.

— Wystarczy: komendancie — rzucił ostrym tonem Vimes. — I wydajesz ten swój plotkarski papier, tak?

— Mniej więcej, proszę pana.

— Co takiego zrobiłeś sierżantowi Detrytusowi?

— Ja tylko zapisałem to, co on mówił…

— Aha, pogroziłeś mu piórem, co?

— Nie rozumiem.

— Robić notatki na ludzi… No, no… Takie numery ściągają tylko kłopoty.

Vimes przestał chodzić wokół Williama. Teraz przyglądał mu się ponuro z odległości kilku cali, co wcale nie było lepsze.

— Ten dzień nie był przyjemny — oświadczył. — A będzie o wiele gorszy. Dlaczego miałbym tracić czas na rozmowę z tobą?

— Mogę podać jeden rozsądny powód — zaproponował William.

— No to mów.

— Powinien pan ze mną porozmawiać, żebym ja mógł to wszystko zapisać. Równo i poprawnie. Słowa, które pan powie, prosto na papier. I zna mnie pan, więc jeśli coś pomieszam, będzie pan wiedział, gdzie mnie szukać.

— Tłumaczysz mi, że powinienem robić, co chcesz, żebyś mógł robić, co chcesz?

— Mówię tylko, proszę pana, że kłamstwo zdąży obiec świat dookoła, zanim prawda wciągnie buty.

— Tak? Właśnie to wymyśliłeś?

— Nie, proszę pana. Ale wie pan, że tak właśnie jest.

Vimes w zamyśleniu ssał cygaro.

— I dasz mi przeczytać, co zapisałeś?

— Oczywiście. Dopilnuję, żeby trafił do pana jeden z pierwszych egzemplarzy, prosto spod prasy.

— Chodziło mi o to, że zanim to wydrukujesz. I wiesz o tym dobrze.

— Prawdę mówiąc, nie, nie sądzę, że powinienem, proszę pana. — Jestem komendantem straży, mój chłopcze.

— Tak, proszę pana. A ja nie. I wydaje mi się, że o to właśnie chodzi, chociaż postaram się jeszcze nad tym popracować.

Vimes wpatrywał się w niego odrobinę zbyt długo. A potem powiedział trochę innym tonem:

— Lord Vetinari został zauważony przez trzy sprzątaczki ze stałej służby pałacowej, bez wyjątku uczciwe i godne szacunku damy, które dzisiaj o siódmej rano zaalarmowało szczekanie psa jego lordowskiej mości. Lord Vetinari powiedział… — Vimes sprawdził w swoim notesie. — „Zabiłem go, zabiłem, tak mi przykro". Zobaczyły też coś, co wyglądało całkiem jak leżące na podłodze ciało. Lord Vetinari trzymał nóż. Zbiegły na dół, żeby kogoś sprowadzić, a kiedy wróciły, jego lordowska mość zniknął. Ciało należało do Rufusa Drumknotta, osobistego sekretarza Patrycjusza. Został ugodzony nożem i jest ciężko ranny. Przeszukano teren i odnaleziono lorda Vetinariego w stajniach. Leżał nieprzytomny na podłodze. Koń był osiodłany. W jukach znajdowało się… siedemdziesiąt tysięcy dolarów… Kapitanie, przecież to idiotyczne!

— Wiem, sir — zgodził się Marchewa. — Ale takie są fakty, sir.

— Ale to nie są właściwie fakty! To idiotyczne fakty!

— Wiem, sir. Nie wyobrażam sobie, żeby jego lordowska mość próbował kogoś zabić.

— Oszalał pan? — zdumiał się Vknes. — Nie wyobrażam sobie, żeby mówił, że mu przykro.

Odwrócił się i znów spojrzał na Williama, jakby zdziwiony, że nadal tu jest.

— Tak? — zapytał.

— Dlaczego jego lordowska mość był nieprzytomny?

Vimes wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że próbował wsiąść na konia. Kuleje na jedną nogę. Może spadł… Nie mogę uwierzyć, że coś takiego mówię. W każdym razie to jest twoja informacja. Rozumiesz?

— Chciałbym mieć pański ikonogram, jeśli można — poprosił William.

— Po co?

William myślał szybko.

— To upewni obywateli, że zajął się pan tą sprawą i osobiście prowadzi śledztwo, komendancie. Mój ikonografik czeka na dole. Otto!

— Na bogów, przecież to wam… — zaczął Vimes. — Jest czarnowstążkowcem, sir — szepnął Marchewa. Vimes przewrócił oczami.

— Dzień dobry! — zawołał Otto. — Proszę zię nie ruszać, tworzycie bardzo ładny układ świateł i cieni.

Kopnięciem rozstawił nogi statywu, zajrzał do ikonografii i wzniósł klatkę z salamandrą.

— Proszę spojrzeć tutaj… Pstryk!

ŁUUMPF!

— …oż szla — ag…

Pyl spłynął na posadzkę. W jego chmurze opadła spiralą czarna wstążeczka.

Zapadła cisza. Dopiero po chwili odezwał się Vimes.

— Co się z nim stało, u demona?

— Myślę, że za ostry błysk — stwierdził William. Schylił się i drżącą dłonią podniósł prostokątny kartonik sterczący z małego szarego stożka, jeszcze niedawno będącego Ottonem Chriekiem. Przeczytał:

— „PROSZĘ ZACHOYAĆ SPOKÓJ. Były posiadacz tej karty uległ drobnemu vypadkovi. Potrzebna będzie kropla krvi stvorzenia dovolnego gatunku oraz miotełka i szufelka".

— Cóż… kuchnie są tam — Vimes wskazał gestem. — Załatw to szybko. Nie chcę, żeby moi ludzie roznieśli go na butach po całym pałacu.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedział William. — Czy mam napisać, że jeśli ktokolwiek zauważył coś podejrzanego, powinien pana zawiadomić?

— W tym mieście? Musiałbym wszystkich swoich ludzi posłać do samego pilnowania kolejki. Po prostu uważaj, co piszesz, to wszystko.

Obaj strażnicy odeszli. Marchewa uśmiechnął się blado do Williama, kiedy go mijał.

Dwoma wyrwanymi z notesu kartkami William starannie zgarnął Ottona z podłogi. Proszek wsypał do torby, w której wampir zwykle nosił swój ekwipunek.

I nagle przyszło mu do głowy, że został sam — Otto chwilowo raczej się nie liczył — w pałacu i ma na to pozwolenie komendanta Vimesa, jeśli tylko „Kuchnie są tam" można traktować

jak pozwolenie. Ale William dobrze sobie radził ze słowami. Zawsze prawda była tym, co przekazywał. Uczciwość jednak to czasem coś zupełnie innego.

Odszukał drogę do kuchennych schodów, a potem do kuchni, gdzie panował chaos. Służba kręciła się dookoła z zagubionymi minami ludzi, którzy nie mają nic do roboty, ale którym jednak płacą, by to robili. William przysunął się do szlochającej pokojówki.

— Przepraszam, panienko, ale czy mógłbym dostać kroplę krwi? — zapytał. — Tak, to może nie jest najlepszy moment — dodał, kiedy pokojówka uciekła z krzykiem.

— Hej, coś pan zrobił naszej Rene? — zapytał potężnie zbudowany mężczyzna, odstawiając na bok tacę pełną gorących bochenków chleba.

— Jest pan piekarzem? — zapytał William.

Mężczyzna spojrzał na niego niechętnie.

— A jak pan myśli?

— Myślę, co myślę — odparł William. Znów zyskał niechętne spojrzenie, jednak tym razem błysnęła w nim odrobina szacunku. — Ale nadal zadaję to pytanie.

— Tak się składa, że jestem rzeźnikiem — przyznał mężczyzna. — Nieźle. Piekarz jest chory. A pan kim jesteś, że mnie pan wypytujesz?

— Komendant Vimes mnie tu przysłał — oświadczył William. Był zaskoczony, jak łatwo prawda zmieniła się w coś, co było prawie kłamstwem — tylko dzięki odpowiedniemu jej wyrażeniu. Otworzył notes.

— Jestem z „Pulsu". Czy…

— Tego papieru z nowinami?

— Zgadza się. Czy pan…

— Ha! Całkiem zawaliłeś pan sprawę z tą zimą, i tyle. Powinieneś pan napisać, że ta najgorsza była w Roku Mrówki. Mogłeś mnie pan zapytać, tobyś pan wiedział.

— A pan jest…?

— Sidney Clancy i syn, lat 39, Długiej Wieprzowiny 11, Dostawcy Najlepszego Psiego i Kociego Mięsa dla Arystokracji… Czemu pan nie notujesz?

— Lord Vetinari je karmę dla zwierząt?

— Z tego, com słyszał, on w ogóle niewiele je. Nie, dostarczam żarcie dla jego psa. Najlepszy towar. Świeżutki. Przy Długiej Wieprzowiny 11 sprzedajemy tylko to, co najlepsze, codziennie od szóstej rano do…

— Ach, jego pies. No tak.

William rozejrzał się po kuchni. Niektórzy z tych ludzi mogli mu powiedzieć coś ciekawego, a on tu gada z dostawcą psiej karmy. Mimo to…

— Czy mógłbym dostać od pana maleńki kawałek mięsa? — zapytał.

— A co, zamieścisz go pan na papierze?

— Tak. Tak jakby. W pewnym sensie.

* * *

William znalazł cichy zakątek ukryty przed ogólnym zamętem i ostrożnie uronił na niewielki szary stosik jedną kroplę krwi z mięsa.

Pył wzniósł się w powietrze, stał się masą kolorowych plamek, i zaraz stał się Ottonem Chriekiem.

— Jak vyszło? — zapytał. — Och…

— Myślę, że masz obrazek. Ehm… Twoja marynarka…

Część rękawa wampira miała teraz kolor i fakturę dywanu na schodach w głównym holu, w dość nieciekawy czerwono–niebieski deseń.

— Pevnie zmieszałem zię z kurzem na dyvanie — domyślił się Otto. — Nie ma povodóv do zmartvienia. Zdarza zię ciągle. — Powąchał rękaw. — Najlepszy stek? Dzięki…

— To była psia karma — sprostował William Prawdomówny.

— Psia karma?!

— Tak. Bierz sprzęt i idziemy.

— Psia karma?

— Sam powiedziałeś, że to najlepszy stek. Lord Vetinari bardzo dbał o swojego psa. I nie narzekaj. Jeśli to ma się zdarzać częściej, powinieneś nosić ze sobą buteleczkę krwi ratunkowej! W przeciwnym razie ludzie radzą sobie z tym, co znajdą.

— Tak, no świetnie, i tak jestem vdzięczny — mamrotał wampir, wlokąc się za Williamem. — Psia karma, psia karma, coś takiego… Dokąd teraz?

— Do Podłużnego Gabinetu, żeby zobaczyć, gdzie miał miejsce atak. Mam tylko nadzieję, że nie pilnuje go ktoś mądrzejszy.

— Vpakujemy zię v poważne kłopoty.

— Dlaczego? — zapytał Wilnam.

Też mu się tak wydawało, ale właściwie dlaczego? Pałac był własnością miasta, mniej więcej. Straży pewnie się nie spodoba, że tu się kręci, ale William był absolutnie przekonany, że miasto nie może działać według tego, co się podoba straży. Straż pewnie wolała, żeby wszyscy siedzieli w domach, z rękami na stole, tak żeby wszyscy je widzieli.

Drzwi do Podłużnego Gabinetu były otwarte. Pilnował ich — jeśli można nazwać pilnowaniem opieranie się o jedną ścianę i wpatrywanie w drugą — kapral Nobbs. Ukradkiem palił papierosa.

— Aha, właśnie ktoś, kogo szukałem! — odezwał się głośno William.

To była prawda. Nobby był czymś więcej, niż miał nadzieję spotkać.

Papieros zniknął jakby za pomocą magii.

— Ja? — wychrypiał Nobby.

Dym unosił mu się z uszu.

— Tak. Rozmawiałem z komendantem Vimesem, a teraz chciałbym zobaczyć pomieszczenie, w którym doszło do przestępstwa.

Pokładał w tym zdaniu wielkie nadzieje. Sprawiało wrażenie, że zawiera słowa „i dał mi na to zgodę", nie zawierając ich jednocześnie.

Kapral Nobbs wydawał się trochę niepewny, ale potem zauważył notes. I Ottona. Papieros znów pojawił się w ustach.

— Zaraz, jest pan z tego papieru z nowinami?

— Zgadza się — potwierdził William. — Pomyślałem, że ludzie chętnie się dowiedzą, jak nasza dzielna straż rusza do akcji w trudnej chwili.

Kapral Nobbs z dumą wypiął chudą pierś.

— Kapral Nobby Nobbs, sir, lat prawdopodobnie 34, w mundurze pewnie odkąd skończyłem dziesięć lat. Jako chłopiec i jako mężczyzna.

William uznał, że powinien demonstracyjnie to wszystko zapisać.

— Prawdopodobnie 34?

— Nasza mama nie zna się na numerach, sir. Zawsze trochę mgliście opisuje szczegóły. Taka już jest nasza mama.

— No a…

William przyjrzał się kapralowi dokładniej. Należało chyba założyć, że jest człowiekiem,

ponieważ miał mniej więcej odpowiedni kształt, potrafił mówić i nie porastała go sierść.

— Chłopiec, mężczyzna i…? — usłyszał własny głos.

— Tylko chłopiec i mężczyzna, sir — odparł kapral Nobbs z lekkim wyrzutem w głosie. — Tylko chłopiec i mężczyzna.

— Był pan pierwszy na miejscu przestępstwa, kapralu?

— Ostatni na miejscu, sir.

— A pańskie ważne zadanie polega na…?

— Na niepozwalaniu, żeby ktokolwiek przeszedł przez te drzwi.

— Kapral Nobbs usiłował czytać notatki Williama dołem do góry.

— „Nobbs" bez „K", sir. Aż dziwne, jak często ludzie się przy tym mylą. Co on robi z tym pudełkiem?

— Chce zrobić obrazek najlepszych ludzi, jakich może wystawić Ankh–Morpork — wyjaśnił William, przesuwając się w stronę drzwi.

Oczywiście to było kłamstwo, ale ponieważ było kłamstwem tak oczywistym, uznał, że się nie liczy. To jakby powiedzieć, że niebo jest zielone.

Kapral Nobbs niemal wzlatywał nad podłogą, popychany siłą nośną dumy.

— Mogę dostać egzemplarz dla mamy? — zapytał.

— Uśmiech proszę — odezwał się Otto.

— Przecież się uśmiecham…

— No to bez uśmiechu, proszę.

Pstryk! ŁUUMPF!

— Aaarghaarghaargh…

Krzyczący wampir zawsze ściąga na siebie uwagę. William wśliznął się do Podłużnego Gabinetu.

Tuż za drzwiami kredą wyrysowano na podłodze kontur postaci. Autorem rysunku musiał być kapral Nobbs — chyba tylko on mógł dodać fajkę oraz trochę kwiatów i chmur w tle.

Ostro pachniało miętą.

Krzesło leżało przewrócone.

Kopnięty do kąta kosz na śmieci stał do góry dnem.

Krótki, groźnie wyglądający metalowy bełt sterczał z podłogi. Na końcu miał przywiązaną kartkę ze znakiem Straży Miejskiej.

Był też krasnolud. Leżał… nie, poprawił się w myślach William, zauważywszy skórzaną spódniczkę i nieco podwyższone obcasy żelaznych butów — leżała na brzuchu i szczypczykami podnosiła coś z podłogi. Wyglądało to na szkło z rozbitego słoja.

Uniosła głowę.

— Jesteś nowy? Gdzie twój mundur? — zapytała.

— No, ja… tego…

Zmrużyła oczy.

— Nie należysz do straży, tak? Czy pan Vimes wie, że tu jesteś?

Droga człowieka z natury prawdomównego przypomina wyścig kolarski w bieliźnie z papieru ściernego. William starał się trzymać niezaprzeczalnych faktów.

— Przed chwilą z nim rozmawiałem — oświadczył.

Ale krasnoludka nie była sierżantem Detrytusem, a już na pewno nie kapralem Nobbsem.

— I powiedział, że możesz tu przyjść? — spytała groźnie.

— Ściśle mówiąc, nie powiedział wprost…

Krasnoludka przeszła przez pokój i otworzyła drzwi.

— W takim razie wy…

— Ach, vspaniały efekt obramovania! — zawołał Otto, czekający po drugiej stronie drzwi.

Pstryk!

William zamknął oczy.

ŁUUMPF!

— …anieechtoo…

Tym razem William złapał kartonik, zanim zdążył dolecieć do ziemi.

Krasnoludka stała z otwartymi ustami. Potem je zamknęła. A potem otworzyła znowu, by powiedzieć:

— Co to było, u demona?

— Można to chyba nazwać rodzajem wypadku przy pracy — odrzekł William. — Chwileczkę, mam chyba jeszcze ten kawałek psiej karmy… Prawdę mówiąc, uważam, że muszą być jakieś lepsze metody…

Odwinął mięso z kawałka brudnego, zadrukowanego papieru i ostrożnie upuścił je na stos szarego proszku.

Pył strzelił fontanną w górę i Otto powstał, mrugając niepewnie.

— Jak było? Jeszcze jedno? Tym razem obscurografem… — Sięgał już do torby.

— Wyjdźcie stąd natychmiast! — zirytowała się krasnoludka.

— Ależ proszę… — William spojrzał na jej ramię. — Kapralu, proszę, pozwólcie mu wykonywać jego pracę. W końcu to czarnowstążkowiec…

Za plecami strażniczki Otto wyjął ze słoja brzydkie jaszczurkowate stworzenie.

— Chcecie, żebym was aresztowała? Utrudniacie analizę śladów przestępstwa!

— A jakiego przestępstwa? Powie nam pani? — William otworzył notes.

— Już was tu nie ma…

— Buu — powiedział cicho Otto.

Węgorz lądowy musiał być już mocno zestresowany. Reagując zgodnie z tym, co wykształciła trwająca tysiące lat ewolucja w środowisku o wysokim stężeniu magii, w mgnieniu oka uwolnił ciemność całej nocy. Na moment mrok wypełnił pokój — czysta ściana czerni, przecinana żyłkami granatu i fioletu. I znowu William poczuł, że ciemność zalewa go jak powódź. A potem światło napłynęło z powrotem, jak zimna woda, kiedy wrzuci się kamień do jeziora. Kapral spojrzała na Ottona groźnie.

— To było ciemne światło, tak?

— Ach, pani też pochodzi z Überwaldu… — zaczął zachwycony wampir.

— Tak, i nie spodziewałam się, że je tutaj zobaczę! Wynocha!

Szybkim krokiem ominęli zaskoczonego kaprala Nobbsa, zbiegli po szerokich schodach i wyszli na mroźne powietrze dziedzińca.

— Czy jest coś, co powinieneś mi powiedzieć? — zapytał William. — Wydawała się straszliwie rozgniewana, kiedy zrobiłeś drugi obrazek.

— No, trochę ciężko to vytłumaczyć — odparł zakłopotany wampir.

— Nie jest chyba szkodliwe, co?

— Ależ zkąd, nie ma żadnych fizycznych skutkóv…

— Ani psychicznych? — William zbyt często splatał słowa, by przeoczyć tak starannie mylące stwierdzenie.

— To chyba nie jest odpoviedni moment…

— Rzeczywiście. Opowiesz mi o tym później. Ale zanim znowu spróbujesz, zgoda?

Williamowi myśli szalały. Szli pospiesznie Filigranową. Ledwie godzinę temu z rozpaczą się zastanawiał, które z głupich listów puścić do druku, a świat wydawał się mniej więcej normalny.

Teraz wywrócił się do góry nogami. Lord Vetinari rzekomo usiłował kogoś zabić, a to przecież nie miało sensu, choćby dlatego że osoba, którą jakoby starał się zamordować, najwyraźniej wciąż jeszcze żyła. W dodatku próbował uciec z workiem pieniędzy, a to też nie miało sensu. Jasne, nietrudno sobie wyobrazić, że ktoś defrauduje pieniądze i atakuje kogoś innego, ale kiedy człowiek w myślach podstawiał w to miejsce Patrycjusza, cały obrazek się rozsypywał. I co z tą miętą? Gabinet wręcz nią cuchnął.

Pytań było o wiele więcej. Ale z miny kapral, kiedy wypędzała ich z gabinetu, wynikało jasno, że od straży raczej nie uzyska odpowiedzi.

W jego myślach wyrastała ponura sylwetka prasy. Będzie musiał jakoś złożyć z tego sensowną historię — i to szybko.

Radosny pan Wintler powitał go zaraz za drzwiami hali druku.

— Co pan sądzi o tej zabawnej dyni, e? Panie de Worde?

— Sugeruję, żeby wcisnął pan… — zaczął William, mijając go pospiesznie.

— Słuszna uwaga, drogi panie. Żona też kazała mija nafaszerować.

— Przepraszam, ale uparł się, że na ciebie poczeka — szepnęła Sacharissa, kiedy William usiadł przy biurku. — Co się dzieje?

— Nie jestem pewien… — William patrzył tępo w swoje notatki.

— Kogo zabili?

— Eee… Nikogo. Chyba.

— Przynajmniej tyle. — Sacharissa przejrzała papiery leżące na jej biurku. — Obawiam się, że mieliśmy tu pięć innych osób z zabawnymi warzywami.

— Och…

— Tak. Prawdę mówiąc, wcale nie były takie zabawne.

— Och.

— Nie. Na ogół przypominały, hm… no wiesz.

— Och… co?

— No wiesz… — Zaczerwieniła się. — Męski no wiesz.

— Och!

— Nawet nie za bardzo były podobne do… no wiesz. To znaczy, trzeba raczej chcieć w nich zobaczyć… no wiesz. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

William miał nadzieję, że nikt nie notuje tej rozmowy.

— Och — powiedział.

— Ale zapisałam ich nazwiska i adresy na wszelki wypadek — dodała Sacharissa. — Pomyślałam, że mogą się przydać, gdyby brakowało nam materiałów.

— Nigdy aż tak nie będzie nam brakować materiałów — zapewnił szybko William.

— Tak sądzisz? — Jestem pewien.

— Może masz rację — przyznała, spoglądając na stosy papierów. — Było tu mnóstwo ludzi, kiedy wyszedłeś. Stali w kolejce i mieli różne wiadomości. Zgubione psy, co się ma zdarzyć, co chcą sprzedać…

— To są ogłoszenia — odparł William, usiłując się skupić na notatkach. — Jeśli chcą to wydrukować, muszą zapłacić.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy sami mogli o tym decydować…

William uderzył pięścią o blat — czym zaskoczył sam siebie, a Sacharissę zaszokował.

— Coś się dzieje, rozumiesz? Coś naprawdę prawdziwego! I to nie żaden zabawny kształt! To poważna sprawa! A ja muszę jak najszybciej o niej napisać! Czy mogłabyś mi na to pozwolić?

Zauważył, że Sacharissa spogląda nie na niego, ale na jego pięść. Spuścił wzrok.

— No, nie… Co to takiego, u demona?

Długi i ostry gwóźdź sterczał z blatu o cal od jego dłoni. Ktoś nadział na niego kawałki papieru. Kiedy William go podniósł, przekonał się, że sterczy pionowo, ponieważ został wbity w drewniany klocek.

— To jest kolec — wyjaśniła cichym głosem Sacharissa. — Ja… przyniosłam go, żeby mieć porządek w papierach. Mój dziadek zawsze takiego używa. I… i wszyscy grawerzy. To jakby… no… połączenie segregatora dokumentów i kosza na śmieci. Pomyślałam, że się przyda. Żebyś nie musiał używać podłogi.

— Słusznie, dobry pomysł — stwierdził William, patrząc na jej coraz bardziej zaczerwienioną twarz. — No…

Nie potrafił się skupić.

— Panie Dobrogór! — wrzasnął.

Krasnolud uniósł głowę znad afisza, który właśnie składał.

— Możesz składać tekst, kiedy ja będę dyktował? — Tak.

— Sacharisso, idź i sprowadź tu Rona i jego… kolegów. Chcę jak najszybciej wypuścić dodatkowe wydanie. Nie jutro rano. Natychmiast. Proszę…

Chciała zaprotestować, ale dostrzegła błysk w jego oku.

— Czy jesteś pewien, że wolno nam to robić? — spytała.

— Nie, nie jestem! I nie dowiem się, dopóki tego nie zrobimy! Dlatego musimy to zrobić! Wtedy się dowiemy! I przepraszam, że krzyczę!

Odsunął krzesło i podszedł do Dobrogóra, który czekał cierpliwie przy tacy z czcionkami.

— No dobrze… Potrzebujemy jednej linii na samej górze…

— Przymknął oczy i ścisnął palcami grzbiet nosa. — No… „Wstrząsające Sceny w Ankh–Morpork"… masz? Bardzo dużą czcionką. Potem mniejszą, pod spodem… „Patrycjusz atakuje Urzędnika z Nożem"… zaraz…

Wiedział, że to nie brzmi właściwie. Jest gramatycznie nieprecyzyjne. Przecież Patrycjusz miał nóż, nie urzędnik.

— Potem jakoś to poprawimy… Teraz… Znowu mniejszą czcionką… „Tajemnicze wydarzenia w Stajniach"… I jeszcze jeden rozmiar mniejszą… „Straż Zagubiona". Gotowe? No to zaczynamy historię…

— Zaczynamy? — zdziwił się Dobrogór. Jego dłonie tańczyły nad pełnymi czcionek przegródkami. — Przecież już prawie skończyliśmy.

William raz po raz przerzucał swoje notatki. Jak tu zacząć, jak zacząć… Coś ciekawego… Nie, coś zaskakującego… Pewne zaskakujące wydarzenia… Nie, nie… To chyba najdziwniejsza historia…

— „Tajemnicze okoliczności łączą się z atakiem"… Nie, napisz „rzekomym atakiem"…

— Mówiłeś chyba, że sam się przyznał — wtrąciła Sacharissa, ocierając oczy chusteczką.

— Wiem, wiem… Po prostu uważam, że gdyby lord Vetinari chciał kogoś zabić, ten człowiek byłby już martwy… Sprawdź go w „Herbarzu Niemózgiego", dobrze? Jestem pewien, że kształcił się w Gildii Skrytobójców.

— Rzekomy czy nie? — zapytał Dobrogór z dłonią zawieszoną nad r–ami. — Powiedz tylko.

— Napisz „możliwy atak" — zdecydował William. — „Lorda Vetinariego na Rufusa Drumknotta, jego sekretarza, dziś rano w pałacu. Eee… Służba pałacowa słyszała…".

— Mam się tym zająć czy mam szukać żebraków? — zapytała Sacharissa. — Nie mogę robić jednego i drugiego naraz.

William spojrzał na nią z roztargnieniem. Po chwili kiwnął głową.

— Rocky!

Troll przy drzwiach ocknął się z cichym prychnięciem.

— Tak, pszepana?

— Pójdziesz poszukać Paskudnego Starego Rona i jego ludzi. Sprowadź ich tu jak najszybciej. Powiedz, że dostaną premię. Na czym skończyłem?

— „Służba pałacowa słyszała” — podpowiedział Dobrogór.

— „…słyszała, jak jego lordowska mość…”.

— „…który w 1968 ukończył z honorami szkołę Gildii Skrytobójców”! — zawołała Sacharissa.

— Dopisz to — zgodził się William. — I dalej: „…mówi «Zabiłem go, zabiłem, tak mi przykro»… Wielkie nieba, Vimes ma rację, to jakiś obłęd, musiałby zwariować, żeby coś takiego powiedzieć.

— Pan de Worde, prawda? — odezwał się ktoś.

— Do demona, kto to jest tym razem?

William odwrócił się. Najpierw zauważył trolle, ponieważ nawet stojąc z tyłu, cztery wielkie trolle i tak metaforycznie wychodzą na pierwszy plan dowolnego obrazu. Dwaj ludzie przed nimi stanowili jedynie szczegół, a zresztą jeden z nich był człowiekiem jedynie dzięki tradycji. Miał szarą cerę zombi oraz wyraz twarzy kogoś, kto wprawdzie nie stara się sam być nieprzyjemny, jest jednak źródłem wielu nieprzyjemności dla innych.

— Pan de Worde? Zna mnie pan, jak sądzę. Jestem Slant z Gildii Prawników. — Pan Slant skłonił się lekko. — A to… — wskazał stojącego obok szczupłego młodego człowieka — …pan Ronald Carney, nowy przewodniczący Gildii Grawerów i Drukarzy. Czterej stojący za mną dżentelmeni nie należą do żadnej gildii, o ile mi wiadomo…

— Grawerów i Drukarzy? — powtórzył Dobrogór.

— Tak — potwierdził Carney. — Poszerzyliśmy zakres naszych statutowych działań. Członkostwo w gildii kosztuje dwieście dolarów rocznie…

— Nie mam zamiaru… — zaczął William, ale Dobrogór położył mu dłoń na ramieniu.

— To wymuszenie, ale nie aż tak straszne, jak się obawiałem — szepnął. — Nie mamy czasu na kłótnie, a w tym tempie odrobimy wszystko w parę dni. I po kłopocie.

— Jednakże — dodał pan Slant tym specjalnym tonem prawnika, który wszystkimi porami skóry wsysa pieniądze — w tym przypadku, wobec szczególnych okoliczności wymagana jest również jednorazowa opłata w wysokości, powiedzmy, dwóch tysięcy dolarów.

Krasnoludy zamilkły. Potem rozległ się chóralny metaliczny zgrzyt — każdy z nich odłożył czcionki, sięgnął pod kamień i wyjął topór bojowy.

— Zatem to uzgodnione, tak? — Pan Slant odstąpił na bok.

Trolle wyprostowały się nagle. Trolle i krasnoludy nie potrzebowały szczególnych pretekstów, by walczyć. Czasami wystarczał fakt, że żyją w tym samym świecie.

Tym razem William musiał powstrzymać Gunillę.

— Czekajcie, spokojnie, na pewno jest jakieś prawo, które nie pozwala zabijać prawników.

— Jesteś pewien?

— Przecież jeszcze chodzi ich kijku po mieście, prawda? Poza tym on jest zombi. Jeśli rozetniesz go na pół, obie połówki pozwą cię do sądu. — William podniósł głos. — Nie możemy zapłacić, panie Slant.

— W takim wypadku przyjęte prawo i praktyka upoważniają mnie…

— Chcę zobaczyć ten statut! — warknęła Sacharissa. — Znamy się od dziecka, Ronnie Carneyu, i wiem, że zawsze coś kombinujesz.

— Dzień dobry, panno Cripslock — odpowiedział jej pan Slant. — Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że ktoś może spytać, więc przyniosłem nowy statut ze sobą. Mam nadzieję, że wszyscy tu jesteśmy praworządnymi obywatelami.

Sacharissa wyrwała mu imponujący zwój z dyndającą po boku wielką pieczęcią. Obejrzała go z taką koncentracją, jakby samym tarciem czytającego wzroku chciała wypalić słowa z pergaminu.

— Och, wygląda na to, że wszystko jest na miejscu.

— Istotnie.

— Oprócz podpisu Patrycjusza — dodała, oddając zwój prawnikowi.

— To zwykła formalność, moja droga.

— Nie jestem dla pana droga, a podpisu nie ma. A zatem dokument nie jest ważny. Prawda?

Pan Slant skrzywił się lekko.

— To przecież oczywiste, że nie możemy uzyskać podpisu od człowieka, który przebywa w więzieniu, i to z bardzo poważnymi zarzutami.

Aha, pomyślał William, to fraza maskująca. Kiedy ludzie mówią, że coś jest oczywiste, oznacza to wielką lukę w ich argumentacji oraz świadomość, że sprawy wcale oczywiste nie są.

— Kto w takim razie rządzi miastem? — zapytał.

— Nie wiem — odparł pan Slant. — To nie moje zmartwienie. Muszę…

— Panie Dobrogór! — zawołał William. — Dużą czcionkę poproszę!

— Gotowe — oznajmił Gunilla, wznosząc ręce nad pełną skrzynką.

— Wielkimi literami, rozmiar do szerokości kolumny: „KTO RZĄDZI ANKH–MORPORK?" — podyktował William. — Teraz zwykłą czcionką, duże i małe litery, przez dwie kolumny: „Kto rządzi miastem, gdy lord Vetinari został uwięziony? Jeden z wiodących specjalistów prawniczych spytany dzisiaj o opinię odpowiedział, że nie wie i że to nie jego zmartwienie. Pan Slant z Gildii Prawników dodał następnie…".

— Nie możecie tego wydrukować w tym swoim codzienniku! — warknął Slant.

— Proszę to złożyć, panie Dobrogór.

— Już składam — zapewnił krasnolud; ołowiane klocki wskakiwały na miejsca.

Kątem oka William zauważył, że z piwnicy wysuwa się Otto zwabiony panującym gwarem.

— „Pan Slant kontynuował następnie…"? — rzekł William, patrząc groźnie na prawnika.

— Bardzo trudno będzie wam to wydrukować — oznajmił pan Carney, ignorując gorączkowe gesty Slanta — bez tej przeklętej prasy!

— „Taki pogląd wygłosił pan Carney z Gildii Grawerów", pisane z e przed y — dyktował William — „który wcześniej próbował usunąć «Puls» z rynku, posługując się nielegalnym dokumentem". — William odkrył, że choć ma wrażenie żrącego kwasu w ustach, sytuacja bawi go niezwykle. — „Poproszony o komentarz w kwestii tego skandalicznego naruszenia miejskiego prawa pan Slant powiedział…"?

— Przestańcie zapisywać wszystko, co mówimy!!! — wrzasnął Slant.

— Całe zdanie kapitalikami, panie Dobrogór.

Trolle z krasnoludami przyglądały się Williamowi i prawnikowi. Rozumiały, że choć nie widać krwi, toczy się walka.

— Kiedy będziesz gotów, Otto? — rzucił William przez ramię.

— Gdyby kraznoludy podeszły trochę bliżej… — Otto zajrzał do ikonografii. — Aha, tak dobrze, niech światło lśni na tych toporach… trolle, wymachujcie pięściami, o tak… Vszyscy uśmiech proszę…

To zadziwiające, jak odruchowo ludzie wykonują polecenia kogoś, kto celuje w nich obiektywem. Opanowują się zwykle po ułamku sekundy, ale więcej nie trzeba.

Pstryk!

ŁUUMPF!

— …aaarghaaarghaaarghaaargh…

William zdążył chwycić upadający ikonograf przed panem Slantem, który potrafił ruszać się bardzo szybko jak na kogoś na pozór pozbawionego kolan.

— Jest nasz — oznajmił twardo.

Prochy Ottona Chrieka opadały z wolna na podłogę.

— Co zamierza pan zrobić z tym obrazkiem? — spytał prawnik.

— Nie muszę niczego mówić. To nasza drukarnia. Nie zapraszaliśmy was tutaj.

— Ale przyszedłem tu, wypełniając swoje prawnicze obowiązki!

— W takim razie to nic złego, że zrobiliśmy panu obrazek, prawda? Jeśli jednak uważa pan inaczej, z przyjemnością pana zacytuję.

Slant popatrzył na niego z nienawiścią, po czym wrócił do grupy przy drzwiach.

— Po głębokiej analizie prawnej — usłyszał William jego głos — muszę wyrazić opinię, że powinniśmy odejść stąd w tej chwili.

— Ale mówił pan, że się uda… — zaczął Carney, oglądając się z niechęcią na Williama.

— Po bardzo głębokiej analizie — powtórzył pan Slant — uważam, że powinniśmy oddalić się natychmiast i w milczeniu.

— Ale pan obiecał…

— W milczeniu, sugeruję!

Odeszli.

Krasnoludy grupowo odetchnęły z ulgą i odłożyły topory.

— Chcesz, żebym to złożył jak należy? — zapytał Dobrogór.

— Będą kłopoty z tego powodu — ostrzegła Sacharissa.

— Owszem, ale jak głęboko tkwimy już w kłopotach? — spytał William. — W skali od jednego do dziesięciu.

— W tej chwili… około ośmiu. Ale kiedy następne wydanie trafi na ulicę… — Na chwilę zamknęła oczy i liczyła, bezgłośnie poruszając wargami. — Około dwóch tysięcy trzystu siedemnastu?

— W takim razie drukujemy to — oznajmił William.

Dobrogór odwrócił się do swoich pracowników.

— Zostawcie topory pod ręką, chłopcy.

— Posłuchaj… Nie chcę, żeby ktoś oprócz mnie miał kłopoty — powiedział William. — Mogę nawet sam poskładać resztę tekstu i przejechać prasą parę egzemplarzy.

— Potrzebuje trzech do obsługi. No i pójdzie ci to dość powoli.

— Dobrogór zobaczył wyraz twarzy Williama, uśmiechnął się i klepnął go tak wysoko w plecy, jak tylko zdołał dosięgnąć. — Nie martw się, chłopcze. Chcemy chronić naszą inwestycję.

— Ja nie odchodzę — oświadczyła Sacharissa. — Potrzebuję tego dolara.

— Dwóch dolarów — poprawił ją z roztargnieniem William.

— Czas na podwyżkę. A co z tobą, Ott… Oj, czy ktoś mógłby zamieść Ottona?

Kilka minut później odrodzony wampir wstał, przytrzymując się statywu, i drżącymi palcami uniósł miedzianą płytę.

— Co teraz będzie zię działo? — zapytał.

— Zostajesz z nami? Może być groźnie — uprzedził William. Zdawał sobie sprawę, że mówi do wampirycznego ikonografika, który ginie za każdym razem, kiedy robi obrazek.

— Jakie to zagrożenie? — Otto przechylał płytę w różne strony, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

— No, na początek prawne.

— Czy ktoś już vspominał o czoznku? — Nie.

— A dostanę sto osiemdziesiąt dolaróv na akinę TR–10 z podvójnym chochlikiem na teleskopovym stołku i vielką błyszczącą dźvignią?

— Hm… Jeszcze nie.

— No dobrze — zgodził się filozoficznym tonem Otto. — V takim razie potrzebne mi pięć dolaróv na napravy i przeróbki. Widzę, że chodzi tu o pracę innego rodzaju.

— Zgoda.

William spojrzał wokół. Wszyscy milczeli i wszyscy na niego patrzyli.

Kilka dni temu sądził, że dzisiejszy dzień będzie… nudny. Zwykle tak było, kiedy wysłał już swoją listę nowin. Nudził się, włóczył po mieście albo czytał w swoim maleńkim gabinecie, czekając na kolejnego klienta z listem do napisania albo czasami do przeczytania.

Często jedno i drugie okazywało się trudne. System pocztowy polegał zasadniczo na wręczeniu koperty jakiejś osobie wyglądającej na godną zaufania i zmierzającej mniej więcej we właściwym kierunku. Ludzie skłonni takiemu systemowi powierzyć swoje listy zwykle mieli do przekazania coś ważnego. Jednakże to nie były trudności Williama. Nie on w ostatniej chwili prosił Patrycjusza o łaskę, nie on wysłuchiwał przerażających wieści o zawale w szybie #3, choć

oczywiście się starał, by jakoś ułatwić sytuację klientowi. Zwykle mu się udawało. Gdyby stres był jedzeniem, William potrafiłby zmienić swoje życie w owsiankę.

Prasa czekała. Wyglądała teraz jak ogromna bestia. Już niedługo rzuci jej mnóstwo słów, a za kilka godzin znów będzie głodna, jakby te słowa w ogóle się nie zdarzyły. Można ją karmić, ale nie można nasycić.

Zadrżał. W co on ich wszystkich wpakował?

Ale miał wrażenie, że płonie. Gdzieś tam była prawda, a on jej jeszcze nie odkrył. Miał taki zamiar, bo wiedział, po prostu wiedział, że kiedy tylko nowe wydanie trafi na ulice…

— Demoniszcze!

— Wrwaark… pfuit!

— Kwak!

Spojrzał na wchodzących. Oczywiście, prawda ukrywa się niekiedy w niezwykłych miejscach i miewa dziwne służebnice.

— Idziemy do prasy — rzekł z mocą.

* * *

Minęła godzina. Sprzedawcy wracali już po kolejne egzemplarze. Łomot prasy wstrząsał blaszanym dachem. Rosnące przed Dobrogórem stosy miedziaków podskakiwały w górę przy każdym uderzeniu.

William przyjrzał się swemu odbiciu w kawałku polerowanego mosiądzu. Sam nie wiedział, w jaki sposób, ale cały ubrudził się farbą. Postarał się oczyścić chusteczką.

Ogólnie Andrewsa posłał, by sprzedawał „Puls" przy Pseudopolis Yardzie, uznając, że jest umysłowo najzdrowszy z całego bractwa. Co najmniej pięć jego osobowości potrafiło prowadzić sensowną rozmowę.

Do tej pory straż z pewnością miała dość czasu, by przeczytać cały tekst, nawet jeśli musieli posyłać po pomoc przy dłuższych słowach.

Czuł wyraźnie, że ktoś mu się przygląda. Obejrzał się i zobaczył pochyloną nad papierami głowę Sacharissy.

Ktoś za nim parsknął drwiąco.

Nie było tam nikogo, kto zwracałby na niego uwagę. Trwała trójstronna dyskusja na temat

sześciu pensów między Dobrogórem, Paskudnym Starym Ronem i Paskudnym Starym Ronem — Ron był zdolny całkiem sam wdać się w porządną kłótnię. Krasnoludy pracowały pilnie dookoła prasy. Otto wycofał się do swojej ciemni, gdzie także ciężko pracował nad czymś tajemniczym.

Tylko pies Rona obserwował Williama. William uznał, że jak na psa ma bardzo obraźliwe i przemądrzałe spojrzenie.

Kilka miesięcy temu ktoś próbował przekonać go do historyjki o tym, że w mieście żyje gadający pies. Już trzeci raz w tym roku. William tłumaczył, że to tylko miejska legenda. Zawsze to jakiś kolega kolegi słyszał, jak pies mówi, ale sam opowiadający nigdy psa nie widział. Pies siedzący przed Williamem nie wyglądał, jakby potrafił mówić. Wyglądał, jakby potrafił kląć.

Takie historie stale powracały. Ludzie gotowi byli przysięgać, że w mieście żyje incognito jakiś dawno zapomniany następca tronu. William potrafił rozpoznać takie życzeniowe myślenie. Inną bajką była ta o wilkołaku zatrudnionym w Straży Miejskiej. Do niedawna uważał, że to bzdura, ale ostatnio zaczynał mieć wątpliwości. W końcu „Puls" zatrudniał wampira…

Przez chwilę wpatrywał się w ścianę, stukając ołówkiem o zęby.

— Idę się spotkać z komendantem Vimesem — oznajmił w końcu. — To lepsze niż się ukrywać.

— Dostaliśmy zaproszenia na różne okazje — odezwała się Sacharissa, podnosząc głowę znad papierów. — To znaczy, kiedy mówię „zaproszenia"… No, na przykład lady Selachii rozkazała nam zjawić się u niej na balu w przyszły czwartek i napisać o tym co najmniej pięćset słów, które oczywiście pokażemy jej przed publikacją.

— Niezły pomysł! — zawołał przez ramię Dobrogór. — Wiele nazwisk trafia na bal, a…

— …nazwiska zwiększają sprzedaż — dokończył William. — Tak, wiem. Chcesz tam pójść?

— Ja? Nie mam się w co ubrać! — odparła Sacharissa. — Trzeba zapłacić ze czterdzieści dolarów za suknię, jaką się nosi na wyjściowe okazje. A nie możemy sobie pozwolić na takie wydatki.

William się zawahał.

— Wstań — powiedział. — I okręć się. Proszę.

Zarumieniła się.

— Ale po co?

— Chcę zobaczyć, jaki nosisz rozmiar… no wiesz, całości.

Wstała i zakręciła się nerwowo. Zabrzmiały gwizdy sprzedawców i kilka

nieprzetłumaczalnych komentarzy w krasnoludzim.

— Jesteś dość podobna — uznał William. — Gdybym znalazł ci naprawdę piękną suknię, masz kogoś, kto zrobi niezbędne poprawki? Trzeba będzie chyba trochę popuścić w… no wiesz… u góry.

— Jaką suknię? — spytała podejrzliwie.

— Moja siostra ma setki wieczorowych sukni, a nie opuszcza naszej wiejskiej rezydencji — wyjaśnił William. — Rodzina ostatnio nigdy nie bywa w mieście. Dam ci klucz do naszego domu, wieczorem możesz tam pójść i coś sobie wybrać.

— Nie będzie miała za złe?

— Prawdopodobnie nawet nie zauważy. Zresztą sądzę, że byłaby zaszokowana, gdyby się dowiedziała, że ktoś mógłby wydać na suknię zaledwie czterdzieści dolarów. Nie przejmuj się.

— Dom w mieście? Wiejska rezydencja? — zdziwiła się Sacharissa, demonstrując ten niewygodny dziennikarski talent do wyłapywania słów, co do których człowiek miał nadzieję, że przemkną niezauważone.

— Moja rodzina jest bogata — przyznał William. — Ja nie.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, spojrzał na dach po drugiej stronie ulicy, ponieważ coś w jego konturach chyba się zmieniło… Zauważył kształt spiczastego łba na tle nieba.

Gargulec… William przyzwyczaił się do ich obecności właściwie w całym mieście. Czasami któryś miesiącami tkwił w jednym miejscu. Rzadko kiedy można było zobaczyć, jak przenoszą się z dachu na dach. Ale też rzadko widywało się je w takich dzielnicach jak ta. Lubiły wysokie kamienne budynki z licznymi rynnami i skomplikowaną architekturą, która przyciąga gołębie. Nawet gargulce muszą jeść.

Działo się też coś w głębi ulicy. Przed jednym z opuszczonych magazynów stało kilka ciężkich wozów. Ludzie wnosili do środka jakieś skrzynie.

Po drodze przez most do Pseudopolis Yardu zauważył jeszcze kilka gargulców. I każdy odprowadzał go wzrokiem.

* * *

Sierżant Detrytus pełnił dyżur przy biurku. Popatrzył na Williama zaskoczony.

— Niech mnie, szybko to było. Żeś biegł całą drogę?

— O czym mówicie, sierżancie?

— Pan Vimes posłał po ciebie dopiero parę minut temu — wyjaśnił Detrytus. — Idź na górę. Nie bój się, już przestał krzyczeć. — Obrzucił Williama wzrokiem mówiącym „lepiej ty niż ja". — Ale nie jest tak, jakby się cieszył, że wyjechał i nie pracuje.

— Czy on kiedykolwiek zachowywał się jak zadowolony wczasowicz?

— Nie bardzo. — Detrytus złośliwie wyszczerzył zęby. William wszedł po schodach i zapukał do drzwi, które otworzyły się natychmiast.

Komendant Vimes uniósł głowę znad biurka. Zmrużył oczy.

— No, no, szybki jesteś — stwierdził. — Biegłeś całą drogę?

— Nie, proszę pana. Przyszedłem, bo mam nadzieję, że będę mógł zadać kilka pytań.

— Jak miło z twojej strony…

Odczuwał silne wrażenie, że choć chwilowo w wiosce panuje spokój — kobiety wieszają pranie, koty wylegują się w słońcu — wulkan niedługo wybuchnie i setki zostaną pogrzebane pod popiołami.

— No więc… — zaczął William.

— Dlaczego to robisz? — zapytał Vimes.

William widział „Puls" leżący przed komendantem na biurku. Ze swojego miejsca mógł przeczytać tytuły:

— Jestem zagubiony, tak?

— Jeśli chce pan powiedzieć, że nie, komendancie, z przyjemnością zanotuję…

— Zostaw w spokoju ten notes!

William zrobił zdziwioną minę. Notes był z tych najtańszych, wykonany z papieru przerabianego już tyle razy, że można by go używać jako ręcznika. Ale oto znowu ktoś patrzył na niego, jakby to była broń.

— Nie pozwolę, żebyś zrobił mi to co Slantowi — uprzedził Vimes.

— Każde słowo z tej historii jest prawdą, komendancie.

— Mogę się założyć. To jego styl.

— Proszę posłuchać, komendancie. Jeśli coś w mojej historii się nie zgadza, niech pan mi powie co.

Vimes oparł się w fotelu i zamachał rękami.

— Masz zamiar drukować wszystko, co usłyszysz? Zamierzasz krążyć po mieście niepowstrzymany, jak… jak jakaś machina oblężnicza? Siedzisz sobie i ściskasz swą bezcenną prawość niczym pluszowego misia, a przecież nie masz bladego pojęcia, prawda, bladego pojęcia, jak bardzo możesz mi utrudnić pracę.

— Nie naruszam prawa…

— Nie? Naprawdę nie? W Ankh–Morpork? Czymś takim? Bo dla mnie wygląda to całkiem jak Zachowanie Zmierzające do Naruszenia Spokoju!

— Owszem, ludzie mogą się zaniepokoić, ale to ważne…

— A o czym napiszesz w następnej kolejności? Tak się zastanawiam…

— Nie wydrukowałem, że zatrudniacie w straży wilkołaka — oświadczył William.

Natychmiast tego pożałował, ale Vimes działał mu na nerwy.

— A gdzie o tym słyszałeś? — odezwał się ktoś cicho za jego plecami.

Obejrzał się, nie wstając z krzesła. Młoda jasnowłosa kobieta w mundurze straży stała oparta o ścianę. Musiała tam być przez cały czas.

— To sierżant Angua — przedstawił ją Vimes. — Przy niej możesz mówić otwarcie.

— Słyszałem plotki — tłumaczył William.

Widywał tę młodą sierżant na ulicach. Uważał, że ma zwyczaj patrzeć na ludzi trochę zbyt ostro.

— I…?

— Słuchajcie, rozumiem, czemu was to martwi. I chcę was zapewnić, że sekret kaprala

Nobbsa jest u mnie bezpieczny.

Nikt się nie odezwał. William pogratulował sobie w myślach. To był strzał na oślep, ale po twarzy sierżant Angui poznał, że tym razem trafił. Wydawało się, że zamknęła się, zablokowała jakąkolwiek ekspresję.

— Rzadko kiedy rozmawiamy o przynależności gatunkowej kaprala Nobbsa — oświadczył po chwili Vimes. — Uznałbym za niewielką przysługę, gdybyś zechciał postępować w ten sam sposób.

— Tak, proszę pana. A mogę zapytać, dlaczego kazał mnie pan obserwować?

— Kazałem?

— Gargulce. Wszyscy wiedzą, że sporo ich pracuje ostatnio dla straży.

— Nie obserwujemy ciebie. Obserwujemy, bo chcemy zobaczyć, co się z tobą stanie — wyjaśniła sierżant Angua.

— Z powodu tego. — Vimes uderzył dłonią w egzemplarz „Pulsu".

— Ale przecież nie robię nic złego — bronił się William.

— Nie. Owszem, być może nie robisz niczego nielegalnego — poprawił go Vimes. — Chociaż bardzo się zbliżasz. Jednakże inni ludzie nie zechcą podchodzić do tej sprawy z taką łagodnością i zrozumieniem jak ja. Proszę tylko, żebyś nie zalał krwią całej ulicy.

— Postaram się.

— I nie notuj tego.

— Dobrze.

— I nie notuj, że powiedziałem, żebyś nie notował.

— Jasne. A mogę zanotować, że powiedział pan, żebym nie notował, że powiedział pan… — William urwał. Wulkan zaczynał grzmieć. — Tylko żartowałem.

— Cha, cha. I żadnego wyciągania informacji od moich funkcjonariuszy.

— I żadnego częstowania kaprala Nobbsa psimi chrupkami — dodała sierżant Angua. Przeszła za plecy Vimesa i zajrzała mu przez ramię. — „Prawda cię powali"? Dziwne motto dla… — Spojrzała jeszcze raz. — Dla azety.

— Błąd drukarski — odparł krótko William. „Azeta", pomyślał. Dobra nazwa. — Czy jeszcze czegoś mam nie robić, komendancie?

— Po prostu nie wchodź nam w drogę.

— Zano… Będę pamiętał. Ale jeśli wolno spytać, co ja będę z tego miał?

— Jestem komendantem straży i proszę cię grzecznie.

— To wszystko?

— Mógłbym poprosić niegrzecznie, panie de Worde. — Vimes westchnął. — Słuchaj, spójrz na to z mojej strony. Popełniono przestępstwo. Gildie szaleją. Słyszałeś przysłowie o kucharkach sześciu? No więc teraz jest ich sześćset. Kapitan Marchewa i wielu moich strażników, którzy naprawdę są mi potrzebni, teraz pilnują Podłużnego Gabinetu i urzędników, co oznacza, że brakuje mi ludzi we wszystkich pozostałych miejscach. Muszę jakoś sobie z tym radzić, a w dodatku… aktywnie dążyć do osiągnięcia stanu niezagubienia. Mam w celi Vetinariego. I Drumknotta też…

— Ale on przecież był ofiarą, prawda? — Jeden z moich ludzi się nim zajmuje.

— Nie ktoś z praktykujących w mieście lekarzy?

Vimes kamiennym wzrokiem patrzył na notes.

— Lekarze w tym mieście to znakomici fachowcy — powiedział spokojnie. — I nie chciałbym zobaczyć ani słowa wydrukowanego przeciwko nim. Po prostu tak się złożyło, że jeden z moich pracowników ma… szczególny talent.

— Chce pan powiedzieć, że potrafi odróżnić czyjś tyłek od łokcia? Vimes uczył się szybko. Siedział z rękami założonymi na piersi i całkowicie nieruchomą twarzą.

— Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? — spytał William.

— Nic cię nie powstrzyma, prawda?

— Czy znaleźliście psa lorda Vetinariego?

I znowu absolutnie martwa twarz. Ale tym razem William miał wrażenie, że poza nią zaczyna się kręcić kilkadziesiąt kółek zębatych.

— Psa? — powtórzył Vimes.

— Wuffles. Tak się chyba nazywa — powiedział William.

Vimes przyglądał mu się obojętnie.

— Terier, o ile pamiętam — dodał William.

Vimesowi nie drgnął nawet mięsień.

— Dlaczego z podłogi sterczał bełt z kuszy? — zastanawiał się William. — To przecież nie ma sensu, chyba że w pokoju był ktoś jeszcze. I ten bełt wbił się bardzo głęboko. To nie rykoszet. Ktoś strzelał do czegoś na podłodze. Może czegoś rozmiaru psa?

Nie poruszył się żaden fragment twarzy komendanta.

— I jeszcze ta mięta — ciągnął William. — To prawdziwa zagadka. No bo właściwie czemu mięta? I nagle pomyślałem: a może ktoś nie chciał, żeby dało się go wytropić po zapachu? Może też słyszał o waszym wilkołaku? Parę słojów olejku miętowego musi wprowadzić trochę zamieszania?

Lekkie drgnienie, kiedy Vimes błyskawicznie rzucił okiem na papiery na biurku. Lotto!*, pomyślał William.

I w końcu, niczym jakaś wyrocznia, która przemawia tylko raz do roku, Vimes się odezwał.

— Nie ufam panu, panie de Worde. I właśnie uświadomiłem sobie dlaczego. Nie o to chodzi, że sprawia pan kłopoty. Radzenie sobie z kłopotami to moja praca, płacą mi za nią, z tego powodu dostaję dodatek pancerzowy. Ale przed kim pan jest odpowiedzialny? Ja odpowiadam za to, co robię, choć w tej chwili niech mnie demony porwą, jeśli wiem przed kim. Ale pan? Mam wrażenie, że pan może robić, co tylko zechce.

— Przypuszczam, że jestem odpowiedzialny przed prawdą, panie komendancie.

— Och, doprawdy? A w jaki sposób?

— Słucham?

— Jeśli nakłamiesz, czy prawda przyjdzie i da ci w twarz? Jestem pod wrażeniem. Zwyczajni, normalni ludzie są odpowiedzialni wobec innych ludzi. Nawet Vetinari zawsze musiał… musi uważać na gildie. Ale ty, młody człowieku… ty odpowiadasz przed prawdą. Zadziwiające. Jaki ma adres? Czytuje twoje druki?

— O ile wiem, sir, istnieje bogini prawdy — wtrąciła sierżant Angua.

— No to chyba nie ma zbyt wielu wyznawców — stwierdził Vimes. — Z wyjątkiem tego oto naszego przyjaciela.

Popatrzył na Williama nad czubkami palców i trybiki w mózgu zawirowały ponownie.

— Przypuśćmy… tylko przypuśćmy… że trafiłby do ciebie niewielki rysunek psa — powiedział. — Mógłbyś go wydrukować?

— Mówimy o Wufflesie, tak? — upewnił się William.

— Mógłbyś?

— Zapewne bym mógł.

— Interesuje nas, dlaczego szczekał tuż przed… zdarzeniem.

— A gdybyście go znaleźli, kapral Nobbs mógłby z nim porozmawiać w psim języku, tak?

---

* W owym czasie bingo nie trafiło jeszcze do Ankh–Morpork.

Po raz kolejny Vimes wykonał sztuczkę z zamianą w posąg.

— Możemy dostarczyć rysunek psa w ciągu godziny.

— Dziękuję. A kto w tej chwili rządzi miastem, komendancie? — Jestem zwykłym gliną — odparł Vimes. — Nie mówią mi takich rzeczy. Ale przypuszczam, że zostanie wybrany nowy Patrycjusz. Wszystko jest opisane w statucie miasta.

— A kto może mi powiedzieć o tym coś więcej? — zapytał William.

I dodał w myślach: Zwykły glina, akurat!

— Pan Slant jest chyba najlepiej zorientowany — powiedział Vimes i tym razem się uśmiechnął. — Zawsze chętny do pomocy, o ile wiem. Żegnam, panie de Worde. Sierżancie, proszę panu de Worde wskazać drogę do wyjścia.

— Chcę się zobaczyć z Vetinarim — oznajmił William.

— Co takiego?

— To chyba rozsądna prośba, komendancie.

— Nie. Po pierwsze, nadal jest nieprzytomny. Po drugie, jest moim więźniem.

— Nie dopuszcza pan do niego nawet prawnika?

— Sądzę, mój chłopcze, że jego lordowska mość ma wystarczająco dużo kłopotów.

— A co z Drumknottem? On przecież nie jest więźniem, prawda?

Vimes zerknął na sierżant Anguę, która wzruszyła ramionami.

— No dobrze. Prawo tego nie zabrania, a nie chcemy, żeby ludzie mówili, że nie żyje.

Odczepił rurę komunikacyjną z mosiężno — skórzanej konstrukcji na biurku i zawahał się.

— Czy rozwiązano już ten problem, sierżancie? — zapytał.

— Tak, sir. System poczty pneumatycznej i rury komunikacyjne są teraz z całą pewnością rozdzielone.

— Na pewno? Bo wiecie, że funkcjonariusz Keenside stracił wczoraj wszystkie zęby.

— Mówią, że coś takiego nie może się już powtórzyć, sir.

— No tak. Oczywiście, nie może. Nie zostało mu już więcej zębów…

Vimes podniósł rurę, na moment skierował ją od siebie, a potem przemówił do niej.

— Połączcie mnie z aresztem, dobrze?

— Uizzip? Uipuipuip?

— Proszę powtórzyć.

— Zzzio muizzwi?

— Tu Vimes!

— Piskrit?

Vimes odłożył rurę na miejsce i spojrzał na sierżant Anguę.

— Ciągle nad tym pracują, sir — zapewniła. — Mówią, że szczury nadgryzają rury.

— Szczury?

— Obawiam się, że tak, sir.

Vimes jęknął tylko, po czym zwrócił się do Williama.

— Sierżant Angua zaprowadzi cię do cel — oświadczył. A potem William znalazł się po drugiej stronie drzwi.

— Idziemy — rzuciła sierżant.

— Jak wypadłem? — zainteresował się William.

— Widywałam gorsze rozmowy.

— Przepraszam, że wspomniałem o kapralu Nobbsie, ale…

— Och, proszę się tym nie przejmować — uspokoiła go sierżant Angua. — Pańskie talenty obserwacyjne będą tematem rozmów w całej komendzie. Wie pan, on był dla pana miły, bo jeszcze pana nie rozgryzł. Jasne? Więc niech pan będzie ostrożny. To wszystko.

— A pani mnie już rozgryzła, tak?

— Powiedzmy tylko, że nie opieram się na pierwszych wrażeniach. Uwaga, schodek.

Poprowadziła go na dół, gdzie były cele aresztantów. William zauważył — choć nie był tak głupi, by to zapisywać — że u stóp schodów pełni służbę dwóch strażników.

— Czy zawsze tu stoją? — zapytał. — Znaczy, przecież cele mają zamki, prawda?

— Słyszałam, że pracuje dla was wampir — oświadczyła Angua.

— Otto? No tak. Nie mamy żadnych uprzedzeń w tej kwestii… Sierżant nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi do głównego korytarza aresztu.

— Igorze! — zawołała. — Gość do pacjentów!

— Już idę, fierżancie.

Pokój za drzwiami był jasno oświetlony przez niesamowite, migotliwe niebieskie światło. Słoje stały na półkach wzdłuż jednej ze ścian. Wewnątrz nich poruszały się jakieś dziwne rzeczy… bardzo dziwne rzeczy. Inne zwyczajnie pływały. Błękitne iskry skwierczały w kącie na jakiejś skomplikowanej maszynie, całej z miedzianych kul i szklanych prętów. Ale uwagę Williama zwróciło przede wszystkim ogromne oko.

Zanim zdążyć wrzasnąć, wysunęła się ręka i to, co uznał za gigantyczną gałkę oczną, okazało się największym szkłem powiększającym, jakie widział w życiu, poruszającym się w metalowym uchwycie umocowanym do czoła właściciela. Ale twarz, jaka się za nim kryła, wcale nie wyglądała lepiej, jeśli oceniać ją w kategoriach zaciskającej gardło grozy.

Oczy tkwiły na różnej wysokości. Jedno ucho było większe od drugiego. I całą twarz pokrywała siatka blizn. Ale to wszystko nic w porównaniu z fryzurą Igora — tłuste czarne włosy czesał do przodu w sterczący lok, w stylu co bardziej hałaśliwych młodych muzykantów w mieście, jednak wystający tak daleko, że mógłby wybić oko jakiemuś niewinnemu, mijanemu na ulicy przechodniowi. Sądząc po… organicznej naturze warsztatu pracy Igora, pewnie potrafiłby włożyć je z powrotem.

Na ławie stało akwarium, w którym bulgotała woda. Kilka ziemniaków pływało w niej leniwie tam i z powrotem.

— Młody Igor pracuje w naszym wydziale medycyny sądowej — wyjaśniła sierżant Angua. — Igorze, to pan de Worde. Chciałby zobaczyć naszych pacjentów.

William dostrzegł szybkie spojrzenie, jakie Igor rzucił sierżant, która dodała:

— Pan Vimes się zgodził.

— W takim razie proszę tędy. — Igor wyminął Williama i kuśtykając, wyszedł na korytarz. — Zawsze miło gościć tu kogoś, panie de Worde. Przekona fię pan, że dbamy o swobodny nastrój w celach. Pójdę tylko i przyniofę klucze.

— Dlaczego on sepleni tylko przy niektórych s? — zapytał William, kiedy Igor pokuśtykał do gabloty.

— Stara się być nowoczesny. Nigdy nie spotkał pan Igora?

— Nie takiego jak ten! On ma dwa kciuki u prawej dłoni!

— Jest z Überwaldu — wyjaśniła sierżant. — Igory głęboko wierzą w samodoskonalenie. Ale to świetni chirurdzy. Nie należy tylko podawać im ręki w czasie burzy.

— Już jestem — oznajmił Igor, wracając. — Kto pierwszy?

— Lord Vetinari?

— Ciągle jeszcze fpi — uprzedził Igor.

— Jak to? Po tak długim czasie?

— Nic dziwnego. Porządnie oberwał… Sierżant Angua zakaszlała głośno.

— Myślałem, że spadł z konia — powiedział William.

— No tak… I porządnie oberwał, kiedy uderzył o ziemię. Z pewnością. — Igor zerknął na Anguę.

Przekręcił klucz.

Lord Vetinari leżał na wąskiej pryczy. Wyglądał blado, ale zdawało się, że śpi spokojnie.

— W ogóle się nie obudził?

— Nie. Zaglądam do niego co jakieś piętnafcie minut. Tak bywa. Czasem ciało po prostu nakazuje: fpij.

— Słyszałem, że on prawie w ogóle nie sypia — zdziwił się William.

— Może teraz korzysta z okazji — odparł Igor i zamknął drzwi celi. Otworzył sąsiednią.

Drumknott siedział na łóżku z obandażowaną głową. Pił jakąś zupę. Kiedy ich zobaczył, był tak zaskoczony, że niemal ją wylał.

— Jak się czujemy? — Igor uśmiechnął się tak szeroko, jak tylko pozwalała mu pokryta szwami twarz.'

— No… ja w każdym razie czuję się o wiele lepiej… — Młody człowiek niepewnie przyglądał się obliczom gości.

— Pan de Worde chciałby chwilę z panem porozmawiać — poinformowała sierżant Angua. — Ja pójdę i pomogę Igorowi sortować jego gałki oczne. Czy coś.

William pozostał w celi wypełnionej skrępowanym milczeniem. Drumknott był jednym z tych ludzi, którzy nie mają dostrzegalnej osobowości.

— Jest pan synem lorda de Worde, prawda? — zapytał. — Pisze pan te listy z nowinami.

— Tak — potwierdził William. Wydawało się, że zawsze będzie już synem swojego ojca. — Hm… mówią, że lord Vetinari zranił pana nożem.

— Tak mówią — zgodził się sekretarz.

— Ale pan był na miejscu.

— Zapukałem do drzwi, żeby zanieść mu egzemplarz „Pulsu", o który prosił. Jego lordowska mość otworzył, wszedłem do gabinetu… A następne, co pamiętam, to że budzę się tutaj i przygląda mi się pan Igor.

— To musiał być wstrząs…

Na moment Williama ogarnęła duma, że „Puls" miał swój skromny udział w wydarzeniach.

— Powiedzieli mi, że straciłbym władzę w prawej ręce, gdyby Igor nie był tak sprawny w użyciu igły — powiedział Drumknott z przekonaniem.

— Ale ma pan również obandażowaną głowę — zauważył William.

— Myślę, że musiałem upaść, kiedy… kiedy stało się to, co się stało.

Na bogów, pomyślał William. On jest zakłopotany… — Jestem absolutnie przekonany, że zaszło nieporozumienie — dokończył Drumknott.

— Czy jego lordowska mość ostatnio dużo pracował?

— Jego lordowska mość zawsze jest zapracowany. To jego praca.

— Wie pan, że trzy osoby słyszały, jak mówi, że pana zabił?

— Nie potrafię tego wytłumaczyć. Musiały się pomylić.

Słowa zabrzmiały ostro. Lada chwila, uznał William.

— Dlaczego pan sądzi… — zaczął i okazało się, że miał rację.

— Sądzę, że wcale nie muszę z panem rozmawiać — oświadczył Drumknott. — Prawda?

— Nie, ale…

— Pani sierżant!

Rozległy się szybkie kroki. Drzwi celi zaskrzypiały.

— Tak? — spytała sierżant Angua.

— Skończyłem rozmawiać z tym panem — oznajmił Drumknott.

— I jestem zmęczony.

William westchnął i schował notes.

— Dziękuję — powiedział. — Był pan niezwykle… pomocny.

Ruszyli z Anguą korytarzem.

— On chyba nie chce uwierzyć, że Patrycjusz mógł go zaatakować.

— Doprawdy? — odpowiedziała sierżant.

— Wygląda na to, że porządnie oberwał w głowę — ciągnął William.

— Tak wygląda?

— Proszę posłuchać, przecież nawet ja czuję, że coś tu brzydko pachnie.

— Czuje pan?

— Rozumiem — rzekł William. — Skończyła pani Szkołę Komunikacji Pana Vimesa, tak?

— Skończyłam? — spytała sierżant Angua.

— Lojalność to wspaniała cecha.

— Tak? Do wyjścia tędy…

* * *

Angua wyprowadziła Williama aż na ulicę. Wróciła na górę, do gabinetu Vimesa, i cicho zamknęła za sobą drzwi.

— Czyli zauważył tylko gargulce? — odezwał się Vimes, który obserwował przez okno, jak William oddala się ulicą.

— Najwyraźniej. Ale ostrzegam przed niedocenianiem go, sir. Jest spostrzegawczy. Bezbłędnie trafił z tą bombą miętową. A ilu funkcjonariuszy by zwróciło uwagę na to, jak głęboko strzała wbiła się w podłogę?

— To niestety prawda.

— Zauważył też drugi kciuk Igora. No i mało kto zwraca uwagę na pływające ziemniaki.

— Igor jeszcze się ich nie pozbył?

— Nie, sir. Wierzy, że od błyskawicznej ryby z frytkami dzieli nas tylko jedno pokolenie.

Vimes westchnął.

— No dobrze, sierżancie. Dajmy spokój ziemniakom. Jak stoją jego szanse?

— Sir?

— Wiem, co się dzieje w pokoju służbowym. Nie byliby strażnikami, gdyby nie robili zakładów.

— Co do pana de Worde?

— Tak.

— No więc… dziesięć do sześciu, że nie dożyje przyszłego poniedziałku, sir.

— Możesz rozpuścić wiadomość, że nie podobają mi się takie zabawy?

— Tak jest, sir.

— Zbadaj, kto prowadzi listę, a kiedy już odkryjesz, że to Nobby, zabierz mu ją.

— Oczywiście, sir. A pan de Worde?

Vimes wbił spojrzenie w sufit.

— Ilu funkcjonariuszy go pilnuje?

— Dwóch.

— Nobby zwykle trafnie ocenia szansę. Myślisz, że to wystarczy?

— Nie.

— Ja też nie. Ale brakuje nam ludzi. Będzie musiał się nauczyć trudniejszym sposobem.

Jednak problem z trudniejszym sposobem polega na tym, że dostaje się tylko jedną lekcję.

* * *

Pan Tulipan wyłonił się z zaułka, gdzie negocjował kupno bardzo małej torebki czegoś, co wkrótce miało się okazać trucizną na szczury zmieszaną ze sproszkowanymi kryształkami wybielacza.

Pan Szpila czytał duży arkusz papieru.

— Co to takiego? — zainteresował się pan Tulipan.

— Kłopoty, jak sądzę. — Pan Szpila złożył papier i wsunął go do kieszeni.

— To miasto działa mi na …one nerwy — stwierdził pan Tulipan, kiedy ruszyli ulicą dalej. — Dostałem …onego bólu głowy. I noga mnie rwie.

— I co? Mnie też ugryzł. Popełnił pan wielki błąd z tym psem, panie Tulipanie.

— Chce pan powiedzieć, że nie powinienem do niego strzelać, panie Szpilo?

— Nie. Chcę powiedzieć, że nie powinien pan chybiać. Uciekł.

— To tylko pies — burknął pan Tulipan. — Czy pies to aż taki problem? Przecież nie jest …onym wiarygodnym świadkiem. W ogóle nas nie uprzedzili o tym …onym psie. — W kostce budziło się to gorące, mroczne wrażenie, że ktoś ostatnio nie mył zębów. — Spróbowałby pan nieść gościa, kiedy …ony pies gryzie pana po nogach! A właściwie czemu ten …ony zombi w ogóle nas nie uprzedził, że ten …ony typ jest taki szybki? Gdyby nie zagapił się na tego …onego ćwoka, toby mnie dorwał!

Pan Szpila wzruszył ramionami. Ale zanotował w pamięci, że pan Slant zapomniał poinformować Nową Firmę o licznych faktach. A jednym z nich było to, że Vetinari poruszał się jak kobra.

To będzie prawnika kosztować dużo pieniędzy. Niewiele brakowało, a pan Szpila zostałby zraniony.

Odczuwał jednak dumę, że poczęstował tego urzędnika nożem i wypchnął Charliego na podest, żeby paplał coś do głupich służących. Tego nie było w scenariuszu. Taką właśnie obsługę zapewnia Nowa Firma. Pstryknął palcami. Tak! Potrafią reagować, potrafią improwizować, potrafią być kreatywni…

— Przepraszam na chwilkę, panowie…

Jakiś typ wyskoczył zza rogu, z nożami w obu rękach.

— Gildia Złodziei — powiedział. — Jeśli można… To oficjalny rabunek.

Ku zaskoczeniu złodzieja pan Szpila i pan Tulipan nie wydawali się ani zaskoczeni, ani przestraszeni, mimo wielkości obu noży. Przypominali raczej parę lepidopterologów, którzy natrafili na motyla zupełnie nowego gatunku i zobaczyli, że próbuje wymachiwać malutką siatką.

— Oficjalny rabunek? — powtórzył wolno pan Tulipan.

— Ach, panowie są gośćmi w naszym pięknym mieście? — ucieszył się złodziej. — A zatem to szczęśliwy dzień dla pana i… pana. Kradzież kwoty dwudziestu pięciu dolarów gwarantuje immunitet wobec jakichkolwiek napadów ulicznych przez okres sześciu miesięcy oraz… tylko w tym tygodniu… do wyboru ten wspaniały komplet kryształowych kieliszków do wina albo użyteczny zestaw narzędzi grillowych, które wzbudzą zazdrość u wszystkich przyjaciół.

— Znaczy… jesteś legalny? — zdziwił się pan Szpila. — Jakich …onych przyjaciół? — zapytał pan Tulipan.

— Tak jest, drogi panie. Lord Vetinari uważa, że ponieważ w mieście zawsze występuje jakaś przestępczość, to lepiej, żeby była zorganizowana.

Pan Tulipan i pan Szpila spojrzeli po sobie.

— No cóż, Legalność to moje drugie imię — oświadczył pan Szpila i wzruszył ramionami. — W pańskie ręce, panie Tulipanie.

— A skoro jesteście nowo przybyłymi, mogę wam zaproponować promocyjną kradzież stu dolarów, która w efekcie da wam immunitet na pełne dwadzieścia sześć miesięcy, plus tę książeczkę talonów restauracyjnych, kuponów zniżkowych przy wynajmie koni oraz voucherów rozrywkowych, wartą całe dwadzieścia pięć dolarów według dzisiejszych cen. Wasi sąsiedzi będą podziwiali…

Ręka pana Tulipana poruszyła się błyskawicznie. Dłoń niczym kiść bananów chwyciła złodzieja za szyję i walnęła jego głową o mur.

— Niestety, drugim imieniem pana Tulipana jest Drań.

Pan Szpila zapalił papierosa. Głuche odgłosy nieustającej wściekłości pana Tulipana wciąż rozlegały się za nim, kiedy sięgnął po kieliszki i przyjrzał im się krytycznie.

— Phi… Tanie szkło, nie żaden kryształ — stwierdził. — Nikomu dzisiaj nie można wierzyć. Rozpacz człowieka ogarnia…

Ciało złodzieja osunęło się na ziemię.

— Myślę, że wybiorę raczej …ony zestaw do grilla. — Pan Tulipan przestąpił nad byłym napastnikiem. — Widzę, że zawiera kilka bardzo użytecznych szpikulców i łopatek, które nadadzą nowy …ony wymiar elegancji wszystkim posiłkom al fresco na patio.

Rozerwał pudełko i wyciągnął niebiesko — biały fartuch. Obejrzał go z zainteresowaniem.

— „Zabić kucharza!!!" — przeczytał i wsunął go przez głowę. — Poważnie, zestaw wysokiej klasy. Muszę zdobyć jakichś …onych przyjaciół, żeby mogli mi zazdrościć, kiedy będziemy się posilać na tym …onym al fresco. Jak te …one talony?

— Nigdy nie ma w nich niczego sensownego — stwierdził pan Szpila. — To tylko sposób na pozbycie się towaru, którego nikt nie chce kupić. O, proszę popatrzeć: „25% zniżki w Kapuścianym Zamku Furby'ego".

Odrzucił książeczkę.

— Ale i tak nieźle — ocenił pan Tulipan. — Miał przy sobie dwadzieścia dolarów, więc ubiliśmy… ony dobry interes.

— Będę zadowolony, kiedy już stąd wyjedziemy — oświadczył pan Szpila. — Dziwaczne miasto. Chodźmy postraszyć trupa i wynośmy się stąd.

* * *

— Zeeeezuujj… GUT!

Okrzyk dzikiego sprzedawcy azet rozległ się na placu o zmierzchu, kiedy William maszerował w stronę Błyskot — nej. Jak zauważył, wciąż dobrze się sprzedawali.

Jedynie przypadkiem, gdy obok przeszedł jakiś nabywca, zobaczył tytuł:

## KOBIETA URODZIŁA KOBRĘ

Przecież Sacharissa nie wypuściła kolejnego wydania samodzielnie… Podbiegł do sprzedawcy.

To nie był „Puls". Tytuł, wielką i grubą czcionką, chyba lepszą od tej, której używały krasnoludy, brzmiał:

— Co to jest? — zapytał sprzedawcy, który społecznie przewyższał Rona i jego grupę o kilka warstw brudu.

— Co co jest?

— Co to jest to?

Głupia rozmowa z Drumknottem sprawiła, że William był naprawdę zdenerwowany.

— Nie mnie pytaj, szefie. Dostaję pensa od każdej sprzedanej sztuki. Tyle wiem.

— „Deszcz Zupy w Genoi”? „Kwoka trzykrotnie znosi Jajo podczas Huraganu”? Skąd oni to wszystko wzięli?

— Słuchaj pan, szefie, przecież jakbym umiał czytać, tobym nie sprzedawał tych papierów, nie?

— Ktoś jeszcze założył pismo! — domyślił się William. Zerknął na drobny druk u dołu pojedynczej strony — tutaj nawet drobny druk nie był bardzo drobny.

— Na Błyskotnej?

Przypomniał sobie robotników kręcących się przed starym magazynem. Jak mogli… Ale Gildia Grawerów przecież mogła, prawda? Mieli już prasy i z całą pewnością mieli pieniądze. Dwa pensy to śmieszna cena, nawet za tę jedną stronę… śmiecia. Jeśli sprzedawca dostaje pensa, to jakim cudem drukarz zarabia jeszcze jakieś pieniądze?

I wtedy sobie uświadomił: przecież wcale nie o to chodzi… Chodzi o to, żeby załatwić „Puls”.

Wielki czerwono–biały szyld „Super Faktów” był już na miejscu po drugiej stronie ulicy, naprzeciw Kubła.

Jeden z krasnoludów Dobrogóra obserwował magazyn zza muru.

— Mają tam już trzy prasy — powiedział. — Widział pan, co zrobili? Wypuścili druk w pół godziny!

— Tak, ale to tylko jedna strona. I wymyślone nowiny.

— Tak? Nawet ta o wężu?

— Założę się o tysiąc dolarów… — William przypomniał sobie, że mniejsza czcionka informowała, jakoby zdarzenie miało miejsce w Lancre. Zmienił swoją wycenę. — Założę się co najmniej o sto dolarów.

— To jeszcze nie jest najgorsze — stwierdził krasnolud. — Lepiej idź pan do środka.

Wewnątrz prasa zgrzytała przy pracy, jednak krasnoludy w większości stały bezczynnie.

— Podać ci same tytuły? — spytała Sacharissa, gdy tylko wszedł.

— Lepiej tak. — William usiadł przy swoim biurku.

— Grawerzy proponują Krasnoludom Tysiąc Dolarów za Prasę.

— No nie…

— Wampirzy Ikonografik oraz ciężko pracująca Autorka Tekstów kuszeni Pensją wysokości 500 Dolarów — ciągnęła Sacharissa.

— Nie, doprawdy…

— Ktoś chce przelecieć Krasnoludy na Papierze.

— Co?

— To dokładny cytat z pana Dobrogóra — wyjaśniła Sacharissa.

— Nie będę udawać, że wiem, co miał na myśli, ale zrozumiałam, że został im jeszcze zapas tylko na jedno wydanie.

— A jeśli chcemy więcej, cena jest pięć razy wyższa niż ostatnio

— dodał Gunilla, podchodząc do biurka. — Grawerzy go wykupują. Podaż i popyt, mówi Król.

— Król? — William zmarszczył brwi. — Chodzi ci o pana Króla?

— Tak, o Króla Złotej Rzeki — potwierdził krasnolud. — Owszem, z trudem, ale moglibyśmy tyle zapłacić. Tylko że jeśli ci z przeciwka będą tę swoją kartkę sprzedawać po dwa pensy, zaczniemy pracować właściwie na darmo.

— Otto powiedział człowiekowi z gildii, że jeśli znów go tu zobaczy, złamie swoje ślubowanie — oświadczyła Sacharissa. — Bardzo się rozgniewał, bo ten typ próbował wybadać, w jaki sposób Otto robi drukowalne ikonogramy.

— A co z tobą?

— Ja zostaję — zapewniła Sacharissa. — Nie ufam im, zwłaszcza że są tacy podstępni. Wydawali mi się ludźmi bardzo… bardzo niskiej klasy. Ale co my teraz zrobimy?

William przygryzł kciuk i popatrzył na swoje biurko. Kiedy przesunął nogę, but z

pocieszającym stukiem zahaczył o skrzynkę z pieniędzmi.

— Możemy trochę przyciąć objętość — zaproponował Dobrogór.

— Tak, ale wtedy ludzie nas nie kupią — stwierdziła Sacharissa.

— A powinni nas kupować, bo to my drukujemy prawdziwe informacje.

— Muszę przyznać, że nowiny z „SuperFaktów" brzmią ciekawiej.

— Bo oni nie muszą tam opisywać żadnych faktów! — burknęła.

— No więc mnie nie przeszkadza, jeśli wrócę do dolara dziennie, a Otto mówi, że może pracować za pół, jeśli tylko pozwolimy mu mieszkać w piwnicy.

William ciągle wpatrywał się w pustkę.

— Oprócz prawdy — powiedział zamyślony — co mamy takiego, czego nie ma gildia? Możemy drukować szybciej?

— Jedna prasa przeciwko trzem? Nie — stwierdził Dobrogór.

— Ale założę się, że umiemy szybciej składać.

— A to znaczy…

— Prawdopodobnie możemy ich wyprzedzić i pierwsi puścić „Puls" na ulice.

— Nooo… dobrze. To może pomóc. Sacharisso, znasz kogoś, kto szuka pracy?

— Nie przeglądałeś listów?

— No, nie tak dokładnie…

— Mnóstwo ludzi szuka pracy. To jest Ankh–Morpork!

— No dobrze. Znajdź trzy listy, w których jest najmniej błędów ortograficznych, i poślij Rocky'ego, żeby zatrudnił autorów.

— Jeden z nich to pan Bendy — ostrzegła Sacharissa. — Chce więcej pracy. Umiera niedostatecznie wielu interesujących ludzi. Wiedziałeś, że on dla zabawy chodzi na różne spotkania i zapisuje wszystko, co się tam mówi?

— A dokładnie zapisuje?

— Jestem pewna. To właśnie taki typ. Ale chyba nie mamy miejsca…

— Jutro rano przechodzimy na cztery strony. Nie patrzcie tak. Mam kolejne wiadomości o Vetinarim i zostało nam dwanaście godzin, żeby zdobyć papier.

— Mówiłem już, że Król nie sprzeda nam więcej papieru za przyzwoitą cenę — odezwał się Dobrogór.

— Jest w tym niezła historia — stwierdził William.

— To znaczy…

— Tak, wiem. Muszę jeszcze napisać tekst, a potem ty i ja wybierzemy się do niego z wizytą. Aha, i poślij kogoś do wieży semaforowej, dobrze? Chcę przekazać wiadomość królowi Lancre. Mam wrażenie, że kiedyś go poznałem.

— Sekary kosztują. Dużo kosztują.

— Poślij mimo wszystko. Jakoś zdobędziemy pieniądze.

— William pochylił się nad otworem prowadzącym do piwnicy.

— Otto?

Wampir wynurzył się do piersi. W ręku trzymał na pół rozłożony ikonograf.

— Co mogę dla vas zrobić?

— Dasz radę wymyślić coś specjalnego, żeby sprzedawać więcej „Pulsu”?

— A czego teraz chcecie? Obrazkóv, które vyskakują ze strony? Obrazkóv, które móvią? Obrazkóv, v których oczy podążają za człoviekiem dookoła?

— Nie musisz się obrażać — uspokoił go William. — Przecież nie proszę cię o kolor czy coś takiego…

— Kolor? — powtórzył wampir. — Kolor to łatvizna. Na kiedy będzie potrzebny?

— Niemożliwe — oświadczył stanowczo Dobrogór.

— Tak ci zię vydaje? Czy gdzieś tu v okolicy robią kolorove szkło?

— Tak, znam krasnoluda, który prowadzi fabrykę witraży przy Fedry — potwierdzi! Dobrogór. — Robią setki odcieni, ale…

— Chcę zaraz obejrzeć próbki. I jeszcze farby. Możecie zdobyć kolorove tusze?

— Z łatwością. Ale potrzebowałbyś setek różnych kolorów… Prawda?

— Nie, vcale nie. Zrobię listę tego, co będzie mi potrzebne. Ale viecie, pierwsze koty za płoty. Nie obiecuję od razu roboty klasy Burleigha i Vrzemocnego. Znaczy, nie proście o zubtelną grę świateł i cieni na jeziennych liściach. Ale coś z mocnymi kontrastami povinno zię udać. Vystarczy?

— Będzie doskonale.

— Dziękuję.

William wstał.

— A teraz — rzekł — pójdziemy się zobaczyć z Królem Złotej Rzeki.

— Zawsze się zastanawiałam, czemu go tak nazywają — powiedziała Sacharissa. — Przecież

tu nigdzie nie płynie rzeka złota. Prawda?

* * *

— Panowie…

Pan Slant czekał w holu pustego domu. Kiedy wkroczyła Nowa Firma, wstał na chwilę, ściskając swoją teczkę. Wyglądał, jakby był w wyjątkowo fatalnym humorze.

— Gdzie byliście?

— Poszliśmy coś przegryźć, panie Slant. Nie zjawił się pan rano, a pan Tulipan był głodny.

— Mówiłem wam, żebyście się nie pokazywali.

— Panu Tulipanowi niezbyt dobrze wychodzi niepokazywanie się. Zresztą przecież wszystko poszło dobrze. Musiał pan słyszeć. Aha, o mało co nie zginęliśmy, ponieważ o wielu rzeczach nam pan nie powiedział, i będzie to pana kosztować, ale w końcu, kto by się nami przejmował. Więc o co chodzi?

Pan Slant przyglądał się im z niechęcią.

— Mój czas jest cenny, panie Szpilo. Dlatego nie będę owijał w bawełnę. Co zrobiliście z psem?

— Nikt nam nic nie mówił o psie — oświadczył pan Tulipan, a pan Szpila od razu wiedział, że nie jest to właściwy ton.

— Aha. Zatem spotkaliście psa. Gdzie on jest?

— Zniknął. Uciekł. Pogryzł nas po …onych nogach i uciekł.

Pan Slant westchnął — przypominało to podmuch wiatru ze starożytnego grobowca.

— Mówiłem panom, że straż zatrudnia wilkołaka — powiedział.

— No? Co z tego? — zdziwił się pan Szpila.

— Wilkołak bez trudu dogada się z psem.

— Co? — zdumiał się pan Szpila. — Chce pan nam wmówić, że ludzie tutaj zechcą słuchać psa?

— Tak się nieszczęśliwie składa, że owszem — odparł pan Slant. — Pies ma osobowość. A osobowość się liczy. Zresztą precedensy prawne są tu oczywiste. W historii tego miasta, panowie, w różnych okresach stawialiśmy przed sądem siedem świń, plemię szczurów, cztery konie, jedną pchłę i rój pszczół. W zeszłym roku dopuszczono papugę jako świadka oskarżenia w

bardzo poważnej sprawie o morderstwo, a ja musiałem dla niej wdrożyć program ochrony. O ile wiem, obecnie żyje bardzo daleko stąd, udając bardzo dużą papużkę falistą. — Pan Slant pokręcił głową. — Niestety, zwierzęta mają swoje miejsce w sądzie. Można w tym miejscu zgłosić całkiem liczne obiekcje, jednak sedno w tym, panie Szpilo, że komendant Vimes oprze na tym sprawę. Zacznie przesłuchiwać… ludzi. On już wie, że coś się nie zgadza, musi jednak działać w granicach zeznań i dowodów, a nie ma ani jednych, ani drugich. Jeżeli odnajdzie psa, myślę, że sprawa zacznie się rozjaśniać.

— Wsuńcie mu parę tysięcy dolarów — poradził pan Szpila. — To zawsze działa ze strażnikami.

— O ile wiem, ostatnia osoba, która próbowała przekupić Vimesa, wciąż nie odzyskała pełnej władzy w jednym palcu — odparł pan Slant.

— Zrobiliśmy …one wszystko, co nam kazaliście! — krzyknął pan Tulipan, celując w prawnika grubym jak serdelek palcem.

Pan Slant zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— „Zabić kucharza!!!" — powiedział. — Jakże zabawne. Jednakże, jak sądziłem, zatrudniliśmy profesjonalistów.

Pan Szpila wiedział, co się stanie, i po raz kolejny złapał w locie pięść pana Tulipana; energia ciosu oderwała go na moment od podłogi.

— Teczki, panie Tulipanie — zaintonował. — Ten człowiek wie o różnych sprawach.

— Trudno mu będzie wiedzieć o …onym czymkolwiek, kiedy będzie martwy! — warknął pan Tulipan.

— Prawdę mówiąc, umysł staje się wtedy jasny i ostry — oświadczył pan Slant.

Wstał, a pan Szpila zauważył, jak zombi się podnosi, używając kolejnych partii mięśni. Nie tyle wstaje, ile raczej rozwija się ku górze.

— Pański… drugi asystent nadal jest bezpieczny? — zapytał prawnik.

— Siedzi znowu w piwnicy, pijany jak bela. Nie rozumiem, czemu nie możemy załatwić go od razu. Niewiele brakowało, a uciekłby z wrzaskiem, kiedy zobaczył Vetinariego. Gdyby tamten nie był tak zaskoczony, mielibyśmy poważne kłopoty. Kto w takim mieście zwróci uwagę na jedno ciało więcej?

— Straż, panie Szpilo. Ile razy muszę to panu powtarzać? Są wręcz nieprawdopodobnie sprawni w zauważaniu.

— Ten oto pan Tulipan nie zostawi im wiele do zauważania… — Pan Szpila urwał. — Straż aż tak bardzo pana przeraża?

— To jest Ankh–Morpork — warknął prawnik. — Jesteśmy miastem bardzo kosmopolitycznym. Być martwym w Ankh–Morpork to często jedynie drobna niewygoda, rozumie pan? Mamy tu magów, mamy media wszelkiego typu. A ciała mają zwyczaj się pojawiać. Nie chcemy niczego, co mogłoby dać straży wskazówkę. Rozumie pan?

— Słuchaliby …onego trupa? — zdziwił się pan Tulipan.

— Nie rozumiem, dlaczego nie. Wy słuchacie — odparł zombi. Rozluźnił się nieco. — Zresztą zawsze istnieje możliwość, że wasz… kolega okaże się jeszcze użyteczny. Może wybierzecie się z nim na jakiś dalszy spacer, żeby przekonać nieprzekonanych… Jest zbyt cennym nabytkiem, żeby już teraz… przejść w stan spoczynku.

— No dobrze, niech będzie. Przytrzymamy go w butelce. Ale chcemy dodatkowej zapłaty za psa.

— To przecież tylko pies, panie Szpilo. — Pan Slant uniósł brwi. — Nawet pan Tulipan zdoła przechytrzyć psa, jak przypuszczam.

— Ale najpierw trzeba tego psa znaleźć — zauważył pan Szpila, szybko stając przed kolegą. — A w tym mieście jest ich sporo.

Zombi znów westchnął.

— Mogę dodać do waszego honorarium jeszcze pięć tysięcy dolarów w klejnotach. — Uniósł dłoń. — I niech pan nie obraża nas obu, mówiąc bez zastanowienia „dziesięć". Zadanie nie jest trudne. Zgubione psy w tym mieście albo trafiają do któregoś ze zdziczałych stad, albo zaczynają nowe życie jako para rękawiczek.

— Chcę wiedzieć, kto mi wydaje te rozkazy — oświadczył pan Szpila. W kieszeni czuł ciężar De–Terminarza.

Pan Slant wyglądał na zdziwionego.

— Ja, panie Szpilo.

— Chodzi mi o pańskich klientów.

— Och, doprawdy?

— Sprawa robi się polityczna — upierał się pan Szpila. — Nie da się walczyć z polityką. Muszę wiedzieć, jak daleko mamy uciekać, jeśli ludzie odkryją, co się stało. I kto nas będzie chronił, jeśli nas złapią.

— W tym mieście, panowie, fakty nigdy nie są tym, czym się wydają. Zaopiekujcie się psem, a… inni zaopiekują się wami. Rodzą się plany. Kto może powiedzieć, co naprawdę się wydarzyło? Ludzie łatwo mogą się pogubić, a mówię to jako ktoś, kto spędził w salach sądowych całe wieki. Podobno kłamstwo może obiec świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty. Cóż za szkaradna fraza, nie sądzicie? Zatem… nie wpadajcie w panikę, a wszystko będzie dobrze. Ale też nie zachowujcie się bezmyślnie. Moi… klienci mają dobrą pamięć i głębokie kieszenie. Mogą wynająć innych zabójców. Rozumiemy się? — Zatrzasnął teczkę. — Zegnam panów.

Drzwi zamknęły się za nim.

Za plecami pana Szpili coś zabrzęczało — to pan Tulipan wyjął swój stylowy, elegancki zestaw przyrządów do grilla.

— Co pan robi?

— Ten …ony zombi skończy na tych …onych poręcznych i wszechstronnych szpikulcach do kebabu — oświadczył pan Tulipan. — A potem naostrzę krawędź tej …onej łopatki. I wtedy… wtedy zrobię mu z dupy jesień średniowiecza.

Mieli pilniejsze sprawy, ale pan Szpila był zaintrygowany.

— A jak dokładnie? — zapytał.

— Myślałem najpierw o gaiku… — Pan Tulipan się zadumał. — Potem pokaz tańców ludowych, uprawa ziemi aż do pojawienia się trójpolówki, kilka fal zarazy, a później, jeśli …ona ręka nie będzie nazbyt zmęczona, wynalazek końskiego chomąta.

— Brzmi nieźle — uznał pan Szpila. — A teraz poszukajmy tego przeklętego psa.

— Jak to załatwimy?

— Inteligentnie — wyjaśnił pan Szpila.

— Nie cierpię tego …onego sposobu.

* * *

Nazywano go Królem Złotej Rzeki. Wyrażało to uznanie dla jego bogactwa i osiągnięć, a także źródła sukcesu, którym jednak nie była klasyczna rzeka złota. Przezwisko było znacznie lepsze od poprzedniego, które brzmiało Sik Harry.

Harry Król zbił majątek, umiejętnie stosując starą mądrość, że i w popiele błyśnie diament.

Potrafił wyciągnąć pieniądze z rzeczy, które ludzie wyrzucali. A zwłaszcza z bardzo ludzkich rzeczy, które ludzie wyrzucali.

Realne fundamenty jego fortuny powstały, kiedy zaczął zostawiać puste wiadra w rozmaitych lokalach w centrum miasta, zwłaszcza tych oddalonych od rzeki dalej niż o długość rynsztoka. Pobierał bardzo skromną opłatę za wynoszenie ich, kiedy już były pełne. Proces ten stał się ważnym elementem życia każdego właściciela pubu — w środku nocy słyszeli brzęk i odwracali się na drugi bok z miłą świadomością, że ktoś z ludzi Sika Harry'ego właśnie czynił świat — w niewielkiej skali — lepiej pachnącym miejscem.

Nie zastanawiali się, co się dzieje z pełnymi wiadrami, a tymczasem Harry Król odkrył coś, co stało się kluczem do bogactwa: bardzo mało jest substancji, choćby i obrzydliwych, które nie są używane w którejś z gałęzi gospodarki. Pewni ludzie zużywają ogromne ilości amoniaku i saletry. Jeśli nie da się czegoś sprzedać alchemikom, prawdopodobnie wezmą to farmerzy. Jeśli nie zechcą nawet farmerzy, to nie istnieje nic, zupełnie nic, jakkolwiek byłoby paskudne, czego nie da się sprzedać garbarzom.

Harry czuł się jak jedyny człowiek w osadzie górniczej, który wie, jak wygląda złoto.

Zaczął obsługiwać całe ulice i rozrastał się. W zamożnych dzielnicach właściciele domów płacili mu, naprawdę płacili, żeby zabierał nocne nieczystości, te tradycyjne już wiadra, koński nawóz, śmieci, a nawet psie odchody. Psie odchody? Czy oni w ogóle zdawali sobie sprawę, ile dadzą garbarze za najlepsze białe psie kupki? To tak jakby płacili mu za odbieranie miękkich diamentów.

Harry nic nie mógł na to poradzić — świat wychodził ze skóry, by dawać mu pieniądze. Ktoś gdzieś chętnie płacił za martwego konia albo dwie tony krewetek tak daleko przekraczających datę przydatności do spożycia, że nie dało się jej wypatrzyć nawet przez teleskop. A najwspanialsze było to, że ktoś już wcześniej mu zapłacił, żeby je sobie zabrał. Jeśli absolutnie nikt nie chciał czegoś kupić, nawet ludzie od kociej karmy, nawet sam Dibbler, istniały jeszcze potężne pryzmy kompostowe w dole rzeki za miastem. Wulkaniczne ciepło rozkładu przerabiało na żyzną glebę („10p za worek, przynieś własny worek…") praktycznie wszystko, co zostawało. W tym — jeśli wierzyć plotkom — rozmaitych podejrzanych biznesmenów, którzy przegrali w bitwie o kolejne tereny („…prawdziwa uczta dla twoich dalii").

Jednak dział pulpy drzewnej i szmat trzymał bliżej domu, obok wielkich kadzi zawierających złociste podstawy jego fortuny — dlatego że była to jedyna część firmy, o której zgadzała się

rozmawiać jego żona, Effie. Plotka sugerowała, że Effie stała także za usunięciem ogólnie podziwianego szyldu nad bramą wiodącą na plac firmy. Szyld głosił: „H. Król — odbieramy siki od 1961". Teraz napis brzmiał: „H. Król — przeróbka darów Natury".

Małą furtkę w wielkiej bramie otworzył przed nimi troll. Harry był bardzo postępowy, jeśli chodziło o zatrudnianie przedstawicieli innych gatunków; należał w mieście do pierwszych przedsiębiorców, którzy dali pracę trollowi. W dziedzinie substancji organicznych trolle praktycznie nie miały zmysłu powonienia.

— Taa?

— Chciałbym rozmawiać z panem Królem, jeśli można.

— A ło czym?

— Zamierzam kupić od niego znaczną ilość papieru. Powiedz, że przyszedł pan de Worde.

— Dobra.

Drzwiczki zatrzasnęły się. Czekali. Po kilku minutach otworzyły się znowu.

— Król was tera przyjmie — oznajmił troll.

I tak William z Gunillą wkroczyli na plac należący do człowieka, który — jak głosiła plotka — magazynował papierowe chusteczki, czekając na dzień, gdy ktoś wymyśli, jak wydobywać srebro ze smarków.

Po obu stronach bramy wielkie rottweilery rzucały się na pręty swych kojców. Wszyscy wiedzieli, że na noc Harry je wypuszcza. Zadbał o to, żeby wszyscy wiedzieli. A każdy nocny złoczyńca musiał naprawdę dobrze sobie radzić z psami, jeśli nie chciał skończyć jako kilka funtów Garbnika I Klasy (Białego).

Król Złotej Rzeki miał swoje biuro w piętrowym baraku na placu. Mógł stamtąd widzieć parujące kopce i kadzie swojego imperium.

Nawet na wpół zasłonięty przez wielkie biurko, był człowiekiem potężnym, z różową, lśniącą twarzą i kilkoma kosmykami włosów zaczesanych na głowie. Trudno byłoby go sobie wyobrazić inaczej niż w koszuli z krótkim rękawem i szelkach, nawet gdy ich nie miał, albo inaczej niż palącego cygaro, bez którego rzeczywiście nikt go nigdy nie widział. Może służyło jako rodzaj obrony przed odorami, będącymi w pewnym sensie jego towarem.

— Dobry wieczór, chłopcy — rzucił przyjaźnie. — Co mogę dla was zrobić? Jakbym nie wiedział…

— Pamięta mnie pan, panie Król ? — spytał William.

Harry przytaknął.

— Jesteś synem lorda de Worde, zgadza się? Napisałeś o nas w tym swoim liście w zeszłym roku, kiedy nasza Daphne wychodziła za mąż, tak? Moja Effie była strasznie dumna, że wszyscy władcy czytają o naszej Daphne.

— Teraz ten list jest znacznie większy, panie Król.

— Tak, słyszałem — odparł grubas. — Zaczął się już pojawiać w naszych zbiorach. Przydatny materiał; kazałem chłopakom odkładać go osobno.

Cygaro przesunęło się z jednego kącika ust do drugiego. Harry nie umiał czytać ani pisać, co nie przeszkadzało mu wygrywać z tymi, co umieli. Zatrudniał setki pracowników do sortowania śmieci. Bez trudu mógł przyjąć jeszcze kilku, którzy sortowaliby słowa.

— Panie Król… — zaczął William.

— Nie jestem durniem, chłopcy — przerwał mu Harry. — Wiem, po co przyszliście. Ale interes to interes. Wiecie, jak to bywa.

— Bez papieru nasz interes padnie! — wybuchnął Dobrogór.

Cygaro przemieściło się znowu.

— A ty jesteś…?

— To pan Dobrogór — przedstawił Gunillę William. — Mój drukarz.

— Krasnolud, co? — Harry zmierzył Gunillę wzrokiem. — Ja tam nic nie mam przeciwko krasnoludom, ale marni z was sorterzy. Gnolle są tanie, tylko że te małe brudasy wyjadają połowę śmiecia. Trolle są w porządku. Trzymają się mnie, bo dobrze im płacę. Najlepsze są golemy, sortują dniem i nocą. Warte tyle złota, ile same ważą, ale ostatnio prawie tyle żądają, żeby im płacić. — Cygaro rozpoczęło kolejną wędrówkę przez usta. — Przykro mi, chłopcy. Umowa to umowa. Chciałbym wam pomóc. Ale sprzedałem cały papier. Nie mogę.

— Chcesz nas pan wykopać, tak po prostu? — oburzył się Dobrogór.

Zza chmury dymu Harry przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

— Ty mi mówisz o wykopywaniu? Pewnie nie wiecie, co to jest toszeron, co?

Krasnolud wzruszył ramionami.

— Owszem, ja wiem — oświadczył William. — Ma kilka znaczeń, ale sądzę, że chodzi panu o zaschniętą kulę błota i monet, jaką można znaleźć w jakimś zakręcie starego ścieku, gdzie woda tworzy wir. Bywają bardzo wartościowe.

— Co? Przecież ty masz rączki jak panienka… — Harry tak się zdziwił, że cygaro na moment

obwisło mu w ustach. — Skąd wiesz?

— Lubię słowa, panie Król.

— Zacząłem grzebać w ściekach, kiedy miałem trzy lata. — Harry odsunął krzesło. — I już pierwszego dnia znalazłem swój pierwszy toszeron. Jasne, któryś ze starszych chłopaków zwinął mi go natychmiast. I wy mówicie o wykopywaniu z interesu? Ale już wtedy miałem nosa do tej roboty. Wtedy…

Siedzieli i słuchali, William z większą cierpliwością niż Gunilla. To była naprawdę fascynująca opowieść, jeśli ktoś lubił takie historie — mimo że znał już spore jej fragmenty. Harry Król opowiadał ją przy każdej okazji.

Młody Harry Król był błotnym szperaczem obdarzonym wizją. Przeczesywał brzegi rzeki, a nawet mętną powierzchnię samej Ankh; szukał zgubionych monet, kawałków metalu, przydatnych bryłek węgla… czegokolwiek, co gdzieś miało jakąś wartość. Zanim skończył osiem lat, zatrudniał już inne dzieciaki. Do niego należały całe odcinki rzeki. Inne gangi trzymały się z daleka albo ulegały przejęciu. Harry nie bił się źle, ale stać go było na wynajęcie takich, którzy bili się lepiej.

I tak rosło imperium Króla — przez koński nawóz sprzedawany na wiadra (z gwarancją dobrego udeptania), poprzez szmaty, resztki metalu, kości i domowe śmieci, przez sławne wiadra, kiedy przyszłość naprawdę zaczęła się rysować w złotych barwach. Była to jakby historia cywilizacji, ale oglądanej z samego dołu.

— Nie jest pan członkiem żadnej gildii, panie Król? — zapytał William, gdy Harry przerwał na nabranie oddechu.

Cygaro przewędrowało z jednej strony na drugą — pewny znak, że William trafił w czuły punkt.

— Przeklęte gildie! Powiedzieli, że powinienem wstąpić do Żebraków. Ja! Nigdy w życiu o nic nie żebrałem! Co za bezczelność! Ale wyrzuciłem ich wszystkich! Nie chcę mieć nic wspólnego z gildiami. Płacę moim chłopcom uczciwie i mnie się trzymają.

— Gildie chcą nas złamać, panie Król. Wie pan o tym. Przecież słyszy pan o wszystkim, co się dzieje. I jeśli nie sprzeda nam pan papieru, przegramy.

— A jeśli złamię umowę?

— To jest mój toszeron, panie Król — powiedział William. — A ci, którzy chcą mi go zwinąć, są naprawdę silni.

Harry milczał przez chwilę. Potem wstał i podszedł do okna.

— Chodźcie popatrzeć, chłopcy — powiedział.

Na końcu placu stał wielki kołowrót obsługiwany przez dwa golemy. Napędzał skrzypiący taśmociąg biegnący przez prawie cały teren. Na drugim końcu kilka trolli z szerokimi łopatami ładowało na taśmę śmieci z wielkiego stosu, uzupełnianego co jakiś czas przez podjeżdżające wózki.

Wzdłuż taśmy stały golemy i trolle, a niekiedy nawet ludzie. W migotliwym świetle pochodni uważnie się przyglądali sunącym odpadkom. Od czasu do czasu ktoś szybko wysuwał rękę i przerzucał coś do stojącego z tyłu kosza.

— Rybie łebki, kości, szmaty, papier… Jak dotąd mam dwadzieścia siedem pojemników, w tym jeden na złoto i srebro, bo byście się zdziwili, co się wyrzuca przez pomyłkę. Łyżeczka błyszczy wśród śmieci, już obrączka za nią leci… Tak śpiewałem kiedyś moim córkom. Taki towar jak ten wasz papier z nowinami trafia do pojemnika szóstego, Odpadki Papierowe Niskiej Klasy. Sprzedaję je głównie Bobowi Holtely'emu ze skweru Piątaka i Siódmaka.

— A co on z tym robi? — zapytał William, zauważając tę Niską Klasę.

— Pulpę na papier toaletowy — odparł Harry. — Żona przysięga, że tak. Osobiście pomijam pośredników. — Westchnął, wyraźnie nie dostrzegając gwałtownego spadku poczucia godności Williama. — I wiecie, czasami stoję tak sobie wieczorkiem, kiedy taśma turkocze, a zachodzące słońce błyszczy w zbiornikach osadowych, i nie wstydzę się przyznać, że łza kręci mi się w oku.

— Prawdę mówiąc, mnie też się zakręciła, wie pan… — zapewnił William.

— No więc, chłopcze… Kiedy ten dzieciak zabrał mi mój pierwszy toszeron, nie chodziłem nigdzie się skarżyć, prawda? Wiedziałem, że mam dobre oko, rozumiesz… Pracowałem dalej i znalazłem jeszcze mnóstwo innych. W dniu moich ósmych urodzin zapłaciłem dwóm trollom, żeby poszukały tego typa, który zwinął mi mój pierwszy, i stłukły go tak, aż się zesmarka. Wiedziałeś o tym?

— Nie, panie Król.

Harry Król spoglądał na Williama przez smugi dymu, a William miał wrażenie, że jest obracany i badany jak coś znalezionego w śmieciach.

— Moja najmłodsza córka, Hermiona… w przyszłym tygodniu wychodzi za mąż. Wielka gala. Świątynia Offlera. Chóry i wszystko. Zapraszam każdego ważniaka. Effie się uparła. Żaden nie przyjdzie, oczywiście. Nie do Sika Harry'ego.

— Za to „Puls” byłby na pewno — obiecał William. — Z kolorowymi obrazkami. Tyle że jutro wypadamy z interesu.

— Kolorowymi? Macie kogoś, kto je wam maluje, co?

— Nie. Mamy… specjalną metodę — zapewnił William. Wbrew rozsądkowi miał nadzieję, że Otto mówił poważnie.

W tej chwili nie siedział już na cienkiej gałęzi, teraz był już niebezpiecznie daleko poza drzewem.

— Chciałbym to zobaczyć… — rzekł Harry.

Wyjął cygaro, spojrzał na czubek i włożył je z powrotem do ust. Wypuścił kłąb dymu i znowu spojrzał badawczo na Williama.

Williama ogarnęło silne poczucie zakłopotania człowieka dobrze wykształconego, który staje wobec faktu, że przyglądający mu się analfabeta jest pewnie trzy razy bystrzejszy.

— Panie Król, naprawdę potrzebujemy tego papieru — powiedział, by jakoś przerwać krępującą ciszę.

— Ma pan w sobie coś niezwykłego, panie de Worde — stwierdził Król. — Urzędników kupuję i sprzedaję według potrzeb, ale pan mi nie pachnie urzędnikiem. Robi pan wrażenie człowieka, który przekopie się przez tonę gówna, żeby znaleźć szeląga. I zastanawiam się, dlaczego tak jest.

— Proszę, panie Król, niech pan nam sprzeda trochę papieru po starych cenach…

— Nie mogę — odparł krótko Harry. — Przecież ci tłumaczyłem. Umowa to umowa. Grawerzy zapłacili.

William otworzył usta, ale Gunilla położył mu dłoń na ramieniu. Król wyraźnie posuwał się ku końcowi ciągu myśli.

Wrócił do okna i w zadumie spojrzał na plac z jego dymiącymi pryzmami. I wtedy…

— No nie! Patrzcie tylko! — zawołał i odstąpił od okna, zdumiony i oburzony. — Widzicie ten wóz przy bramie, o tam?

Zobaczyli wóz.

— Setki razy chłopakom mówiłem, żeby nie stawiali załadowanych, gotowych do wyjazdu wozów przy otwartej bramie. Ktoś może go podprowadzić, mówiłem.

William zastanowił się, kto ośmieliłby się ukraść cokolwiek Królowi Złotej Rzeki, właścicielowi wszystkich tych rozżarzonych pryzm kompostowych…

— To ostatnia ćwiartka zamówienia Gildii Grawerów — oznajmi! Harry światu jako całości. — Musiałbym zwrócić im pieniądze, gdyby ktoś wyjechał tym wozem z mojego placu. Muszę powiedzieć brygadziście. Ostatnio robi się roztargniony.

— Powinniśmy już iść, Williamie — oświadczył Dobrogór i chwycił Williama za łokieć.

— Dlaczego? Przecież nie…

— Jak zdołamy się panu odwdzięczyć, panie Król? — zapytał krasnolud, ciągnąc Williama do drzwi.

— Panna młoda będzie nosiła suknię w o–de–nill, cokolwiek to znaczy — poinformował Król Złotej Rzeki. — Aha, i jeśli do końca miesiąca nie dostanę od was, chłopcy, osiemdziesięciu dolarów, to wpadniecie w głębokie… — cygaro przejechało tam i z powrotem przez całą szerokość ust — …kłopoty. Głowami w dół.

Dwie minuty później skrzypiący wóz opuszczał plac, pod dziwnie obojętnym spojrzeniem trolla brygadzisty.

— Nie, to nie jest kradzież — tłumaczył z naciskiem Dobrogór, potrząsając lejcami. — Król odda tym draniom pieniądze, a my mu

zapłacimy dawną cenę. I wszyscy będą zadowoleni oprócz „Super — Faktów", ale kto by się nimi przejmował.

— Nie podobał mi się ten fragment o głębokich pauza kłopotach — oświadczył William. — Głowami w dół.

— Jestem niższy od ciebie, więc przegrywam na obie strony.

Kiedy wóz zniknął za bramą, Król krzyknął na jednego ze swoich urzędników, żeby z pojemnika szóstego przyniósł mu egzemplarz „Pulsu". Potem siedział nieruchomo — tylko cygaro przesuwało się z jednej strony na drugą i z powrotem — a urzędnik czytał mu poplamioną i zmiętą azetę.

Po chwili uśmiechnął się szeroko i poprosił o ponowne przeczytanie kilku fragmentów.

— Aha — powiedział, kiedy urzędnik skończył. — Od razu pomyślałem, że o to chodzi. Ten chłopak to urodzony szperacz. Szkoda tylko, że urodził się bardzo daleko od porządnego błota.

— Czy mam wypisać notę kredytową dla Gildii Grawerów, panie Król?

— Tak.

— Domyślam się, że odzyska pan te pieniądze?

Harry Król zwykle nie pozwalał urzędnikom na takie pytania. Mieli tu sumować kolumny

liczb, a nie dyskutować o polityce firmy. Z drugiej strony jednak zrobił majątek, gdyż potrafił dostrzec iskrę wśród mułu. Czasami trzeba uznać talent, kiedy się go spotka.

— Jaki to kolor, ten o–de–nill? — zapytał.

— Och, to jeden z tych trudnych kolorów, panie Król. Tak jakby jasnoniebieski z odcieniem zieleni.

— Można zdobyć tusz w tym kolorze?

— Mogę sprawdzić. Ale to będzie kosztowne.

Cygaro znów wykonało przejazd z jednej strony Harry'ego Króla na drugą. Był znany z tego, że bardzo dbał o córki — uważał, że cierpią z powodu ojca, który musi dwa razy się wykąpać, żeby być zwyczajnie brudny.

— Miejmy na oku tego naszego pisarczyka — stwierdził. — Zawiadom chłopców, dobrze? Nie chciałbym rozczarować naszej Effie.

* * *

Sacharissa zauważyła, że krasnoludy znowu coś robią przy prasie. Rzadko kiedy zachowywała ten sam kształt przez więcej niż kilka godzin. Krasnoludy przebudowywały ją w trakcie pracy.

Sacharissa miała wrażenie, że krasnolud do pracy potrzebuje tylko topora i jakiejś metody rozpalenia ognia. W ten sposób powstawała kuźnia, gdzie mógł wykonać proste narzędzia, a za ich pomocą skomplikowane narzędzia. Mając skomplikowane narzędzia, krasnolud potrafił zrobić właściwie wszystko.

Kilku z nich grzebało wśród odpadów produkcyjnych leżących w stosach pod ścianami. Dwie metalowe wyżymaczki przetopiono już, by odzyskać żelazo, a koni na biegunach używano do topienia ołowiu. Dwa krasnoludy opuściły szopę w tajemniczych misjach. Wróciły z niewielkimi workami, rzucając ukradkowe spojrzenia.

Krasnolud potrafi także doskonale wykorzystywać to, co ludzie wyrzucają — nawet jeśli jeszcze nie zdążyli tego wyrzucić.

Już miała wrócić do swojego tekstu o dorocznym spotkaniu Wesołych Przyjaciół z Nastroszonego Wzgórza, kiedy głośny trzask i przekleństwa po überwaldzku — dobrym języku do przekleństw — kazały jej podbiec do klapy w podłodze.

— Nic ci się nie stało, Otto? Mam przynieść miotełkę i szufelkę?

— *Bodroivatskij ialtsiet!* Och, przepraszam, panno Sacharisso! Trafiłem na nievielki vybój na drodze postępu.

Sacharissa zeszła po drabinie.

Otto stał przy swoim prowizorycznym warsztacie. Na ścianie wisiały pudełka z chochlikami. Salamandry drzemały w klatkach. W wielkim ciemnym słoju wiły się lądowe węgorze. Ale słój obok leżał rozbity.

— Byłem niezręczny i przevróciłem go — wyjaśnił zakłopotany Otto. — A teraz ten durny węgorz uciekł za ztół.

— Czy on gryzie?

— Nie, to lenive łobuzy…

— A nad czym właściwie pracujesz, Otto? — Sacharissa odwróciła się, by obejrzeć coś dużego stojącego na blacie.

Spróbował stanąć przed nią.

— Och, to jeszcze całkiem ekzperymentalne…

— Sposób wykonywania barwnych płyt?

— Tak, ale to prymityvny zestav…

Kątem oka Sacharissa zauważyła jakiś ruch. To węgorz lądowy, który uciekł ze słoja, znudził się za warsztatem i teraz w ślimaczym tempie ruszał ku nowym horyzontom, gdzie każdy węgorz może wić się dumnie i poziomo.

— Proszę, nie… — zaczął Otto.

— Och, to nic takiego. Nie jestem aż taka delikatna…

Sacharissa chwyciła węgorza…

Kiedy odzyskała zmysły, zobaczyła Ottona, który rozpaczliwie wachlował ją swoją czarną chustką.

— O bogowie… — szepnęła, próbując usiąść.

Twarz Ottona wyrażała taką zgrozę, że Sacharissa na moment zapomniała o potwornym bólu głowy.

— Co ci się stało? — spytała. — Wyglądasz okropnie.

Otto odsunął się gwałtownie, spróbował wstać i na wpół upadł na blat. Trzymał się za pierś.

— Sera! — wyjęczał. — Błagam, przenieście mi sera! Albo duże jabłko! Coś, co można ugryźć! Prooooszę!

— Na dole nic takiego nie ma…

— Nie podchodź do mnie! I nie oddychaj tak! — zawył Otto.

— Znaczy jak?

— Że łono zię kołysze do źrodka i na zevnątrz, v górę i v dół, tak właśnie! Jestem vampirem! Mdlejąca młoda dama, ciężki oddech, falovanie łona… przyvołuje z vnętrza mnie coś strasznego…

Wyprostował się gwałtownie i zacisnął palce na czarnej wstążeczce w klapie.

— Ale będę zilny! — wrzasnął. — Nie zaviodę!

Stanął sztywno na baczność, chociaż trochę się rozmywał z powodu wibracji wstrząsającej nim od stóp do głów. Po czym zaśpiewał drżącym głosem:

— *Do naszej misji przyjdź, odjviedź ją, ją, ją, Herbata z ciastkiem tam czekają, ją, ją…*

Drabina zapełniła się nagle niespokojnymi krasnoludami.

— Nic się nie stało, panienko? — spytał Boddony, podbiegając z toporem w dłoni. — Chciał ci coś zrobić?

— Nie, nie! On jest…

— *…napój, co w żywej arterii mknie, to napój nie dla mnie, o nie…*

Strużki potu spływały Ottonowi po twarzy. Stał wyprostowany, przyciskając dłoń do serca.

— Tak jest, Otto! — zawołała Sacharissa. — Walcz z tym! Walcz!

— Zwróciła się do krasnoludów. — Może któryś z was ma jakieś surowe mięso?

— *…ve vstrzemięźlivości siły nam doda czysta jak kryształ z krynicy voda…* — Żyły pulsowały na bladym czole Ottona.

— Mam na górze świeże szczurze filety — wymruczał jeden z krasnoludów. — Dałem za nie dwa pensy…

— Przenieś natychmiast, Gowdie — rozkazał Boddony. — Nie wygląda to dobrze!

— *…pić można brandy i gin, gdy się trafi, vyzączyć vhisky i rum, co jest v szafie, ale jednego zię vyrzeknijmy, nigdy już vięcej tego nie pijmy…*

— Dwa pensy to dwa pensy, tyle tylko chciałem powiedzieć.

— Patrzcie, on zaczyna dygotać!

— I śpiewać też nie umie — narzekał Gowdie. — Dobrze już, dobrze. Idę, idę…

Sacharissa poklepała Ottona po lepkiej od potu dłoni.

— Potrafisz nad tym zapanować! — powiedziała z naciskiem.

— Wszyscy tu jesteśmy z tobą. Wszyscy, prawda? Prawda?!

Pod jej groźnym spojrzeniem krasnoludy zareagowały chórem niezdecydowanych „no, taak", chociaż mina Boddony'ego sugerowała, że on nie ma pewności, po co jest Otto.

Wrócił Gowdie z niedużym pakunkiem. Sacharissa wyrwała mu go z ręki i podała Ottonowi, który cofnął się przerażony.

— Nie, to tylko szczur — uspokoiła go. — Nie bój się. Szczury wolno, prawda?

Otto zamarł na moment, po czym chwycił pakunek.

Wgryzł się w niego.

W nagłej ciszy Sacharissa zastanawiała się, czy naprawdę słyszy bardzo cichy dźwięk, jakby słomkę wysysającą resztki mlecznego koktajlu z dna kubka.

Po kilku sekundach Otto uchylił powieki i spojrzał z ukosa na krasnoludy. Upuścił pakiet.

— Och, co za vstyd! Nie viem, gdzie oczy podziać! Co musieliście o mnie pomyśleć!

Sacharissa zaklaskała z rozpaczliwym entuzjazmem.

— Nie, nie! Bardzo nam zaimponowałeś! Wszystkim, prawda? Prawda?!

Za plecami znacząco pomachała na krasnoludy ręką. Ponownie rozległ się nierówny chór potwierdzeń.

— Znaczy, od ponad trzech miesięcy trzymam zię v stadium „zimnego nietoperza" — mamrotał Otto. — To takie krępujące, załamać się vłaśnie teraz i…

— Ależ surowe mięso to drobiazg — zapewniła go Sacharissa. — To dozwolone, prawda?

— Tak, ale przez zekundę o mało co…

— Owszem, lecz tego nie zrobiłeś. Tylko to jest ważne. Chciałeś, ale się powstrzymałeś. — Obejrzała się na krasnoludy. — Możecie już wracać do tego, co robiliście. Otto czuje się teraz doskonale.

— Jest pani pewna… — zaczął Boddony, ale natychmiast kiwnął głową. W tej chwili wolałby dyskutować z oszalałym wampirem niż z Sacharissa. — Już się robi, panienko.

Otto usiadł i otarł czoło. Krasnoludy kolejno wychodziły.

Sacharissa poklepała go po ręku.

— Napijesz się…

— Oj!

— …wody, Otto?

— Nie, nie, już v porządku. Tak myślę. Ojej. Niech to. Coś podobnego. Tak mi przykro.

Myślisz, że masz vszystko pod kontrolą, aż nagle to vraca. Co za dzień…

— Otto?

— Tak, panno Sacharisso?

— Co właściwie się stało, kiedy chwyciłam tego węgorza? Skrzywił się.

— Może to nie jest odpoviedni moment…

— Otto… Ja coś widziałam. Były… płomienie. I ludzie. I hałas. Tylko przez chwilę. Całkiem jakby w sekundę przesunął się przede mną cały dzień. Co się stało?

— Vięc… — zaczął niechętnie Otto. — Vie pani, jak salamandry absorbują światło?

— Tak, oczywiście.

— A węgorze absorbują ciemne światło. Nie dokładnie ciemność, ale światło vevnątrz ciemności. Ciemne światło… Cóż, nigdy nie zostało właścivie zbadane. Jest cięższe od normalnego, rozumie pani, vięc v większości znajduje zię pod oceanem albo w bardzo głębokich jaskiniach Übervaldu. Zavsze jednak trochę zostaje, navet w normalnej ciemności. To napravdę fascynujące…

— To rodzaj magicznego światła. Rozumiem. Czy możemy teraz przejść do rzeczy?

— Słyszałem, że ciemne światło to oryginalne światło, z którego povstały vszystkie inne rodzaje…

— Otto!

Uniósł bladą dłoń.

— Muszę to vytłumaczyć! Zna pani teorię, że nie ma czegoś takiego jak teraźniejszość? Ponieważ jeżeli jest podzielna, nie może być teraźniejszością, a jeśli nie jest podzielna, nie może mieć początku, który łączy zię z przeszłością, ani końca, łączącego zię z przyszłością? Filozof Heidehollen móvi nam, że vszechświat to tylko zimna zupa czasu, w której cały czas jest vymieszany razem. A to, co nazywamy jego upływem, to tylko kvantove fluktuacje osnovy czasoprzestrzeni.

— Macie w Überwaldzie bardzo długie zimowe wieczory, prawda?

— Vidzi pani, ciemne światło uznavane jest za dovód tej teorii — ciągnął Otto, nie zwracając uwagi na jej słowa. — Światło poza czasem. To, co ono oświetla, panno Sacharisso… to niekoniecznie jest teraz.

Przerwał, jakby na coś czekał.

— Chcesz powiedzieć, że robisz obrazki przeszłości? — spytała Sacharissa.

— Albo przyszłości. Albo jeszcze czegoś. W rzeczyvistości nie ma żadnej różnicy.

— I tym wszystkim celujesz ludziom w głowy?

Otto zmartwił się wyraźnie.

— Odkryvam niezvykłe efekty uboczne. Och, kraznoludy zavsze uvažały, że ciemne światło ma dzivne skutki, ale to bardzo przeządny lud i nie brałem tego považnie. Jednakże…

Pogrzebał wśród bałaganu na blacie i znalazł ikonogram.

— Och, to takie zkomplikovane… Filozof Kling tvierdzi, że ludzki umysł ma ciemną i jasną stronę. A ciemne światło… ciemne światło jest vidziane oczami ciemnej strony umysłu…

Znowu przerwał.

— Tak? — zachęciła go uprzejmie Sacharissa.

— Czekałem, aż przetoczy zię grom — wyjaśnił Otto. — Niestety, nie jesteśmy w Übervaldzie.

— Chyba nie rozumiem…

— No vięc, gdybym w domu, w Übervaldzie, poviedział coś złovieszczego, na przykład „oczy ciemnej strony umysłu", nagle zahuczałby grom — tłumaczył Otto. — A gdybym vskazał zamek na urvistej skale i poviedział „oto jest… zamek", musiałby żałośnie zavyć vilk. — Westchnął. — V starym kraju sceneria jest psychotropiczna i vie, czego zię od niej oczekuje. Tutaj vszakże inni tylko patrzą na człovieka dzivnie.

— No dobrze. To magiczne światło, które robi niesamowite obrazki — podsumowała Sacharissa.

— To bardzo… codziennikarskie ujęcie — odparł grzecznie Otto. Pokazał jej ikonogram. — Proszę na to popatrzeć. Chciałem zrobić obrazek kraznoluda pracującego w gabinecie Patrycjusza, a dostałem to…

Obrazek pokrywały mazy i wiry. Sacharissa dostrzegła słaby kontur postaci leżącego na podłodze i oglądającego coś krasnoluda. Na jego sylwetkę nakładał się całkiem wyraźny obraz lorda Vetinariego. A nawet dwa obrazy lorda Vetinariego spoglądające na siebie nawzajem.

— No, to przecież jego gabinet. On zawsze tam siedzi — stwierdziła. — Czy to… to magiczne światło wychwyciło jego wcześniejszą obecność?

— Możlive — zgodził się Otto. — Viemy, że to, co tam jest fizycznie, niekoniecznie jest tam napravdę. Proszę spojrzeć na ten…

Pokazał jej inny obrazek.,

— O, ładnie wyszedł William — zauważyła. — W tej piwnicy. A… to chyba lord de Worde, który stoi tuż za nim, prawda?

— Tak? Nie znam tego człowieka. Viem tyle, że nie było go v pivnicy, kiedy robiłem ten obrazek. Ale… wystarczy przecież chvilę tylko porozmaviać z panem Villiamem, a od razu vidać, że w pevnym sensie ojciec stale zagląda mu przez ramię…

— Dreszcze człowieka przechodzą…

Sacharissa rozejrzała się po piwnicy. Kamienne ściany były stare i brudne, ale z pewnością nie poczerniały od ognia.

— Przed chwilą widziałam… ludzi. Walczących ludzi. Płomienie. I… srebrny deszcz. Jak może padać pod ziemią?

— Nie viem. Dlatego badam ciemne śviatło.

Hałas na górze zasugerował, że wrócili William z Dobrogórem.

— Nie wspominałabym o tym nikomu — poradziła Sacharissa, podchodząc do drabiny. — I tak mamy dosyć na głowie… A to… ot przyprawia o gęsią skórkę.

* * *

Przed barem nie wisiał żaden szyld, gdyż ci, którzy wiedzieli, co to za lokal, żadnego nie potrzebowali. Ci, którzy nie wiedzieli, nie powinni wchodzić. Ankhmorporscy nie — umarli byli zasadniczo grupą dość praworządną, choćby dlatego że zdawali sobie sprawę z dość szczególnej uwagi, jaką prawo im poświęca. Ale jeśli ktoś wszedł do lokalu znanego jako Katafalki w ciemną noc i nie miał tam żadnego interesu, to kto mógł się o czymkolwiek dowiedzieć?

Dla wampirów* było to miejsce, gdzie mogły się napić w spokoju. Wilkołaki mogły tutaj przestać się jeżyć. Strachy mogły wyjść z szaf. A dla ghouli robili tu niezłe paszteciki i frytki.

Wszystkie oczy — a nie było ich tyle, ile wynosi liczba głów pomnożona przez dwa — zwróciły się w stronę drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem. Nowo przybyłych obserwowano ze wszystkich ciemnych kątów. Ubrali się na czarno, ale to nic nie znaczyło. Każdy może ubrać się na czarno.

Podeszli do baru i pan Szpila zabębnił palcami o poplamione drewno.

---

* To znaczy tych, które nie stały wokół fisharmonii w Misji Wstrzemięźliwości i nie śpiewały nerwowo o tym, jak bardzo lubią kakao.

Barman skinął głową. Najważniejsze, jak się już przekonał, to dopilnować, żeby zwykli ludzie od razu płacili za drinki. Pozwolić im pić na rachunek to zły interes. A także dowód nieuzasadnionego optymizmu co do ich przyszłości.

— Czym mogę… — zdążył powiedzieć, zanim pan Tulipan chwycił go za kark i mocno walnął jego głową o bar.

— Nie mam dziś najlepszego dnia — oświadczył pan Szpila, zwracając się do świata. — A ten oto pan Tulipan cierpi z powodu nierozwiązanych konfliktów osobowości. Są pytania?

Niewyraźna dłoń uniosła się w mroku.

— Jakiego kucharza? — odezwał się głos.

Pan Szpila otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale obejrzał się na kolegę, który przeglądał barowy zestaw bardzo dziwnych drinków. Wszystkie koktajle są lepkie; te w Katafalkach zwykle lepiły się bardziej.

— Tam stoi „Zabić kucharza!!!" — wyjaśnił głos.

Pan Tulipan wbił dwa długie szpikulce do kebabu w ladę, gdzie zaczęły wibrować.

— A jakich kucharzy tu macie? — zapytał.

— To niezły fartuch — oświadczył głos w mroku.

— Jest obiektem …onej zazdrości wszystkich moich przyjaciół — warknął pan Tulipan.

Wśród ciszy pan Szpila naprawdę słyszał, jak niewidoczni goście oceniają prawdopodobną liczbę przyjaciół pana Tulipana. Nie były to rachunki, przy których nawet ktoś niewprawny w myśleniu musiałby zdejmować skarpety.

— Aha. To w porządku — powiedział ktoś.

— No więc nie chcemy tu żadnych kłopotów — zapewnił pan Szpila. — Nie w ścisłym sensie. Chcemy tylko spotkać jakiegoś wilkołaka.

— Po co? — zabrzmiał z ciemności inny głos.

— Mamy dla niego robotę.

W mroku rozległ się przytłumiony śmiech i jakiś osobnik ciężko wyszedł naprzód. Wzrostu mniej więcej pana Szpili, miał spiczaste uszy i dziwną fryzurę — ciągnęła się pod obszarpanym ubraniem aż po kostki nóg. Kępki włosów wystawały przez dziury w koszuli i gęsto porastały grzbiety dłoni.

— Jestem w części wilkołakiem — powiedział.

— W której części?

— Bardzo zabawny żart.

— Umiesz rozmawiać z psami?

Zadeklarowany częściowy wilkołak obejrzał się na niewidoczną publiczność i pan Szpila po raz pierwszy poczuł ukłucie niepokoju. Widok wolno obracającego się oka i pulsującego czoła pana Tulipana nie przynosił zwykłych rezultatów. W mroku słychać było szelesty. Był pewien, że zabrzmiało też parsknięcie.

— Tak — stwierdził krótko wilkołak.

Do demona z tym, pomyślał pan Szpila. Jednym wyćwiczonym ruchem wyrwał spod marynarki pistoletową kuszę i uniósł ją na cal od oka wilkołaka.

— Ma srebrny grot — ostrzegł.

Zaskoczyła go szybkość tamtego. Dłoń chwyciła go nagle za szyję i poczuł na gardle pięć ostrych czubków wbijających się w skórę.

— A te nie są srebrne — oświadczył wilkołak. — Zobaczymy, kto pierwszy naciśnie, co?

— Tak, akurat — wtrącił pan Tulipan, który także coś trzymał.

— To tylko widelec do grilla — stwierdził wilkołak, ledwie rzuciwszy okiem.

— Chcesz zobaczyć, jak szybko mogę rzucić tym …onym widelcem? — zapytał pan Tulipan.

Pan Szpila usiłował przełknąć ślinę, ale musiał zrezygnować. Wiedział, że martwi nie ściskają tak mocno, ale od drzwi dzieliło go co najmniej dziesięć kroków i z każdym uderzeniem serca dystans wydawał się większy.

— Chwila… — powiedział. — Przecież to niepotrzebne, nie? Wszyscy się trochę uspokójmy. I wiesz, na pewno łatwiej by mi się rozmawiało, gdybyś przybrał normalną postać…

— Żaden problem, przyjacielu.

Wilkołak zrobił dziwny grymas i zadrżał, jednak ani na moment nie wypuścił szyi pana Szpili. Jego twarz wykrzywiła się tak bardzo, że nawet pan Szpila, który normalnie lubił takie widoki, musiał odwrócić wzrok.

To pozwoliło mu zobaczyć cień na ścianie. A cień, wbrew oczekiwaniom, rósł. Podobnie jak jego uszy.

— Jakieś fytania? — odezwał się wilkołak.

Zęby poważnie utrudniały mu mowę. A oddech cuchnął bardziej niż marynarka pana Tulipana.

— Ach… — westchnął pan Szpila, stojąc na czubkach palców. — Myślę, że trafiliśmy w

niewłaściwe miejsce.

— Też tak fyślę.

Przy barze pan Tulipan znacząco odgryzł szyjkę butelki.

Raz jeszcze w lokalu zapadła drapieżna cisza, ciężka od obliczeń, od osobistej matematyki zysków i strat.

Pan Tulipan rozbił resztę butelki o własne czoło. W tym momencie wydawało się, że nie zwraca szczególnej uwagi na to, co się dzieje w sali. Po prostu miał akurat w ręku butelkę, która nie była mu już potrzebna. Odstawienie jej na ladę wymagałoby zbędnego wydatkowania energii na koordynację ręki i oka. Obecni przeliczyli wszystko jeszcze raz.

— Czy on jest człowiekiem? — zapytał wilkołak.

— Cóż, naturalnie, „człowiek" to tylko słowo — odparł pan Szpila. Poczuł twarde podłoże pod stopami — wilkołak opuścił go na podłogę.

— Chyba już pójdziemy…

— Dofrze — zgodził się wilkołak.

Pan Tulipan rozbił słój korniszonów, a przynajmniej czegoś, co było podłużne, zaokrąglone i zielone. Teraz usiłował wsunąć sobie jednego do nosa.

— Gdybyśmy chcieli zostać, tobyśmy zostali — oświadczył pan Szpila.

— Zgadza się. Ale chcesz wyjść. Tak samo twój… kolega.

Pan Szpila zaczął się wycofywać w stronę drzwi.

— Panie Tulipanie, mamy ważne sprawy gdzie indziej — powiedział. — I na miłość bogów, proszę wyjąć tego korniszona z nosa. Mamy przecież być profesjonalistami!

— To nie jest korniszon — odezwał się głos z ciemności.

Pan Szpila poczuł nietypową dla siebie ulgę, kiedy drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. Ku swemu zaskoczeniu usłyszał również przesuwające się rygle.

— No cóż, mogło pójść lepiej — stwierdził, otrzepując się z kurzu i sierści.

— Co teraz? — zapytał pan Tulipan.

— Pora się zastanowić nad planem B.

— A czemu zwyczajnie nie tłuc …onych ludzi, aż nam powiedzą, gdzie jest ten pies? — zdziwił się pan Tulipan.

— Kuszące — przyznał pan Szpila. — Ale zostawimy to sobie do planu C…

— Demoniszcze…

Odwrócili się obaj.

— Pogięte ostrza syropu, mówiłem — oświadczył Paskudny Stary Ron. Kuśtykał przez ulicę z plikiem „Pulsów" pod pachą jednej ręki oraz sznurkiem, służącym za smycz jego nieokreślonego kundla w drugiej. Zauważył Nową Firmę.

— Harglegarglurp? — zapytał. — Lojarrrbnip! Panowie kupią azetę?

Pan Szpila miał wrażenie, że ostatnie zdanie, choć wypowiedziane prawie takim samym głosem, brzmiało natrętnym, nie całkiem właściwym tonem. Przede wszystkim miało sens.

— Ma pan jakieś drobne? — zapytał pana Tulipana, poklepując się po kieszeniach.

— Chce pan kupić, tak zwyczajnie kupić to …one coś?

— Na wszystko jest czas i miejsce, panie Tulipanie. Czas i miejsce. Proszę, tu są pieniądze.

— Tysiącletnia wskazówka i krewetki, demoniszcze — odpowiedział Ron i dodał: — Polecam się na przyszłość.

Pan Szpila otworzył „Puls".

— Ten papier ma…

Urwał i przyjrzał się dokładniej.

— „Czy widzieliście tego psa?" — przeczytał. — No, no…

Spojrzał na Rona.

— Dużo tego sprzedajesz?

— Wmieść glinę, mówiłem. Tak, setki.

I znowu to ledwie wyczuwalne wrażenie dwóch głosów.

— Setki… — powtórzył pan Szpila.

Popatrzył na psa sprzedawcy. Wyglądał całkiem podobnie do tego wydrukowanego, ale w końcu wszystkie teriery są podobne. Zresztą ten był na sznurku.

— Setki… — mruknął jeszcze raz i ponownie przeczytał krótki tekst. Wyprostował się.

— Myślę, że mamy nasz plan B — oświadczył.

Z poziomu gruntu pies azeciarza czujnie obserwował, jak odchodzą.

— Trochę było za blisko. Źle się czułem — stwierdził, kiedy zniknęli za rogiem.

Paskudny Stary Ron odłożył azety do kałuży i z głębin swego niezgrabnego płaszcza wyciągnął zimną kiełbaskę. Rozlamał ją na trzy równe części.

CZY WIDZIELIŚCIE TEGO PSA?

25$ Nagrody za Informacje

William trochę się przy tym wahał, ale straż dostarczyła mu niezły rysunek, a w dodatku uznał, że w tej chwili drobny przyjazny gest w tamtym kierunku może być rozsądnym posunięciem. Jeśli znajdzie się w głębokich kłopotach, głową w dół, potrzebny mu będzie ktoś, kto go wyciągnie.

Napisał od nowa artykuł o Patrycjuszu, dodając to, czego był pewny, a nie miał tego wiele. Prawdę mówiąc, tkwił w miejscu.

Sacharissa przygotowała tekst o otwarciu „SuperFaktów". W tej kwestii William także się wahał. Ale w końcu to była nowina. Nie mogli jej zignorować, no i zapełniała trochę miejsca.

Poza tym podobało mu się pierwsze zdanie: „Potencjalny konkurent «Pulsu», najstarszej azety Ankh–Morpork, otworzył swoją drukarnię przy ulicy Błyskotnej".

— Robisz się coraz lepsza — pochwalił, spoglądając ponad biurkiem.

— Tak — przyznała. — Teraz już wiem, że kiedy zobaczę nagiego mężczyznę, koniecznie powinnam zdobyć jego nazwisko i adres, ponieważ…

William dokończył razem z nią:

— …nazwiska zwiększają sprzedaż.

Usiadł i napił się okropnej herbaty, jaką parzyły krasnoludy. Na krótką chwilę opanowało go poczucie rozkoszy. Dziwne słowo, pomyślał. Jedno z tych, które opisują coś, co nie wydaje dźwięku, ale gdyby wydawało, brzmiałby właśnie tak. Rozzzkosz… Odgłos miękkiej bezy topniejącej na języku.

Tu i teraz był wolny. Azeta została ułożona w łóżeczku, opatulona, jej paciorek wysłuchany. Była skończona. Ekipa wracała już po następne egzemplarze, przeklinając przy tym i spluwając.

Zdobyli rozmaite stare wózki i wózeczki, żeby rozwozić azetę po ulicach. Oczywiście mniej więcej za godzinę paszcza prasy znowu będzie głodna, a on znów będzie pchał pod górę ciężki głaz, jak ten typ z mitologii… Jakże on się nazywał…?

— Kto to był ten bohater, którego skazali na to, żeby wpychał głaz na górę, i za każdym razem, ki«dy dochodził do szczytu, ten głaz staczał się na dół?

Sacharissa nie uniosła nawet głowy.

— Ktoś, kto potrzebuje taczek? — odpowiedziała, energicznie nabijając na kolec jakiś papier.

William rozpoznał ton osoby, która wciąż ma do wykonania irytującą pracę.

— Nad czym się tak męczysz? — zapytał.

— Nad sprawozdaniem spotkania Ankhmorporskiego Stowarzyszenia Odrodzenia Akordeonistów — wyjaśniła, pisząc coś szybko.

— Coś z nim jest nie tak?

— Owszem. Interpunkcja. Nie ma żadnej. Chyba będziemy musieli zamówić dodatkowe pudło przecinków.

— Więc po co tracisz czas?

— Dwadzieścia sześć osób jest wymienionych z nazwiska. — Jako akordeoniści?

— Tak.

— Nie będą się skarżyć?

— Przecież nie musieli grać na akordeonach. Aha, była też wielka kraksa na Broad–Wayu. Wóz się przewrócił i wysypał na drogę parę ton mąki. Konie się spłoszyły i zrzuciły cały ładunek świeżych jajek, a to spowodowało, że kolejny wóz rozlał trzydzieści baniek mleka… Co myślisz o tym jako tytule?

Pokazała mu kartkę, na której wypisała:

**NAJWIĘKSZE W MIEŚCIE MIESZANIE**

**CIASTA!!**

William się zastanowił. Tak. Udało się w tych słowach zmieścić wszystko. Smętna próba żartu była akurat właściwa. Coś takiego wzbudzi wiele radości przy stole pani Arcanum.

— Usuń drugi wykrzyknik — powiedział. — Poza tym tytuł jest perfekcyjny. Jak się o tym dowiedziałaś?

— Wiesz, funkcjonariusz Fiddyment zajrzał do nas i mi powiedział. — Sacharissa spuściła głowę i zaczęła całkiem niepotrzebnie przekładać papiery. — Wydaje mi się, że on robi do mnie słodkie oczy.

Maleńka, dotychczas lekceważona cząstka ego Williama natychmiast zamarzła na kamień. Jakoś bardzo wielu młodych ludzi koniecznie chciało o czymś Sacharissie opowiedzieć.

— Vimes nie życzy sobie, żeby jego ludzie z nami rozmawiali — rzekł.

— No tak, ale nie sądzę, żeby opowiedzenie mi o masie rozbitych jajek też się liczyło. Prawda?

— Niby racja, ale…

— Zresztą przecież nic nie mogę na to poradzić, że jakiś młody człowiek chce mi coś opowiedzieć.

— Chyba nie, ale…

— W każdym razie na dzisiaj już skończyłam. — Sacharissa ziewnęła. — Idę do domu.

William poderwał się tak gwałtownie, że otarł sobie kolana o biurko.

— Odprowadzę cię — powiedział.

— Na bogów, już za piętnaście ósma. — Sacharissa włożyła płaszcz. — Dlaczego jeszcze pracujemy?

— Bo prasa nigdy nie zasypia — odparł William.

A kiedy wyszli na opustoszałą ulicę, zastanowił się, czy Vetinari trafnie ocenił prasę. Miała w sobie coś… nieodpartego. Była jak pies, który patrzy na człowieka tak długo, aż dostanie jeść. Odrobinę groźny pies. Pies gryzie człowieka, pomyślał. Ale to żadna nowina — to starzyna.

Sacharissa pozwoliła, by odprowadził ją na koniec ulicy, i tam się zatrzymała.

— Dziadek będzie zakłopotany, jeśli ktoś cię ze mną zobaczy — powiedziała. — Wiem, że to głupie, ale… rozumiesz, sąsiedzi. I cała ta historia z gildią.

— Rozumiem. Uhm.

Patrzeli na siebie. Na chwilę powietrze stało się ciężkie.

— Eee… Nie wiem, jak to powiedzieć… — zaczął William, wiedząc, że wcześniej czy później powiedzieć musi. — Ale chyba powinienem cię poinformować, że chociaż jesteś dziewczyną bardzo atrakcyjną, to jednak nie w moim typie.

Rzuciła mu spojrzenie tak pełne doświadczenia, jakiego jeszcze u niej nie widział. Po czym odparła:

— Niełatwo było ci to powiedzieć i jestem ci wdzięczna.

— Bo wiesz, pomyślałem, że skoro tak ciągle razem pracujemy…

— Nie, nie… Naprawdę się cieszę, że jedno z nas to powiedziało. I założę się, że dziewczyny ustawiają się do ciebie w kolejce. Do zobaczenia jutro.

Spoglądał za nią, kiedy szła ulicą do swego domu. Po kilku sekundach w oknie na piętrze zapaliła się lampa.

Biegnąc bardzo szybko, wrócił na swoją kwaterę akurat tak spóźniony, by zyskać Spojrzenie pani Arcanum, ale jeszcze nie tak, by za niegrzeczność zostać odsunięty od stołu. Ci poważnie spóźnieni musieli jeść kolację w kuchni.

Dzisiaj dostali curry. Co niezwykłe — u pani Arcanum więcej było resztek niż oryginalnych dań. To znaczy, o wiele więcej potraw przyrządzała z tego, co tradycyjnie uznawano za roztropnie nadające się do użytku pozostałości wcześniejszych posiłków — gulasze, potrawki, curry — niż potraw, z których te pozostałości mogłyby pochodzić.

Curry było szczególnie niezwykłe, gdyż pani Arcanum uznawała obce części świata za marginalnie tylko mniej nieprzyzwoite od intymnych części ciała. Dodawała więc ten dziwnie żółty proszek curry bardzo małą łyżeczką, żeby przypadkiem lokatorzy nie zdarli nagle z siebie ubrań i nie zaczęli się obco zachowywać. Głównymi składnikami dania wydawały się brukiew, smakujące deszczówką rodzynki i resztki jakiejś zimnej baraniny, choć William nie pamiętał, kiedy jedli oryginalną baraninę w dowolnej temperaturze.

Dla innych lokatorów nie stanowiło to problemu. Pani Arcanum podawała wielkie porcje, a byli ludźmi, którzy dokonania kulinarne mierzyli ilością, jaką dostawało się na talerz. Może i nie smakowało to oszałamiająco, ale człowiek szedł spać najedzony, a głównie to się liczy.

W tej chwili omawiano nowiny dnia. Pan Mackleduff kupił „SuperFakty” i oba wydania „Pulsu”, by dobrze pełnić swoją funkcję strażnika komunikacji.

Powszechnie się zgodzono, że nowiny w „SuperFaktach” są ciekawsze, choć pani Arcanum uznała, że temat węży nie nadaje się do stołu i prasa nie powinna o tym pisać. Jednak ulewy owadów i temu podobne w pełni potwierdziły ogólną opinię o dalekich krainach.

Starzyny, myślał William, z chirurgiczną precyzją krojąc rodzynkę. Jego lordowska mość miał rację. Nie nowiny, tylko starzyny, powtarzające ludziom to, o czym — jak im się wydaje — od dawna już wiedzą, że jest prawdą.

Patrycjusz, jak wszyscy się zgodzili, to przebiegły typ. Doszli do wniosku, że oni bez wyjątku

są tacy sami. Pan Windling oświadczył, że miasto jest w stanie chaosu i niezbędne są zmiany. Pan Długo — szyb odparł, że wprawdzie trudno mu się wypowiadać w imieniu miasta, ale branża kamieni szlachetnych ostatnio bardzo się ożywiła. Pan Windling stwierdził, że niektórym to odpowiada. Pan Prone wyraził opinię, że straż nie potrafi nawet obiema rękami trafić do własnego tyłka — sformułowanie, które o mało co nie zyskało mu miejsca przy kuchennym stole do końca posiłku. Zgodzono się, że Vetinari to zrobił, z pewnością, i należałoby go odsunąć. Główne danie dobiegło końca o godzinie 8.45, a następnie pojawiły się odrobinę nadgniłe śliwki w rzadkim budyniu; pan Prone dostał trochę mniej śliwek, co stanowiło milczącą reprymendę.

William wcześnie wycofał się do swojego pokoju. Przyzwyczaił się już do kuchni pani Arcanum, ale nic prócz radykalnego zabiegu chirurgicznego nie zmusiłoby go do polubienia jej kawy.

Leżał na wąskim łóżku, w ciemności (pani Arcanum dostarczała jedną świecę tygodniowo, a przy natłoku innych spraw jakoś zapomniał kupić nową) i próbował myśleć.

* * *

Pan Slant przeszedł przez pustą salę balową. Ściany odbijały echem odgłos kroków na drewnianej podłodze.

Zajął pozycję w środku kręgu świec. Był trochę zdenerwowany — jako zombi zawsze czuł się niepewnie w pobliżu ognia.

Odchrząknął.

— I co? — zapytał fotel.

— Nie złapali psa — oznajmił pan Slant. — We wszelkich innych aspektach, muszę przyznać, wykonali robotę po mistrzowsku.

— Bardzo będzie groźny, jeśli odnajdzie go straż?

— Jak mi wiadomo, rzeczony pies jest już dość stary — odparł pan Slant w stronę blasku świec. — Poleciłem panu Szpili, aby go odszukał, ale nie sądzę, by łatwo udało mu się dotrzeć do psiego podziemia miasta. 4

— Są tu również inne wilkołaki, prawda?

— Tak — zgodził się gładko pan Slant. — Ale nie pomogą. Jest ich niewiele, a sierżant Angua ze Straży Miejskiej to bardzo wpływowa postać w wilkołaczej społeczności. Nie pomogą

obcym, gdyż ona mogłaby się o tym dowiedzieć.

— I ściągnąć na nich straż?

— Wydaje mi się, że nie zajmowałaby czasu straży.

— Ten pies jest już pewnie w garnku jakiegoś krasnoluda — uznał fotel.

Zabrzmiały ciche śmiechy.

— Jeśli sprawy… pójdą źle — odezwał się fotel — kogo znają ci ludzie?

— Znają mnie — zapewnił pan Slant. — Nie martwiłbym się na zapas. Vimes działa według reguł.

— Słyszałem, że jest człowiekiem gwałtownym i mściwym — zaniepokoił się fotel.

— Istotnie. A ponieważ to właśnie wie o sobie, zawsze działa według reguł. W każdym razie gildie spotykają się jutro.

— A kto zostanie nowym patrycjuszem? — zainteresował się fotel.

— Będzie to kwestia starannie omawiana, po rozważeniu opinii o wszelkich odcieniach — zapewnił pan Slant. Jego tonem można by oliwić zegarki.

— Panie Slant… — rzucił fotel.

— Tak?

— Proszę nie próbować z nami takich sztuczek. To będzie Scrope, tak?

— Pan Scrope z pewnością cieszy się poważaniem wielu kluczowych postaci tego miasta.

— To dobrze.

Stęchłe powietrze w sali stało się ciężkie od niewypowiedzianej konwersacji.

Absolutnie nikt nie musiał mówić: Wiele potężnych osób w mieście zawdzięcza swoje pozycje Vetinariemu.

I nikt nie odpowiedział: Oczywiście. Ale u ludzi, którzy pożądają władzy, wdzięczność rzadko kiedy trwa długo. Ludzie tego typu mają skłonność do załatwiania spraw na bieżąco. Nigdy by nie próbowali pozbawić Vetinariego stanowiska, ale kiedy już odejdzie, będą praktyczni.

Żaden z obecnych nie spytał: Czy nikt nie będzie bronić Vetinariego?

Odpowiedziało mu milczenie: Och, wszyscy. Będą powtarzać coś w stylu: Biedaczysko… to z przepracowania, wiecie. Będą powtarzać: Ci spokojni najczęściej się łamią. Będą powtarzać: Rzeczywiście… powinniśmy go odesłać gdzieś, gdzie nie zrobi krzywdy sobie ani innym. Nie sądzicie? Będą powtarzać: Może jakiś skromny pomnik byłby na miejscu? Będą powtarzać: Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić, że zdejmiemy mu z karku straż. Jesteśmy mu to

winni. Będą powtarzać: Trzeba patrzeć w przyszłość. I w ten sposób, spokojnie, wszystko się zmieni. Bez chaosu, prawie bez zamieszania.

Nikt nie dodał: Skrytobójstwo postaci. Znakomity pomysł. Zwykłe skrytobójstwo działa tylko raz, a to działa dzień po dniu…

Któryś fotel powiedział jednak na głos:

— Zastanawiałem się, czy może lord Downey, a nawet pan Boggis…

— Och, dajże spokój — przerwał mu inny fotel. — Dlaczego? Tak przecież będzie lepiej.

— To prawda, rzeczywiście, — Pan Scrope jest człowiekiem o licznych zaletach.

— Przywiązany do rodziny, jak słyszałem.

— Słucha głosu ludu.

— Ale nie tylko ludu, mam nadzieję?

— Och, nie. Jest bardzo otwarty na dobre rady. Od dobrze poinformowanych… grup eksperckich.

— Będzie ich potrzebował wielu.

Nikt nie musiał dodawać: To użyteczny idiota.

— Mimo wszystko… straż trzeba będzie przywołać do porządku.

— Vimes zrobi, co mu się każe. Musi. Scrope będzie wybrany co najmniej tak samo legalnie jak Vetinari. A Vimes to człowiek, który musi mieć kogoś nad sobą, bo to mu daje poczucie legalności.

Slant chrząknął.

— Czy to już wszystko, panowie?

— A co z „Pulsem Ankh–Morpork”? — zaniepokoił się fotel.

— To chyba jest pewien problem…

— Ludzie uważają, że jest zabawny — odparł Slant. — I nikt nie bierze go poważnie. „SuperFakty” sprzedają już dwa razy tyle egzemplarzy, po zaledwie jednym dniu na ulicach. „Puls” jest niedo — finansowany. I ma, ehm… trudności z surowcem.

— Niezła historia była w „SuperFaktach” o tej kobiecie i wężu — stwierdził fotel.

— Naprawdę? — zdziwił się pan Slant.

Fotel, który pierwszy wspomniał o „Pulsie”, był wyraźnie czymś zaniepokojony.

— Czułbym się pewniej, gdyby kilku mocnych chłopców rozwaliło tę ich prasę — powiedział.

— To by zwróciło uwagę — stwierdził fotel. — A „Puls" chce zwracać na siebie uwagę. Ten… autor marzy, by zostać zauważonym.

— No cóż, skoro się pan upiera…

— Nawet nie myślę o uporze. Ale „Puls" upadnie — zapewnił fotel, a był to fotel, którego inne fotele słuchały. — Ten młody człowiek jest też idealistą. Musi się jeszcze przekonać, że to, co leży w interesie publicznym, nie jest tym samym, czym interesuje się publiczność.

— Zechciałby pan powtórzyć?

— Chodzi mi o to, panowie, że ludzie prawdopodobnie uważają, że „Puls" wykonuje dobrą robotę, ale kupują „SuperFakty". Nowiny są tam ciekawsze. Czy mówiłem już panu, panie Slant, że kłamstwo obiegnie świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty?

— Wiele razy, szanowny panie — odparł pan Slant odrobinę mniej dyplomatycznie niż zwykle. Uświadomił to sobie i dodał:

— To cenne spostrzeżenie, bez wątpienia.

— No dobrze. — Najważniejszy fotel prychnął lekceważąco.

— Proszę mieć oko na naszych… pracowników, panie Slant.

* * *

Była północ w świątyni Oma przy ulicy Pomniejszych Bóstw. Tylko w zakrystii płonęło samotne światełko — świeca w bogato zdobionym lichtarzu. W pewnym sensie przesyłała ku niebu modlitwę. Modlitwa ta, z Ewangelii według Łotrów, brzmiała: Oby nikt nie odkrył nas, jak zwijamy ten towar. Pan Szpila przeszukiwał szafkę.

— Nie mogę znaleźć nic na pański rozmiar — powiedział. — Wygląda, jakby… No nie, do licha! Kadzidło służy do palenia.

Pan Tulipan kichnął, ostrzeliwując przeciwległą ścianę drobinami drzewa sandałowego.

— Mógł mnie pan uprzedzić …oną chwilę wcześniej — mruknął. — Mam trochę papieru.

— Znowu pan brał proszek do czyszczenia piekarnika? — zapytał oskarżycielskim tonem pan Szpila. — Chcę, żeby pan się skupił, jasne? Otóż jedyne, co tutaj znalazłem, a co może na pana pasować…

Drzwi zaskrzypiały i do pokoju wszedł niski, podstarzały kapłan. Pan Szpila odruchowo złapał ciężki lichtarz.

— Och… Czy przyszliście na, mm, wieczorne nabożeństwo? — zapytał staruszek, mrugając niespokojnie w świetle.

Tym razem to pan Tulipan chwycił za ramię pana Szpilę, gdy ten wzniósł świecznik.

— Czy pan oszalał? Co z pana za człowiek? — rzucił gniewnie.

— Co? Przecież nie można mu pozwolić…

— Ale niech pan spojrzy na ten …ony świecznik, co? — Pan Tulipan nie zwracał uwagi na zaskoczonego kapłana. — To autentyczny Sellini! Ma pięćset lat! Proszę spojrzeć na tę koronkową robotę na gasidle! Niech mnie, dla pana to pewnie tylko pięć funtów …onego srebra, co?

— Właściwie, mm, to Fręgarz — poprawił go stary kapłan, który wciąż jeszcze nie osiągnął pełnej sprawności umysłowej.

— Co, uczeń? — Oczy pana Tulipana ze zdumienia przestały wirować. Odwrócił lichtarz i spojrzał na podstawę. — Hej, rzeczywiście! Jest tu znak Selliniego, ale też wybite małe „f". Pierwszy raz widzę jego tak wczesne …one dzieło! Był zresztą lepszym …onym złotnikiem. Szkoda tylko, że miał takie głupie …one nazwisko. Wiesz, wielebny, za ile można to sprzedać?

— Myśleliśmy, że może siedemdziesiąt dolarów — odparł z nadzieją kapłan. — Należał do zestawu umeblowania, które pewna starsza pani zapisała kościołowi. Właściwie trzymamy go tylko z powodów sentymentalnych…

— Macie jeszcze pudełko, w które był zapakowany? — Pan Tulipan obracał lichtarz w dłoniach. — On robił piękne szkatułki na te lichtarze. Wiśniowe drewno.

— Nie, chyba nie…

— …ona szkoda.

— Ale… nadal jest coś wart? Wydaje mi się, że gdzieś jeszcze mamy drugi.

— Dla kolekcjonera może cztery tysiące …onych dolarów. Ale myślę, że dostaniecie i dwanaście tysięcy, jeśli macie drugi do …onej pary. Fręgarz jest teraz bardzo poszukiwany.

— Dwanaście tysięcy… — wybełkotał staruszek. W oczach błysnął mu grzech główny.

— Może i więcej. — Pan Tulipan kiwnął głową. — To …one cudo. Czuję się zaszczycony, że mogłem je zobaczyć. — Spojrzał surowo na pana Szpilę. — A pan chciał tego użyć jako …onego tępego narzędzia!

Z szacunkiem odstawił lichtarz na stół i ostrożnie przetarł go rękawem. Potem odwrócił się i opuścił pięść na głowę kapłana, który osunął się z cichym westchnieniem.

— A oni to zwyczajnie trzymali w tej …onej szafce — burknął. — Słowo daję, aż mnie roznosi.

— Chce pan zabrać ten lichtarz? — zapytał pan Szpila, ładując ubrania do worka.

— Nie, wszyscy tutejsi paserzy pewnie by go od razu przetopili na srebro — stwierdził pan Tulipan. — Nie chcę mieć czegoś takiego na …onym sumieniu. Poszukajmy tego …onego psa i wynośmy się z tego śmietnika, co? Bo …one przygnębienie mnie tu dobije.

* * *

William odwrócił się, obudził i szeroko otwartymi oczami patrzył w sufit.

Dwie minuty później pani Arcanum zeszła do kuchni, uzbrojona w lampę, pogrzebacz i — co najważniejsze — papiloty we włosach. Ta kombinacja mogła pokonać intruza o najwytrzymalszym żołądku.

— Panie de Worde! Co pan tu robi! Jest północ!

William rzucił na nią okiem, po czym wrócił do przeszukiwania kredensów.

— Przepraszam, pani Arcanum, wywróciłem rondle. Zapłacę za wszelkie szkody. Gdzie jest waga?

— Waga?

— Tak. Waga kuchenna! Gdzie jest?

— Panie de Worde, ja…

— Gdzie ta przeklęta waga, pani Arcanum? — spytał William rozpaczliwie.

— Panie de Worde! Jak panu nie wstyd?

— Waży się przyszłość tego miasta, pani Arcanum!

Zdumienie z wolna brało górę nad surowym oburzeniem.

— Jak to? Na mojej wadze?

— Tak! Tak! To całkiem prawdopodobne!

— No… ehm… Jest w spiżarni przy worku z mąką. Całego miasta, powiada pan?

— Zupełnie możliwe!

William czuł, jak obwisła mu marynarka, kiedy wcisnął do kieszeni duże mosiężne odważniki.

— Proszę wziąć stary worek po ziemniakach — doradziła pani Arcanum, bardzo podniecona obrotem wydarzeń.

William złapał worek, wrzucił do niego wagę z odważnikami i pobiegł do drzwi.

— Uniwersytet i rzeka, i wszystko? — zapytała nerwowo gospodyni.

— Tak! Tak właśnie!

— Proszę tylko potem porządnieją umyć, jasne?! — zawołała surowo w stronę oddalających się pleców.

William zwolnił pod koniec trasy. Wielka żelazna waga kuchenna i pełny zestaw odważników nie były lekkim brzemieniem. Ale przecież o ciężar właśnie chodziło…! Biegł, szedł, wlókł worek przez zimną, mglistą noc, aż dotarł na Błyskotną.

W budynku „SuperFaktów" wciąż paliły się światła. Jak długo trzeba siedzieć, jeśli wymyśla się nowiny na bieżąco? — zastanawiał się William. Ale to, co on miał na myśli, było prawdziwe. A nawet przygniatające.

Dobijał się do drzwi „Pulsu", dopóki nie otworzył mu jakiś krasnolud — który patrzył zdumiony, jak William de Worde przebiega obok i rzuca na biurko wagę i odważniki.

— Proszę zbudzić pana Dobrogóra. Musimy wypuścić następne wydanie! I czy mógłbym dostać dziesięć dolarów?

Dopiero Dobrogór opanował sytuację, kiedy w nocnej koszuli — ale nadal w hełmie na głowie — wygramolił się po drabinie z piwnicy.

— Nie. Dziesięć dolarów — tłumaczył zdziwionym krasnoludom William. — Dziesięć dolarowych monet. A nie kwotę dziesięciu dolarów.

— Czemu?

— Żeby sprawdzić, ile waży siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

— Nie mamy siedemdziesięciu tysięcy dolarów!

— Słuchajcie, wystarczy nawet jedna dolarówka — wyjaśniał cierpliwie William. — Dziesięć da większą dokładność, to wszystko. Wyliczę to sobie.

Wydobyto wreszcie z krasnoludziego kufra dziesięć monet i William zważył je starannie. Potem otworzył swój notes na czystej stronicy i pogrążył się w gorączkowych obliczeniach. Krasnoludy przyglądały mu się z powagą, jakby przeprowadzał eksperyment alchemiczny. Wreszcie uniósł głowę znad liczb, a w oczach gorzał mu blask objawienia.

— To prawie trzecia część tony — oznajmił. — Tyle waży siedemdziesiąt tysięcy dolarowych monet. Przypuszczam, że dobry koń mógłby unieść to i jeszcze jeźdźca, ale… Vetinari chodzi o lasce, widzieliście przecież. Całą wieczność by trwało, nim załadowałby te pieniądze na konia. I

nawet gdyby uciekł, nie mógłby jechać szybko. Vimes musiał to zauważyć. Mówił, że te fakty to głupie fakty!

Dobrogór stał już przed rzędami pudełek.

— Gotów, szefie.

— No dobrze…

William się zawahał. Znał fakty, ale co z nich wynikało?

— No to… ułóż tytuł: „Kto wrobił lorda Vetinariego?". Teraz tekst… — Obserwował dłonie krasnoluda sunące nad przegródkami i wyjmujące litery. — No… jakby… „Straż Miejska Ankh–Morpork jest przekonana, że przynajmniej jeszcze jedna osoba była zamieszana w… w…".

— Zamęt? — podpowiedział Gunilla.

— Nie.

— Burdę?

— „…w atak, jaki wtorkowego ranka miał miejsce w pałacu".

William odczekał, aż krasnolud go dogoni. Coraz łatwiej przychodziło mu czytać układane słowa, kiedy Dobrogór przesuwał dłonie od jednej przegródki do drugiej: *r–a–m–k–a…*

— Wstawiłeś m zamiast n — powiedział.

— A rzeczywiście. Przepraszam. Mów dalej.

— No więc… „Dowody sugerują, że lord Vetinari wcale nie zaatakował swojego urzędnika, jak się uważa, ale mógł odkryć popełniane właśnie przestępstwo"…

Dłonie sunęły nad czcionkami… *p–o–p–e–ł–n–i–a–n–e–spacja–w–ł–a–ś—— n–i–e…*

Znieruchomiały.

— Jesteś tego pewien? — zapytał Dobrogór.

— Nie, ale to teoria równie dobra jak inne — odparł William.

— Ten koń nie został osiodłany do ucieczki. Został osiodłany, by go odkryto. Ktoś miał jakiś plan, który się nie udał. Tego jestem pewny. Dobrze… od nowego wiersza. „Koń w stajniach miał w jukach ładunek monet o wadze jednej trzeciej tony, jednakże w obecnym stanie zdrowia Patrycjusz…".

Któryś z krasnoludów rozpalił w piecu. Inny zdzierał czcionki z form zawierających ostatnie wydanie „Pulsu". Hala wracała do życia.

— Razem jakieś osiem cali plus nagłówek — stwierdził Dobrogór, gdy William skończył dyktować. — To powinno ludźmi wstrząsnąć. Mam dodać coś jeszcze? Panna Sacharissa

napisała kawałek o balu u lady Selachii. Jest też kilka drobiazgów.

William ziewnął. Ostatnio za mało sypiał.

— Dołącz je — postanowił.

— Dotarł też sekar z Lancre. Przynieśli, kiedy poszedłeś już do domu — poinformował krasnolud. — To będzie kosztowało dodatkowe pięćdziesiąt pensów dla posłańca. Pamiętasz, że po południu wysyłałeś sekara? O wężach? — dodał, widząc niezrozumienie Williama.

William przeczytał tekst na arkusiku cienkiego papieru. Wiadomość została starannie zapisana równym pismem operatora — prawdopodobnie najdziwniejsza wiadomość, jaką przekazano dotąd za pomocą nowej technologii.

Król Verence z Lancre także przyswoił sobie fakt, że sekary pobierały opłatę od słowa.

**KOBIETY LANCRE NIE POWT NIE MAJĄ ZWYCZAJU RODZIĆ WĘŻY STOP DZIECI URODZONE TEGO MIESIĄCA WILLIAM TKACZ KONSTANCJA DEKARZ KATASTROFA WOŹNICA WSZYSTKIE PLUS RĄCZKI NÓŻKI MINUS ŁUSKI KŁY**

— Ha! Mamy ich! — zawołał William. — Daj mi pięć minut, to złożę z tego jakiś tekst. Już wkrótce się przekonamy, czy miecz prawdy pokona smoka kłamstw!

Boddony spojrzał na niego łagodnie.

— Nie mówił pan, że kłamstwo obiegnie świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty?

— Ale to przecież jest prawda.

— No…? Gdzie ma te buty?

Dobrogór skinął na pozostałe krasnoludy, które zaczynały ziewać.

— Wracajcie do łóżek, chłopcy. Sam poskładam resztę. Patrzył, jak znikają kolejno w piwnicy. Potem usiadł, wyjął z kieszeni małe srebrne pudełeczko i podsunął je Williamowi.

— Tabaki? Najlepsza rzecz, jaką wynaleźli ludzie. Czerwona Palona od Watsona. Oczyszcza umysł jak złoto. Nie?

William pokręcił głową.

— Muszę spytać… Dlaczego pan to robi, panie de Worde? — Dobrogór wciągnął do obu

nozdrzy po wielkiej porcji tabaki.

— O co ci chodzi?

— Nie mówię, że nie jesteśmy wdzięczni, zaznaczam — tłumaczył Dobrogór. — Dzięki temu ciągle płyną pieniądze. Bo strumyk zamówień z dnia na dzień wysycha. Wydaje się, że każdy warsztat grawerski już czekał, żeby się zająć drukiem. My tylko otworzyliśmy drogę dla młodych. Ale w końcu i tak nas załatwią. Za nimi stoją pieniądze. Przyznam, że niektórzy z chłopców chcieliby sprzedać wszystko i wracać do kopalni ołowiu.

— Nie możecie tego zrobić!

— No cóż… Chcesz pewnie powiedzieć, że ty byś tego nie chciał. Rozumiem. Ale odkładaliśmy pieniądze. Powinniśmy wyjść na swoje. Sądzę, że udałoby się pchnąć komuś prasę. Moglibyśmy zabrać do domu niezłą sumkę. O to nam tylko chodziło. O pieniądze. Ale czemu ty to robisz?

— Ja? Ponieważ…

William zamilkł. Właściwie nie postanowił, że będzie cokolwiek robić. Przez całe życie nigdy świadomie nie podjął takiej decyzji. Jedna sprawa delikatnie wiodła go do następnej, a potem nagle pojawiła się prasa wymagająca karmienia. Czekała teraz… Człowiek ciężko pracował, żywił ją, a w godzinę później była znowu głodna i cała robota zmierzała do pojemnika numer sześć na placu Sika Harry'ego. A to dopiero początek kłopotów. Nagle miał stałą pracę i stałe godziny urzędowania, a mimo to wszystko, co robił, było równie trwałe jak zamki z piasku na plaży, gdzie sięga przypływ.

— Sam nie wiem — przyznał. — Myślę, że nie potrafię robić nic innego. A teraz nie mogę sobie nawet wyobrazić, że robię cokolwiek innego.

— Ale słyszałem, że twoja rodzina ma całe worki pieniędzy.

— Panie Dobrogór… jestem całkiem bezużyteczny. Zostałem wykształcony tak, by być bezużyteczny. Od pokoleń mieliśmy tylko obijać się, dopóki nie wybuchnie jakaś wojna, a wtedy zrobić coś naprawdę idiotycznie bohaterskiego i w efekcie dać się zabić. I na ogół zajmowaliśmy się kurczowym trzymaniem różnych rzeczy. Głównie idei.

— Czyli nie dogadujecie się…

— Naprawdę nie potrzebuję rozmowy od serca na ten temat, rozumiesz? Mój ojciec nie jest miłym człowiekiem. Mam ci naszkicować jego portret? Nie lubi mnie i ja też go nie lubię. Kiedy się nad tym zastanowić, to on właściwie nikogo specjalnie nie lubi. A zwłaszcza krasnoludów i

trolli.

— Żadne prawo nie nakazuje lubienia krasnoludów i trolli — zauważył Dobrogór.

— Tak, ale powinno być jakieś, które zakazuje nielubienia ich w taki sposób, jak on to robi.

— Aha… Teraz naszkicowałeś mi jego portret.

— Może spotkałeś się z określeniem „rasy niższe”?

— A teraz dodałeś kolory.

— On nawet nie chce już mieszkać w Ankh–Morpork. Twierdzi, że jest zanieczyszczone.

— Celne spostrzeżenie…

— Nie, chodzi mi…

— Och, wiem, o co ci chodziło — przerwał mu Gunilla. — Spotykałem już takich ludzi.

— I mówisz, że zależało wam tylko na pieniądzach? — upewnił się William. — To prawda?

Krasnolud skinął głową w stronę brył ołowiu ułożonych równo obok prasy.

— Chcieliśmy zamienić ołów w złoto — powiedział. — Mamy dużo ołowiu. Ale potrzebujemy złota.

William westchnął.

— Mój ojciec często mawiał, że krasnoludy potrafią myśleć wyłącznie o złocie.

— Mniej więcej. — Gunilla znów zażył tabaki. — Ale ludzie mylą się pod jednym względem… Widzisz, jeśli człowiek myśli tylko o złocie, to jest chciwcem. Jeśli krasnolud myśli tylko o złocie, po prostu jest krasnoludem. To całkiem co innego. Jak nazywacie tych czarnych ludzi, którzy żyją w Howondalandzie?

— Wiem, jak ich nazywa mój ojciec — odparł William. — Ale ja mówię o nich „ludzie, którzy żyją w Howondalandzie”.

— Naprawdę? W każdym razie słyszałem, że jest tam takie plemię, w którym jeśli mężczyzna chce się ożenić, musi wcześniej zabić lamparta i dać kobiecie jego skórę. To podobna sytuacja. Żeby zawrzeć małżeństwo, krasnolud potrzebuje złota.

— Znaczy… jakby posagu? Ale zawsze myślałem, że krasnoludy nie rozróżniają między…

— Nie, nie… Zanim dwa krasnoludy się pobiorą, każdy z nich wykupuje tego drugiego od rodziców.

— Wykupuje? — zdziwił się William. — Jak można kupować ludzi?

— Widzisz, mój chłopcze? Znowu kulturowe nieporozumienie. Wychowanie młodego krasnoluda aż do dojrzałości kosztuje spore pieniądze. Wyżywienie, ubranie, kolczuga…

wszystko to sumuje się przez lata. I trzeba spłacić dług. W końcu przecież ten drugi krasnolud otrzymuje cenny towar. No a spłacać należy w złocie. Taka tradycja. Albo w klejnotach… Klejnoty też są uznawane. Na pewno słyszałeś powiedzenie, że ktoś jest wart tyle złota, ile sam waży. Naturalnie, jeśli krasnolud pracował dla swoich rodziców, też się to uwzględnia po drugiej stronie rachunku. Krasnoludowi, który długo odkładał małżeństwo, rodzice pewnie są winni sporą kwotę wypłat… Wciąż mi się dziwnie przyglądasz…

— Po prostu my to załatwiamy inaczej — stwierdził William.

Dobrogór spojrzał na niego ostro.

— Inaczej, tak? — powiedział. — Doprawdy? A czego używacie?

— No… chyba wdzięczności — wymamrotał William. Wolałby, żeby ta rozmowa skończyła się natychmiast. Prowadziła wprost na cienki lód.

— A jak sieją wylicza?

— No… właściwie się nie wylicza…

— To nie powoduje problemów?

— Czasami.

— Aha. Cóż, my także znamy wdzięczność. Ale nasz sposób oznacza, że młoda para zaczyna życie w stanie… *g'daraka*… jako wolne, nieobciążone, nowe krasnoludy. Potem rodzice mogą dać im cenne prezenty ślubne, o wiele bardziej kosztowne niż spłata. Ale to już sprawa między krasnoludem a krasnoludem, kwestia miłości i szacunku, a nie rozliczenia między wierzycielem a dłużnikiem… Choć muszę zaznaczyć, że te ludzkie słowa nie najlepiej opisują sytuację. Dla nas to działa. I działało od tysiąca lat.

— Wydaje mi się, że dla ludzi brzmi to trochę… zimno. Dobrogór znowu przyjrzał mu się z uwagą.

— Znaczy, w porównaniu z ciepłym, serdecznym sposobem załatwiania spraw przez ludzi? — zapytał. — Nie, nie musisz odpowiadać. W każdym razie ja i Boddony chcemy razem otworzyć kopalnię, a jesteśmy kosztownymi krasnoludami. Potrafimy pracować z ołowiem, więc pomyśleliśmy, że w rok czy dwa lata tutaj zdobędziemy fundusze.

— Bierzecie ślub?

— Chcielibyśmy.

— No to… gratulacje.

William miał dość rozsądku, by nie komentować faktu, że oba krasnoludy wyglądają jak mali

barbarzyńscy wojownicy z długimi brodami. Wszystkie wierne tradycji krasnoludy tak wyglądały*.

Gunilla się uśmiechnął.

— Nie martw się ojcem za bardzo, mój chłopcze. Ludzie się zmieniają. Moja babcia uważała zawsze, że ludzie to jakiś gatunek bezwłosych niedźwiedzi. Już tak nie myśli.

— Co sprawiło, że zmieniła zdanie?

— Wydaje mi się, że jej śmierć miała tu znaczenie. Wstał i poklepał Williama po ramieniu.

— Chodźmy, trzeba skończyć azetę. Jak chłopcy wstaną, zaczniemy drukować.

* * *

Kiedy wrócił William, lokatorzy siedzieli już przy śniadaniu. A pani Arcanum czekała. Wargi miała zaciśnięte w wąską linię jak ktoś, kto wpadł na trop niewłaściwego zachowania.

— Oczekuję wyjaśnień w sprawie tej nocnej działalności — oznajmiła, stając przed nim w korytarzu. — I tygodniowego wypowiedzenia, bardzo proszę.

William był zbyt zmęczony, by kłamać.

— Chciałem sprawdzić, ile waży siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

W różnych regionach oblicza pani Arcanum zadrgały mięśnie.

Wiedziała o pochodzeniu Williama, jako że była kobietą, która bardzo szybko odkrywa takie sprawy, a drgania stanowiły oznakę wewnętrznej walki wywołanej niezaprzeczalnym faktem, że siedemdziesiąt tysięcy dolarów to suma bardzo przyzwoita.

— Może byłam odrobinę nazbyt pochopna — uznała w końcu.

— Czy dowiedział się pan, ile ważą takie pieniądze?

— Tak, bardzo dziękuję.

— Może chciałby pan zatrzymać wagę jeszcze na kilka dni, gdyby musiał pan zważyć więcej?

— Nie, chyba skończyłem z ważeniem, pani Arcanum. Ale jestem bardzo wdzięczny.

---

* Większość krasnoludów wciąż określano zaimkiem „on", nawet po ślubie. Zwykle uznawało się, że gdzieś pod kolczugą jeden z nich jest pici żeńskiej i że oba wiedzą który. Ale cala sprawa pici należała do tych, o których przywiązane do tradycji krasnoludy nie dyskutują, być może ze skromności, być może też niespecjalnie je interesuje. A już z pewnością dlatego, że według powszechnie wyznawanych poglądów to, co dwa krasnoludy mają ochotę robić razem, to wyłącznie ich interes.

— Śniadanie już się zaczęło, panie de Worde, lecz… No cóż, tym razem będę tolerancyjna.

Dostał też drugie jajko na miękko, co stanowiło rzadki dowód przychylności.

Najnowsze wieści były już tematem poważnej dyskusji.

— Jestem naprawdę zdziwiony — oświadczył pan Cartwright.

— Nie mam pojęcia, skąd oni wiedzą o takich rzeczach.

— Człowiek zaczyna się zastanawiać, co się naprawdę dzieje i o czym nikt nam nie mówi — dodał pan Windling.

William słuchał tego przez chwilę, aż w końcu nie mógł już dłużej wysiedzieć.

— Coś ciekawego w azecie? — zapytał niewinnie.

— Kobieta przy Kicklebury twierdzi, że jej mąż został porwany przez elfy — odparł pan Mackleduff, unosząc „SuperFakty". Nagłówek głosił bardzo wyraźnie:

## ELFY UKRADŁY MI MĘŻA!

— Wymyślili to sobie! — oświadczył William.

— Niemożliwe — odparł Mackleduff. — Jest przecież nazwisko i adres tej pani, o tutaj. Nie napisaliby tego czarno na białym, gdyby to było kłamstwo. Prawda?

William zerknął na nazwisko i adres.

— Znam tę kobietę!

— Sam pan widzi!

— To przecież ona w zeszłym miesiącu mówiła, że jej mąż został zabrany przez wielki srebrny talerz, który spłynął z nieba — tłumaczył William, który miał dobrą pamięć do takich historii. Niewiele brakowało, a umieściłby ją w swoim liście jako „Z zabawniejszych wieści", ale po zastanowieniu zrezygnował. — A pan, panie Prone, mówił, że przecież wszyscy wiedzą, jak to jej mąż uciekł z pewną damą imieniem Flo, która pracowała jako kelnerka w Domu Żeberek Hargi.

Pani Arcanum rzuciła Williamowi ostre spojrzenie, sugerujące, że kwestia nocnej kradzieży sprzętów kuchennych może być w każdej chwili ponownie otwarta, niezależnie od dodatkowego jajka.

— Nie pochwalam takich rozmów przy stole — poinformowała lodowato.

— W takim razie to oczywiste — stwierdził pan Cartwright.

— Musiał wrócić.

— Ze srebrnego talerza czy od Flo? — zainteresował się William.

— Panie de Worde!

— Tylko pytałem. Aha, widzę, że podają nazwisko człowieka, który ostatnio włamał się do jubilera. Szkoda, że to Załatwione Duncan, biedaczysko.

— Notoryczny przestępca, o ile zrozumiałem — rzekł pan Windling. — Jestem zdumiony, że straż go nie aresztuje.

— Zwłaszcza że codziennie ich odwiedza.

— A po co?

— Gorący posiłek i łóżko na noc — wyjaśnił William. — Widzi pan, Załatwione Duncan przyznaję się do wszystkiego. Grzech pierworodny, morderstwa, drobne kradzieże… wszystko. Kiedy sytuacja go przyciśnie, usiłuje donieść na siebie dla nagrody.

— W takim razie powinni coś z nim zrobić — uznała pani Arcanum.

— O ile wiem, zwykle dają mu kubek herbaty. — William milczał przez chwilę, po czym zapytał: — Jest coś ciekawego w tym drugim piśmie?

— Och, wciąż próbują przekonywać, że Vetinari tego nie zrobił — odparł pan Mackleduff. — A król Lancre pisze, że kobiety w Lancre nie rodzą węży.

— Przecież by się nie przyznał, prawda? — rzuciła pani Arcanum.

— Vetinari musiał coś zrobić — uznał pan Windling. — Gdyby nie, to dlaczego pomagałby straży w śledztwie? Niewinny człowiek tak się nie zachowuje moim skromnym zdaniem*.

— Wydaje mi się, że liczne dowody każą wątpić w jego winę — odparł William.

— Naprawdę? — spytał pan Windling, sugerując tym słowem, że zdanie Williama jest znacznie skromniejsze niż jego. — W każdym razie, jak rozumiem, dzisiaj spotykają się

---

* Oto najlepszy sposób, by opisać pana Windlinga wyobraźcie sobie, ze jesteście na naradzie I chcielibyście jak najszybciej wyjść, podobnie jak wszyscy pozostali Kiedy każdy widzi juz na horyzoncie zbliżające się Wolne Wnioski i składa równo dokumenty, nagle ktoś mówi „Chciałbym poruszyć pewną drobną kwestię, panie przewodniczący „„ a wy, czując w brzuchu okropny, przerażający ucisk, wiecie, po prostu wiecie, ze narada potrwa dwa razy dłużej, z częstym odwoływaniem się do protokołów wcześniejszych zebrań Człowiek, który właśnie to powiedział i siedzi teraz z zadowolonym uśmiechem, pełen oddania dla pracy komitetu, jest tak bliski panu Windlingowi, jakby był jego bratem bliźniakiem Tym, co wyróżnia panów Windlingów wszechświata, jest fraza „moim skromnym zdaniem", co do której wierzą, ze dodaje wagi ich tezom, a nie — jak jest w rzeczywistości — oznacza „to są małostkowe uwagi kogoś, kto ma towarzyski wdzięk rzęsy wodnej"

przywódcy gildii.

— Pociągnął nosem. — Pora już na zmiany. Prawdę mówiąc, przydałby nam się władca trochę bardziej wrażliwy na głosy zwykłych ludzi.

William zerknął na pana Długoszyba, krasnoluda, który spokojnie kroił grzankę na małe kawałki. Może nie zauważył… Może nie było czego zauważać, a William przesadzał w swoich reakcjach. Jednak długie lata wysłuchiwania opinii lorda de Worde wyczuliły jego słuch. I ten słuch podpowiadał, kiedy takie określenia jak „poglądy zwykłych ludzi" — same w sobie niewinne i godne szacunku — używane są w znaczeniu, że kogoś należy wychłostać.

— Co pan ma na myśli? — zapytał.

— To… miasto robi się za duże — stwierdził pan Windling. — Za dawnych czasów bramy miejskie zamykano, zamiast trzymać je otwarte dla wszystkich bez wyjątku. A ludzie nie musieli zamykać drzwi do domów.

— Nie mieliśmy niczego, co warto było kraść — zauważył pan Cartwright.

— To prawda. Teraz krąży tu więcej pieniędzy — zgodził się pan Prone.

— Ale nie wszystkie tu zostają — przypomniał pan Windling. To przynajmniej było prawdą. „Wysyłanie pieniędzy do domu" stanowiło jedną z głównych gałęzi eksportowych miasta, a krasnoludy w niej przodowały. William wiedział również, że większa część tych pieniędzy wraca, ponieważ krasnoludy zaopatrywały się u najlepszych krasnoludzich rzemieślników, a najlepsi krasnoludzi rzemieślnicy pracowali ostatnio głównie w Ankh–Morpork. I oni też wysyłali pieniądze do domu. Fala złotych monet przetaczała się tam i z powrotem i rzadko kiedy miała czas, by znieruchomieć. Ale irytowała Windlingów tego miasta.

Pan Długoszyb w milczeniu sięgnął po jajko i umieścił je w kieliszku.

— W mieście żyje po prostu zbyt wielu mieszkańców — tłumaczył pan Windling. — Nie mam nic przeciwko… przybyszom, niebiosa świadkiem, ale Vetinari doprowadził to wszystko zbyt daleko. Wszyscy wiedzą, że potrzebujemy kogoś, kto będzie skłonny okazać większą stanowczość.

Coś brzęknęło metalicznie. Pan Długoszyb, wciąż patrząc na swoje jajko, sięgnął pod stół i wyjął z worka mały, ale imponująco toporzasty toporek. Obserwując jajko w skupieniu — jak gdyby miało mu uciec — wolno odchylił się do tyłu, znieruchomiał na moment, po czym machnął…

Ostrze zatoczyło srebrzysty łuk. Czubek jajka wzleciał niemal bezgłośnie, obrócił się w

powietrzu kilka stóp nad talerzem, po czym wylądował obok kieliszka.

Pan Długoszyb z satysfakcją kiwnął głową, po czym rozejrzał się po znieruchomiałych twarzach.

— Przepraszam — powiedział. — Nie słuchałem.

W tym miejscu, jakby to ujęła Sacharissa, spotkanie się zakończyło.

W drodze na Błyskotną William kupił „SuperFakty" i zastanowił się — nie po raz pierwszy — kto pisze te teksty. Radzili sobie lepiej, niż sam by potrafił, to oczywiste. Kiedyś zastanawiał się nad wymyśleniem kilku niewinnych akapitów, gdy w mieście niewiele się działo, i odkrył, że to o wiele trudniejsze, niż można przypuszczać. Choćby nie wiadomo jak bardzo się starał, zawsze przegrywał ze zdrowym rozsądkiem i inteligencją. Poza tym Kłamstwo było Złe.

Zauważył niechętnie, że wykorzystali historię o gadającym psie. Och, i jeszcze jedną, której dotąd nie słyszał: jakaś dziwna postać została zauważona, gdy nocą krążyła nad dachami Niewidocznego Uniwersytetu — POŁ CZŁOWIEK, PÓŁ ĆMA? Pół wymyślony, pół wyssany z palca zapewne.

Ciekawe, że jeśli sądzić z wypowiedzi śniadaniowego jury, zaprzeczanie takim informacjom dowodziło tylko ich prawdziwości. Przecież nikt by sobie nie zadawał trudu zaprzeczania czemuś, co i tak nie istnieje, prawda?

Poszedł skrótem przez stajnie przy alejce Strumycznej. Podobnie jak ulica Błyskotną, Strumyczna istniała, by oznaczać tyły posiadłości i budynków. Ta część miasta nie miała realnej egzystencji innej niż coś, przez co człowiek przechodzi, by dotrzeć do bardziej interesujących miejsc. Nieciekawy zaułek składał się z magazynów o małych okienkach, rozpadających się szop i — co istotne — Stajni Hobsona.

Była wielka, zwłaszcza odkąd Hobson zdał sobie sprawę, że można dobudować kolejne piętra.

Willie Hobson był biznesmenem w typie Króla Złotej Rzeki: znalazł niszę, zajął ją i poszerzył tak, że do środka wpadało sporo pieniędzy. Wielu mieszkańców miasta używało czasem koni, a mało kto miał miejsce, by je trzymać. Potrzebowali stajni, stajennych, siana… A wystarczało kilka dolarów by wynająć konia od Williego.

Wiele osób trzymało tu również własne konie. Ludzie wchodzili i wychodzili przez cały czas. A krzywonodzy, podobni do go — blinów osobnicy, którzy tu pracowali, nigdy nie zatrzymywali nikogo, chyba że wyglądał, jakby wynosił konia pod płaszczem.

William usłyszał z mroku spomiędzy boksów:

— Jedną chwilę, przyjacielu.

Spojrzał w cienie. Przyglądało mu się kilka koni. Kawałek dalej inne konie były przeprowadzane, krzyczeli ludzie, panował zwykły stajenny rozgardiasz. Ale głos dobiegał z niewielkiej kałuży złowieszczej ciszy.

— Zostały mi jeszcze dwa miesiące na ostatnim pokwitowaniu — oznajmił ciemności. — I muszę zaznaczyć, że promocyjny komplet sztućców był chyba zrobiony ze stopu ołowiu i końskiego nawozu.

— Nie jestem złodziejem — powiedziały cienie.

— Kto to mówi?

— Czy wiesz, co jest dla ciebie dofre?

— No… tak. Gimnastyka, regularne posiłki i odpowiednia ilość snu. — William przyjrzał się długiemu szeregowi boksów. — Ale wydaje mi się, że naprawdę chciałeś zapytać, czy wiem, co jest dla mnie niedobre, w ogólnym kontekście tępych narzędzi i ostrych noży.

— Ogólnie rzecz fiorąc, tak. Nie, nie ruszaj się pan. Stój tam, gdzie cię widzę, a nic ci się nie1 stanie.

William przemyślał to.

— Owszem, ale jeśli stanę tam, gdzie nie będziesz mnie widział, to nie wiem, jak coś mogłoby mi się stać.

Coś westchnęło.

— Może ofaj zrofimy krok do zgody… Nie, nie ruszaj się!

— Przecież powiedziałeś…

— Po prostu stój w miejscu, zamknij się i słuchaj, co?

— Dobrze.

— Chodzą słuchy, że jest taki jeden pies, którego szukają — powiedział tajemniczy glos.

— Ach… tak. Straż go poszukuje, owszem. I…?

William miał wrażenie, że dostrzega w mroku jakiś nieco ciemniejszy kształt. Co ważniejsze, wyczuwał też Zapach, mimo dominującego w stajni odoru koni.

— Ron? — zapytał.

— Czyja mówię jak Ron? — odpowiedział głos.

— Nie… raczej nie. No więc z kim rozmawiam?

— Możesz mnie nazywać… Głęfokim Gnatem.

— Głęboki Gnat?

— Coś nie pasuje?

— Nie, nie, w porządku. Co mogę dla pana zrobić, panie Gnacie?

— Przypuśćmy, że ktoś fy wiedział, gdzie jest ten piesek, ale nie chce mieć nic wspólnego ze strażą? — zasugerował głos Głębokiego Gnata.

— Dlaczego nie?

— Powiedzmy tyle, że straż może sprawiać kłopoty osofom pewnego rodzaju. To jeden powód.

— Dobrze.

— I powiedzmy jeszcze, że są w okolicy ludzie, którzy fy nie chcieli, żefy ten piesek wyszczekał, co wie. Tak? Straż może o niego nie zadfać. Oni tam w straży nie przejmują się psami.

— Nie?

— Nie. Straż uważa, że taki pies nie ma żadnych ludzkich praw. To następny powód.

— Jest jeszcze trzeci?

— Tak. Przeczytałem w azecie, że wyznaczyli nagrodę.

— Ach. I co?

— Tylko że źle wydrukowali, bo stało tam, że dwadzieścia pięć dolarów zamiast stu dolarów. Jasne?

— Och. Rozumiem. Ale sto dolarów to dużo pieniędzy jak na psa, panie Gnacie.

— Nie na tego psa, jeśli rozumiesz pan, co mam na myśli — odparły cienie. — Ten pies ma historię do opowiedzenia.

— Tak? Czyżby to był słynny gadający pies z Ankh–Morpork?

Głęboki Gnat warknął gniewnie.

— Psy nie mówią, wszyscy o tym wiedzą. Ale są tacy, co rozumieją psi język, jeśli łapiesz pan, o czym mowa.

— Chodzi o wilkołaki?

— Możliwe, że chodzi o osofników tego pokroju, owszem.

— Ale jedyny wilkołak, jakiego znam, pracuje w straży — powiedział William. — Czyli każe mi pan zapłacić sto dolarów tylko po to, żebym mógł przekazać Wufflesa strażnikom, tak?

— Zasłużysz się u starego Vimesa, nie?

— Ale sam pan mówił, że nie ufa straży, panie Gnacie. A ja słucham, co ludzie mówią, wie pan…

Głęboki Gnat milczał przez chwilę.

— No dofrze — zgodził się. — Pies i tłumacz, sto pięćdziesiąt dolarów.

— A historia, którą ten pies może opowiedzieć, ma związek z porannymi wydarzeniami w pałacu sprzed kilku dni?

— Możliwe. Możliwe. Nawet fardzo możliwe. Niewykluczone, że właśnie o czymś takim jest mowa.

— Chcę zobaczyć, z kim rozmawiam — oświadczył William.

— Nic z tego.

— No świetnie… To rzeczywiście uspokaja. Znaczy, mam pójść i znaleźć sto pięćdziesiąt dolarów, tak, a potem przynieść je tutaj i po prostu oddać? I tyle?

— Dofry pomysł.

— Nie ma szans.

— Aha… Czyli mi pan nie ufasz, co? — zapytał Głęboki Gnat.

— Zgadza się.

— Hm… Przypuśćmy, że zdradzę mały fragmencik tej opowieści gratis i darmo. Do polizania. Dla smaku, jak to mówią.

— Proszę mówić…

— To nie Vetinari dźgnął tego drugiego. To fył ktoś inny.

William zapisał to i przyjrzał się z uwagą.

— I jak dokładnie ma mi tp pomóc?

— To niezły kawałek nowin, nie? Mało kto o tym słyszał.

— Niewiele tego. Coś o nim wiadomo?

— Ma na kostce ślad po ugryzieniu przez psa.

— Z czymś takim na pewno łatwo będzie go poznać na ulicy, tak? Co mam zrobić? Próbować dyskretnie podnosić ludziom nogawki?

— To naprawdę sensacyjna nowina — odparł Głęboki Gnat urażonym tonem. — Pewni ludzie fardzo się zmartwią, kiedy zamieścisz ją pan w swojej azecie.

— Tak, zmartwią się, że zwariowałem. Musi mi pan powiedzieć coś ciekawszego! Może pan podać rysopis?

Głęboki Gnat milczał przez chwilę, a kiedy znów się odezwał, był wyraźnie niepewny.

— Znaczy: jak wyglądał? — zapytał.

— No tak!

— Aha… No więc z psami to tak nie działa, rozumiesz pan. To co rofimy… co rofi taki normalny pies, to patrzy do góry. Ludzie to zwykle takie ściany z parą nozdrzy na czufku. I tyle.

— Czyli niewiele się dowiem — mruknął William. — Przykro mi, ale nic nie wyjdzie z inte…

— Ale jak pachniał, to całkiem inna sprawa — przerwał mu Głęboki Gnat nerwowo.

— No dobrze, niech pan opisze, jak pachniał.

— A czy widzę przed sofą stos gotówki? Jakoś niespecjalnie.

— Panie Gnacie, nie będę nawet myślał o zbieraniu takich pieniędzy, dopóki nie poznam jakiegoś dowodu, że naprawdę pan coś wie.

— No dofrze — odezwał się po chwili głos z cienia. — Wiesz pan, że istnieje Komitet De — elekcji Patrycjusza? To jest nowina!

— A co w tym nowego? Ludzie od lat spiskują, żeby się go pozbyć.

Znowu chwila ciszy.

— Wiesz pan — rzekł Głęboki Gnat — oszczędzilifyśmy sofie wielu proflemów, gdyfyś pan po prostu dał mi forsę, a ja fym powiedział wszystko.

— Jak dotąd nic pan nie powiedział. Niech pan powie wszystko, a wtedy zapłacę, jeśli to będzie prawda.

— No tak… Sprófuj pan któregoś z innych, ten aż dzwoni.

— Czyli wychodzi na to, że nie ubijemy interesu. — William schował notes.

— Czekaj pan, czekaj… Można to jakoś załatwić. Zapytaj pan Vimesa, co rofił Vetinari tuż przed atakiem.

— Czemu? A co robił?

— Przekonamy się, czy pan to odkryjesz.

— To dość marny punkt wyjścia…

Nie było odpowiedzi. Williamowi zdawało się, że słyszy jakieś szuranie.

— Halo…

Odczekał chwilę, a potem bardzo ostrożnie ruszył przed siebie.

W półmroku spojrzało na niego kilka koni. Po niewidzialnym informatorze nie pozostał żaden ślad.

Wiele myśli walczyło o miejsce w jego mózgu, kiedy szedł w stronę światła dnia. Ale co dziwne, na główną arenę przesączało się wciąż pewne drobne, pozornie nieistotne spostrzeżenie. Co to za wyrażenie „spróbuj pan któregoś z innych, ten aż dzwoni"? No bo „spróbuj innego, ten aż dzwoni" owszem, słyszał — powiedzonko pochodziło z czasów okrutniejszego niż zwykle władcy Ankh–Morpork, który kazał rytualnie torturować wielu tancerzy Morrisa. Ale „któregoś z innych"… Dziwne…

I wtedy go olśniło.

Głęboki Gnat musi być cudzoziemcem. To logiczne. Tak jak Otto, który doskonale mówił po morporsku, ale nie całkiem opanował kolokwializmy.

Zanotował to.

Wyczuł dym w tej samej chwili, w której usłyszał łomot ceramicznych stóp golemów. Czterech glinianych ludzi przebiegło obok niego, dźwigając długą drabinę. Bez zastanowienia ruszył za nimi, odruchowo przewracając kartkę w notesie.

Ogień zawsze stanowił groźbę w tej części miasta, gdzie przeważała zabudowa drewniana i strzechy. Dlatego właśnie wszyscy tak stanowczo sprzeciwiali się powołaniu jakiejkolwiek straży pożarnej, rozumując — z niezłomną ankhmorporską logiką — że grupa ludzi, której płaci się za gaszenie pożarów, naturalnie postara się zadbać, by mieć pod dostatkiem pożarów do gaszenia.

Golemy to co innego. Golemy były cierpliwe, pracowite, bezbłędnie logiczne, praktycznie niezniszczalne — i pracowały ochotniczo. Wszyscy wiedzieli, że golemy nie mogą krzywdzić ludzi.

Pewna tajemnica otaczała historię powstania golemowej brygady przeciwpożarowej. Niektórzy utrzymywali, że to pomysł straży, ale powszechnie uznawano raczej teorię, że golemy po prostu nie chcą pozwolić na niszczenie ludzi i ich dobytku. Z nieziemską dyscypliną i na pozór nie komunikując się ze sobą, zbiegały się do ognia ze wszystkich stron, ratowały uwięzionych ludzi, zabezpieczały i starannie układały wszelkie ruchomości, ustawiały się w łańcuch, w błyskawicznym tempie podający wiadra z wodą, zadeptywały ostatnie iskry… a potem pospiesznie wracały do porzuconych chwilowo obowiązków.

Te cztery biegły do ognia przy ulicy Kopalni Melasy. Języki ognia falowały w oknach pierwszego piętra.

— Jest pan z azety? — zapytał jakiś człowiek w tłumie.

— Tak — potwierdził William.

— No więc wydaje mi się, że to kolejny przypadek tajemniczego spontanicznego samozapłonu, jak ten, o którym pisaliście wczoraj.

Wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, czy William notuje.

William jęknął w duchu. Sacharissa rzeczywiście napisała o pożarze przy Haka Lobbingu, w którym zginął jeden nieszczęśnik, i na tym skończyła. Ale „SuperFakty" nazwały go Tajemniczym Wybuchem.

— Nie wydaje mi się, żeby tamten pożar był jakoś szczególnie tajemniczy — powiedział. — Stary pan Hardy postanowił zapalić cygaro i zapomniał, że moczy nogi w terpentynie.

Ktoś mu pewnie powiedział, że to dobre lekarstwo na grzybicę… i w pewnym sensie miał rację.

— Jasne, tak mówią. — Mężczyzna stuknął palcem w bok nosa. — Ale o wielu rzeczach nikt nas nie informuje.

— To prawda — zgodził się William. — Przedwczoraj słyszałem, że ogromne głazy, szerokie na setki mil, co tydzień spadają na okolicę, ale Patrycjusz wycisza całą sprawę.

— Sam pan widzisz. Nie do wiary, że traktują nas wszystkich jak durniów.

— Tak, to dla mnie również zagadka.

— Przejście, zróbcie przejście!

Otto przeciskał się wśród gapiów, przygarbiony pod ciężarem urządzenia wielkości i ogólnego kształtu akordeonu. Łokciami utorował sobie drogę do pierwszego rzędu, ustawił aparaturę na trójnogu i wymierzył w golema, który wynurzał się z zadymionego okna, trzymając w ramionach dziecko.

— Dobra, chłopcy, teraz miły vyraz tvarzy! — zawołał, wznosząc klatkę błyskową. — Raz, dva, trzy… aarghaarghaarghaargh…

Wampir zmienił się w obłok opadającego wolno pyłu. Coś zawisło na moment w powietrzu — wyglądało jak maleńka fiolka na naszyjniku ze sznurka.

A potem upadło i roztrzaskało się na bruku.

Pył wyrósł w górę jak grzyb, nabrał kształtu… i Otto znowu był cały. Mrugał i obmacywał się dłońmi, by sprawdzić, czy niczego mu nie brakuje. Zauważył Williama i rzucił mu ten szeroki uśmiech, do jakiego tylko wampiry są zdolne.

— Panie Villiamie! Udało się! To pański pomysł!

— Taaak…? Który?

Spod klapki wielkiego ikonografii wydobywała się cienka strużka żółtego dymu.

— Móvił pan, żeby nosić ze sobą ratunkovą kroplę słova na k — wyjaśnił Otto. — No vięc pomyślałem: jeśli będzie w małej buteleczce na szyi, a ja rozsypię zię w pył, to hopla! Roztrzaska zię i znowu jestem!

Uniósł pokrywę ikonografu i machnięciem dłoni rozpędził dym. Ze środka dobiegał bardzo cichy kaszel.

— I jeśli zię nie mylę, mamy tu udatnie vytraviony obrazek! Co dovodzi jedynie, jak viele potrafimy osiągnąć, gdy naszych umysłóv nie zasnuvają wizje otvartych okien i nagich szyj, o których ja sam w ogóle teraz nie myślę, bo jestem całkovitym kabstynentem.

Otto zmienił kostium. Pozbył się tradycyjnego czarnego, wieczorowego fraka, jaki preferował jego gatunek. Zastąpiła go kamizelka bez rękawów, mająca więcej kieszeni, niż William w życiu widział w jednej sztuce odzieży. Trzymał w nich pakiety chochlikowej karmy, zapasowe farby, jakieś tajemnicze narzędzia i inne niezbędne akcesoria sztuki ikonograficznej.

Z szacunku dla tradycji kamizelka Ottona była czarna, na podszewce z czerwonego jedwabiu; miała też z tyłu wydłużone poły.

William wypytał delikatnie rodzinę, która obserwowała z rozpaczą, jak ogień zmienia się w parę. Ustalił, że pożar został tajemniczo spowodowany przez tajemniczy spontaniczny samozapłon w tajemniczym rondlu z frytkami, pełnym gorącego oleju.

Zostawił ich, chodzących wśród poczerniałych resztek dawnego domu.

— To tylko historia do zapisania — stwierdził, chowając notes.

— Czuję się trochę jak wampir… oj, przepraszam…

— Nie szkodzi — uspokoił go Otto. — Rozumiem. I jestem vdzięczny, że dał mi pan tę pracę. Viele to dla mnie znaczy, tym bardziej że vidzę, jaki jest pan przy mnie nervovy. To zresztą oczyviste.

— Nie jestem nerwowy! — zaprotestował gorączkowo William.

— Całkiem swobodnie się czuję w towarzystwie innych gatunków!

Wyraz twarzy Ottona był przyjazny, ale również przenikliwy, tak jak to możliwe tylko w przypadku uśmiechniętego wampira.

— Zavażyłem, jak pan zię stara, żeby być przyjaznym vobec kraznoludów. I dla mnie jest pan uprzejmy. To duży vysiłek, godny podzivu…

William otworzył usta, by się sprzeciwić, ale zrezygnował.

— No dobrze… Ale to dlatego, że tak zostałem wychowany, jasne? Mój ojciec bardzo stanowczo popierał… człowieczeństwo. To znaczy nie człowieczeństwo jako… Właściwie to był raczej zdecydowanie przeciwny…

— Tak, tak. Rozumiem.

— I tylko o to chodzi, jasne? Każdy może sam decydować, kim będzie!

— Tak, tak, na pevno. A gdyby szukał pan rady co do sprav romansovych, vystarczy spytać.

— Czemu miałbym szukać rady co do sprav… spraw romansowych?

— Och, bez powodu. Absolutnie bez powodu — zapewnił niewinnie Otto.

— A poza tym jesteś wampirem. Jakiej rady mógłbyś mi udzielić w kwestii kobiet?

— No niech mnie, zbudź się, chłopie, i poczuj czosnek! Och, jakież historie mógłbym opoviedzieć… — Otto zamilkł na chwilę.

— Ale nie opoviem, bo nie robię już takich rzeczy. Nie teraz, kiedy zobaczyłem światło dnia. — Szturchnął Williama, który poczerwieniał z zakłopotania. — Vspomnę tylko, że one nie zavsze krzyczą.

— To było trochę nieeleganckie…

— Tak zię działo za davnych, złych czasóv — zapewnił pospiesznie Otto. — Teraz niczego bardziej nie lubię niż kubka kakao i śpievu przy fisharmonii. Napravdę. O tak. Słovo.

Powrót do drukarni, by napisać o pożarze, okazał się poważnym problemem. Zresztą podobnym do tego, jaki stanowiło samo wejście w ulicę Błyskotną.

Otto wpadł na Williama, który stał nieruchomo i patrzył.

— Vydaje mi zię, że sami zię o to prosiliśmy! — zawołał. — Dvadzieścia pięć dolarov to dużo pieniędzy!

— Co?! — krzyknął William.

— Mówię, że dvadzieścia pięć dolarów! to dużo pieniędzy, Villiamie!!

— Co?!!!

Kilka osób przecisnęło się obok nich. Nieśli psy. Każdy na Błyskotnej niósł psa albo prowadził psa, albo był ciągnięty przez psa, albo atakowany — mimo wysiłków właściciela — przez psa należącego do kogoś innego. Szczekanie przekroczyło już poziom zwykłego hałasu, a stało się rodzajem wyczuwalnej siły, uderzającej w bębenki jak huragan stworzony ze zgrzytającego złomu.

William wciągnął wampira do bramy, gdzie zgiełk był zaledwie nieznośny.

— Możesz coś z tym zrobić? — wrzasnął. — Inaczej nigdy się nie przedostaniemy!

— Niby co?

— No wiesz… Ta sztuczka z dziećmi nocy…

— Ach, to… — Otto zrobił ponurą minę. — Vie pan, że to bardzo stereotypova zugestia. Może od razu pan poprosi, żebym zię zmienił v nietoperza, co? Móviłem przecież, że już tego nie robię!

— A masz lepszy pomysł?

Kilka stóp od nich rottweiler usiłował pożreć spaniela.

— Och, no dobrze… — Otto machnął rękami.

Szczekanie ucichło natychmiast. A potem wszystkie psy usiadły na zadach i zawyły.

— Niewielka poprawa, ale przynajmniej się ze sobą nie gryzą — uznał William i pospieszył naprzód.

— No vięc bardzo mi przykro! Proszę mnie przy okazji zakołkovać! — zirytował się Otto. — Na najbliższym spotkaniu czeka mnie bardzo kłopotlive pięć minut uspraviedlivień. Viem, że to nie… kvestia ssania, ale przecież należy dbać o ogólne ważenie.

Wspięli się na gnijący płot i weszli do szopy tylnymi drzwiami.

Ludzie i psy cisnęli się do głównych drzwi. Powstrzymywała ich tylko barykada biurek, a także bardzo znękana Sacharissa stawiająca opór morzu twarzy i pysków. William ledwie rozróżniał jej głos w ogólnym gwarze.

— Nie, to jest pudel. W ogóle nie przypomina psa, którego szukamy…

— Nie, to nie ten. Skąd to wiem? Bo to jest kot. No dobrze,

w takim razie dlaczego się myje językiem? Nie, przykro mi, psy się tak nie zachowują…

— Nie, proszę pani, to buldog…

— Nie, to nie to. Nie, proszę pana, wiem, że to nie to. Bo to jest papuga, dlatego. Nauczył ją pan szczekać i wymalował na boku „PieS", ale to nadal papuga…

Sacharissa odgarnęła włosy z oczu i zauważyła Williama.

— No więc kto był takim mądralą? — rzuciła.

— *Ko byu taki ondrral?* — odezwał się PieS.

— Ile jeszcze zostało?

— Obawiam się, że setki — odparł William.

— Właśnie przeżyłam najgorsze pół godziny w… To jest kura! Kura, ty głupia kobieto,

właśnie zniosła jajko!… w życiu i jestem ci za to bardzo wdzięczna. Nigdy byś nie zgadł, co się stało. Nie, to sznauswitzer! Wiesz, co takiego, Williamie?

— Co? — spytał William.

— Jakiś kompletny tuman zaoferował nagrodę! W Ankh–Morpork! Wyobrażasz sobie? Kiedy tu przyszłam, kolejka stała w trzech rzędach! Pomyśl, co za idiota mógł wpaść na taki pomysł? Jakiś typ przyprowadził krowę! Krowę! Miałam z nim prawdziwą awanturę na temat zwierzęcej fizjologii, zanim Rocky walnął go w głowę. Ten biedny troll stoi teraz przed wejściem i próbuje utrzymać porządek! Tam są nawet fretki!

— Bardzo mi przykro…

— Zastanawiam się, mm, czy możemy jakoś pomóc…?

Obejrzeli się oboje.

Pytającym był kapłan, ubrany w czarną, pozbawioną ozdób i fasonu omniańską sutannę. Miał płaski kapelusz z szerokim rondem, na szyi omniański naszyjnik z żółwiem, a na twarzy wyraz niemal śmiertelnej życzliwości.

— Mm, jestem brat Na–Której–Tańczą–Anioły Szpila — oświadczył i odsunął się, odsłaniając górę w czerni. — A to siostra Jennifer, która przyjęła śluby milczenia.

Patrzyli na zjawisko, jakim była siostra Jennifer, a brat Szpila kontynuował z naciskiem:

— To znaczy, że ona, mm, nie mówi. Wcale. W żadnych okolicznościach.

— Ojej — szepnęła słabym głosem Sacharissa.

Jedno oko siostry Jennifer wirowało powoli na twarzy przypominającej ceglany mur.

— Tak, mm. Przypadkiem znaleźliśmy się w Ankh–Morpork, w ramach posługi biskupa Horna wśród zwierząt. Usłyszeliśmy, że szukacie małego pieska, który ma kłopoty — tłumaczył brat Szpila.

— Widzę, że jesteście, mm, trochę przytłoczeni, więc moglibyśmy pomóc. To nasz obowiązek.

— Ten pies to mały terier — wyjaśniła Sacharissa. — Ale brat będzie zaskoczony, co ludzie nam przyprowadzają…

— Coś podobnego… Lecz siostra Jennifer doskonale sobie radzi w takich sytuacjach…

Siostra Jennifer wyszła przed biurko. Jakiś człowiek z nadzieją podniósł na rękach coś, co wyraźnie było borsukiem.

— Trochę chorował…

Siostra Jennifer opuściła pięść na jego głowę. William się skrzywił.

— Siostra Jennifer wierzy w szorstką miłość — rzekł brat Szpila.

— Drobna korekta w odpowiedniej chwili może ocalić zagubioną duszyczkę przed podążaniem niewłaściwą ścieżką.

— Do jakiego zakonu ona należy, jeśli volno spytać? — wtrącił Otto.

Zagubiona duszyczka z borsukiem na rękach wyszła, zataczając się. Jej nogi usiłowały podążać kilkoma ścieżkami równocześnie. Brat Szpila uśmiechnął się słodko.

— Zakon Małych Kwiatuszków Bezustannej Irytacji.

— Napravdę? Nie słyszałem o takim. Bardzo… pomocny dla potrzebujących, jak vidzę. No, ale muszę spravdzić, czy chochliki dobrze zię spraviły.

Pod zbawiennym wpływem sunącej ulicą siostry Jennifer tłum przerzedzał się szybko, zwłaszcia ta jego część, która przyprowadziła psy mruczące albo jedzące pestki słonecznika. Wielu z mających ze sobą prawdziwe żywe psy też zachowywało się dość nerwowo.

William poczuł, że ogarnia go niepokój. Wiedział, że niektóre odłamy omniańskiego Kościoła wciąż wierzą, iż jedynym sposobem wysłania duszy do nieba jest skazanie ciała na piekło. Trudno też było obwiniać siostrę Jennifer za jej wygląd czy nawet rozmiar jej dłoni. I nawet jeśli grzbiety owych dłoni były dość gęsto zarośnięte, to cóż, tak się przecież zdarza w regionach wiejskich.

— Co ona właściwie robi? — zapytał.

W kolejce rozlegały się piski i krzyki, gdy kolejne psy były chwytane, oglądane gniewnie i odstawiane z powrotem z siłą więcej niż minimalną.

— Jak już wspomniałem, próbujemy odszukać małego pieska

— wyjaśnił brat Szpila. — Może potrzebować pociechy duchowej.

— Przecież tamten terier ostrowłosy wygląda całkiem podobnie do obrazka — zaprotestowała Sacharissa. — A ona nie zwróciła na niego uwagi.

— Siostra Jennifer jest bardzo wyczulona w takich kwestiach — zapewnił brat Szpila.

— No, stojąc tutaj, nie zapełnię następnego wydania. — Sacharissa ruszyła do swojego biurka.

— Pewnie by pomogło, gdybyśmy potrafili drukować w kolorze — rzekł William, gdy został sam z bratem Szpilą.

— Zapewne — zgodził się wielebny braciszek. — On był taki szarobrązowy.

Wtedy William zrozumiał, że jest trupem. To tylko kwestia czasu…

— Wiecie, jakiego koloru psa szukacie — stwierdził cicho.

— Zajmuj się układaniem słów, pisarczyku — rzucił brat Szpila tak, by nikt inny go nie usłyszał. Odchylił połę sutanny akurat tyle, by William zobaczył umocowany tam zestaw sztućców. Potem go zasłonił. — To nie ma nic wspólnego z tobą, jasne? Krzyknij, a ktoś zginie. Spróbuj zostać bohaterem, a ktoś zginie. Wykonaj jakikolwiek nagły ruch, a ktoś zginie. Właściwie to równie dobrze możemy i tak kogoś zabić, żeby zaoszczędzić na czasie. Znasz powiedzenie, że pióro niby jest mocniejsze od miecza?

— Tak — wykrztusił William.

— Chcesz to sprawdzić?

— Nie.

William zauważył, że Gunilla przygląda mu się podejrzliwie.

— Co robi ten krasnolud? — zapytał brat Szpila.

— Składa azetę, proszę pana — odparł William.

Rozsądek zawsze nakazuje grzecznie odpowiadać ostrym narzędziom.

— Powiedz mu, żeby składał dalej — polecił Szpila.

— Czy zechciałby pan wrócić do składu, panie Dobrogór?! — zawołał William, przekrzykując skowyty i warczenie. — Wszystko w porządku!

Gunilla kiwnął głową i odwrócił się do nich tyłem. Demonstracyjnie uniósł dłoń, po czym zaczął wybierać czcionki.

William patrzył. To lepsze niż semafor — ta ręka przesuwająca się od pudełka do pudełka.

*On[spacja]jest[spacja]fałszyty?*

T były w przegródce obok W…

— Tak — powiedział William. Szpila przyjrzał mu się uważnie.

— Co tak?

— Ja… tego… to tylko nerwy — odparł William. — Zawsze robię się nerwowy w pobliżu noży.

Szpila zerknął na krasnoludy. Wszystkie stały odwrócone plecami.

Ręka Dobrogóra poruszyła się znowu, wybierając z pudełek literę za literą.

*Ma[spacja]broń?[spacja]kaszel[spacja]na[spacja]tak*

— Coś nie w porządku z gardłem? — zapytał Szpila, gdy William zakaszlał.

— To znowu te nerwy… proszę pana.

*Dobra[spacja]sprowadzę[spacja]Ottona*

— No nie… — mruknął William.

— Gdzie ten krasnolud idzie? — zainteresował się Szpila, wsuwając rękę pod sutannę.

— Tylko do piwnicy, proszę pana. Żeby… przynieść trochę farby.

— Po co? Wygląda na to, że macie jej tu dosyć.

— Chodzi o białą farbę, proszę pana. Na spacje. I środki O. — William pochylił się do brata Szpili i zadrżał, kiedy dłoń tamtego znów sięgnęła pod sutannę. — Proszę posłuchać. Krasnoludy też wszystkie są uzbrojone. Mają topory. I bardzo łatwo wpadają w gniew. Jestem w pobliżu pana jedyną osobą, która nie ma żadnej broni. Proszę… Nie chcę jeszcze umierać. Załatwcie to, po co przyszliście, i zostawcie nas…

Całkiem dobrze udaje nędznego tchórza, pomyślał, bo świetnie się nadaje do tej roli.

— Jak ci idzie, siostro? — zapytał Szpila.

Siostra Jennifer trzymała wyrywający się gwałtownie worek.

— Mam wszystkie …one teriery — powiedziała. Brat Szpila surowo pokręcił głową.

— Mam wszystkie …one teriery — pisnęła znacznie wyższym głosem. — A na końcu ulicy są …eni strażnicy!

Kątem oka William zauważył, że Sacharissa wyprostowała się gwałtownie. Teraz w programie wizyty pojawiła się zapewne czyjaś śmierć.

Otto niefrasobliwie wspinał się po drabinie, z wiszącym na ramieniu pudłem jednego ze swoich ikonografów.

Skinął Williamowi głową. Sacharissa za nim nerwowo odsuwała krzesło.

Znów stojąc przed skrzynką z czcionkami, Gunilla składał gorączkowo:

*Zasłoń[spacja]oczy*

Pan Szpila zwrócił się do Williama.

— Co to znaczy: biała farba na spacje?

Sacharissa wyglądała na zagniewaną i stanowczą, jak pani Arcanum po niepożądanej uwadze.

Wampir podniósł pudło.

Klatka ponad nim, jak zauważył William, pełna była überwaldzkich węgorzy lądowych.

Brat Szpila rozsunął poły sutanny.

William skoczył ku podchodzącej dziewczynie, unosząc się w powietrze jak żaba w syropie.

Krasnoludy przeskakiwały przez niskie przepierzenie, dzielące gabinet od hali prasy. Trzymały w rękach topory. I…

— Bu — powiedział Otto.

Czas się zatrzymał. William czuł, jak rozplata się wszechświat, jak niewielki glob ścian i sufitów odrywa się niczym skórka pomarańczy, pozostawiając zimną, pędzącą ciemność wypełnioną igiełkami lodu. Były w niej głosy — ucięte, jak przypadkowe sylaby dźwięku. I znowu to wrażenie, którego już doznał: że jego ciało jest cienkie i niematerialne jak cień.

A potem wylądował na Sacharissie, objął ją ramionami i razem przetoczyli się za błogosławioną osłonę z biurek.

Psy wyły. Ludzie klęli. Krasnoludy wrzeszczały. Łamały się meble. William leżał nieruchomo, dopóki nie ucichł grom.

Po nim nastąpiły stękania i przekleństwa.

Przekleństwa stanowiły dobry znak. Były to krasnoludzie przekleństwa i oznaczały, że przeklinający jest nie tylko żywy, ale też wściekły.

William ostrożnie uniósł głowę.

Główne drzwi stały otworem. Nie było kolejki, nie było psów. Dał się słyszeć tupot biegnących stóp i zajadle szczekanie na ulicy.

Tylne drzwi kołysały się na zawiasach.

William zdał sobie sprawę z pneumatycznego ciepła Sacharissy w ramionach. Było to doznanie, o którym nawet nie marzył w swym życiu poświęconym układaniu słów w miłym dla ucha porządku… No nie, oczywiście, że marzył, poprawił go wewnętrzny redaktor, lepiej napisać „nie spodziewał się”…

— Strasznie mi przykro — powiedział.

Technicznie biorąc, to białe kłamstwo, stwierdził redaktor. Jak podziękowanie dla ciotki za piękne chustki do nosa. W porządku. Może być.

Odsunął się ostrożnie i niepewnie podniósł na nogi. Krasnoludy także wstawały chwiejnie. Jeden czy dwa wymiotowały hałaśliwie.

Ciało Ottona Chrieka leżało bezwładnie na podłodze. Uciekający brat Szpila przed odejściem zadał jedno fachowe cięcie na wysokości szyi.

— O bogowie… — rzekł drżącym głosem William. — To straszne…

— Co takiego? Ucięcie głowy? — zapytał Boddony, który nigdy nie lubił wampira. — Tak,

można to tak określić.

— Ale… powinniśmy coś dla niego zrobić…

— Naprawdę?

— Tak! Zginąłbym na pewno, gdyby nie użył tych węgorzy!

— Przepraszam! Czy ktoś mógłby tu podejść?

Śpiewny głos dochodził spod drukarskiego warsztatu. Dobrogór przyklęknął.

— Niech mnie… — powiedział.

— Co tam jest? — zapytał William.

— To, eee… no… to Otto.

— Przepraszam, ale czy ktoś mógłby mnie stąd vyjąć?

Dobrogór skrzywił się i wsunął rękę w ciemność. Głos mówił dalej:

— Tu jest martvy szczur, ktoś musiał upuścić drugie żniadanie, to obrzydlive… Nie za ucho, proszę, nie za ucho… Za vłosy, jeśli można…

Ręka pojawiła się znowu, trzymając głowę Ottona za włosy, wedle życzenia. Głowa zbadała wzrokiem otoczenie.

— Vszyscy cali? — upewnił się Otto. — Nieviele brakovało, co?

— Czy ty… dobrze się czujesz? — zapytał William, zdając sobie sprawę, że to zwycięski kandydat w konkursie Wyjątkowo Głupich Pytań.

— Co? Tak, chyba tak. Nie mogę narzekać. Vłaścivie załkiem nieźle. Tyle że chyba właśnie ktoś odciął mi głovę, co można uznać za pevien minus…

— To nie jest Otto — oświadczyła Sacharissa. Była roztrzęsiona.

— Oczywiście, że to on — zapewnił ją William. — Kto jeszcze mógłby to być?

— Otto był wyższy — powiedziała Sacharissa i wybuchnęła śmiechem.

Krasnoludy także zaczęły się śmiać, ponieważ w tej chwili śmiałyby się ze wszystkiego. Otto nie okazał entuzjazmu.

— Ach tak — powiedział. — Ho, ho, ho! Slavne aknkhmorporskie poczucie humoru. Jaki zabavny żarcik. Można się pośmiać. Nie zvracajcie na mnie uvagi.

Sacharissa z trudem chwytała oddech. William objął ją jak najdelikatniej, gdyż był to ten rodzaj śmiechu, od którego się umiera. Po chwili już płakała; głęboki szloch przebijał się przez chichot.

— Chcę umrzeć — chlipała.

— Powinna pani kiedyś tego spróbować — mruknął Otto. — Panie Dobrogór, mógłby mnie pan dostarczyć do mojego ciała? Na pevno gdzieś tu leży.

— Czy ty… Powinniśmy może… Trzeba przyszyć… — jąkał się Gunilla.

— Nie. Łatwo zię goimy — uspokoił go Otto. — O, tam jest. Teraz proszę mnie tam położyć. I odvrócić się, jeśli volno… To trochę, viecie… krępujące. Jak vydalanie vody…

Wciąż mrużąc oczy od powidoków ciemnego światła, krasnoludy odwróciły się posłusznie.

— Dobrze, już można patrzeć — usłyszały po chwili.

Otto, znowu w jednym kawałku, siedział na podłodze i przecierał szyję chusteczką.

— Musi być jeszcze kołek w serce — wyjaśnił. — No więc… O co tu chodziło? Kraznolud poviedział, że mam odvrócić uvagę…

— Nie wiedzieliśmy, że użyjesz ciemnego światła! — zirytował się Dobrogór.

— Przepraszam. Jedyne, co miałem pod ręką, to te lądove węgorze, a bardzo ci zię spieszyło. Czego zię spodzievałeś? Przecież jestem zreformovany!

— To przynosi pecha i tyle! — oświadczył krasnolud, którego William poznał jako Spaczą.

— Ach tak? Tak ci zię vydaje? Ale to ja muszę teraz prać svój kołnierzyk! — burknął Otto.

William próbował uspokoić Sacharissę, która wciąż drżała.

— Kim oni byli? — spytała.

— No… Nie jestem pewien, ale to jasne, że szukali psa lorda Vetinariego…

— Jestem przekonana, że ona nie była prawdziwą dziewicą!

— Siostra Jennifer rzeczywiście wyglądała dość dziwnie… — To było wszystko, co William był skłonny przyznać.

Sacharissa pociągnęła nosem.

— Nie, nie. Gorsze od niej uczyły mnie w szkole. Siostra Credenza potrafiła przegryźć się przez drzwi… Chodzi mi o język. Jestem pewna, że „one” to brzydkie słowo. Używała go jak brzydkiego słowa. A ten kapłan miał przecież nóż!

Za nimi Otto miał kłopoty.

— Używasz tego do robienia obrazków? — zdumiał się Dobrogór.

— Pevnie.

Kilka krasnoludów klepnęło się po udach, na wpół odwróciło i wykonało typową pantomimę osób, które chcą okazać, że zwyczajnie nie mogą uwierzyć, by ktoś był aż tak głupi.

— Wiesz przecież, że to niebezpieczne! — zawołał Dobrogór.

— Zvykłe przeządy — oświadczył Otto. — Jedyne, co może zię zdarzyć, to że własna zygnatura morficzna obiektu spolaryzuje rezony, czyli cząztki rzeczove, w przestrzeni fazovej, zgodnie z teorią adekvatności temporalnej, kreując efekt vielokrotnych bezkierunkovych okien przecinających iluzję teraźniejszości i tvorzących metaforyczne obrazy według dyktatu ekstrapolacji quasi–historycznej. Widzicie? Nic w tym tajemniczego!

— Ale z całą pewnością wystraszyło tych ludzi — zauważył William.

— Raczej topory ich wystraszyły — sprzeciwił się stanowczo Gunilla.

— Nie, raczej wrażenie, że ktoś zdjął ci czubek głowy i teraz wbija w mózg lodowe sople.

Dobrogór zamrugał.

— No tak, rzeczywiście. To też. — Otarł czoło. — Potrafisz dobierać słowa, chłopcze, trzeba przyznać…

Jakiś cień przesłonił drzwi wejściowe. Dobrogór sięgnął po topór.

William jęknął.

To był Vimes. Co gorsza, uśmiechał się — bez humoru, drapieżnie.

— Ach, pan de Worde — rzucił, wchodząc. — Kilka tysięcy psów biega w panice po mieście. To interesujący fakt, prawda?

Oparł się o ścianę i wyjął cygaro.

— No cóż, mówię: psy — rzekł, pocierając zapałkę o hełm Dobrogóra. — Ale powinienem raczej powiedzieć: głównie psy. Trochę kotów. Właściwie to obecnie nawet więcej kotów, ponieważ, hm… nie ma nic lepszego niż… a tak, wielka fala walczących, gryzących i wyjących psów, żeby tak jakby, jak mógłbym najlepiej to ująć, ofiarować miastu pewne… zapracowanie. Zwłaszcza pod nogami, ponieważ… nie wiem, czy o tym wspomniałem… są to również psy bardzo zdenerwowane. Aha, mówiłem coś o bydle? — ciągnął przyjaznym tonem. — Wie pan, jak to jest, dzień targowy i w ogóle, ludzie pędzą krowy i… bogowie… zza rogu wypada sfora skowyczących psów… Ach, zapomniałem jeszcze o owcach. I kurach, choć podejrzewam, że z kur niewiele już zostało…

Patrzył na Williama.

— Nie masz uczucia, chłopcze, że powinieneś mi coś powiedzieć?

— No… mieliśmy drobne kłopoty…

— Niesamowite! Naprawdę? Coś podobnego…

— Psy się wystraszyły, kiedy pan Chriek zrobił im obrazek — powiedział William.

Była to szczera prawda. Ciemne światło było przerażające, nawet jeśli ktoś wiedział, co się dzieje.

Komendant Straży Miejskiej spojrzał groźnie na Ottona, który z żałosną miną wpatrywał się w podłogę.

— Coś ci powiem. Wybierają dzisiaj nowego Patrycjusza…

— Kogo? — zapytał szybko William.

— Ja tego nie wiem…

Sacharissa wytarła nos.

— To będzie pan Scrope z Szewców i Rymarzy.

Vimes spojrzał na Williama podejrzliwie.

— Skąd o tym wiecie?

— Wszyscy wiedzą — oświadczyła Sacharissa. — Tak mi powiedział dziś rano ten młody człowiek z piekarni.

— Ach, gdzie byśmy byli bez plotek… — westchnął Vimes. — Tak więc, panie de Worde, nie jest to odpowiedni dzień, żeby… cokolwiek niewłaściwego się zdarzyło. Moi ludzie rozmawiali już z tymi, którzy przyprowadzili tu psy. Niezbyt licznymi, co muszę przyznać. Większość nie chciała rozmawiać ze strażą. Nie mam pojęcia czemu, jesteśmy doskonałymi słuchaczami. A teraz… czy chce mi pan coś powiedzieć? — Vimes rozejrzał się wokół. — Zauważyłem, że wszyscy patrzą na pana.

— „Puls” nie potrzebuje żadnej pomocy od straży — oznajmił William.

— Nie miałem na myśli pomocy.

— Nie zrobiliśmy nic złego. — Ja o tym decyduję.

— Doprawdy? To interesujący punkt widzenia.

Vimes zobaczył, że William wyjmuje z kieszeni notes.

— Aha… Rozumiem… — Sięgnął do pasa i wydobył tępo zakończony drążek z ciemnego drewna. — Wiesz, co to jest?

— Pałka. Ciężki kij.

— Zawsze ostatnia instancja, co? — mruknął Vimes. — Palisander i llamedosjańskie srebro. Piękny okaz. A na tej małej plakietce, o tutaj, jest napisane, że mam dbać o spokój. I pan, panie de Worde, nie wydaje mi się chwilowo elementem tego spokoju.

Patrzeli na siebie gniewnie.

— Co takiego niezwykłego zrobił lord Vetinari tuż przed… wypadkiem? — zapytał William tak cicho, że prawdopodobnie tylko Vimes go usłyszał.

Vimes nawet nie mrugnął. Ale po chwili odłożył pałkę na biurko. W ogólnej ciszy stuknięcie zabrzmiało nienaturalnie głośno.

— A teraz ty odłóż swój notes, chłopcze — zaproponował spokojnym tonem. — W ten sposób zostaniemy tylko ty i ja. Bez… konfliktu symboli.

Tym razem William od razu pojął, którędy wiedzie ścieżka mądrości. Położył notes na blacie.

— Dobrze — pochwalił go Vimes. — A teraz ty i ja przejdziemy do tamtego kąta, podczas gdy twoi przyjaciele zajmą się sprzątaniem. Doprawdy niezwykłe, jak wiele mebli może się połamać przy zwykłym robieniu obrazka.

Przeszedł na bok i usiadł na odwróconej wannie. Williamowi musiał wystarczyć koń na biegunach.

— No dobrze, panie de Worde, załatwimy to pańskim sposobem.

— Nie wiedziałem, że mam jakiś sposób.

— Nie zamierza mi pan powiedzieć, co pan wie. Prawda?

— Sam nie jestem pewien, co wiem — odparł William. — Ale… przypuszczam… że lord Vetinari na krótko przed przestępstwem zrobił coś niezwykłego.

Vimes wyjął z kieszeni własny notes i przerzucił kilka kartek.

— Krótko przed siódmą wszedł do pałacu przez stajnie i odesłał wartownika — powiedział.

— Nie było go przez całą noc? Vimes wzruszył ramionami.

— Jego lordowska mość przychodzi i wychodzi. Gwardziści nie pytają gdzie i po co. Rozmawiali z tobą?

William był przygotowany na to pytanie. Tyle że nie znał odpowiedzi. Ale pałacowa gwardia, o ile zdążył ją poznać, nie składała się z ludzi dobieranych ze względu na wyobraźnię czy spryt, ale raczej niezłomną lojalność. Nie wyglądali na potencjalnych Głębokich Gnatów.

— Nie wydaje mi się.

— Ach, nie wydaje się…

Zaraz, zaraz… Głęboki Gnat twierdził, że zna psa Wufflesa, a pies powinien wiedzieć, czyjego pan dziwnie się zachowuje. Psy lubią rutynę…

— Sądzę, że to dla jego lordowskiej mości niezwykłe, by o tej porze znajdować się poza pałacem — oświadczył. — Nie jest to elementem… rutyny.

— Tak samo jak dźganie nożem sekretarza i próba ucieczki z bardzo ciężkim workiem pieniędzy — odparł Vimes. — Tak, my też to zauważyliśmy. Nie jesteśmy głupi. My tylko wyglądamy na głupich. Aha… ten gwardzista mówi, że w oddechu jego lordowskiej mości wyczuł alkohol.

— Czy Vetinari pije?

— Nie tak, by było widać.

— Ma w gabinecie szafkę z trunkami.

Vimes się uśmiechnął.

— Zauważyłeś? Lubi, kiedy inni piją.

— Ale to może oznaczać, że chciał sobie dodać odwagi, by… — William urwał. — Nie, to nie Vetinari. To do niego nie pasuje.

— Nie pasuje — zgodził się Vimes. Wyprostował się. — Może powinien pan… jeszcze raz to przemyśleć, panie de Worde. Może… może znajdzie pan kogoś, kto panu pomoże w tym myśleniu.

Coś w jego postawie sugerowało, że nieoficjalna część rozmowy dobiegła końca w sposób ostateczny.

— Czy dużo pan wie o panie Scrope? — zapytał William.

— Tuttle Scrope? Syn starego Tuskina Scrope'a. Od siedmiu lat przewodniczący Gildii Szewców i Rymarzy. Człowiek rodzinny. Od dawna ma sklep przy Wixona.

— To wszystko?

— Panie de Worde, to wszystko, co straż wie na temat pana Scrope'a. Rozumie pan? Nie chciałby pan usłyszeć o pewnych ludziach, o których straż wie naprawdę dużo.

— Aha… — William zmarszczył czoło. — Ale przy Wixona nie ma żadnego sklepu z butami.

— Nie wspominałem o butach.

— Prawdę mówiąc, jedyny sklep, który jest choćby luźno… eee… powiązany ze skórą, to…

— To właśnie ten.

— Ale tam sprzedają…

— Kwalifikuje się jako wyroby skórzane. — Vimes sięgnął po pałkę.

— No, niby tak… I wyroby gumowe, i… pióra… i pejcze… i… takie małe trzęsące się rzeczy. — William się zarumienił. — Ale…

— Osobiście nigdy tam nie byłem, chociaż wydaje mi się, że kapral Nobbs dostaje od nich

katalog — rzekł Vimes. — Nie sądzę też, by istniała Gildia Producentów Małych Trzęsących się Rzeczy, choć to ciekawy pomysł. W każdym razie pan Scrope jest czysty i prowadzi legalny interes, panie de Worde. Przyjemna rodzinna atmosfera, jak słyszałem. Co sprawia, że kupowanie… tego i owego… i małych, trzęsących się rzeczy… jest równie niekłopotliwe jak nabycie pół funta humbugów. Dotarły też do mnie pogłoski, że pierwszą decyzją miłego pana Scrope'a będzie ułaskawienie lorda Vetinariego. — Jak to? Bez procesu?

— To ładnie z jego strony, prawda? — spytał Vimes przerażająco pogodnym tonem. — Dobry początek kadencji. Czysta karta, nowy początek, nie warto rozdrapywać starych ran. Biedny człowiek. Przepracowywał się. Musiał się w końcu załamać. Za rzadko wychodził na świeże powietrze. I tak dalej. No więc można będzie go wysłać do jakiegoś spokojnego miejsca i przestać się przejmować całą tą niemiłą aferą. Prawdziwa ulga, nieprawdaż?

— Ale przecież pan wie, że on nie…

— Wiem? — zdziwił się Vimes. — To jest oficjalna buława mojego urzędu, panie de Worde. Gdyby to była maczuga nabijana gwoździami, żylibyśmy w zupełnie innym mieście. Wychodzę teraz. Mówił pan, że się pan zastanawiał. Może powinien się pan pozastanawiać jeszcze trochę.

William przyglądał się, jak komendant straży odchodzi. Sacharissa opanowała się, może dlatego że nikt już nie próbował jej pocieszać.

— Co teraz robimy? — spytała.

— Nie wiem. Trzeba wydać azetę, jak sądzę. To nasza praca.

— Ale co będzie, jeśli ci ludzie tu wrócą?

— Nie wydaje mi się, żeby wrócili. To miejsce jest teraz strzeżone. Sacharissa zaczęła zbierać papiery z podłogi.

— Chyba lepiej się poczuję, jeśli się czymś zajmę…

— Brawo!

— Gdybyś dał mi parę akapitów o tym pożarze…

— Otto zrobił niezły obrazek — powiedział William. — Prawda, Otto?

— O tak. Tamten jest v porządku. Ale… — Wampir przyglądał się leżącemu na podłodze, rozbitemu ikonografowi.

— Oj… Przykro mi…

— Mam inne. — Otto westchnął. — Viecie, myślałem, że v vielkim mieście będzie łatviej. Myślałem, że będzie… cyvilizovanie. Móvili, że wielkim mieście tłuszcza nie przychodzi po

kogoś z vidłami, jak to zię dzieje w Schiischien. Przecież zię staram. Bogovie vidzą, jak zię staram. Trzy miesiące, cztery dni i siedem godzin na odvyku. Zrezygnovałem ze vszystkiego. Nawet te blade damy v aksamitnych baskinach noszonych na vierzchu, te ponętne koronkove suknie i te maleńkie, no viecie, te buciki z vysokimi obcasami… to była tortura, teraz mogę zię przyznać. — Żałośnie potrząsnął głową i spojrzał na swoją poplamioną koszulę. — Tymczazem tłuką mi sprzęt, a moja najlepsza koszula jest cała zalana… krvią… zalana czervoną, ciepłą krvią… gęstą, ciemną krvią… to krev… zalana krvią… kr via…

— Szybko! — Sacharissa przebiegła obok Williama. — Panie Dobrogór, proszę mu przytrzymać ręce! — Machnęła na krasnoludy. — Przygotowałam się do czegoś takiego. Wy dwaj, złapcie go za nogi! Spacz, w szufladzie mojego biurka leży wielka kaszanka!

— *...Chodzić będę v słońcu, nievażne, jak żyłem...* — chrypiał Otto.

— O bogowie, oczy mu świecą na czerwono! — wystraszył się William. — Co robić?

— Możemy spróbować znowu odciąć mu głowę — zaproponował Boddony.

— To był bardzo marny żart — upomniała go Sacharissa.

— Żart? A czyja się śmieję?

Otto wstał. Przeklinające krasnoludy wisiały na jego chudym ciele.

— *Choć burza huczy vkoło nas, do valki ruszmy waz...* — Jest silny jak tur! — zawołał Dobrogór.

— Zaraz… Może by pomogło, gdybyśmy się przyłączyli! — Sacharissa sięgnęła do torby i wyjęła cienką niebieską broszurę. — Zabrałam to dziś rano z misji przy alei Jatek. To ich śpiewnik! I… — Znów pociągnęła nosem. — Takie to smutne… Nazywa się „Chodzić w słońcu” i jest takie…

— Chcesz, żebyśmy tu sobie pośpiewali? — zirytował się Dobrogór, gdy wyrywający się Otto podniósł go w powietrze.

— Żeby go wesprzeć moralnie! — Sacharissa otarła oczy chusteczką. — Przecież widzicie, że stara się z tym walczyć! A w dodatku oddał za nas życie!

— Tak, ale wziął je sobie z powrotem!

William schylił się i wyjął coś ze szczątków ikonografii Ottona. Chochlik uciekł, ale namalowany obrazek był widoczny, choć raczej słabo. Może uda się zobaczyć…

Okazało się, że to niezbyt udany ikonogram człowieka, który przedstawiał się jako brat Szpila. Jego twarz była tylko białą plamą w blasku światła, którego ludzie nie widzą. Ale cienie poza

nim…

Przyjrzał się bliżej.

— O bogowie…

Cienie poza nim żyły…

* * *

Padał deszcz ze śniegiem. Brat Szpila i siostra Tulipan, ślizgając się, biegli poprzez zamarzające krople. Za nimi w półmroku rozbrzmiewały gwizdki.

— Szybciej! — wrzasnął Szpila.

— Te …one worki są ciężkie!

Teraz gwizdki odezwały się także z boku. Pan Szpila nie był przyzwyczajony do takich wybryków. Strażnicy nie powinni być entuzjastyczni ani zorganizowani. Bywał już ścigany przez strażników, kiedy realizacja planu nie całkiem się udawała. Ich zadaniem było zrezygnować na drugim rogu ulicy i dyszeć ciężko. Teraz pan Szpila naprawdę się irytował. Ci strażnicy zachowywali się nie tak, jak należy.

Wyczuł z jednej strony otwartą przestrzeń. Wypełniały ją wirujące, mokre płatki, a z dołu dochodził powolny, mlaszczący odgłos, jakby bardzo złego trawienia.

— Jesteśmy na moście! Niech pan je wrzuci do rzeki! — polecił.

— Myślałem, że chcemy znaleźć…

— Nieważne! Pozbędziemy się ich wszystkich! Od razu! I po kłopocie!

Siostra Tulipan burknęła coś w odpowiedzi i wyhamowała z poślizgiem przy balustradzie. Dwa piszczące, skowyczące worki poleciały w dół.

— Czy to brzmiało jak …ony plusk? — spytała siostra Tulipan, wytrzeszczając oczy w padającym śniegu.

— Kogo to obchodzi? A teraz biegiem!

Pan Szpila zadrżał, ruszając pędem przed siebie. Nie wiedział, co się stało w tej budzie, ale miał wrażenie, jakby przeszedł po własnym grobie.

Czuł, że ściga go teraz nie tylko straż. Przyspieszył.

W niechętnej, ale perfekcyjnej harmonii — bo nikt nie potrafi tak śpiewać jak grupa

krasnoludów, nawet jeśli pieśń to *Obym czystą wodę pił*[*] — krasnoludy zdawały się koić nerwy Ottona.

Poza tym dotarła wreszcie straszliwa i czarna kaszanka ratunkowa. Dla wampira była tym, czym tekturowy papieros dla terminalnego nałogowca nikotynowego. Ale przynajmniej miał w co wbić zęby. Kiedy William wreszcie oderwał wzrok od grozy cieni, Sacharissa ocierała Ottonowi czoło.

— Och, i znovu tak bardzo mi vstyd, nie viem, gdzie oczy podziać…

William podniósł obrazek.

— Otto, co to takiego?

W cieniach były usta rozchylone w krzyku. W cieniach były oczy szeroko otwarte. Nie poruszały się, kiedy się na nie patrzyło, ale kiedy człowiek spojrzał na obrazek po raz drugi, miał wrażenie, że nie są dokładnie w tym samym miejscu.

Otto zadrżał.

— Użyłem vszystkich węgorzy, jakie miałem — powiedział. — I…?

— Są straszne — westchnęła Sacharissa, odwracając wzrok od udręczonych cieni.

— Czuję się fatalnie — oświadczył Otto. — Najvyraźniej były za silne…

— Wytłumacz nam, Otto!

— No vice… ikonograf nie kłamie. Słyszeliście o tym?

— Oczywiście.

— Tak? Zatem… przy mocnym ciemnym świetle obrazek napravdę nie kłamie. Ciemne światło odsłania pravdę przed ciemnymi oczami umysłu… — Odczekał chwilę i westchnął. — Cóż, znovu nie ma złovieszczego gromu, co za strata. Ale przynajmniej moglibyście popatrzeć lęklivie na cienie.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę cieni w kącie, pod dachem. To były zwyczajne cienie, kryjące w sobie najwyżej kurz i pająki.

— Ale tam jest tylko kurz i… — zaczęła Sacharissa.

Otto uniósł dłoń.

— Droga pani… przecież tłumaczyłem. W zensie filozoficznym pravda może być tym, co tam jest metaforycznie…

---

[*] W innych okolicznościach byłoby to równie prawdopodobne jak krowy śpiewające *Oby mnie pokrył sos smakowity*.

William jeszcze raz przyjrzał się obrazkowi.

— Miałem nadzieję, że uda zię tak dobrać filtry i inne dodatki, żeby usunąć te, no… niepożądane efekty — mówił Otto. — Niestety…

— To się robi coraz gorsze — poskarżyła się Sacharissa. — Zabawne jarzyny mnie po tym nachodzą.

Dobrogór pokręcił głową.

— To bezbożne dzieło — stwierdził. — Masz przestać przy tym majstrować, zrozumiano?

— Nie sądziłem, że krasnoludy są religijne — zdziwił się William.

— Bo nie jesteśmy — odparł Gunilla. — Ale bezbożność potrafimy rozpoznać od razu i teraz właśnie na nią patrzę. Mówię ci, Otto, nie życzę sobie więcej tych… tych… przedruków ciemności.

William się skrzywił. Ukazuje prawdę? — pomyślał. Po czym możemy poznać prawdę, kiedy ją zobaczymy? Efebiańscy filozofowie twierdzą, że zając nie zdoła prześcignąć żółwia, i potrafią to udowodnić. Czy to jest prawda? Słyszał, jak pewien mag tłumaczył, że wszystko zbudowane jest z malutkich liczb pędzących dookoła tak szybko, że stają się materią. Czy to prawda? Myślę, że ostatnio zdarzyło się wiele rzeczy, które nie są tym, czym się wydają, i sam nie wiem, czemu tak myślę, ale myślę, że nie taka jest prawda…

— Tak. Musisz z tym skończyć, Otto — rzekł.

— Słusznie jak licho — poparł go Dobrogór.

— Wracajmy do normalności i weźmy się za azetę, co?

— Chodzi o taką normalność, w której jakiś zwariowany kapłan zaczyna porywać psy, czy taką, w której wampir dłubie przy piekielnych cieniach? — zapytał Gowdie.

— Chodzi mi o normalność przed tym wszystkim.

— Ach, rozumiem. Znaczy, jak za dawnych czasów… Wkrótce jednak w pokoju prasowym zapanowała cisza, choć od czasu do czasu znad biurka naprzeciwko dobiegało chlipnięcie. William napisał tekst o pożarze. To było łatwe. Potem spróbował wymyślić jakieś sensowne sprawozdanie z ostatnich wydarzeń, ale nie potrafił wyjść poza pierwsze słowo. Napisał „Dziś”. To słowo, na którym można polegać, niewątpliwie prawdziwe. Niestety, wszystko pozostałe, na czym mógł polegać, wyglądało raczej marnie.

Miał zamiar… jaki? Informować ludzi? Tak. Irytować ludzi? No, w każdym razie niektórych. Nie sądził jednak, że nie sprawi to żadnej różnicy. Azeta wychodziła i nie miała znaczenia.

Ludzie zwyczajnie godzili się ze wszystkim. Jaki sens ma kolejny tekst o sprawie Vetinariego? No owszem, wystąpi w nim wiele psów, a ludzie zawsze się interesują historiami o zwierzętach.

— A czego się spodziewałeś? — odezwała się Sacharissa, jakby czytała mu w myślach. — Myślałeś, że ludzie wyjdą na ulice? Z tego, co słyszałam, Vetinari nie jest szczególnie miłym człowiekiem. Więc w powszechnej opinii pewnie zasłużył na to, żeby go zamknęli.

— Chcesz powiedzieć, że nie obchodzi ich, jaka jest prawda?

— Wiesz, dla wielu ludzi prawdą jest to, że potrzebują pieniędzy, by z końcem tygodnia zapłacić czynsz. Spójrz na pana Rona i jego kolegów. Co dla nich znaczy prawda? Przecież żyją pod mostem!

Pokazała mu kartkę papieru w linie, zapełnioną od brzegu do brzegu starannym, zaokrąglonym pismem kogoś, dla kogo pióro nie było dobrze znanym narzędziem.

— To jest raport z dorocznego spotkania Ankhmorporskiego Towarzystwa Hodowców Ptaków w Klatkach — powiedziała. — To zwyczajni ludzie, którzy w ramach hobby hodują kanarki i inne takie. Przewodniczący jest naszym sąsiadem i dlatego mi to dał. To jest dla niego ważne! Ale bogowie, jakież to nudne! Wszystko o Najlepszym w Lęgu i jakichś zmianach w regulaminie wystaw; dotyczą papug, a oni kłócili się o to przez dwie godziny. Tylko że kłócili się o to ludzie, którzy spędzają swoje dni na siekaniu mięsa albo piłowaniu drewna. Po prostu wiodą swoje małe życie, kontrolowane przez innych ludzi. Rozumiesz? Nie mają nic do powiedzenia w kwestii tego, kto będzie rządził miastem, ale na pewno mogą przypilnować, żeby nie upychać kakadu razem ze zwykłymi papugami. To nie ich wina. Po prostu tak już jest. I czemu tak siedzisz z rozdziawionymi ustami?

William zamknął usta.

— Rozumiem…

— Nie, nie wydaje mi się — rzuciła gniewnie. — Sprawdziłam cię w „Herbarzu Niemózgiego”. Twoja rodzina nigdy nie musiała się martwić drobiazgami, prawda? Należeli do ludzi, którzy naprawdę mają władzę. Ta… ta azeta to dla ciebie takie hobby. Och, wierzysz w nią, jestem tego pewna, ale jeśli wszystko pójdzie w wahoonie, i tak będziesz miał pieniądze. Ja nie. Więc jeśli sposobem na utrzymanie się ma być zapełnianie jej tym, co drwiąco nazywasz starzy — nami, to właśnie będę robić.

— Nie mam pieniędzy! Sam zarabiam na życie!

— Tak, ale miałeś wybór! Zresztą arystokraci nie lubią patrzeć, jak głodują inni z wyższych sfer. Znajdują im jakieś bezsensowne zajęcia za bardzo sensowne pieniądze…

Urwała zdyszana i odgarnęła z oczu kosmyk włosów. Potem spojrzała na niego jak ktoś, kto właśnie zapalił lont i teraz się zastanawia, czy baryłka na drugim końcu nie jest przypadkiem większa, niż mu się wydawało.

William otworzył usta, zaczął formować słowo i zrezygnował. Potem spróbował jeszcze raz. I wreszcie, trochę zachrypnięty, powiedział:

— Masz mniej więcej rację…

— Następne słowo to „ale", po prostu wiem — przerwała mu Sacharissa.

William był świadom, że wszyscy drukarze im się przyglądają.

— Tak, to „ale"…

— Aha!

— Ale to wielkie „ale". Pozwolisz? Bo to ważne! Ktoś musi dbać o… o wielkie prawdy. To, czego Vetinari zwykle nie robi, to nie szkodzi. Mieliśmy władców, którzy byli całkiem obłąkani i bardzo paskudni. I to całkiem niedawno. Może i Vetinari nie jest „szczególnie miły", ale dziś rano jadłem śniadanie z kimś, kto byłby po stokroć gorszy, gdyby to on rządził miastem, a jest takich o wiele więcej. To, co się teraz dzieje, jest złe. Co do twoich nieszczęsnych wielbicieli ptaków, to jeśli nie będą się przejmować niczym więcej niż tym, co im ćwierka w klatkach, pewnego dnia zacznie tu rządzić ktoś, kto sprawi, że udławią się własnymi papużkami. Chcesz, żeby tak się stało? Bo jeżeli my się nie postaramy, oni dostaną tylko głupawe… historyjki o gadających psach i Elfach, które Pożarły Moją Świnkę Morską, więc nie rób mi tutaj wykładu o tym, co jest ważne, a co nie. Rozumiesz?

Patrzyli na siebie gniewnie.

— Nie odzywaj się do mnie w ten sposób.

— To ty się do mnie nie odzywaj w ten sposób.

— Mamy za mało ogłoszeń. „SuperFakty" drukują wielkie reklamy najważniejszych gildii — oświadczyła Sacharissa. — I z nich się utrzymują, nie z historii o tym, ile waży złoto.

— I co ja mam zrobić w tej sprawie?

— Znajdź sposób, żeby zamieszczać więcej ogłoszeń!

— Nie na tym polega moja praca! — krzyknął William.

— Na tym polega ratowanie twojej pracy! Do nas trafiają tylko drobne ogłoszenia, po pensie

za linię, od ludzi, którzy chcą sprzedać kołnierze ortopedyczne albo leki na bóle w krzyżu!

— I co z tego? Pensy się dodają!

— Czyli chcesz, żebyśmy byli znani jako Azeta, w której Możesz Sprzedać Pas Przepuklinowy?

— Ehem… Przepraszam, ale czy szykujemy to nowe wydanie? — zapytał Dobrogór. — Nie żeby nam się nie podobało, ale kolor wymaga sporo dodatkowego czasu.

William i Sacharissa zorientowali się, że stanowią centrum zainteresowania.

— Posłuchaj, ja wiem, że to dla ciebie ważne — powiedziała Sacharissa, zniżając głos. — Ale cała ta… polityka to robota straży, nie nasza. O to mi tylko chodziło.

— Oni utknęli. Vimes mi to powiedział.

Popatrzyła na jego nieruchomą twarz. A potem pochyliła się i — ku jego zaskoczeniu — poklepała go po ręce.

— Więc może jednak coś z tego wynika.

— Ha!

— No wiesz, jeśli chcą ułaskawić Vetinariego, to może dlatego, że martwią się tobą.

— Ha! A zresztą kim są ci „oni”?

— Oni… No wiesz… oni. Ludzie, którzy rządzą. Oni zauważają różne rzeczy. Prawdopodobnie czytają azetę.

William uśmiechnął się blado.

— Jutro znajdziemy kogoś, kto zdobędzie nam więcej ogłoszeń — obiecał. — I stanowczo potrzebujemy więcej ludzi. Idę się przejść — dodał. — I przyniosę ci ten klucz.

— Klucz?

— Chciałaś mieć suknię na bal?

— Aha. Tak. Dziękuję.

— I nie wydaje mi się, żeby ci dwaj wrócili — dodał William. — Mam przeczucie, że w tej chwili w całym mieście nie ma szopy, która byłaby tak dobrze pilnowana jak nasza.

Ponieważ Vimes chce się przekonać, kto nas spróbuje załatwić następny, pomyślał. Ale postanowił tego nie mówić.

— A co właściwie masz zamiar robić? — zainteresowała się Sa — charissa. 4

— Na początek pójdę do najbliższego aptekarza. Później zajrzę do siebie, po ten klucz. A potem… Chcę się zobaczyć z pewnym człowiekiem w sprawie psa.

* * *

Nowa Firma wpadła do pustej rezydencji i zaryglowała za sobą drzwi. Pan Tulipan zerwał z siebie strój oblubienicy niewinności i cisnął na podłogę.

— Mówiłem przecież, że te …one sprytne plany nigdy się nie udają! — oświadczył.

— Wampir — rzekł pan Szpila. — To chore miasto, panie Tulipanie.

— Co on nam zrobił tą …oną aparaturą? — Jakiś rodzaj portretu.

Pan Szpila przymknął na moment oczy. Bolała go głowa.

— No to ja byłem w przebraniu — stwierdził pan Tulipan.

Pan Szpila wzruszył ramionami. Nawet z blaszanym wiadrem na głowie — które zresztą po kilku minutach zaczęłaby pewnie zżerać rdza — i tak byłoby w panu Tulipanie coś rozpoznawalnego.

— Nie wydaje mi się, żeby to mogło pomóc — uznał.

— Nie cierpię …onych portretów — burknął pan Tulipan. — Pamięta pan, jak byliśmy w Mouldavii? Wszystkie te afisze, co je wszędzie wieszali? To niezdrowe, widzieć swoją …oną twarz na każdym murze, a pod spodem napisane „Żywy lub Martwy". Jakby nie mogli się zdecydować.

Pan Tulipan wyjął z kieszeni małą torebkę czegoś, co według zapewnień miało być smudge'em pierwszej klasy, a co okazało się cukrem i sproszkowanym gołębim guanem.

— W każdym razie musieliśmy dorwać tego …onego psa — stwierdził.

— Nie mamy pewności — odparł pan Szpila.

Skrzywił się znowu. Ból głowy dokuczał mu coraz bardziej.

— No ale przecież załatwiliśmy tę …oną robotę — oświadczył pan Tulipan. — Nie przypominam sobie, żeby ktoś nam mówił o …onych wilkołakach i wampirach. To już jest ich …ony problem! Uważam, że należy skasować ćwoka, zabrać forsę i wyjechać do Pseudopolis albo gdzieś.

— Znaczy: zerwać kontrakt?

— Tak, jeśli ma dodatkowe warunki wpisane takim …onym drobnym drukiem, że w ogóle ich nie widać.

— Ktoś rozpozna Charliego. Mam wrażenie, że tutaj martwi rzadko pozostają martwi.

— Myślę, że w tej …onej sprawie potrafię pomóc.

Pan Szpila przygryzł wargę. Lepiej od pana Tulipana wiedział, że ludzie w ich branży potrzebują pewnej… reputacji. Nikt niczego nie zapisywał. Ale słowo docierało do właściwych uszu. Nowa Firma robiła niekiedy interesy z bardzo poważnymi graczami, a byli to ludzie, którzy zwracali baczną uwagę na słowa…

Jednak pan Tulipan miał trochę racji. To miasto zaczynało działać panu Szpili na nerwy. Drażniło go. Wampiry i wilkołaki… Wystawianie człowieka na coś takiego to nie jest gra według zasad. To pozwalanie sobie na zbyt wiele. Tak…

…istnieje więcej sposobów na podtrzymanie reputacji.

— Myślę, że powinniśmy wyjaśnić kilka spraw naszemu przyjacielowi prawnikowi — powiedział wolno.

— Dobra! — ucieszył się pan Tulipan. — A potem urwę mu łeb!

— To nie zabije zombi.

— I dobrze, bo wtedy będzie widział, gdzie mu go wepchnę.

— A potem… Potem złożymy kolejną wizytę w tej azecie. Po ciemku.

Żeby odzyskać obrazek, myślał. To dobry powód. Powód, który można wyjawić światu. Ale był też inny. Ten… rozbłysk ciemności przeraził pana Szpilę do głębi jego uwiędłej duszy. Wiele wspomnień powróciło nagle, wszystkie jednocześnie.

Pan Szpila zyskał sobie wielu wrogów, jednak do teraz nigdy się tym nie przejmował, ponieważ wszyscy jego wrogowie byli martwi. Ale ciemne światło rozbudziło niektóre fragmenty umysłu i dzisiaj zdawało mu się, że ci wrogowie nie zniknęli ze świata, ale po prostu odeszli bardzo, bardzo daleko. I stamtąd mu się przyglądają. A jest to bardzo, bardzo daleko tylko z jego punktu widzenia, ponieważ z ich punktu widzenia wystarczy sięgnąć ręką, by go dotknąć.

I nie powiedziałby tego nawet panu Tulipanowi, ale wiedział, że będą im potrzebne wszystkie pieniądze z tego zlecenia. Albowiem w rozbłysku ciemności zobaczył, że czas już wycofać się z interesu.

Teologia nie należała do dziedzin, w których pan Szpila posiadał głęboką wiedzę, mimo że towarzyszył panu Tulipanowi do kilku pięknych świątyń i kaplic — przy jednej okazji by usunąć najwyższego kapłana, który próbował wyrolować Franka „Łebka” Nabbsa. Jednak ta odrobina, jaką sobie przyswoił, sugerowała mu, że może to być odpowiednia chwila, by zainteresować się

religią. Mógłby im posłać jakieś pieniądze, na przykład, a przynajmniej zwrócić niektóre przedmioty, które zabrał. Do demona, może mógłby zacząć od tego, by nie jeść mięsa we wtorki czy co tam człowiek powinien robić. Może powstrzyma tym uczucie, że ktoś odkręcił mu tył głowy.

Wiedział jednak, że to musi nastąpić później. W tej chwili kodeks pozwalał im na jedno z dwóch rozwiązań: wypełniać instrukcje Slanta co do litery, dzięki czemu zachowają reputację ludzi skutecznych. Albo załatwić Slanta — może też kilku przypadkowych przechodniów — i wynieść się, ewentualnie podpalając przed wyjazdem to czy owo. Te wieści także się rozprzestrzenia. Ludzie zrozumieją, że Nowa Firma była zirytowana.

— Ale najpierw… — Pan Szpila urwał nagle, po czym zapytał zduszonym głosem: — Czy ktoś za mną stoi?

— Nie — zapewnił pan Tulipan.

— Zdawało mi się, że słyszę… kroki.

— Nikogo tu nie ma oprócz nas.

— No tak. Racja.

Pan Szpila wyprostował się, poprawił marynarkę, po czym zmierzył pana Tulipana krytycznym wzrokiem.

— Może się pan trochę oczyści, co? Rany, normalnie sypie się z pana ten proszek.

— Dam sobie radę — odparł pan Tulipan. — On sprawia, że jestem czujny. Sprawia, że jestem ostry.

Szpila westchnął. Pan Tulipan żywił niezwykłą wiarę w zawartość następnej torebki, wszystko jedno czym była. A była zwykle mieszanką proszku na pchły z łupieżem.

— Siła na Slanta nie podziała — powiedział.

Pan Tulipan rozprostował palce.

— Na każdego działa.

— Nie. Taki typ jak on zawsze ma do pomocy paru mięśniaków. — Pan Szpila klepnął się po kieszeni. — Pora już, żeby pan Slant poznał mojego małego przyjaciela.

* * *

Na zaskorupiałą powierzchnię Ankh upadła deska. Ostrożnie przemieszczając ciężar ciała,

Arnold Boczny wsunął się na nią, trzymając w zębach sznurek. Zagłębiła się nieco, ale nadal — z braku lepszego określenia — pływała.

Kilka stóp dalej zagłębienie, pozostawione przez pierwszy lądujący w rzece worek, wypełniało się już — z braku lepszego określenia — wodą,

Arnold dotarł do końca deski, zatrzymał się i zdołał zarzucić pętlę na drugi worek. Coś się w nim poruszało.

— Złapał! — krzyknął Kaczkoman, który obserwował akcję spod mostu. — Wszyscy ciągnąć!

Worek wynurzył się z błota z cichym mlaśnięciem. Arnold wciągnął się na niego, kiedy przesuwał się obok.

— Brawo, dobra robota, Arnoldzie — mówił Kaczkoman, pomagając mu przesiąść się z mokrego worka z powrotem na wózek.

— Naprawdę nie byłem pewien, czy powierzchnia cię utrzyma przy tym poziomie przypływu.

— Miałem szczęście, nie, że ten wóz przejechał mi po nogach tyle lat temu! — stwierdził Arnold Boczny. — Bobym się utopił!

Kaszlak Henry rozciął worek nożem i wysypał na ziemię drugą porcję kaszlących i prychających terierów.

— Jeden czy dwa z tych maluchów wyglądają na załatwione

— oznajmił. — Zrobię im respiryturację usta — usta, co?

— W żadnym wypadku, Henry — powstrzymał go Kaczkoman.

— Nie masz pojęcia, co to higiena?

— Jakiego Giena?

— Nie możesz całować psów — wyjaśni! Kaczkoman. — Mogłyby się zarazić czymś okropnym.

Ekipa przyjrzała się stłoczonym przy ognisku zwierzakom. Kwestią, w jaki sposób znalazły się w rzece, nie zawracali sobie głów. Różne rzeczy wpadały do rzeki. Cały czas zdarzało się coś takiego. Ekipa bardzo się interesowała wszystkim, co pływa, ale rzadko kiedy udawało się jej wydobyć tyle przedmiotów naraz.

— Może spadł deszcz psów? — zastanowił się Ogólnie Andrews, kierowany obecnie przez osobowość zwaną Kędzierzawym. Ekipa lubiła Kędzierzawego. Nie sprawiał żadnych kłopotów. — Słyszałem parę dni temu, że ostatnio się zdarzają.

— Wiecie co? — odezwał się Arnold Boczny. — Teraz powinniśmy, nie, zebrać trochę towaru, znaczy… drzewa i towaru, i zbudować łódź. Wyciągalibyśmy o wiele więcej towaru, nie, jakbyśmy mieli taką łódź.

— O tak — zgodził się Kaczkoman. — Kiedy byłem chłopcem, lubiłem dłubać przy łodziach.

— Moglibyśmy wydłubać łódź — powiedział Arnold. — To na jedno wychodzi.

— Niezupełnie — westchnął Kaczkoman.

Przyjrzał się kręgowi parujących i prychających psów.

— Szkoda, że nie ma Gaspode'a — rzekł. — On wie, jak myśleć o takich sprawach.

* * *

— Buteleczka — powtórzył ostrożnie aptekarz.

— Zapieczętowana woskiem — dodał William.

— I chce pan po uncji każdego…

— Olejek anyżowy, olejek rapunkulowy i olejek skallatynowy.

— Mogę sprzedać pierwsze dwa — oświadczył aptekarz, zerkając na krótką listę. — Ale w tym mieście nie ma pełnej uncji olejku skallatynowego. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Kosztuje piętnaście dolarów za ilość, jaka się zmieści na główce szpilki. Mamy mniej więcej tyle, żeby napełnić małą łyżeczkę, taką do musztardy. I musimy go trzymać w zalutowanym ołowianym pudle, pod wodą.

— W takim razie wezmę tę główkę od szpilki.

— Nigdy nie zmyje go pan z rąk, wie pan. To naprawdę nie jest substancja dla przeciętnego…

— W butelce — przypomniał cierpliwie William. — Zapieczętowanej woskiem.

— Nawet pan nie wyczuje pozostałych olejków! A do czego są panu potrzebne?

— Jako ubezpieczenie. Aha, kiedy pan już zapieczętuje buteleczkę, proszę ją umyć eterem, a potem spłukać eter.

— Czy będzie użyta w jakichś nielegalnych celach? — zapytał aptekarz. Zauważył minę Williama. — Tak tylko pytam, z ciekawości — dodał pospiesznie.

Wyszedł, by przygotować zamówienie, a William odwiedził kilka innych sklepów i nabył grube rękawice. Kiedy wrócił, aptekarz właśnie stanął z olejkami za ladą. Trzymał małą szklaną buteleczkę napełnioną płynem. Wewnątrz pływała o wiele mniejsza fiolka.

— Ta zewnętrzna ciecz to woda — powiedział, wyciągając zatyczki z nosa. — Tylko proszę z tym uważać. Jeśli pan upuści, możemy się pożegnać z zatokami.

— A czym to pachnie? — zainteresował się William.

— No cóż, jeśli powiem: kapustą, nie opiszę tego nawet w połowie.

Następnie William udał się do swojego mieszkania. Pani Arcanum nie lubiła, gdy lokatorzy wracali do swoich pokojów za dnia, ale w tej chwili William znalazł się chyba poza jej układem odniesienia. Skinęła mu tylko głową, kiedy wchodził na piętro.

Klucze były w starym kufrze za łóżkiem. Ten sam kufer miał w Hugglestones; nadal trzymał go przy sobie, żeby od czasu do czasu móc kopnąć.

Była tam też książeczka czekowa. Ją również zabrał.

Brzęknął miecz, zahaczony ręką Williama.

William lubił szermierkę w Hugglestones. Zajęcia odbywały się pod dachem, wolno było nosić odzież ochronną, a na dodatek nikt nie próbował wdeptać mu twarzy w błoto. Został nawet mistrzem szkoły. Ale nie dlatego że był taki dobry — po prostu pozostali chłopcy walczyli fatalnie. Zachowywali się w tym sporcie jak we wszystkich innych — próbowali entuzjastycznego szturmu z głośnym wrzaskiem i używali miecza, jakby to była maczuga. Co oznaczało, że jeśli William zdołał uniknąć pierwszego szaleńczego cięcia — wygrywał.

Zostawił miecz w kufrze.

Po chwili namysłu wyjął jeszcze starą skarpetę i włożył do niej buteleczkę od aptekarza. Ranienie ludzi odłamkami szkła także nie należało do jego planu.

Mięta… niezły wybór, ale najwyraźniej nie wiedzieli, co jeszcze jest dostępne.

Pani Arcanum była wielką entuzjastką koronkowych firanek, przez które mogła wyglądać oknem, a ludzie z zewnątrz jej nie widzieli. William ukrył się za nimi, póki nie nabrał pewności, że niewyraźny kształt na dachu po drugiej stronie ulicy to gargulec.

Ta okolica nie była naturalnym terytorium gargulców — tak samo jak Błyskotna.

Najważniejszą cechą gargulców, myślał, ruszając schodami w dół, jest to, że się nie nudzą. Mogą całymi dniami siedzieć i patrzeć na cokolwiek. Choć jednak poruszały się szybciej, niż ludzie by podejrzewali, to jednak nie poruszały się szybciej niż ludzie.

Przebiegł przez kuchnię tak prędko, że usłyszał tylko, jak zdumiona pani Arcanum nabiera tchu, a potem był już za kuchennymi drzwiami. Przeszedł przez mur do wąskiego zaułka.

Ktoś tu zamiatał. Przez chwilę William podejrzewał, że to strażnik w przebraniu, a może

nawet siostra Jennifer w przebraniu, ale prawdopodobnie nikt nie przebrałby się za gnoiła. Na początek musiałby umocować sobie na plecach pryzmę kompostu. Gnolle zjadały praktycznie wszystko. A czego nie zjadały, kolekcjonowały uparcie. Nikt nie starał się odkryć, w jakim celu. Może starannie posortowany zbiór gnijących kapuścianych głąbów był oznaką wysokiej pozycji w gnollowej społeczności.

— „en'rbry, p'ne Wrd — wykrakał stwór, opierając się na miotle.

— Witam.

— Sn'g'k.

— Tak? Aha. No to żegnam.

William skręcił szybko w kolejny zaułek, przeszedł przez ulicę i znalazł jeszcze następny. Nie był pewien, ile gargulców go obserwuje, ale pokonanie ulicy musiało im zająć trochę czasu…

Skąd właściwie ten gnoll znał jego nazwisko? Przecież nie spotkali się na żadnym przyjęciu… Poza tym wszystkie gnolle pracowały dla… Harry'ego Króla…

No tak, mówią przecież, że Król Złotej Rzeki nigdy nie zapomina o dłużnikach…

William przygarbił się i zaczął krążyć po okolicy, starając się jak najczęściej wykorzystywać zaułki, przejścia i hałaśliwe podwórza. Był pewien, że żaden normalny człowiek nie utrzyma się na jego tropie. Ale bardzo by się zdziwił, gdyby śledził go normalny człowiek. Pan Vimes mówił o sobie, że jest zwykłym gliną, podobnie jak Harry Król myślał o sobie jako o człowieku szorstkim, lecz mającym złote serce. William podejrzewał, że świat zarzucony jest szczątkami ludzi, którzy uwierzyli im na słowo.

Zwolnił i wspiął się na jakieś schody umocowane po zewnętrznej stronie ściany budynku. I czekał.

Głupi jesteś, tłumaczył mu wewnętrzny redaktor. Jacyś ludzie próbowali cię zabić. Ukrywasz przed strażą różne informacje. Zadajesz się z podejrzanymi osobnikami. Zamierzasz zrobić coś, co tak rozzłości Vimesa, że dym pójdzie mu uszami. I po co?

Ponieważ od tego krew szybciej płynie w żyłach, pomyślał. I ponieważ nie pozwolę się wykorzystywać. Nikomu.

Od wylotu zaułka dobiegł cichy szmer, którego nie usłyszałby pewnie nikt, kto się go nie spodziewał. Był to odgłos czegoś, co obwąchuje teren.

William wytężył wzrok. W półmroku dostrzegł, jak czworonóg rusza truchtem, wciąż trzymając nos przy ziemi.

Starannie ocenił dystans. Zadeklarować niezależność to jedna sprawa, ale fizycznie zaatakować funkcjonariusza straży to druga, zupełnie inna…

Rzucił kruchą buteleczkę tak, by trafiła w ziemię jakieś dwadzieścia stóp przed wilkołakiem. Potem zeskoczył ze schodów na mur, a stamtąd na dach wygódki — w chwili gdy z cichym „pof!" roztrzaskało się szkło w skarpecie.

Usłyszał skowyt, a potem drapanie pazurów.

Przedostał się z dachu na kolejny mur, ostrożnie przeszedł po szczycie i zsunął się do innego zaułka. A potem ruszył biegiem.

Po pięciu minutach wykorzystywania wszelkich możliwych osłon i przebiegania przez budynki dotarł do stajni Hobsona. W ogólnej krzątaninie nikt nie zwrócił na niego uwagi — był po prostu kolejnym klientem, który przyszedł po konia.

W boksie, który mógł, ale nie musiał skrywać Głębokiego Gnata, stał teraz koń. I patrzył na Williama z góry.

— Nie odwracaj się pan, panie codziennikarzu — odezwał się głos za plecami Williama.

William usiłował sobie przypomnieć, co miał za plecami. A tak… Podajnik siana. I wielkie wory słomy. Mnóstwo miejsca, żeby się ukryć.

— Dobrze — powiedział.

— Już wszędzie dociera, że jest psia afera — oświadczył Głęboki Gnat. — Musisz pan być psychiczny.

— Ale jestem na właściwym tropie. Mamy chyba…

— Zaraz, na pewno nikt za panem nie szedł?

— Kapral Nobbs mnie śledził — odparł William. — Ale go zgubiłem.

— Ha… Wystarczy skręcić za róg, żefy zgufić Noffy'ego Noffsa!

— Nie, trzymał się za mną. Wiedziałem, że Vimes każe mnie pilnować — oświadczył William z dumą.

— Noffsowi?

— Tak. Oczywiście… w jego wilkołaczej postaci…

No właśnie. Powiedział to. Ale dzisiaj był dzień odkrywania cieni i sekretów.

— W wilkołaczej postaci — powtórzył chłodno Głęboki Gnat.

— Owszem. I byłbym wdzięczny, gdyby pan tego nikomu nie powtarzał.

— Kapral Noffs — ciągnął Głęboki Gnat tym samym tonem.

— Tak. Proszę posłuchać, Vimes prosił, żeby…

— Vimes ci powiedział, że Noffy Noffs jest wilkołakiem?

— No… nie tak dokładnie. Sam to odkryłem, a Vimes prosił, żeby nikomu nie mówić…

— Że kapral Noffs jest wilkołakiem? — Tak.

— No więc kapral Noffs nie jest wilkołakiem. W żaden sposóf, w żadnym kształcie i żadnej postaci. Czy jest człowiekiem, to inny proflem, ale na pewno nie jest lykra… lynko… lykantro… tym piekielnym wilkołakiem, to pewne.

— To przed czyim nosem rozbiłem przed chwilą bombę zapachową, co? — zapytał tryumfalnie William.

Zapadła cisza. A po chwili zabrzmiał w niej dźwięk cieknącej strużki wody.

— Panie Gnacie…

— Jaki rodzaj fomfy zapachowej? — Głos wydawał się dość napięty.

— Myślę, że najbardziej aktywnym składnikiem był chyba olejek skallatynowy.

— Przed nosem wilkołaka?

— W przybliżeniu tak.

— Pan Vimes dostanie szału — stwierdził Głęboki Gnat. — Jakfy go trafiła kupa fifliotekarza. Wymyśli całkiem nowe metody fycia wściekłym tylko po to, żefy je na panu wyprófować…

— W takim razie lepiej, jeśli jak najszybciej dostanę tego psa Vetinariego. — William wyjął książeczkę czekową. — Mogę wypisać czek na pięćdziesiąt dolarów. Na więcej mnie nie stać.

— A co to za jeden?

— To taki jakby prawny weksel.

— No świetnie — mruknął Głęboki Gnat. — Nie na wiele się przyda, kiedy człowieka zamkną.

— W tej chwili, panie Gnacie, dwóch bardzo niemiłych ludzi goni za wszystkimi terierami w mieście, sądząc z…

— Terierami? — przerwał mu Głęboki Gnat. — Wszystkimi terierami?

— Tak, i chociaż nie sądzę, żeby…

— Znaczy… rodowodowymi terierami czy ludźmi, którzy akurat wyglądają trochę terierowato?

— Nie wyglądało, żeby chcieli sprawdzać dokumenty. A właściwie co pan ma na myśli, mówiąc o ludziach, którzy wyglądają jak teriery?

Głęboki Gnat znów umilkł.

— Pięćdziesiąt dolarów, panie Gnacie — rzekł William. Po dłuższej chwili worki słomy odpowiedziały:

— No dofrze. Dziś wieczorem. Na Fezprawnym Moście. Tylko pan. Eee… Nie fędzie mnie tam, ale fędzie czekał… posłaniec.

— Dla kogo mam wypisać czek?

Nie było odpowiedzi. Odczekał chwilę, po czym wychylił się, by zajrzeć za worki. Coś w nich zaszeleściło. Pewnie szczury, bo żaden z worków nie był tak duży, by pomieścić człowieka.

Głęboki Gnat był bardzo trudnym klientem.

* * *

Kiedy William już odszedł, zerkając dyskretnie w cienie, pojawił się któryś ze stajennych z wózkiem i zaczął ładować worki.

— Postaw mnie pan — odezwał się jeden z nich. Stajenny upuścił worek, a po chwili otworzył go ostrożnie. Mały, podobny do teriera pies wygramolił się na zewnątrz i strząsnął z siebie źdźbła słomy.

Pan Hobson nie wymagał od pracowników niezależnego myślenia i badawczych umysłów, i nie dostawał ich za pięćdziesiąt pensów dziennie plus tyle obroku, ile da się ukraść. Stajenny patrzył na psa, wytrzeszczając oczy.

— Tyżeś to powiedział? — zapytał.

— Pewnie że nie — odparł pies. — Psy nie mówią. Głupi jesteś czy jak? Ktoś rofi ci jakieś sztuczki. Gutla giwa, gutla giwa, gardzo grosze.

— Znaczy, ktoś przenosi swój głos? Widziałem człowieka, który to robił w teatrze.

— I trafiłeś. Tego się trzymaj.

Stajenny rozejrzał się.

— Ty robisz te sztuczki, Tom?

— Zgadza się, to ja, Tom — potwierdził pies. — Nauczyłem się tego z książki: przenosić swój głos na tego nieszkodliwego pieska, który wcale nie umie mówić.

— Co? Żeś nic nie mówił, że uczysz się czytać!

— Fyły ofrazki — wyjaśnił szybko pies. — Języki, zęfy i cała reszta. Strasznie łatwe. O, a

teraz piesek sofie idzie…

Pies podszedł do wrót.

— Też mi coś… — zdawał się mówić. — Dwa przeciwstawne kciuki i już uważają się za koronę tego przeklętego stworzenia…

A potem rzucił się do ucieczki.

* * *

— Jak to działa? — zapytała Sacharissa, starając się robić inteligentną minę. O wiele łatwiej było koncentrować się na czymś takim, niż myśleć o tamtych dziwnych ludziach, pewnie szykujących kolejny napad.

— Powoli — mruknął Dobrogór, majstrując przy prasie. — Zdajecie sobie sprawę, że będziemy potrzebowali o wiele więcej czasu na wydrukowanie każdego egzemplarza?

— Chcieliście koloru, więc dałem vam kolor — oświadczył ponuro Otto. — Nikt nie mówił, że ma być szybko.

Sacharissa zerknęła na eksperymentalny ikonograf. Ostatnio większość obrazków była malowana w kolorze. Tylko całkiem tanie chochliki malowały w czerni i bieli, choć Otto upierał się, że „monochrom sam w zobie jest formą sztuki". Ale drukowanie w kolorze…

Na krawędzi aparatu siedziały cztery chochliki, podawały sobie bardzo małego papierosa i z zaciekawieniem obserwowały prasę. Trzy z nich nosiły gogle z kolorowego szkła — czerwone, niebieskie i żółte.

— Ale nie zielone… — powiedziała Sacharissa. — Czyli jeśli coś jest zielone… dobrze to rozumiem? Guthrie widzi… widzi niebieskość w zielonym i maluje to na płycie na niebiesko… — Jeden z chochlików pomachał jej ręką. — A Anton widzi żółtość i ją maluje, i kiedy przepuszczamy to przez prasę…

— …bardzo, bardzo powoli — mruczał Dobrogór. — Szybciej by było, gdyby pochodzić po domach i osobiście opowiadać ludziom nowiny.

Sacharissa przyjrzała się arkuszom próbnym wykonanym z obrazków niedawnego pożaru. Wyraźnie był na nich ogień z czerwonymi, żółtymi i pomarańczowymi płomieniami, widać było kawałek… tak, niebieskiego nieba, a golemy miały dobrą, czerwonobrązową barwę, jednak kolory ciała… Cóż, kolor ciała był określeniem dość niejednoznacznym w Ankh–Morpork, gdzie

wybrany obiekt mógł mieć praktycznie dowolną barwę, może z wyjątkiem jasnoniebieskiej… Jednak oblicza przypadkowych gapiów sugerowały, że przez miasto przeszła jakaś wyjątkową zjadliwa zaraza. Może Wielokolorowa Śmierć, pomyślała Sacharissa.

— To dopiero początek — zapewnił Otto. — Popravimy zię. Będzie lepiej.

— Lepiej może i tak, ale nie szybciej — oświadczył Dobrogór. — Wyrobimy ze dwieście sztuk na godzinę. Może i dwieście pięćdziesiąt, ale przed wieczorem ktoś tu będzie szukał własnych palców. Przykro mi, lecz pracujemy w maksymalnym tempie. Gdybyśmy mieli jeden dzień, żeby przekonstruować i porządnie przebudować…

— W takim razie zrób parę setek, a resztę drukuj w czarno — białym.

— Sacharissa westchnęła. — Przynajmniej zwrócimy na siebie uwagę.

— Kiedy to zobaczą „SuperFakty", domyśla zię, jak to jest vykonane — uprzedził Otto.

— Wtedy przynajmniej pójdziemy na dno w pełnej gali flagowej, z kolorami — stwierdziła Sacharissa.

Potrząsnęła głową, gdy trochę kurzu spłynęło na nią z sufitu.

— Słuchajcie tylko — odezwał się Boddony. — Czujecie, jak dygocze podłoga? To znowu te ich wielkie prasy.

— Podkopują nas ze wszystkich stron — poskarżyła się Sacharissa. — A tak ciężko pracowaliśmy. To niesprawiedliwe.

— Dziwię się, że podłoga wytrzymuje — mruknął Dobrogór.

— W końcu nic tu nie stoi na stałym gruncie.

— Podkopują nas, tak? — powtórzył Boddony.

Jeden czy dwa krasnoludy uniosły głowy, kiedy to powiedział. Boddony rzucił coś po krasnoludziemu. Dobrogór warknął coś w odpowiedzi. Włączyło się jeszcze paru krasnoludów.

— Przepraszam bardzo — odezwała się kwaśno Sacharissa.

— Chłopcy się… zastanawiali, czyby tam nie iść i się nie rozejrzeć — wyjaśnił Dobrogór.

— Próbowałam niedawno. Ale troll przy drzwiach był wyjątkowo nieuprzejmy.

— Krasnoludy inaczej to… do tego podchodzą.

Sacharissa dostrzegła poruszenie. Boddony wyjął spod blatu topór. Był to tradycyjny sprzęt krasnoludów — z jednej strony miał kilof służący do wydobywania cennych minerałów, z drugiej topór bojowy, gdyż właściciele ziemi z cennymi minerałami w środku bywają czasem nierozsądni.

— Nie chcecie chyba nikogo napadać? — spytała zaszokowana.

— Ktoś tu mówił, że jeśli chce się mieć dobrą historię, trzeba kopać, kopać i kopać — odparł Boddony. — Idziemy na spacer.

— W piwnicy? — zdziwiła się Sacharissa, kiedy krasnoludy podeszły do drabiny.

— Tak. Spacer w ciemności. Dobrogór westchnął ciężko.

— Cała reszta bierze się do pracy przy azecie, co?

Po minucie czy dwóch pod nimi rozległo się kilka uderzeń kilofa, a potem ktoś bardzo głośno zaklął po krasnoludziemu.

Sacharissa nie mogła się dłużej powstrzymać.

— Pójdę sprawdzić, co one tam robią.

Kiedy dotarła na miejsce, cegły — jeszcze niedawno blokujące otwór drzwiowy — były już wyjęte. Ponieważ kamienie Ankh–Morpork wiele razy trafiały do drugiego obiegu, nikt nie widział sensu w używaniu porządnej zaprawy, zwłaszcza w celu zamurowania starych drzwi. Uznawano, że zupełnie wystarczą piasek, ziemia, woda i flegma. Przecież zawsze wystarczały, aż do teraz.

Krasnoludy zaglądały w leżącą za drzwiami ciemność. Każdy z nich umocował sobie na hełmie świecę.

— Twój mężczyzna mówił chyba, że ludzie zasypywali stare ulice — powiedział Boddony.

— On nie jest moim mężczyzną — odparła spokojnie Sacharissa. — A co tam jest?

Jeden z krasnoludów z latarnią wyszedł za próg.

— Bardziej przypomina… tunele — stwierdził.

— To dawne chodniki — wyjaśniła Sacharissa. — Myślę, że tak to wygląda w całej okolicy. Po wielkich powodziach obudowali drogi drewnem i zasypali je, ale zostawili chodniki po obu stronach, ponieważ jeszcze nie wszystkie budynki miały wyższe poziomy i ludzie protestowali.

— Co? — zdumiał się Boddony. — To znaczy, że drogi były wyżej niż chodniki?

— O tak. — Sacharissa podążyła za nim przez otwór.

— A co się działo, kiedy koń nasi… wydalił wodę na ulicy?

— Absolutnie nie mam pojęcia. — Sacharissa prychnęła z godnością.

— A jak ludzie przechodzili na drugą stronę?

— Po drabinach.

— Bez przesady, panienko. +

— Nie, naprawdę używali drabin. I kilku tuneli. To nie miało trwać długo. A potem łatwiej było ułożyć solidne płyty nad starym chodnikiem. I w efekcie zostały te… zapomniane miejsca.

— Tu są szczury! — zawołał Spacz, który zawędrował dalej.

— Niech mnie! — rzekł Boddony. — Ktoś zabrał sztućce? Żartowałem, panienko. Zaraz, a co my tu mamy? — Uderzył w jakieś deski, które rozpadły się pod ciosami. — Ktoś nie chciał używać drabiny — uznał, zaglądając do następnego otworu.

— Prowadzi na drugą stronę ulicy? — upewniła się Sacharissa.

— Na to wygląda. Musiał mieć alergię na konie.

— A ty… no… potrafisz znaleźć drogę?

— Jestem krasnoludem. Jesteśmy pod ziemią. Krasnolud. Pod ziemią. O co panienka pytała?

— Nie chcecie chyba przebić się przez piwnice aż do „SuperFaktów", prawda?

— Kto? My?

— Chcecie, tak?

— Nie zrobilibyśmy niczego podobnego.

— Tak, ale chcecie zrobić.

— To by było równoznaczne z włamaniem, prawda?

— Tak, i to właśnie planujecie, zgadza się?

Boddony uśmiechnął się lekko.

— No… może troszeczkę. Tyle, żeby się rozejrzeć. Panienka rozumie.

— Dobrze.

— Jak to? Panience to nie przeszkadza?

— Nie chcecie chyba nikogo zabić, co?

— Panienko, naprawdę nie robimy takich rzeczy. Sacharissa wyglądała na nieco rozczarowaną. Przez bardzo długi czas była przyzwoitą młodą kobietą. U pewnych ludzi oznacza to, że wiele spiętrzonej niegodziwości tylko czeka, by wybuchnąć.

— No to… może chociaż zrobicie tak, żeby im było trochę przykro?

— Tak, to chyba da się załatwić.

Krasnoludy ruszyły tunelem po drugiej stronie zasypanej ulicy. W świetle ich świec Sacharissa widziała stare frontony, zamurowane drzwi i okna wypełnione gruzem.

— To powinno być mniej więcej tutaj — uznał Boddony, wskazując słabo widoczny prostokąt, również przesłonięty tanimi cegłami.

— Chcecie się tam tak po prostu wedrzeć? — spytała Sacharissa.

— Powiemy, że się zgubiliśmy — odparł Boddony.

— Zagubiliście się pod ziemią? Krasnoludy?

— No dobrze, powiemy, że jesteśmy pijani. W to na pewno uwierzą. Hej, chłopcy…

Zmurszałe cegły wypadły. Światło zalało tunel. W piwnicy wewnątrz jakiś człowiek uniósł głowę znad biurka, rozdziawiając usta. Sacharissa zmrużyła oczy wśród tumanów pyłu.

— To pan?

— Ach, witam, panienko — powiedział Gardło Sobie Podrzynam Dibbler. — Cześć, chłopaki. Naprawdę się cieszę, że was widzę…

* * *

Ekipa odchodziła właśnie, kiedy pędem nadbiegł Gaspode. Spojrzał na inne psy, kulące się wokół ognia, zanurkował pod długi płaszcz Paskudnego Starego Rona i zaskomlał.

Długo trwało, zanim ekipa zrozumiała, co się dzieje. Byli przecież ludźmi, którzy potrafili kłócić się, kaszleć i twórczo nie rozumieć przez pełną trzygodzinną dyskusję o tym, jak ktoś powiedział „Dzień dobry".

Dopiero Kaczkoman w pełni odebrał przekaz.

— Ci ludzie polują na teriery?

— Właśnie! To ta przeklęta azeta! Nie można ufać przeklętym ludziom, którzy piszą do azet!

— Wrzucili pieski do rzeki?

— Właśnie! — potwierdził Gaspode. — I wszystko poszło w zgniłe wahoonie.

— No więc ciebie też możemy ukrywać.

— Tak, ale ja muszę krążyć. Muszę fywać. Jestem ważną figurą w tym mieście! Nie mogę się przyczaić! Potrzefne mi przefranie! Słuchajcie, mamy szansę na pięćdziesiąt doków, jasne? Ale jestem wam potrzefny, żefy je zdofyć!

Na ekipie zrobiło to wrażenie. W ich gospodarce bezgotówkowej pięćdziesiąt dolarów oznaczało fortunę.

— Slag — stwierdził Paskudny Stary Ron.

— Pies to pies, nie? — zauważył Arnold Boczny. — Dlatego nazywa się „pies".

— Ghaark! — wychrypiał Kaszlak Henry.

— To prawda — zgodził się Kaczkoman. — Sztuczna broda w tym wypadku nie poskutkuje.

— No to niech te wasze wielkie mózgi lepiej coś wymyślą, bo póki nie, to ja się nie pokazuję — oznajmił Gaspode. — Widziałem tych ludzi. I nie są mili.

Coś zaburczało od strony Ogólnie Andrewsa. Twarz mu drgała, kiedy przetasowywały się różne osobowości. Po chwili ułożyła się w gładkie wypukłości lady Hermiony.

— Możemy go jakoś przebrać — powiedziała lady Hermiona.

— Za kogo można przebrać psa? — zdziwił się Kaczkoman. — Za kota?

— Pies to przecież nie tylko pies. Mam pomysł…

* * *

Kiedy wrócił William, krasnoludy stały zbite w grupkę. Epicentrum tej grupki, jej jądrem koncentracji okazał się pan Dibbler, który wyglądał tak, jak wyglądałby każdy, kto stał się ofiarą oracji. William nie widział jeszcze człowieka, do którego to określenie lepiej by pasowało. Oznaczało kogoś, do kogo Sacharissa mówiła dłużej niż dwadzieścia minut.

— Jakieś problemy? — zapytał. — Witam, panie Dibbler…

— Powiedz, Williamie — odezwała się Sacharissa, okrążając krzesło Dibblera. — Gdyby historie były jedzeniem, to jaką potrawą byłoby „Złota rybka pożera kota”?

— Co? — William wytrzeszczył oczy na Dibblera. Powoli zaczynał rozumieć. — Myślę, że byłoby to coś długiego i cienkiego.

— Napełnionego śmieciem podejrzanego pochodzenia?

— Chwileczkę, naprawdę nie ma potrzeby, żeby mówić takim tonem… — zaczął Dibbler, ale umilkł pod groźnym spojrzeniem Sacharissy.

— Tak, ale śmieciem, które jest w pewnym sensie atrakcyjne. Człowiek jadłby je dalej, chociaż już by żałował, że to robi. Ale co się tu dzieje?

— Słuchajcie, naprawdę nie chciałem — zapewnił Dibbler.

— Czego? — zdziwił się William.

— To pan Dibbler pisał teksty dla „SuperFaktów” — oświadczyła Sacharissa.

— Nikt przecież nie wierzy w to, co wyczyta w codzienniku, prawda? — jęknął Dibbler.

William przysunął sobie krzesło, odwrócił je i usiadł okrakiem, z rękami na oparciu.

— A zatem, panie Dibbler… kiedy zaczął pan siusiać do Fontanny Prawdy?

— Williamie! — rzuciła surowo Sacharissa.

— Wiecie, czasy były dość ciężkie… — tłumaczył Dibbler. — Więc pomyślałem: jest ten cały interes z nowinami… No przecież ludzie lubią słuchać o różnych rzeczach z dalekich stron, wiecie, jak w .Almanachu"…

— „Plaga gigantycznych łasic z Hershebie"?

— Właśnie w takim stylu. I sobie pomyślałem… że to jakby bez znaczenia, czy te historie są, no wiecie, naprawdę prawdziwe… To znaczy… — Szklisty uśmiech Williama zaczynał Dibblera niepokoić. — Znaczy… Są prawie prawdziwe, nie? Wszyscy wiedzą, że takie rzeczy się zdarzają…

— Nie przyszedł pan do mnie — zauważył William.

— No oczywiście, że nie. Wszyscy wiedzą, że jest pan trochę, no… trochę pozbawiony wyobraźni w takich sprawach.

— Chodzi o to, że chcę wiedzieć, czy coś się rzeczywiście zdarzyło?

— Właśnie w tym rzecz. Pan Carney mówi, że ludzie i tak nie zauważą żadnej różnicy. On pana niespecjalnie lubi, panie de Worde.

— Ma lepkie ręce — oświadczyła Sacharissa. — Komuś takiemu nie można ufać.

William wyjął egzemplarz najnowszych „SuperFaktów" i wybrał pierwszy z brzegu tekst.

— „Człowiek porwany przez Demony" — przeczytał. — Odnosi się to do pana Ronniego „Zaufaj Mi" Begholdera, o którym wiadomo, że winien był trollowi Chryzoprazowi ponad dwa tysiące dolarów, a ostatni raz widziano go, jak kupował bardzo szybkiego konia?

— I co?

— Gdzie tu pasują demony?

— Przecież mógł być porwany przez demony — stwierdził Dibbler. — Każdemu to się może zdarzyć.

— Chce pan powiedzieć, że nie ma żadnego dowodu, że nie został porwany przez demony?

— W ten sposób ludzie sami mogą zdecydować. Tak mówi pan Carney. Ludzie powinni mieć wybór, powiedział.

— Wybór, co jest prawdą?

— I nie myje porządnie zębów — dodała Sacharissa. — Oczywiście nie należę do osób, które

uważają, że czystość jest bliska boskości, ale są pewne granice*…

Dibbler ze smutkiem potrząsnął głową.

— Chyba tracę formę — powiedział. — Wyobrażacie to sobie? Ja pracujący dla kogoś innego! Musiałem rozum postradać. To zimno tak na mnie wpływa, nie ma co. Nawet… pensja — zatrząsł się, wymawiając to słowo — wydawała się atrakcyjna. Czy wiecie — dodał tonem zgrozy — że on mi mówił, co mam robić? Następnym razem polezę sobie, odpocznę i poczekam, aż mi przejdzie.

— Jest pan amoralnym oportunistą, panie Dibbler — orzekł William.

— Do tej pory to się sprawdzało.

— Czy może pan sprzedawać dla nas ogłoszenia? — zaproponowała Sacharissa.

— Nigdy już nie będę pracował dla niko…

— Na prowizji — przerwała mu.

— Co? Chcesz go zatrudnić? — nie dowierzał William.

— Czemu nie? Przecież w ogłoszeniach można opowiadać kłamstw, ile się tylko zechce. To dozwolone. Proszę… Potrzebujemy pieniędzy!

— Prowizja, tak? — Dibbler potarł swój nieogolony policzek. — Jakby… pół na pół, znaczy, pół dla was, pół dla mnie?

— Może my o tym porozmawiamy, dobrze? — wtrącił Dobrogór, klepiąc go po ramieniu.

Dibbler się skrzywił. Kiedy dochodziło do twardych targów, krasnoludy były jak diamenty.

— Mam jakiś wybór? — wymamrotał.

Dobrogór najeżył brodę. Chwilowo nie trzymał żadnej broni, ale Dibbler miał wrażenie, że jest tam wielki i groźny topór, którego nie było.

— Oczywiście — zapewnił krasnolud.

— Och… — westchnął Dibbler. — A co mam sprzedawać?

— Miejsce na papierze — odparła Sacharissa.

Dibbler się rozpromienił.

— Tylko miejsce? Czyli nic? Jasne, tym mogę się zająć. Mogę sprzedawać nic jak nic… — Pokręcił głową. — Dopiero kiedy człowiek próbuje sprzedać coś, wszystko zaczyna się psuć.

---

* Bardzo niewiele osób sądzi, że czystość jest bliska boskości, chyba że w bardzo skróconym słowniku. Cuchnąca przepaska biodrowa i włosy w zaawansowanym stanie skołtunienia zwykle bywały oznaką urzędu proroków, których pogarda dla rzeczy doczesnych zaczynała się od mydła.

— Skąd się pan tutaj wziął, panie Dibbler? — zainteresował się William.

Nie był zachwycony wyjaśnieniem.

— Takie rzeczy mogą działać w obie strony — ostrzegł. — Nie można się tak po prostu przekopywać do cudzej własności. — Spojrzał groźnie na krasnoludy. — Panie Boddony, chcę, żeby ten otwór natychmiast został zablokowany. Zrozumiano?

— My tylko…

— Tak, tak, chcieliście jak najlepiej. A ja teraz chcę, żebyście wszystko zamurowali. Byłbym wdzięczny, gdyby ten otwór wyglądał tak, jakby go tam w ogóle nie było. Wolałbym, żeby z tej piwnicy nie wyszedł nikt, kto tam wcześniej nie schodził. Jak najszybciej, jeśli można prosić.

Urażone krasnoludy ruszyły do pracy.

— Myślę, że trafiłem na prawdziwą sensację — powiedział William. — Myślę, że niedługo zobaczę Wufflesa. Mam…

Kiedy wyjmował notes, coś wypadło mu z kieszeni i brzęknęło o podłogę.

— A tak… I przyniosłem klucz do naszego domu w mieście — dodał. — Chciałaś wybrać suknię…

— Już trochę późno — stwierdziła Sacharissa. — Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałam.

— Może pójdziesz i rozejrzysz się, skoro tutaj każdy jest czymś zajęty? Zabierz Rocky'ego. Wiesz, na wszelki wypadek. Ale dom jest pusty. Mój ojciec, kiedy już musi przyjechać do miasta, zatrzymuje się w swoim klubie. No idź. Życie to nie tylko redagowanie tekstów.

Sacharissa spojrzała niepewnie na trzymany w dłoni klucz.

— Moja siostra ma mnóstwo sukni — zachęcił ją William. — Przecież chcesz pójść na ten bal, prawda?

— Przypuszczam, że pani Hotbed mija dopasuje, jeśli zajrzę do niej jutro rano…

Sacharissa demonstrowała nieco teatralne ociąganie, ale mową ciała błagała, by ktoś ją przekonał.

— No właśnie — ucieszył się William. — I na pewno znajdziesz kogoś, kto ci porządnie ułoży fryzurę.

Sacharissa zmrużyła oczy.

— Rzeczywiście potrafisz zadziwiająco dobierać słowa — mruknęła. — A co ty masz zamiar robić?

— Idę zobaczyć się z pewnym psem w sprawie pewnego człowieka.

* * *

Sierżant Angua spoglądała na Vimesa przez parę unoszącą się z misy, nad którą się pochylała. — Przepraszam za to, sir. — Jego stopy nawet nie dotkną ziemi — oświadczył Vimes.

— Nie może go pan aresztować, sir — zauważył kapitan Marchewa, narzucając Angui na głowę świeży ręcznik.

— Nie? Mogę go zamknąć za napaść na funkcjonariusza.

— No, w tym miejscu sprawa się komplikuje, sir — przypomniała Angua.

— Jesteście funkcjonariuszem, sierżancie, niezależnie od tego, jaki chwilowo macie kształt.

— Tak, ale… wygodniej by było, aby sprawa wilkołaka pozostała tylko plotką, sir — przypomniał kapitan Marchewa. — Nie uważa pan? Pan de Worde wszystko zapisuje. Angua i ja raczej byśmy tego nie chcieli. Ci, którzy powinni wiedzieć, wiedzą.

— Więc mu zakażę!

— W jaki sposób, sir?

Vimes trochę oklapł.

— Nie powiecie mi chyba, że jako komendant policji nie mogę powstrzymać jakiegoś małego du… jakiegoś idioty od zapisywania wszystkiego, co tylko zechce?

— Ależ nie, sir. Oczywiście, że pan może. Ale nie jestem pewien, czy może pan nie pozwolić mu zapisać, że nie pozwala mu pan zapisywać — stwierdził Marchewa.

— Jestem zdumiony. Naprawdę zdumiony. Ona jest twoją… twoją…

— Przyjaciółką — podpowiedziała Angua, wciągając nosem parę. — Ale Marchewa ma rację, panie Vimes. Nie chcę, żeby ta sprawa ciągnęła się dalej. To był mój błąd. Nie doceniłam go. Sama w to wpadłam. Za godzinę czy dwie będę już zdrowa.

— Widziałem, jak wyglądałaś, kiedy przyszłaś — rzekł Vimes. — Strasznie.

— To szok. Nos zwyczajnie się zamyka. To jakby skręcić za róg i zderzyć się z Paskudnym Starym Ronem.

— Bogowie! Aż tak źle?

— No, może nie aż tak. Zostawmy to, sir. Proszę.

— Szybko się uczy ten nasz pan de Worde… — Vimes wrócił za biurko. — Ma ołówek i

prasę drukarską, i nagle wszyscy zachowują się tak, jakby był jednym z poważnych graczy. No więc będzie się musiał nauczyć jeszcze trochę. Nie chce, żebyśmy go pilnowali? No to nie będziemy. Przez jakiś czas może sam zbierać to, co zasieje. Niebiosa świadkiem, że mamy dosyć innych zajęć.

— Ale on jest technicznie…

— Widzicie tę tabliczkę na moim biurku, kapitanie? Widzicie, sierżancie? Jest na niej napisane „Komendant Vimes". To znaczy, że ja dowodzę. To, co przed chwilą usłyszeliście, to był rozkaz. A teraz… coś jeszcze mamy nowego?

Marchewa skinął głową.

— Żadnych dobrych wiadomości, sir. Nikt nie znalazł psa. Gildie ciągle się dogadują. Pan Scrope przyjmuje wielu gości. Aha, najwyższy kapłan Ridcully opowiada wszystkim, że jego zdaniem Vetinari oszalał, bo dzień wcześniej opowiadał o swoim planie, aby homary latały w powietrzu.

— Homary latały w powietrzu — powtórzył spokojnie Vimes.

— I jeszcze coś o przesyłaniu statków semaforem, sir.

— Coś podobnego… A co mówi pan Scrope?

— Podobno twierdzi, że oczekuje nowej ery w naszej historii, i że znowu pchnie Ankh–Morpork na ścieżkę odpowiedzialnego obywatelstwa, sir.

— Czy to jest to samo co homary?

— To polityka, sir. Wyraźnie zamierza powrócić do wartości i tradycji, które uczyniły to miasto wielkim, sir.

— A czy on wie, które to konkretnie wartości i tradycje? — zapytał Vimes ze zgrozą.

— Można przypuszczać, że tak, sir — odparł Marchewa, zachowując powagę na twarzy.

— O bogowie… Wolałbym już raczej spróbować z homarami.

* * *

Z ciemniejącego nieba znowu spadał deszcz ze śniegiem. Bezprawny Most był mniej więcej pusty. William czaił się w cieniu, kapelusz zsunął Aa oczy. W końcu odezwał się głos znikąd…

— No więc, masz pan ten swój kawałek papieru?

— Głęboki Gnat? — upewnił się wyrwany z zamyślenia William.

— Przysyłam… przewodnika. Masz pan iść za nim — oznajmił ukryty informator. — Nazywa się… nazywa… Trixiefell. Idź pan za nim, a wszystko fędzie dofrze. Gotów?

— Tak.

Głęboki Gnat mnie obserwuje, myślał William. Musi być bardzo blisko.

Trixiebell wybiegł truchtem z mroku.

Był pudlem. Mniej więcej.

Personel Le Poil du Chien, najlepszego salonu psiej piękności w mieście, postarał się jak mógł, zresztą każdy dałby wszystko co w jego albo jej mocy, byle tylko w rezultacie Paskudny Stary Ron wyszedł szybciej. Pracownicy strzygli, suszyli, kręcili, karbowali, fiokowali, farbowali, splatali i myli w szamponie, a manikiurzystka zamknęła się w toalecie i odmawiała wyjścia.

Rezultat był… różowy. Różowość to tylko jeden z aspektów obiektu, tutaj jednak obiekt był tak… różowy, że zdominowała wszystkie pozostałe, nawet uformowany i przystrzyżony ogon z puszystą kulką na końcu. Przód psa wyglądał, jakby został wystrzelony przez wielką różową kulę i utknął w połowie. Dochodziła jeszcze szeroka, skrząca się obroża. Skrzyła się trochę za bardzo; czasami szkło skrzy się mocniej od brylantów, bo bardziej musi się wykazać.

Ogólnie biorąc, rezultat okazał się nie tyle pudlem, ile zdeformowaną pudlowatością. Inaczej mówiąc, wszystko w nim sugerowało pudla z wyjątkiem całości, która sugerowała, że lepiej się oddalić.

— Jazg — powiedział pies i w tym też coś się nie zgadzało. William zdawał sobie sprawę z faktu istnienia psów, które jazgoczą. Ale ten z całą pewnością powiedział „jazg".

— Dobry… — zaczął William i dokończył: — …piesek?

— Jazg jazgu phi jazg — odpowiedział pies i odszedł. William zastanawiał się chwilę nad tym „phi", ale doszedł do wniosku, że pies musiał kichnąć.

Zwierzak potruchtał przez błoto i zniknął w bocznym zaułku. Po chwili zza rogu wysunął się jego pysk.

— Jazg? Skaml?

— A tak. Przepraszam — rzucił William.

Trixiebell prowadził go po brudnych stopniach na starą dróżkę biegnącą wzdłuż brzegu. Była zasypana śmieciami, a wszystko, co w Ankh–Morpork zostaje wyrzucone, to rzeczywiście śmieci. Słońce rzadko sięgało aż tutaj, nawet w pogodne dni. Cieniom udawało się być

równocześnie mroźnymi i mokrymi.

Mimo to między ciemnymi belkami pod mostem płonęło ognisko. William — kiedy zablokowały mu się nozdrza — zdał sobie sprawę, że składa wizytę Żebraczej Ekipie.

Dawna ścieżka flisacka była nieużywana już wcześniej, ale Paskudny Stary Ron i cała reszta byli powodem, że pozostawała w tym stanie. Nie mieli nic, co warto by ukraść. Mieli bardzo mało nawet tego, co warto zatrzymać. Od czasu do czasu Gildia Żebraków rozważała wypędzenie ich z miasta, ale bez większego entuzjazmu. Nawet żebracy potrzebują kogoś, na kogo mogą patrzeć z góry. A ekipa znajdowała się tak nisko, że w pewnym oświetleniu sprawiali wrażenie, jakby byli na szczycie. Poza tym Gildia Żebraków potrafiła docenić prawdziwy talent: nikt nie umiał tak pluć i ślinić się jak Kaszlak Henry, nikt nie potrafił być bardziej beznogi od Arnolda Bocznego i absolutnie nic na świecie nie mogło tak cuchnąć jak Paskudny Stary Ron. On mógłby używać skallatyny jako dezodorantu.

Ta myśl, potykając się, wpadła do mózgu Williama, który w tym momencie zrozumiał, gdzie jest Wuffles.

Absurdalny różowy ogon Trixiebella zniknął między stosami starych skrzyń i tektury, określanych przez ekipę jako „Demoniszcze!", „Ptfuj!" i dom.

Williamowi łzawiły już oczy. Tu, w dole, prawie nie było wiatru. Podszedł do kręgu światła bijącego od ogniska.

— Dobry wieczór panom — zdołał powiedzieć, skinąwszy postaciom zebranym wokół płomieni o zielonkawych brzegach.

— Może zofaczymy kolor twojego kawałka papieru — zabrzmiał z mroku rozkazujący głos Głębokiego Gnata.

— Jest taki nie całkiem biały…

William wyjął czek. Odebrał go Kaczkoman, który przyjrzał się dokładnie i znacznie pogłębił jego nie całkiem biel.

— Wydaje się, że wszystko w porządku. Pięćdziesiąt dolarów, podpisano — stwierdził. — Wyjaśniłem koncepcję czeków moim wspólnikom, panie de Worde. I muszę zaznaczyć, że nie było to łatwe.

— Pewno! Ajak nie dotrzymasz, przyjdziemy do twojego domu — zagroził Kaszlak Henry.

— Eee… i co zrobicie?

— Będziemy stać przed drzwiami już zawsze — odparł Arnold Boczny.

— I patrzeć dziwnie na ludzi — dodał Kaczkoman.

— Pluć im na buty! — zawołał Kaszlak Henry.

William starał się nie myśleć o pani Arcanum.

— Mogę teraz zobaczyć psa? — zapytał.

— Pokaż mu, Ron — polecił głos Głębokiego Gnata.

Ciężki płaszcz Rona rozchylił się, ukazując Wufflesa, który mrugał w świetle ogniska.

— Ty go miałeś? — spytał William. — I to cała tajemnica?

— Demoniszcze!

— Kto fy chciał rewidować Paskudnego Starego Rona? — rzucił Głęboki Gnat.

— Słuszna uwaga — przyznał William. — Bardzo słuszna uwaga. Albo go obwąchiwać.

— Ale musisz pan pamiętać, że jest stary — uprzedził Głęboki Gnat. — A i na początku nie rył mózgowcem. Znaczy, tu przecież o psach mowa… Nie mówiących psach, oczywiście — dodał szybko.

— Mówimy o psach… Więc nie oczekuj pan traktatów filozoficznych. To tylko chciałem powiedzieć.

Kiedy Wuffles zauważył, że William mu się przygląda, natychmiast zaczął geriatrycznie służyć.

— Jak to się stało, że tutaj trafił? — spytał William, kiedy Wuffles podbiegł i obwąchał mu dłoń.

— Wyfiegł z pałacu wprost pod płaszcz Rona.

— Będący, jak już pan zauważył, ostatnim miejscem, gdzie ktokolwiek by szukał.

— Możesz mi pan wierzyć.

— I nawet wilkołak by go tam nie wykrył. — William wyjął notes, otworzył na czystej stronicy i napisał „Wuffles". — Ile on ma lat? — zapytał.

Wuffles szczeknął.

— Szesnaście — powiedział Głęboki Gnat. — To ważne?

— To taki codziennikarski styl.

William zapisał: „Wuffles (16), uprzednio zamieszkały w Pałacu, Ankh–Morpork".

Przeprowadzam wywiad z psem, pomyślał. Człowiek robi wywiad z psem — to już właściwie nowina.

— No więc, tego… Wuffles, co się działo, zanim wybiegłeś z pałacu? — zapytał.

Głęboki Gnat w swojej kryjówce skomlał i warczał. Wuffles nastawił ucha, a potem warknął w odpowiedzi.

— Zfudził się i doznał straszliwej niepewności filozoficznej — powiedział Głęboki Gnat.

— Mówił pan przecież…

— Ja tłumaczę, nie? A to dlatego, że w pokoju fyli dwaj fogowie. To znaczy dwóch lordów Vetinarich, Wuffles jest dość staroświeckim psem. Ale wiedział, że jeden z nich jest niewłaściwy, fo niewłaściwie pachniał. Fyło jeszcze dwóch innych ludzi. Wtedy…

William notował gorączkowo.

Dwadzieścia sekund później Wuffles ugryzł go w nogę.

* * *

Urzędnik w kancelarii pana Slanta spojrzał z wyżyn biurka na dwóch przybyszów, pociągnął nosem i wrócił do swej starannej kaligrafii. Nie miał wiele czasu na rozważanie idei prawidłowej obsługi klienta. Prawa nie można przecież ponaglać…

W chwilę później coś uderzyło jego głową o blat i jakiś ogromny ciężar ją tam przytrzymał. W ograniczonym polu widzenia pojawiła się twarz pana Szpili.

— Powiedziałem — powiedział pan Szpila — że pan Slant chce się z nami zobaczyć…

— Sngh… — odparł urzędnik.

Pan Szpila skinął głową i nacisk odrobinę zelżał.

— Słucham? Co pan mówił?

Pan Szpila przyglądał się, jak dłoń urzędnika sunie wzdłuż krawędzi biurka.

— On teraz… nikogo… nie… przyjmuje… Słowa przerwał zduszony jęk.

Pan Szpila się pochylił.

— Przepraszam za palce — rzekł. — Ale nie możemy pozwolić, żeby te złośliwe maluchy sięgały do tej oto małej dźwigni. Kto wie, co by się stało, gdyby ją pan pociągnął… Którędy do gabinetu pana Slanta?

— Drugie… drzwi… po… lewej… — wystękał urzędnik.

— Widzi pan? Od razu przyjemniej, kiedy jesteśmy dla siebie uprzejmi. Za tydzień, na pewno nie dłużej niż za dwa tygodnie znów będzie pan mógł chwycić pióro.

Pan Szpila skinął panu Tulipanowi, który wypuścił ofiarę. Nieszczęśnik zsunął się na podłogę.

— Chce pan, żebym go załatwił?

— Proszę go zostawić. Dzisiaj będę dla ludzi miły.

Trzeba Slantowi przyznać, że kiedy Nowa Firma wkroczyła do jego gabinetu, wyraz jego twarzy prawie się nie zmienił.

— Panowie?

— Nie naciskaj żadnych …onych dźwigni — ostrzegł pan Tulipan.

— Powinien pan o czymś wiedzieć — stwierdził pan Szpila, wyjmując z kieszeni pudełko.

— A cóż to takiego? — zapytał pan Slant. Pan Szpila odsunął haczyk z boku wieczka.

— Posłuchajmy tego, co było wczoraj — polecił. Chochlik zamrugał.

— *...niip... niapniip... niapdit... niip...* — powiedział.

— Przesuwa się w tył — wyjaśnił pan Szpila.

— Co to jest? — zdziwił się prawnik.

— *...niapniip... sipniap... nip... jest cenny, panie Szpilo. Dlatego nie będę owijał w bawełnę. Co zrobiliście z psem?*

Palec pana Szpili dotknął innej dźwigienki.

— *...uuiidl uiidl uuii... Moi... klienci mają dobrą pamięć i głębokie kieszenie. Mogą wynająć innych zabójców. Rozumiemy się?*

Potem zabrzmiało ciche „Auć", kiedy młoteczek Stopu trafił chochlika w głowę.

Pan Slant wstał i podszedł do staroświeckiego barku.

— Napije się pan czegoś, panie Szpilo? Obawiam się, że mam tylko roztwór balsamujący…

— Jeszcze nie, panie Slant.

— …i chyba znajdę też gdzieś banana…

Pan Slant odwrócił się z błogim uśmiechem, słysząc trzaśniecie — to pan Szpila chwycił pana Tulipana za rękę.

— Mówiłem, że ukatrupię tego …onego…

— Niestety, już za późno. — Pan Slant znów usiadł przy biurku.

— No dobrze, panie Szpilo. Chodzi o pieniądze, nieprawdaż?

— Wszystko, co są nam winni, plus dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy.

— Ale przecież nie znaleźliście psa.

— Straż też nie. A mają wilkołaka. Wszyscy szukają tego psa. Ten pies zniknął. Ale to bez znaczenia. Znaczenie ma to małe pudełko.

— To bardzo niewiele, jeśli chodzi o dowody…

— Doprawdy? Pyta pan o psa. Mówi o zabójcach. Tak sobie myślę, że ten jakiś Vimes mocno się przyczepi do czegoś takiego. Jak słyszałem, nie jest typem, który odpuszcza. — Pan Szpila uśmiechnął się ponuro. — Ma pan na nas trochę materiału, a tak między nami… Niektóre z naszych wyczynów dałoby się określić jako… jak by to wyrazić… zbliżone do zbrodni…

— Wszystkie te …one morderstwa na początek — wtrącił pan Tulipan.

— …które jednak — ciągnął pan Szpila — można uznać za zachowanie typowe, ponieważ jesteśmy zbrodniarzami. Podczas gdy pan… pan jest szanowanym obywatelem. To nie wygląda dobrze, kiedy szanowani obywatele prowadzą takie rozmowy. Ludzie gadają…

— Aby zaoszczędzić nam… nieporozumień — rzekł pan Slant — zaraz wypiszę zlecenie wypłaty…

— Klejnoty — przerwał mu pan Szpila.

— Lubimy klejnoty — zaznaczył pan Tulipan.

— Czy wykonał pan kopie… tego czegoś? — zapytał Slant.

— Niczego nie potwierdzam — oświadczył pan Szpila, który kopii nie zrobił i nawet nie wiedział, jak się do tego zabrać. Uznał jednak, że pozycja pana Slanta zmusza go do ostrożności. Wyglądało na to, że pan Slant także to uznał.

— Zastanawiam się, czy można panu zaufać — powiedział jakby do siebie.

— Widzi pan, to jest tak — tłumaczył pan Szpila cierpliwie. Głowa bolała go coraz bardziej. — Jeśli rozejdzie się pogłoska, że szantażowaliśmy klienta, nie będzie to dla nas dobre. Ludzie uznają, że nie można ufać takim jak my. Że nie potrafimy się zachować. Ale jeśli ludzie, z którymi mamy do czynienia, dowiedzą się, że załatwiliśmy klienta, ponieważ klient nie grał uczciwie, wtedy powiedzą sobie: Oto ludzie interesu. Pilnują interesu. Robią interesy… — Przerwał i zapatrzył się w cienie w kącie pokoju.

— I…? — zachęcił go pan Slant.

— I… i… do demona z tym. — Pan Szpila zamrugał i potrząsnął głową. — Dawaj klejnoty, Slant, bo poprosi o nie pan Tulipan, jasne? Wynosimy się stąd, byle dalej od tych waszych przeklętych krasnoludów, wampirów, trolli i chodzących trupów. To miasto budzi we mnie dreszcze! Więc dawaj pan diamenty! Ale już!

— Doskonale — zgodził się pan Slant. — A chochlik?

— Chochlik jedzie z nami. Nas złapią, jego złapią. Zginiemy w tajemniczych okolicznościach,

to… pewni ludzie dowiedzą się o pewnych sprawach. Kiedy będziemy już bezpieczni daleko stąd… nie ma pan podstaw, żeby się targować, Slant. — Pan Szpila zadygotał. — Dzisiaj nie jest mój najlepszy dzień.

Pan Slant wysunął szufladę biurka i na kryty skórą blat rzucił trzy aksamitne woreczki. Pan Szpila otarł czoło chustką.

— Proszę się im przyjrzeć, panie Tulipanie.

Obaj w milczeniu obserwowali, jak pan Tulipan wysypuje klejnoty na wielką dłoń. Obejrzał kilka przez lupę. Powąchał. Ostrożnie polizał jeden czy dwa.

Po czym wybrał ze stosu cztery i rzucił je prawnikowi.

— Bierze mnie pan za …onego idiotę? — zapytał.

— Niech pan nawet nie myśli o dyskusji — ostrzegł pan Szpila.

— Może jubilerzy się pomylili — stwierdził pan Slant.

— Tak? — mruknął pan Szpila.

Znowu sięgnął do kieszeni, ale tym razem wyciągnął broń.

Pan Slant spojrzał prosto w wylot sprężynowego rusznica. Technicznie i formalnie była to kusza — w tym sensie, że siła mięśni magazynowała się w ściśniętej sprężynie. Jednak cierpliwy rozwój techniczny doprowadził broń do takiego stanu, że składała się mniej więcej z rury, uchwytu i spustu. Gildia Skrytobójców ogłosiła, że jeśli schwyta kogokolwiek z takim narzędziem, do ostatecznych granic przetestuje możliwości ukrycia go przy sobie (a nawet w sobie). Każda miejska straż, przeciwko której taki sprzęt zostałby użyty, z pewnością by dopilnowała, żeby stopy napastnika nie dotknęły gruntu, tylko kołysały się lekko w podmuchach wiatru.

Slant też musiał mieć w biurku jakiś przełącznik, ponieważ drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadło dwóch ludzi, jeden uzbrojony w kuszę, a drugi w dwa długie noże.

To było przerażające, co zrobił z nimi pan Tulipan.

Była to w pewnym sensie prawdziwa sztuka. Kiedy uzbrojony człowiek wpada do pomieszczenia, wiedząc, że czekają go kłopoty, potrzebuje ułamka sekundy, by ocenić sytuację, obliczyć szansę… pomyśleć. Pan Tulipan nie potrzebował ułamka sekundy. Nie myślał. Jego ręce poruszały się samodzielnie.

Nawet wyrachowane oczy pana Slanta potrzebowały myślowego odtworzenia wydarzeń. Ale w tej grozie, choć odgrywanej w zwolnionym tempie, i one z ledwością dostrzegły, jak pan

Tulipan chwyta najbliższe krzesło i uderza. Na końcu rozmazanej smugi dwaj mężczyźni leżeli nieruchomo, jeden z wykręconą w niepokojący sposób ręką, a nóż wibrował wbity w sufit.

Pan Szpila nie obejrzał się nawet. Trzymał rusznic wymierzony w zombi. Ale wyjął z kieszeni małą zapalniczkę w kształcie smoka, a wtedy pan Slant… pan Slant, który skrzypiał przy chodzeniu i pachniał kurzem… pan Slant zobaczył kawałek szmaty owinięty wokół wystającego z rury grotu małego, groźnego bełtu.

Nie odrywając wzroku od prawnika, pan Szpila skrzesał ogień. Szmata zapłonęła. A pan Slant był bardzo suchy.

— Uczynek, który właśnie zamierzam popełnić, jest zły — rzekł pan Szpila tonem, jakby był zahipnotyzowany. — Ale popełniłem ich już tak wiele, że kolejny właściwie się nie liczy. To jest tak… Zabójstwo jest złe, lecz następne zabójstwo staje się jakby o połowę mniej ważne. Czyli wychodzi na to, że średnio po dwudziestu zabójstwach człowiek przestaje zwracać uwagę. Ale… mamy dziś piękny dzień, ptaszki śpiewają, są takie, no… kotki i różne inne, i śnieżek błyszczy w słońcu, niosąc obietnicę przyszłej wiosny z kwiatami, świeżą trawą, następnymi kociakami, a potem gorących letnich dni, łagodnych pocałunków wiatru i cudownie czystego powietrza… których ty nigdy nie zobaczysz, draniu, jeśli zaraz mi nie dasz tego, co trzymasz tam w szufladzie, bo spalisz się jak pochodnia, oszukańczy, kłamliwy, zasuszony sukinsynu!

Pan Slant nerwowo sięgnął do szuflady i rzucił na biurko następny aksamitny woreczek.

Zerkając niepewnie na partnera, który nigdy wcześniej nie wspominał o kotkach, chyba że w tym samym zdaniu co o beczce z wodą, pan Tulipan sięgnął po woreczek i zbadał jego zawartość.

— Rubiny — stwierdził. — Bardzo piękne …one rubiny.

— A teraz wynoście się stąd — wychrypiał pan Slant. — Natychmiast. I nie wracajcie. Nigdy o was nie słyszałem. Nigdy was nie widziałem.

Patrzył na migoczący płomień.

Przez ostatnie kilkaset lat pan Slant spotykał się z wieloma groźbami. Ale w tej chwili wydawało mu się, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego od pana Szpili. Pan Szpila chwiał się nieco, a jego wzrok bezustannie przemykał po ciemnych zakamarkach gabinetu.

Pan Tulipan szarpnął partnera za ramię.

— Załatwmy tego …onego zombi i chodźmy stąd.

Szpila zamrugał.

— Dobra — odparł, wracając do siebie. — Dobra. — Spojrzał na prawnika. — Myślę, że dziś jeszcze pozwolę ci żyć. Jutro… kto wie?

Nie była to mocna groźba, ale jakoś nie włożył w nią serca.

A potem Nowa Firma zniknęła.

Pan Slant usiadł ciężko, wpatrzony w zamknięte drzwi. Było jasne — a martwy człowiek ma doświadczenie w takich sprawach — że jego dwóm uzbrojonym urzędnikom, weteranom licznych prawniczych batalii, nic już nie zdoła pomóc. Pan Tulipan był ekspertem.

Wyjął z szuflady arkusz czystego papieru, wypisał na nim kilka słów drukowanymi literami, włożył do koperty, zakleił ją i wezwał innego urzędnika.

— Zorganizuj co trzeba — polecił, kiedy nowo przybyły patrzył | na swych leżących bez życia kolegów. — A potem zanieś to de Worde'owi.

— Któremu, proszę pana?

Pan Slant na chwilę całkiem zapomniał o tej kwestii.

— Lordowi de Worde — rzekł. — W żadnym razie nie temu drugiemu.

* * *

William de Worde przewrócił stronę w notesie i pisał dalej. Ekipa obserwowała go, jakby oglądali teatr uliczny. — To wielki dar, co go pan ma, pszepana — odezwał się Arnold Boczny. — Aż serce rośnie, jak się widzi taki migający ołówek. Też chciałbym tak umieć, ale nigdy nie miałem talentu do mechaniki.

— Może kubek herbaty? — zaproponował Kaczkoman.

— Pijecie tutaj herbatę?

— Oczywiście. Dlaczego nie? Za kogo nas pan uważa? — Kaczkoman z zachęcającym uśmiechem podniósł osmolony imbryk i zardzewiały kubek.

To dobry moment, żeby okazać grzeczność, pomyślał William. Poza tym muszą chyba gotować tę wodę…

— Ale bez mleka — zaznaczył szybko. Mógł sobie wyobrazić, jak wygląda to mleko.

— Aha… mówiłem, że jest pan dżentelmenem. — Kaczkoman nalał do kubka smolistobrunątnej cieczy. — Mleko w herbacie to obrzydliwość. — Wykwintnym gestem podniósł talerzyk i szczypczyki. — Plasterek cytryny?

— Cytryna? Macie cytrynek

— Och, nawet pan Ron raczej umyłby się pod pachami, niż pozwolił na cokolwiek w herbacie prócz cytryny — zapewnił Kaczkoman, wrzucając plasterek do kubka Williama.

— I czterech łyżeczek cukru — dodał Arnold Boczny. William wypił duży łyk. Herbata była gęsta, wygotowana, ale też słodka i gorąca. I odrobinę cytrynowa. Ogólnie biorąc, uznał, mógł trafić gorzej.

— Tak, szczęście nam sprzyja, jeśli idzie o plasterki cytryny — mówił Kaczkoman, krzątając się przy serwisie do herbaty. — Naprawdę zły to dzień, kiedy nie możemy znaleźć przynajmniej dwóch lub trzech, spływających rzeką w dół.

William patrzył nieruchomo na nabrzeże. Połknąć czy wypluć, myślał… Odwieczny problem.

— Dobrze się pan czuje, panie de Worde?

— Mmf.

— Za dużo cukru?

— Mmf.

— Nie za gorąca?

William z wdzięcznością wypluł fontannę herbaty w stronę rzeki.

— Och… — powiedział. — Tak. Za gorąca! Właśnie! Za gorąca. Doskonała herbata, ale za gorąca. Może odstawię kubek tutaj, koło mojej nogi, żeby trochę przestygła, dobrze?

Porwał notes i ołówek.

— No więc, Wuffles, którego z tych ludzi ugryzłeś?

Wuffles szczeknął.

— Pogryzł wszystkich — przetłumaczył głos Głębokiego Gnata.

— Kiedy już się gryzie, po co przerywać?

— A poznałbyś ich, gdybyś znowu ich ugryzł?

— Mówi, że tak. Mówi, że ten większy smakował… no, wiesz pan… — Głęboki Gnat zastanowił się. — Jak to… jakże się nazywa… Taka wielka misa z gorącą wodą i mydłem w środku…

— Wanna? Kąpiel?

Wuffles warknął.

— Właśnie, ką… to słowo. A drugi pachniał tanią pomadą do włosów. A ten, który wyglądał jak F… jak lord Vetinari, to pachniał winem.

— Winem?

— Tak. Wuffles chce też przeprosić za to ugryzienie przed chwilą, ale opowieść go trochę porwała. My… to znaczy, chciałem powiedzieć, psy mają fardzo fizyczne wspomnienia, jeśli rozumiesz pan, o co mi chodzi.

William skinął głową i roztarł nogę. Opis napadu na Podłużny Gabinet składał się z sekwencji pisków, szczęknięć i warknięć, a Wuffles biegał w kółko i kłapał zębami na własny ogon, aż zderzył się z łydką Williama.

— I od tego czasu Ron nosił go pod swoim płaszczem?

— Nikt nie zaczepia Paskudnego Starego Rona — oświadczył Głęboki Gnat.

— Wierzę ci — zapewnił William. Wskazał Wufflesa. — Chciałbym mu zrobić ikonogram. To jest… niesamowita historia. Ale muszę mieć obrazek, aby wykazać, że naprawdę rozmawiałem z Wufflesem. No… przez tłumacza, naturalnie. Nie chciałbym, żeby ludzie uznali to za jedną z tych głupich opowiastek o gadającym psie, co to je drukują „SuperFakty".

Ekipa zaczęła pomrukiwać. Żądanie Williama nie zostało przychylnie przyjęte.

— To jest dość ekskluzywna okolica, rozumie pan — powiedział Kaczkoman. — Nie wpuszczamy tu każdego.

— Przecież pod mostem biegnie ścieżka! Każdy może tędy przejść!

— Nooo taaak… — przyznał Kaszlak Henry. — Mogliby. — Odkaszlnął i z wielką wprawą splunął w ogień. — Tylko że już nie przechodzą.

— Demoniszcze! — wyjaśnił Paskudny Stary Ron. — Zadusić partacza! Licho! Mówiłem im! Tysiącletnia wskazówka i krewetki!

— W takim razie może wróci pan ze mną do biura — zaproponował William. — W końcu nosił go pan ze sobą, kiedy sprzedawał pan azety, prawda?

— Teraz to zfyt niefezpieczne — uznał Głęboki Gnat.

— Czy stanie się mniej niebezpieczne za następne pięćdziesiąt dolarów?

— Następne pięćdziesiąt dolarów! — powtórzył Arnold Boczny. — To będzie razem piętnaście dolarów!

— Sto dolarów — poprawił go ze znużeniem William. — Zdajecie sobie sprawę, prawda, że chodzi tu o sprawę interesującą szeroką publiczność.

Ekipa wyciągnęła szyje.

— Nie widzę, żeby ktoś patrzył — stwierdził Kaszlak Henry. William ruszył naprzód, całkiem

przypadkiem przewracając kubek z herbatą.

— No to idziemy — rzekł.

* * *

Pan Tulipan zaczynał się martwić. To niezwykłe, bo w dziedzinie zmartwień raczej bywał ich przyczyną niż odbiorcą. Ale pan Szpila nie zachowywał się właściwie, a że to pan Szpila odpowiadał za myślenie, było to zjawisko niepokojące. Panu Tulipanowi doskonale szło myślenie w drobnych ułamkach sekund, a jeśli chodzi o podziwianie sztuki, z łatwością potrafił myśleć stuleciami, natomiast nieszczególnie sobie radził na średnich dystansach. Do tego potrzebował pana Szpili.

Ale pan Szpila ostatnio mówił do siebie i bez przerwy wpatrywał się w cienie.

— To gdzie teraz wyruszymy? — zapytał pan Tulipan w nadziei, że jakoś ukierunkuje partnera. — Mamy to …one honorarium z …oną solidną premią, i nie ma …onego sensu tkwić w tej dziurze.

Niepokoił go również sposób, w jaki pan Szpila potraktował tego …onego prawnika. To do niego niepodobne, żeby wycelować w kogoś broń, a potem jej nie użyć. Nowa Firma nie zajmowała się grożeniem ludziom. Sama była groźbą. A cała ta …ona gadka „dziś jeszcze pozwolę ci żyć”… to amatorszczyzna.

— Pytałem, gdzie jedziemy…

— Jak myślisz, Tulipan, co się dzieje z ludźmi, kiedy umierają? Pan Tulipan doznał wstrząsu.

— Co to za …one pytanie? Wie pan przecież, co się z nimi dzieje!

— Wiem?

— Oczywiście. Pamięta pan, jak musieliśmy zostawić tego gościa w tej …onej stodole i minął tydzień, zanim żeśmy go porządnie zakopali? Pamięta pan, jak jego…

— Nie chodzi mi o ciała!

— Aha. Czyli o religię, tak?

— Tak.

— Nigdy się nie przejmowałem takimi …onymi sprawami.

— Nigdy?

— Nigdy, nawet przez …oną chwilę. Mam swojego ziemniaka. Po czym pan Tulipan odkrył,

że kilka kroków przeszedł samotnie, ponieważ pan Szpila stanął jak wryty.

— Ziemniaka?

— No tak. Noszę go na sznurku na szyi. — Pan Tulipan klepnął się w potężną pierś.

— I to jest religijne?

— Pewno. Jak człowiek ma swojego ziemniaka, kiedy umiera, to wszystko będzie w porządku.

— A jaka to religia?

— Nie wiem. Nigdy na taką nie trafiłem poza naszą wioską. Byłem przecież dzieciakiem. Znaczy, to jak z bogami, nie? Kiedy się jest dzieciakiem, mówią: „To jest bóg i koniec". Potem człowiek dorasta i odkrywa, że są ich …one miliony. Tak samo z religią.

— Czyli wszystko będzie dobrze, o ile człowiek ma przy sobie ziemniaka, kiedy umiera?

— Tak. Wolno mu wtedy wrócić i żyć jeszcze raz.

— Nawet gdyby… — Pan Szpila przełknął ślinę. Znalazł się na terytorium, które w jego wewnętrznym atlasie nigdy jeszcze nie zaistniało. — Nawet gdyby robił takie rzeczy, które inni mogliby uznać za złe?

— Jak zarzynanie ludzi albo spychanie ich z …onego urwiska?

— Tak, ten rodzaj rzeczy…

Pan Tulipan pociągnął nosem, który rozbłysnął jasno.

— No… Może być, o ile człowiekowi naprawdę jest przykro z tego …onego powodu.

Pan Szpila był zdumiony i odrobinę podejrzliwy. Jednak czul, że… że coś go dogania. W mroku pojawiały się twarze, na samej granicy słyszalności rozbrzmiewały głosy. Nie ośmielał się odwracać głowy, na wypadek gdyby miał coś za sobą zobaczyć.

Można przecież kupić cały worek ziemniaków za dolara.

— To działa? — upewnił się.

— Jasne. W mojej wiosce ludzie robili tak przez setki …onych lat. A przecież by nie robili, gdyby to nie działało, nie?

— A gdzie to było?

Pan Tulipan usiłował skupić się na tej kwestii. Jednak jego pamięć była pokryta zbyt wieloma strupami.

— Były… lasy — powiedział. — I… jasne świece — wymruczał. — I… sekrety — dodał, wpatrzony w pustkę.

— I ziemniaki?

Pan Tulipan wrócił do teraźniejszości.

— Tak, one też — przyznał. — Zawsze mnóstwo …onych ziemniaków. Bo jak masz swojego ziemniaka, wszystko będzie dobrze.

— Ale przecież… Myślałem, że trzeba się modlić na pustyniach, codziennie chodzić do świątyni, śpiewać pieśni i rozdawać biednym majątek…

— To też można robić, jasna sprawa — zgodził się pan Tulipan. — Byle tylko mieć swojego …onego ziemniaka.

— I człowiek powraca żywy? — zapytał pan Szpila, wciąż usiłując odszukać drobny druk.

— Pewno. Po co miałby powracać martwy? Nie zauważyłby …onej różnicy.

Pan Szpila otworzył usta, żeby odpowiedzieć, i nagle pan Tulipan zobaczył, jak zmienia się jego twarz.

— Ktoś położył mi rękę na ramieniu!

— Dobrze się pan czuje, panie Szpilo?

— Nikogo pan nie widzi?

— Nie.

Pan Szpila zacisnął pięści i odwrócił się. Na ulicy było sporo ludzi, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Spróbował przeorganizować tę łamigłówkę, w którą gwałtownie zmieniał się jego umysł.

— No dobrze. Dobrze — powiedział. — Zrobimy tak… Wrócimy najpierw do domu, jasne, i… i zabierzemy resztę diamentów, załatwimy Charliego i… i… poszukamy sklepu z jarzynami. Jakaś specjalna odmiana ziemniaka?

— Nie.

— W porządku. Ale najpierw…

Pan Szpila zatrzymał się i po chwili uszami duszy usłyszał za sobą kroki. Ten przeklęty wampir coś z nim zrobił, to oczywiste. Ciemność była jak tunel, a po drugiej stronie czekały…

Pan Szpila wierzył w groźby, wierzył w przemoc, a w takich chwilach jak ta wierzył w zemstę. Wewnętrzny głos, który chwilowo pełnił funkcję rozsądku, podnosił krzyk, ale zagłuszyły go reakcje głębsze i bardziej automatyczne.

— Ten przeklęty wampir mi to zrobił. A zabić wampira… zaraz… to właściwie dobrze, nie? — Pan Szpila się rozpromienił. Zbawienie przyzywało go poprzez Zbożne Dzieła. — Wszyscy

wiedzą, że wampiry mają złe moce okultystyczne. Coś takiego może się nawet liczyć na korzyść, co?

— Tak, ale… kogo to obchodzi?

— Mnie.

— W porządku.

Nawet pan Tulipan nie spierał się z tym tonem głosu. Wiedział, że pan Szpila potrafił być bardzo pomysłowo niemiły. Poza tym kodeks nakazywał, by zniewagi nie pozostawały niepomszczone. To wiedział każdy.

Po prostu nerwowość zaczynała się przesączać nawet do przeżartych solami kąpielowymi i proszkiem na robaki ścieżek jego mózgu. Zawsze podziwiał to, że pan Szpila nie obawia się trudnych spraw, na przykład takich jak długie zdania.

— Co zastosujemy? — spytał. — Kołek?

— Nie — odparł pan Szpila. — W tym wypadku chcę mieć pewność. Nieco drżącą dłonią zapalił papierosa, a potem odczekał, aż zapałka rozpali się jasno.

— Aha. Dobrze — rzekł pan Tulipan.

— No to zróbmy to — zdecydował pan Szpila.

* * *

Rocky zmrużył oczy, przyglądając się pieczęciom przybitym do drzwi miejskiego domu de Worde'ów. — Co to są one? — zapytał.

— Mówią, że gildie zainteresują się każdym, kto spróbuje się włamać — wyjaśniła Sacharissa, majstrując przy zamku. — To tak jak klątwa. Tylko że działa.

— A ta jest od Skrytobójców? — Troll wskazał prymitywną tarczę z płaszczem, sztyletem i podwójnym krzyżem.

— Tak. Oznacza automatyczny kontrakt na każdego, kto się włamie.

— Bym żem nie chciał, żeby się mną interesowali. Dobrze, że pani ma klucz.

Zamek szczęknął. Drzwi otworzyły się od lekkiego pchnięcia.

Sacharissa była już w kilku wielkich domach w Ankh–Morpork, kiedy właściciele udostępniali ich część publiczności, by wspomóc którąś z bardziej znanych akcji charytatywnych. Nie zdawała sobie sprawy, jak budynek może się zmienić, kiedy ludzie nie chcą dłużej w nim

mieszkać. Sprawiał wrażenie groźnego, w niewłaściwej skali. Drzwi były za wielkie, sufity za wysokie. Stęchła atmosfera pustki spadła na nią jak migrena.

Z tyłu Rocky zapalił dwie latarnie. Ale nawet ich światło sprawiało, że otaczały ją cienie.

Przynajmniej na główne schody trafiła bez trudu. Pospieszne instrukcje Williama doprowadziły ją do rzędu pomieszczeń większych niż jej dom. Garderoba, kiedy ją w końcu znalazła, okazała się całym pokojem pełnym wieszaków.

Coś połyskiwało w mroku. Suknie pachniały mocno naftaliną.

— To ciekawe — odezwał się za nią Rocky.

— Och, to po prostu ma nie dopuszczać tu moli — wyjaśniła.

— Żem mówił o tych śladach — powiedział troll. — W holu też takie były.

Oderwała wzrok od rzędu sukni i spojrzała w dół. Warstwa kurzu z całą pewnością była naruszona.

— Sprzątaczka? — próbowała zgadnąć. — Ktoś tu przychodzi, żeby zadbać o wszystko?

— I co ona robi? Kopie ten kurz na śmierć?

— Przypuszczam, że muszą ty być jacyś… dozorcy albo ktoś — uznała niepewnie Sacharissa.

Błękitna suknia mówiła: Noś mnie, pasuję do ciebie. Patrz, jak błyszczę.

Rocky szturchnął palcem pudełko z naftaliną, trochę kulek leżało rozrzuconych na toaletce, a niektóre potoczyły się na podłogę.

— Wygląda, że mole naprawdę szaleją za takimi — stwierdził.

— Nie wydaje ci się, że taka suknia będzie trochę zbyt… śmiała? — Sacharissa przyłożyła ją do swej figury.

Rocky trochę się zmartwił. Nie zatrudniono go ze względu na wyczucie mody, a już na pewno nie z powodu biegłości w kolokwializmach klasy średniej.

— Bohaterowie takich nie noszą — zaopiniował.

— Chodziło mi o to, czy nie będę w niej wyglądać jak kobieta łatwa.

— A, jasne. — Rocky zrozumiał, o co chodzi. — Nie. Stanowczo nie.

— Naprawdę?

— Pewno. W niej się łatwo nie chodzi. Najwyżej upaść jest łatwo.

Sacharissa zrezygnowała.

— Przypuszczam, że pani Hotbed potrafi ją trochę popuścić — stwierdziła w zadumie.

Kusiło ją, żeby zostać, ponieważ niektóre rzędy wieszaków były całkiem zapełnione, ale czuła

się tu jak intruz, a jakaś część umysłu podpowiadała, że kobieta mająca sto sukni prędzej zauważy brak jednej niż kobieta mająca ich tuzin. Zresztą ta ciemna pustka zaczynała budzić w niej lęk.

— Wracajmy.

Byli już w połowie holu, kiedy ktoś zaczął śpiewać. Słowa były niezrozumiałe, a melodia modulowana przez alkohol, ale stanowczo był to śpiew i dobiegał spod podłogi.

Rocky wzruszył ramionami, kiedy Sacharissa spojrzała na niego pytająco.

— Może te mole bawią się w kulki?

— To musi być jakiś dozorca, prawda? Może lepiej, no wiesz, damy znać, że tu byliśmy? — denerwowała się Sacharissa. — To by było nieuprzejme, tak sobie coś zabrać i uciec.

Podeszła do zielonych drzwi ukrytych obok schodów. Otworzyła je. Na chwilę śpiew zabrzmiał głośniej, ale urwał się, kiedy zawołała w ciemność:

— Przepraszam…

Po chwili dobiegła odpowiedź:

— Halo! Co u was? Bo u mnie w porządku.

— To tylko… no, ja. William mówił, że mogę? Zaprezentowała tę tezę jak pytanie, tonem kogoś, kto przeprasza włamywacza za to, że go przyłapał.

— Pan Naftalinowy Nochal? Juhuu! — odezwał się głos z ciemności u stóp schodów.

— Czy… nic panu nie jest?

— Nie mogę sięgnąć… to te… hahaha… te łańcuchy… hahaha.

— Czy jest pan chory?

— Nie, całkiem zdrowy, tylko zaliczyłem o parę za dużo.

— Parę czego za dużo? — zdziwiła się Sacharissa, wychowana wśród dobrych manier.

— Jak im… te rzeczy, co się w nich trzyma picie… baryłki?

— Pan jest pijany!

— Zgadza się! To jest to słowo. Pijany jak… no takie coś… drewniane takie… hahahaha…

Brzęknęło szkło.

Słabe światło latarni ukazało coś, co wyglądało jak piwniczka na wino, ale jakiś człowiek siedział zgarbiony na ławie pod ścianą, a długi łańcuch prowadził od jego kostki do pierścienia wmurowanego w podłogę.

— Jest pan… więźniem? — spytała Sacharissa.

— Ahaha. Zaczęła schodzić.

— Długo pan tu siedzi?

— Lata.

— Lata?

— Mam dużo lat. — Człowiek podniósł butelkę i przyjrzał się jej uważnie. — Rok Naprawiającego Wielbłąda… to był wściekle dobry rok. A ten tutaj… Rok Przesuniętego Szczura… następny wściekle dobry rok. Wściekle dobre lata, co do jednego. Ale przydałoby się coś przegryźć.

Wiedza Sacharissy o winach sięgała akurat tak daleko, by zdawała sobie sprawę, że Chateau Maison to wino bardzo popularne. Ale ludzi nie trzeba zakuwać w łańcuchy, żeby mogli pić wino, nawet to z Efebu, które przykleja kieliszek do stołu.

Podeszła bliżej i światło latarni padło na twarz więźnia. Była wykrzywiona w pijackim uśmiechu, ale też bardzo łatwo rozpoznawalna. Widywała ją codziennie na monetach.

— Ehm… Rocky… — Obejrzała się. — Rocky, możesz tu przyjść na chwilę?

Drzwi odskoczyły i troll dotarł szybko na sam dół. Niestety, przede wszystkim dlatego, że się stoczył.

Na szczycie schodów pojawił się pan Tulipan. Rozmasował dłoń.

— To pan Kichacz! — Charlie wzniósł butelkę. — Cały zespół na miejscu! Hura!

Rocky wstał, kołysząc się nieco. Pan Tulipan zszedł wolno po schodach, po drodze wyrywając belkę futryny. Troll uniósł pięści w klasycznej pozycji boksera, ale pan Tulipan nie dbał o takie subtelności i przyłożył mu w głowę kawałem starego drewna. Rocky zwalił się jak ścięty.

Dopiero wtedy potężny mężczyzna spróbował skupić swe wirujące oczy na Sacharissie.

— Kim ty jesteś, do …onego demona?

— Jak pan śmie kląć na mnie! — rzekła oburzona. — Jak pan śmie przeklinać w obecności damy? To go zaskoczyło.

— Przecież nie klnę, do …onego licha!

— Zaraz! Już wcześniej pana widziałam! Pan jest tą… Wiedziałam, że nie jest pan prawdziwą dziewicą! — zawołała Sacharissa tryumfalnie.

Szczęknęła kusza. Pewne niezbyt głośne dźwięki niosą się wyraźnie i mają pokaźną energię.

— Istnieją myśli zbyt okropne, by je rozważać — oświadczył chudy mężczyzna, przyglądający się jej ze szczytu schodów, ponad pistoletową kuszą. — Co tu robisz, paniusiu?

— A pan był bratem Szpilą! Nie macie tu żadnego prawa! Ja mam klucz!

Niektóre obszary umysłu Sacharissy, zajmujące się takimi zjawiskami jak śmierć czy zgroza, sygnalizowały jej, że powinna ich teraz wysłuchać. Ale jako fragmenty Sacharissy, czyniły to w sposób dystyngowany, więc je zignorowała.

— Klucz? — Brat Szpila ruszył schodami w dół. Kusza wciąż mierzyła w dziewczynę. Nawet w swym obecnym stanie umysłu Szpila wiedział, jak się celuje. — A kto ci dał ten klucz?

— Proszę się do mnie nie zbliżać! Proszę nawet nie próbować do mnie podchodzić! Jeśli pan się zbliży, ja… ja to zapiszę!

— Tak? No cóż, całkiem przypadkiem wiem, że słowa nie ranią — odparł pan Szpila. — Słyszałem już wiele…

Przerwał, wykrzywił się i przez chwilę wyglądał, jakby miał opaść na kolana. Wyprostował się jednak i znów popatrzył na Sacharissę.

— Pójdziesz z nami. I nie mów, że będziesz krzyczeć, bo jesteśmy tu całkiem sami, a ja… słyszałem… już… wiele… krzyków.

I znowu miał uczucie, że się wyczerpuje, ale jeszcze raz nad sobą zapanował. Sacharissa patrzyła ze zgrozą na rozkołysaną kuszę. Te części jej umysłu, które jako środek wspomagający przetrwanie sugerowały milczenie, w końcu przebiły się na czoło.

— Co z tymi dwoma? — spytał pan Tulipan. — Załatwimy ich od razu?

— Zakuj ich i zostaw.

— Ale zawsze…

— Zostaw ich!

— Na pewno dobrze się pan czuje? — upewnił się pan Tulipan.

— Nie! Wcale nie! Niech pan ich po prostu zostawi, dobrze? Nie mamy czasu!

— Mamy mnóstwo…

— Ja nie. — Pan Szpila podszedł do Sacharissy. — Kto ci dał ten klucz?

— Nie mam zamiaru…

— Chcesz, żeby pan Tulipan pożegnał naszych pijanych przyjaciół?

W swej szumiącej głowie, przy dość marnym pojęciu, jak powinno się załatwiać sprawy w uniwersum moralnym, pan Szpila uważał, że tak będzie dobrze. W końcu ich cienie będą podążały za panem Tulipanem, nie za nim.

— Ten dom należy do lorda de Worde, a jego syn dał mi klucz!

— oświadczyła tryumfująco Sacharissa. — Właśnie! Spotkaliście go w naszym biurze! Teraz wiecie, w co się wpakowaliście.

Pan Szpila popatrzył na nią.

— Mam zamiar to sprawdzić — oznajmił po chwili. — Nie próbuj uciekać. Nie krzycz. Idź normalnie, a wszystko… — Zawahał się.

— Chciałem powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale to przecież bzdura…

* * *

Marsz z ekipą po ulicach trwał długo. Świat był dla nich nieustającym teatrem, galerią sztuki, halą koncertową, restauracją i spluwaczką. A poza tym żaden członek owej ekipy nawet nie marzył o dotarciu gdziekolwiek w linii prostej.

Pudel Trixiebell trzymał się jak najbliżej środka grupy. Po Głębokim Gnacie nie było nawet śladu. William zaproponował, że sam poniesie Wufflesa, albowiem w pewnym sensie uważał, że jest jego właścicielem. A przynajmniej jego kawałka, wartego sto dolarów. Było to sto dolarów, których nie miał, ale co tam… Samo jutrzejsze wydanie pozwoli zebrać tę sumę. A ktokolwiek szuka teraz psa, z pewnością nie spróbuje zaatakować na ulicy, w biały dzień. Co prawda dzień był raczej szary — chmury jak poduszki zasnuły niebo, opadająca mgła napotykała opary unoszące się z rzeki. Światło odpływało zewsząd.

Próbował wymyślić jakiś tytuł. Z tym często miał kłopoty. Tyle trzeba było przekazać, a on nie potrafił jeszcze ująć ogromnej złożoności świata w mniej niż sześciu słowach. Sacharissie wychodziło to lepiej, gdyż traktowała słowa jako zestawy liter, które można składać razem w dowolny sposób. Jej najlepszy tytuł dotyczył tekstu o jakimś nudnym konflikcie międzygildiowym, i w pojedynczej kolumnie wyglądał tak:

William nie był przyzwyczajony do oceniania słów jedynie pod względem długości, podczas

gdy ona nauczyła się tego przez dwa dni. Już teraz musiał jej nakazać, aby przestała mówić na Vetinariego BOSS MIASTA. Technicznie było to poprawne określenie — jeśli człowiek spędził trochę czasu ze słownikiem, mógł natrafić na ten termin, no i słowa mieściły się w jednej kolumnie, ale sam ich widok sprawiał, że William czuł się całkiem zagubiony.

To właśnie zamyślenie pozwoliło mu wejść do hali prasy, z idącą za nim ekipą, i niczego nie zauważyć, dopóki nie zobaczył min krasnoludów.

— Aha… Nasz pisarz. — Pan Szpila wyszedł naprzód. — Proszę zamknąć drzwi, panie Tulipanie.

Pan Tulipan jedną ręką zatrzasnął drzwi. Drugą zasłaniał usta Sacharissy. Przewróciła oczami, patrząc na Williama.

— I przyniosłeś nam pieska — ucieszył się pan Szpila. Wuffles zawarczał na niego. William się cofnął.

— Zaraz tu będzie straż — ostrzegł. Wuffles warczał coraz głośniej.

— Teraz już się tym nie przejmuję — odparł pan Szpila. — Nie z tym, co wiem. Nie z tym, kogo znam. Gdzie jest ten przeklęty wampir?

— Nie wiem! Nie siedzi z nami cały czas!

— Doprawdy? W takim razie coś ci powiem… — Pistoletowa kusza pana Szpili znieruchomiała o kilka cali od twarzy Williama. — Jeśli nie zjawi się tutaj w ciągu dwóch minut…

Wuffles wyrwał się z rąk Williama. Szczekanie zmieniło się w gorączkowy jazgot oszalałego z wściekłości małego psa. Szpila cofnął się gwałtownie i uniósł rękę, zasłaniając twarz. Kusza wystrzeliła. Strzała trafiła w lampę wiszącą nad prasą. Lampa eksplodowała.

Chlusnął deszcz płonącej oliwy. Spadał na metalowe czcionki, na stare konie na biegunach i na krasnoludy.

Pan Tulipan puścił Sacharissę, by pomóc koledze. W powolnym tańcu pędzących wydarzeń Sacharissa zakręciła się i mocno, twardo uderzyła z obrotu kolanem w miejsce, które sprawiało, że pasternak wydawał się bardzo zabawnym warzywem.

William chwycił ją, kiedy przebiegała obok, i wypchnął na zimne powietrze. Kiedy zdołał wrócić, przeciskając się przez uciekającą ekipę — która na ogień reagowała w taki sam instynktowny sposób, jak na wodę i mydło — znalazł się w hali zasypanej płonącymi odłamkami. Krasnoludy walczyły z ogniem wśród śmieci. Krasnoludy walczyły z ogniem we

własnych brodach. Kilka zbliżało się do pana Tulipana, który upadł na kolana, podparł się rękami i wymiotował. A pan Szpila kręcił się w kółko i usiłował strącić Wufflesa, który — wciąż warcząc — zdołał wbić mu zęby w ramię, aż do kości.

William złożył dłonie w trąbkę.

— Uciekać wszyscy! Puszki!

Jeden czy dwa krasnoludy usłyszały go i rozejrzały się po półkach zastawionych starymi puszkami z farbą — właśnie w chwili, gdy z pierwszej odstrzeliło wieko.

Puszki były naprawdę stare, właściwie była to raczej rdza utrzymywana w całości chemicznym szlamem. Kilka następnych zaczęło się palić.

Pan Szpila tańczył po hali, próbując strącić z ramienia rozwścieczonego psa.

— Zabierzcie ode mnie tę przeklętą bestię! — krzyczał.

— Zostaw tego …onego psa, mój …ony surdut się pali! — wołał pan Tulipan, gasząc własny rękaw.

Puszka czegoś, co kiedyś było emalią, wystartowała z płomieni, zawirowała z wyciem i eksplodowała nad prasą.

William złapał Dobrogóra za rękę.

— Mówiłem, żeby wyjść!

— Moja prasa! Pali się!

— Lepiej ona niż my! Uciekamy!

* * *

Mówi się, że krasnoludy bardziej dbają o takie rzeczy, jak złoto czy żelazo niż o ludzi, ponieważ na świecie istnieją tylko ograniczone rezerwy złota i żelaza, gdy tymczasem wydaje się, że gdziekolwiek spojrzeć, ludzi jest wszędzie coraz więcej i więcej. Mówią tak najczęściej ludzie typu pana Windlinga.

Ale ludzie bardzo mocno przejmują się rzeczami. Bez rzeczy są tylko sprytniejszymi zwierzętami.

Drukarze zebrali się całą grupą przy drzwiach, z toporami w rękach. Z wnętrza wypadały kłęby duszącego brązowego dymu. Płomienie strzelały wokół dachu. Kilka jego fragmentów wykrzywiło się i runęło.

Nagle przez drzwi wytoczyła się dymiąca kula. Trzy krasnoludy, które się na nią zamachnęły, o mało co nie trafiły siebie nawzajem.

To był Wuffles. Kępki sierści tliły się jeszcze, ale oczy mu błyszczały. Wciąż warczał i poszczekiwał.

Pozwolił Williamowi się podnieść. Odwrócił się i skierował na drzwi tryumfujące spojrzenie. Zastrzygł uszami.

— Czyli to już koniec — uznała Sacharissa.

— Mogli się wydostać tylnymi drzwiami — zauważył Dobrogór. — Boddony, weź paru chłopców i sprawdźcie, co?

— Dzielny pies — stwierdził William.

— „Zuch" byłby lepszy — oświadczyła Sacharissa. — Ma tylko cztery litery. Będzie lepiej wyglądać w pojedynczej kolumnie. Chociaż nie… „Dzielny" też pasuje, bo wtedy dostaniemy:

**DZIELNY PIES**
**POGRYZŁ**
**BANDYTÓW**

…chociaż ostatnia linia powinna być trochę mocniejsza. — Chciałbym umieć tak myśleć tytułami — westchnął William i zadrżał.

* * *

W piwnicy było chłodno i wilgotno.

Pan Szpila powlókł się do kąta i zgasił iskry na garniturze.

— To …ona pułapka — jęknął pan Tulipan.

— Co z tego? To przecież kamień — odparł Szpila. — Kamienna podłoga, kamienne ściany, kamienny sufit. Kamień się nie pali, nie? Posiedzimy tu sobie w spokoju i chłodzie, przeczekamy.

Przez chwilę pan Tulipan nasłuchiwał trzasku ognia w górze. Czerwone i żółte plamy tańczyły na podłodze pod klapą piwnicy.

— Nie podoba mi się ta …ona sytuacja — oświadczył.

— Bywało gorzej.

— Nie podoba mi się!

— Tylko spokojnie. Wyjdziemy z tego. Nie po to się urodziłem, żeby się usmażyć.

* * *

Płomienie szalały wokół prasy. Kilka spóźnionych puszek zawirowało wśród żaru, rozpylając płonące kropelki. Ogień był żółtobiały w sercu żaru, a teraz objął metalowe formy zawierające skład.

Srebrne kulki pojawiły się wokół ołowianych, czarnych od tuszu klocków. Litery poruszyły się, osiadły, popłynęły. Przez chwilę same słowa pływały po roztopionym metalu, niewinne słowa jak „prawda", „ci" i „pozwoli", potem i one zniknęły. Z rozżarzonej do czerwoności prasy, spomiędzy drewnianych skrzynek, rzędów i kolumn czcionek, a nawet ze stosów starannie ułożonego metalu popłynęły wąskie strumyczki. Spotykały się, zlewały, rozprzestrzeniały… I wkrótce podłoga zmieniła się w ruchome, falujące zwierciadło, w którym wierzchołkami w dół tańczyły pomarańczowe i żółte płomienie.

* * *

Na warsztacie Ottona salamandry wyczuły ciepło. Lubiły ciepło. Ich przodkowie ewoluowali w wulkanach. Teraz więc przebudziły się i zaczęły pomrukiwać. Pan Tulipan, który chodził tam i z powrotem jak schwytane zwierzę, sięgnął po jedną z klatek i przyjrzał się niechętnie salamandrom.

— Co to za …one zwierzaki? — zapytał i odstawił klatkę. Wtedy zauważył stojący obok słój. — A dlaczego tutaj jest …ony napis „Oztrożnie zię obchodzić"?

Węgorze były już zdenerwowane. One także wyczuwały ciepło, ale były istotami żyjącymi zwykle w głębokich jaskiniach i podziemnych, lodowatych strumieniach.

Kiedy pan Tulipan podniósł słój, zaprotestowały, emitując błysk ciemnego światła.

Większa jego część przemknęła bezpośrednio przez mózg pana Tulipana. Jednak to, co pozostało z tego znękanego organu, przetrwało wszelkie próby mieszania w nim, zresztą pan Tulipan i tak nieczęsto go używał, bo to za bardzo bolało.

Na krótki moment tylko pojawiło się wspomnienie śniegu, jodłowych lasów, płonących

zabudowań i kościoła. Tam się schronili. Był wtedy mały. Pamiętał wielkie, lśniące obrazy mające więcej kolorów, niż kiedykolwiek widział…

Zamrugał i upuścił słój.

Szkło roztrzaskało się na podłodze. Węgorze raz jeszcze błysnęły ciemnym światłem, a potem rozpaczliwie wypełzły spośród odłamków i ruszyły wzdłuż ściany, wciskając się w szczeliny między kamieniami.

Pan Tulipan odwrócił się, słysząc za sobą jakieś dźwięki. Jego partner osunął się na kolana i oburącz ściskał głowę.

— Coś się stało?

— Są tuż za mną — wyszeptał pan Szpila.

— Nie, jesteśmy tu tylko my dwaj, stary przyjacielu.

Pan Tulipan poklepał pana Szpilę po ramieniu. Żyły na czole wystąpiły mu z wysiłku. Wspomnienie zniknęło. Młody Tulipan nauczył się redagować wspomnienia.

Uznał, że w tej chwili pan Szpila powinien przypomnieć sobie dobre czasy.

— Hej, a pamięta pan, jak Gerhardt But i jego chłopaki zapędzili nas do tego …onego zaułka w Quirmie? — zapytał. — Pamięta pan, cośmy z nim potem zrobili?

— Tak — odparł pan Szpila, wpatrując się w ślepą ścianę. — Pamiętam…

— A wtedy z tym staruchem w tym …onym domu w Genoi, co o nim nie wiedzieliśmy? No więc zabiliśmy drzwi gwoździami i…

— Dość! Zamknij się!

— Staram się tylko zobaczyć …oną jaśniejszą stronę.

— Nie powinniśmy zabijać tych wszystkich ludzi — szepnął pan Szpila, niemal do siebie.

— Czemu nie? — zdziwił się pan Tulipan.

Ale nerwowość Szpili zaczynała udzielać się także jemu. Sięgnął do rzemyka na szyi i poczuł na końcu uspokajającą bulwę. Ziemniak może być wielką pomocą w trudnych chwilach.

Ciche pluskanie z tyłu kazało mu się obejrzeć. Rozpromienił się.

— Zresztą już wszystko dobrze — stwierdził. — Wygląda na to, że pada.

Srebrzyste krople opadały wokół klapy.

— To nie jest woda! — wrzasnął Szpila.

Krople zlały się razem w jeden nieprzerwany strumień. Pluskał dziwnie i zastygał pod klapą, ale coraz więcej cieczy spadało do wnętrza i rozlewało po podłodze.

Szpila i Tulipan stanęli pod ścianą.

— To gorący ołów — stwierdził Szpila. — Drukują nim tę swoją azetę.

— A ile go może być?

— Tu, na dole? Nie więcej niż parę cali głębokości.

Po drugiej stronie piwnicy warsztat Ottona zaczął dymić, kiedy dotknęła go kałuża.

— Musimy na czymś stanąć — oświadczył Szpila. — Tylko dopóki nie wystygnie. Tu jest chłodno, więc to nie potrwa długo.

— Tak, ale tu nie ma nic oprócz nas! To …ona pułapka!

Pan Szpila zasłonił oczy i głęboko odetchnął powietrzem, które mocno się już rozgrzało od srebrzystego deszczu.

Znowu otworzył oczy. Pan Tulipan patrzył na niego z gotowością. To pan Szpila odpowiadał za myślenie.

— Ja… mam plan — oznajmił.

— Tak, dobrze. Jasne.

— Moje plany są zwykle całkiem niezłe, tak?

— Tak, zawsze przychodzą panu do głowy prawdziwe …one cuda. Jak wtedy, kiedy pan powiedział, że mamy skręcić…

— I zawsze myślę o przyszłości Firmy, tak?

— Tak. No pewnie.

— No więc… ten plan… to nie jest właściwie plan doskonały, ale… Och, do demona z tym! Daj mi swojego ziemniaka.

— Co?!

Pan Szpila wyciągnął nagle rękę i kusza znieruchomiała o cal od szyi pana Tulipana.

— Nie ma czasu na dyskusje! Dawaj tego przeklętego ziemniaka, byle szybko. Nie mamy czasu, żebyś się namyślał!

Niepewny, ale jak zawsze ufny w możliwości umysłowe partnera, pan Tulipan ściągnął przez głowę rzemyk i wręczył ziemniak panu Szpili.

— Dobrze. — Panu Szpili zadrgał policzek. — Otóż, jak ja to widzę…

— Niech się pan lepiej spieszy — przerwał mu pan Tulipan.

— Zostało jeszcze tylko parę cali!

— Jak ja to widzę, to jestem niedużym człowiekiem, panie Tulipanie. Nie mógłby pan na

mnie stanąć. Ja się nie nadaję. Ale pan jest potężnym mężczyzną, panie Tulipanie. Nie chciałbym, żeby pan cierpiał.

I pociągnął za spust. To był dobry strzał.

— Przepraszam — szepnął pan Szpila, kiedy ołów się rozprysnął.

— Przepraszam, naprawdę. Przepraszam. Ale nie po to się urodziłem, żeby się usmażyć.

* * *

Pan Tulipan otworzył oczy.

Otaczała go ciemność, ale z sugestią gwiazd nad głową i zachmurzonego nieba. Powietrze było nieruchome, ale słyszał odległy szum — jakby wiatru wśród martwych drzew.

Odczekał chwilę, by sprawdzić, czy coś się zdarzy. A potem zapytał:

— Ktoś tu jest?

TYLKO JA, PANIE TULIPANIE.

Fragment ciemności otworzył oczy i na pana Tulipana spojrzały dwa błękitne lśnienia.

— Ten …ony drań ukradł mojego ziemniaka. Jesteś …onym śmiercią?

SAMO ŚMIERĆ WYSTARCZY, JAK SĄDZĘ. KOGO PAN OCZEKIWAŁ?

— Co? Niby czemu?

ŻEBY PRZYSZLI PO PANA JAK. PO SWEGO.

— Nie wiem właściwie. Nigdy nie myślałem…

NIGDY PAN NIE SPEKULOWAŁ?

— Wiem tyle, że jak się ma swojego ziemniaka, to wszystko będzie dobrze.

Pan Tulipan powtórzył to zdanie jak papuga, bez namysłu, ale wszystko powracało teraz w pełnej wizji człowieka umarłego, z punktu widzenia położonego dwie stopy nad ziemią i wieku trzech lat. Mamroczący starcy. Płaczące stare kobiety. Promienie światła przez święte okna. Świst wiatru pod drzwiami i wszystkie uszy wytężające się, by usłyszeć żołnierzy. Swoich czy tamtych, to bez znaczenia, kiedy tak długo trwa wojna…

Śmierć rzucił cieniowi pana Tulipana długie, chłodne spojrzenie.

I TO WSZYSTKO?

— Zgadza się.

NIE WYDAJE SIĘ PANU, ŻE MÓGŁ PAN POMINĄĆ NIEKTÓRE FRAGMENTY?

…świst wiatru pod drzwiami, zapach oleju w lampach, świeży i ostry zapach śniegu wpadającego przez…

— I… bardzo mi przykro za wszystko — wymruczał.

Był zagubiony w świecie mroku i nie miał ziemniaka przy sobie.

…lichtarze… były zrobione ze złota, setki lat temu… mieli tylko ziemniaki do jedzenia, wygrzebane spod śniegu, ale lichtarze były złote… i jakaś stara kobieta powiedziała:

— Wszystko dobrze się skończy, jeśli masz ziemniaka…

CZY JAKIKOLWIEK BÓG BYŁ WSPOMINANY PRZY PANU W DOWOLNEJ CHWILI?

— Nie…

NIECH TO… WOLAŁBYM, ŻEBY NIE ZRZUCALI NA MNIE TEGO RODZAJU DECYZJI. Śmierć westchnął. WIERZY PAN, ALE W NIC KONKRETNEGO.

Pan Tulipan stał z pochyloną głową. Kolejne wspomnienia przesączały się jak krew pod zamkniętymi drzwiami. Klamka szczękała, a zamek nie trzymał.

Śmierć skinął na niego.

PRZYNAJMNIEJ MA PAN SWOJEGO ZIEMNIAKA, JAK WIDZĘ.

Pan Tulipan sięgnął dłonią do szyi. Na końcu rzemienia wisiało tam coś pomarszczonego i twardego, otoczonego widmowym lśnieniem.

— Myślałem, że mi go zabrał! — Twarz rozjaśniła mu się nadzieją.

NO CÓŻ… NIGDY NIE WIADOMO, KIEDY POJAWI SIĘ ZIEMNIAK

— Czyli wszystko będzie dobrze? A JAK PAN MYŚLI?

Pan Tulipan przełknął nerwowo ślinę. Kłamstwa nie żyły tu długo. A pod drzwiami przeciskały się teraz nowe wspomnienia, krwawe i mściwe.

— Myślę, że trzeba czegoś więcej niż tylko ziemniaka — powiedział.

A JEST PANU PRZYKRO ZA WSZYSTKO?

Nieużywane części mózgu pana Tulipana, które wyłączyły się już dawno temu, a może nigdy się nie włączały, teraz weszły do gry.

— Skąd mogę wiedzieć?

Śmierć machnął ręką w powietrzu. Wzdłuż zakreślonego kościstymi palcami łuku pojawił się rząd klepsydr.

JAK ROZUMIEM, JEST PAN KONESEREM, PANIE TULIPANIE. NA SWÓJ SKROMNY SPOSÓB I JA NIM JESTEM.

Śmierć wybrał jedną klepsydrę i podniósł ją wyżej. Wokół pojawiły się obrazy — jasne, ale nierzeczywiste jak cień.

— Co to takiego? — zapytał Tulipan.

ŻYCIA, PANIE TULIPANIE. PO PROSTU ŻYCIA. NIE SAME ARCYDZIEŁA, TO JASNE, CZĘSTO DOŚĆ NAIWNIE WYKORZYSTUJĄCE EMOCJE I DZIAŁANIA, ALE JEDNAK PEŁNE CIEKAWOSTEK, NIESPODZIANEK, A KAŻDE NA SWÓJ SPOSÓB BĘDĄCE DZIEŁEM PEWNEGO GENIUSZU. I BEZ WĄTPIENIA… POCIĄGAJĄCE DLA KOLEKCJONERA. Śmierć wybrał inną klepsydrę, a pan Tulipan próbował się cofnąć. TAK. BARDZO POCIĄGAJĄCE. PONIEWAŻ, GDYBYM MIAŁ ZNALEŹĆ JAKIEŚ SŁOWO, BY OPISAĆ TE KONKRETNE ŻYWOTY, PANIE TULIPANIE, TO SŁOWO BRZMIAŁOBY „KRÓTSZE".

Wybrał następną klepsydrę.

ACH… NUGGA VELSKI. NIE PAMIĘTA GO PAN, OCZYWIŚCIE. BYŁ PO PROSTU CZŁOWIEKIEM, KTÓRY WSZEDŁ DO SWOJEJ DOŚĆ PRYMITYWNEJ CHATY W NIEODPOWIEDNIEJ CHWILI, A PAN JEST OSOBĄ ZAPRACOWANĄ I TRUDNO SIĘ SPODZIEWAĆ, ŻEBY PAMIĘTAŁ PAN KAŻDEGO. PROSZĘ ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA UMYSŁ, BŁYSKOTLIWY UMYSŁ, KTÓRY W INNYCH OKOLICZNOŚCIACH MÓGŁBY ZMIENIĆ ŚWIAT, SKAZANY JEDNAK, BY URODZIĆ SIĘ W MIEJSCU I CZASIE, W KTÓRYCH ŻYCIE JEST TYLKO CODZIENNĄ, BEZNADZIEJNĄ HARÓWKĄ. MIMO TO W SWOJEJ MALEŃKIEJ WIOSCE, AŻ DO DNIA, KIEDY ODKRYŁ PANA, KRADNĄCEGO MU PŁASZCZ, STARAŁ SIĘ JAK MÓGŁ…

Pan Tulipan uniósł drżącą dłoń.

— Czy to ten moment, kiedy całe moje życie przesuwa mi się przed oczami?

NIE, TEN MOMENT BYŁ PRZED CHWILĄ.

— Kiedy?

TO MOMENT, rzekł Śmierć, POMIĘDZY PAŃSKIMI NARODZINAMI A PAŃSKIM ZGONEM. NIE… TO, CO WIDZIMY TERAZ, PANIE TULIPANIE, JEST PAŃSKIM ŻYCIEM, KTÓRE PRZESUWA SIĘ PRZED OCZAMI INNYCH…

* * *

Zanim zjawiły się golemy, wszystko już się skończyło. Pożar był gwałtowny, ale krótki. Ogień wygasł, ponieważ nie pozostało już nic, co mógłby spalić. Tłum gapiów, który zawsze pojawiał się przy pożarze, rozproszył się aż do następnego. Uznano, że ten akurat nie zasługiwał na wysoką ocenę, skoro nikt nie zginął.

Ściany ciągle jeszcze stały. Połowa blaszanego dachu się zapadła. Zaczął padać mokry śnieg, płatki syczały na gorącym kamieniu, kiedy William ostrożnie przesuwał się wśród szczątków.

— Da się naprawić? — zapytał idącego za nim Dobrogóra.

— Nie ma szans. Może główną ramę. Ocalimy, ile się da.

— Przykro mi…

— Nie twoja wina. — Krasnolud kopnął dymiącą puszkę. — I spójrzmy na to z lepszej strony: wciąż jesteśmy winni Harry'emu Królowi kupę pieniędzy.

— Nie przypominaj mi…

— Nie muszę. On ci sam przypomni. Właściwie nam obu. William owinął rękę marynarką i odepchnął na bok fragment dachu.

— Biurka ciągle tu stoją!

— Ogień bywa czasem zabawny — oświadczył chmurnie Dobrogór. — Zresztą dach pewnie je osłonił.

— Są na wpół zwęglone, ale wciąż można ich używać!

— No to świetnie, wszystko się dobrze skończyło — stwierdził krasnolud tonem opadającym posępnie. — Na kiedy chcecie następne wydanie?

— Patrzcie, kolec… I nawet są na nim ledwie nadpalone kawałki papieru.

— W życiu trafiają się czasem nieoczekiwane skarby — uzna! Dobrogór. — Nie, panienko, raczej nie powinnaś tu wchodzić.

Ostatnie zdanie było skierowane do Sacharissy, która wybierała ostrożnie drogę między dymiącymi zgliszczami.

— Tutaj pracuję — odparła. — Możecie naprawić prasę?

— Nie! Jest… załatwiona! To już złom. Nie mamy prasy, nie mamy czcionek i nie mamy metalu! Czy wy oboje w ogóle mnie słyszycie?

— No dobrze, w takim razie musimy zdobyć nową prasę — oświadczyła spokojnie Sacharissa.

— Nawet jakaś stara i rozsypana kosztowałaby pewnie z tysiąc dolarów. Słuchajcie, wszystko

skończone! Nic już nam nie zostało!

— Mam trochę oszczędności. — Sacharissa zepchnęła odpadki z blatu biurka. — Może uda nam się zdobyć jedną z tych małych pras ręcznych i ruszyć na niej…

— Mam dług — rzekł William. — Ale chyba mógłbym się zadłużyć na jeszcze kilkaset dolarów.

— Myślicie, że dałoby się pracować, gdybyśmy naciągnęli na dach jakąś derkę, czy powinniśmy się przenieść gdzie indziej? — zapytała Sacharissa.

— Nie chcę się przeprowadzać — powiedział William. — Parę dni pracy i jakoś doprowadzimy to do porządku.

Dobrogór zwinął dłonie przy ustach.

— Haa–looo! To woła rozsądek! Nie mamy pieniędzy!

— Chociaż trudno się będzie tutaj rozwinąć — zmartwiła się Sacharissa.

— W jakim sensie?

— Magazyny… — Mokre płatki śniegu osiadały dziewczynie na włosach. Krasnoludy krążyły wokół* zajęte beznadziejną akcją ratunkową. — Tak, wiem, że papier jest ważny, ale prasa często nie ma co robić, a jestem pewna, że byłby rynek na coś w rodzaju, no… magazynu dla dam…

— Prasa nie ma co robić? — powtórzył Dobrogór. — Nie ma żadnej prasy!

— O czym? — zainteresował się William, kompletnie ignorując krasnoluda.

— No… o modzie. Obrazki kobiet, które noszą nowe suknie. Robótki na drutach. Takie rzeczy. Tylko mi nie tłumacz, że to nudne. Ludzie kupią coś takiego.

— Suknie? Druty?

— Ludzie interesują się takimi rzeczami.

— Nie zachwyca mnie ten pomysł — przyznał William. — Równie dobrze moglibyśmy wydawać magazyn tylko dla mężczyzn.

— Czemu nie? A co byś w nim drukował?

— Och, jeszcze nie wiem. Artykuły o drinkach. Obrazki kobiet, które nie noszą… W każdym razie potrzebujemy więcej ludzi, żeby to wszystko pisali.

— Przepraszam… — spróbował znowu Dobrogór.

— Mnóstwo ludzi umie pisać dostatecznie dobrze dla takich pism — zapewniła Sacharissa. — Gdyby to było takie trudne, my też byśmy nie dali rady.

— Fakt.

— Jest też inny magazyn, który dobrze się sprzeda… Za plecami Sacharissy runął na ziemię fragment prasy.

— Halo! Halo! — wołał Dobrogór. — Wiem, że otwieram i zamykam usta! Czy wydobywa się jakiś dźwięk?

— Koty — oświadczyła dziewczyna. — Wiele osób kocha koty. Obrazki kotów. Opowieści o kotach. Zastanawiałam się nad tym. Moglibyśmy go nazwać „Kompletne koty".

— *Jako uzupełnienie „Kompletnych dam" i „Kompletnych* mężczyzn"? „Kompletnego szydełkowania"? „Kompletnych ciast"?

— Myślałam, żeby go nazwać „Damy przyjaciel domu", ale twój tytuł też nieźle brzmi — przyznała Sacharissa. — Brzmienie… owszem. A teraz następna sprawa. W mieście żyje mnóstwo krasnoludów. Moglibyśmy stworzyć dla nich magazyn. Na przykład… Co nowoczesny krasnolud nosi w tym sezonie?

— Kolczugę i skórę — odparł Dobrogór, nagle zmieszany. — Zaraz, o czym wy w ogóle mówicie? To zawsze jest kolczuga i skóra!

Sacharissa nie zwracała na niego uwagi. Dobrogór zrozumiał, że ona i William znaleźli się we własnym prywatnym świecie, który nie ma już nic wspólnego z rzeczywistym.

— Ale wydaje mi się, że to marnotrawstwo — stwierdził William. — Znaczy: marnotrawstwo słów.

— Dlaczego? Zawsze jest ich dosyć. — Sacharissa delikatnie poklepała go po policzku. — Myślisz, że piszesz słowa, które przetrwają po wieczne czasy? Nic podobnego. Ta jest azeta… słowa, które przetrwają dzień. Może tydzień.

— A potem sieje wyrzuca.

— Może kilka się utrzyma. W ludzkich umysłach.

— Nie tam azeta kończy swój żywot — westchnął William. — Raczej po odwrotnej stronie.

— A czego się spodziewałeś? To nie są książki. To… słowa, które pojawiają się i znikają. Nie martw się.

— Jest pewien kłopot. — Tak?

— Nie mamy dość pieniędzy na nową prasę. Nasza siedziba właśnie spłonęła. Wypadliśmy z interesu. Wszystko skończone. Rozumiesz?

Sacharissa spuściła głowę.

— Tak — przyznała z pokorą. — Ale miałam nadzieję, że ty nie.

— A byliśmy tak blisko… — William wyjął notes. — Tak blisko… Mogliśmy to wydrukować. Mam już praktycznie wszystkie szczegóły. Teraz mogę tylko oddać to Vimesowi…

— Gdzie jest ołów?

William spojrzał ponad zniszczoną halą. Boddony kucnął przy dymiącej prasie i próbował pod nią zajrzeć.

— Nie ma nawet śladu po ołowiu — powiedział.

— Gdzieś musi być — oświadczył Dobrogór. — Doświadczenie mówi mi, że dwadzieścia ton ołowiu nie znika sobie ot tak.

— Roztopił się — uznał Boddony. — Zostało parę kleksów na podłodze…

— Piwnica — domyślił się Dobrogór. — Pomóżcie. Chwycił poczerniały drąg.

— Zaraz, ja pomogę — zgłosił się William, omijając przypalone biurko. — W końcu i tak nie mam nic lepszego do roboty…

Chwycił mocno zwęglone drzewo i pociągnął…

Pan Szpila wynurzył się z otworu niby władca demonów. Spowity dymem wrzeszczał wciąż tę samą niezrozumiałą, wrzaskliwą frazę. Wynurzał się i wynurzał, szerokim wymachem odtrącił na bok Dobrogóra, a potem zacisnął dłonie na szyi Williama… A wciąż ten jeden wyskok pchał go w górę.

William upadł do tyłu. Wylądował na biurku i poczuł ostry ból, gdy jakiś odłamek przebił mu rękę. Ale nie warto było myśleć o bólu, który już nastąpił — ból nadchodzący przesłaniał najbliższą przyszłość. Oblicze napastnika było oddalone ledwie o cale, szeroko otwarte oczy spoglądały poprzez Williama na coś przerażającego. Ale palce mocno ściskały go za szyję.

William nigdy nie pomyślałby nawet o użyciu porównania tak banalnego jak „uchwyt niczym imadło”, ale gdy świadomość stała się tunelem o czerwonych ścianach, wewnętrzny redaktor oświadczył: tak, to by właśnie pasowało, czysto mechaniczny nacisk, który…

Oczy zrobiły zeza. Wrzask się urwał. Napastnik zatoczył się w bok, zgięty wpół.

I kiedy William uniósł głowę, zobaczył odstępującą Sacharissę.

Redaktor poderwał się w jego głowie, patrząc na niego, jak patrzy na nią. Kopnęła człowieka w… no wiesz. To wpływ tych wszystkich zabawnych warzyw. Na pewno.

I musiał zdobyć historię…

William poderwał się na nogi i zamachał gorączkowo do krasnoludów, które zbliżały się z

toporami w dłoniach.

— Czekajcie! Czekajcie! Słuchaj no, eee, ty… bracie Szpilo…

Skrzywił się, czując ból w ramieniu. Ze zgrozą odkrył wystające mu z rękawa marynarki groźne ostrze kolca.

Pan Szpila usiłował skupić wzrok na walczącym z własnym ramieniem chłopcu, ale nie pozwalały mu cienie. W tej chwili nie był już pewien, czy nadal żyje. Ależ… tak! To jest to! Na pewno jest martwy! Dym, krzyczący ludzie, głosy szepczące mu do ucha… to jakieś piekło, ale — aha! — miał bilet powrotny…

Zdołał się wyprostować. Wyłowił spod koszuli ziemniaka zmarłego pana Tulipana.

— Mam swój ziemniak — oświadczył z dumą. — I będzie dobrze, jasne?

William patrzył na poczerniałą od dymu twarz o przekrwionych oczach, na jej przerażający wyraz tryumfu, i wreszcie na zwisający z rzemyka pomarszczony ziemniak. Kontakt z rzeczywistością miał teraz niemal równie słaby jak pan Szpila, więc człowiek pokazujący mu ziemniaka mógł znaczyć tylko jedno.

— Ehm… nie jest zbyt zabawny — powiedział i skrzywił się, szarpiąc za kolec.

Ostatnie schematy myślowe pana Szpili się rozpadły. Puścił ziemniaka i ruchem, który nie miał nic wspólnego z namysłem, a wszystko z instynktem, wyrwał spod surduta długi sztylet. Stojąca przed nim postać rozpływała się i zmieniała w kolejny cień pośród tak wielu… Pchnął szaleńczo.

William wyrwał metal z ramienia, ręka poleciała do przodu…

I to, w obecnej chwili, było wszystkim, co zobaczył pan Szpila.

Płatki śniegu syczały na nielicznych tlących się jeszcze kawałkach drewna.

William wpatrywał się w twarz pełną zdumienia, na powoli gasnące w oczach światło. Napastnik osunął się na ziemię, mocno ściskając palcami ziemniaka.

— Och… — odezwała się w oddali Sacharissa. — Przekłułeś go… Krew kapała Williamowi z rękawa.

— Ja… tego… Chyba przydałby mi się bandaż. Lód nie powinien był gorący, to wiedział, ale szok wypełniał mu żyły płonącym zimnem. Pocił się lodem.

Sacharissa podbiegła, oddzierając rękaw bluzki.

— Chyba nie jest aż tak źle… — William próbował się cofnąć. — Mam wrażenie, że to jedna z takich… entuzjastycznych ran.

— Co zię tu działo?

William spojrzał na krew na swoim ręku, a potem na Ottona stojącego na stosie gruzu. Wampir miał zdumiony wyraz twarzy i kilka pakunków w rękach.

— Vychodzę na chvilę, żeby dokupić kvasy, i nagle cały lokal… Och, ojej…

Dobrogór szybko wyjął z kieszeni kamerton i brzęknął nim o swój hełm.

— Szybko, chłopcy! — Zamachał kamertonem w górze. — „Do naszej misji przyjdź”…

Inne krasnoludy przyłączyły się do pieśni. Otto spokojnie machnął ręką.

— Nie, całkiem nad sobą panuję, ale dziękuję mimo vszystko. Viemy przecież, o co tu chodzi, pravda? To był tłum, pravda? Zavsze przychodzi tłum, vcześniej czy później. Dostali mojego przyjaciela Borysa. Pokazyval im czarną vstążeczkę, ale oni tylko zię śmiali…

— Wydaje mi się, że chodziło im o nas wszystkich — oświadczył William. — Ale i tak żałuję, że nie miałem okazji zadać mu kilku pytań…

— Na przykład: „Czy po raz pierwszy pan kogoś dusi?” — rzucił zgryźliwie Boddony. — Albo: „Ile pan ma lat, panie Zabójco?”.

Ktoś zaczął kaszleć.

Kaszel zdawał się dobiegać z kieszeni napastnika.

William popatrzył na zaskoczone krasnoludy, by sprawdzić, czy ktoś może wie, co dalej robić. Potem z wahaniem i niezwykłą ostrożnością poklepał kieszenie brudnego garnituru i wyjął wąskie, błyszczące pudełko.

Otworzył je. Mały zielony chochlik wyjrzał ze swojej szczeliny.

— …st? — powiedział.

— Co? Osobisty De–Terminarz? — zdumiał się William. — Zabójca z De–Terminarzem?

— Sekcja spraw do załatwienia będzie chyba naprawdę ciekawa — uznał Boddony.

Chochlik zamrugał.

— Chcecie, żebym odpowiedział, czy nie? — zapytał. — Wstaw Swoje Imię zażądał milczenia, mimo szerokiego wyboru możliwych dźwięków, odpowiednich na każdy nastrój i okazję.

— Ehem… Twój poprzedni właściciel jest… poprzedni. — William obejrzał się na stygnące zwłoki pana Szpili.

— Ty jesteś nowym właścicielem?

— No… możliwe.

— Gratulacje! — zawołał chochlik. — Gwarancja traci ważność, jeśli wymienione urządzenie będzie sprzedane, wynajęte, przekazane, podarowane lub ukradzione, o ile nie znajduje się w oryginalnym opakowaniu wraz z materiałami dodatkowymi, które do tego czasu z pewnością już wyrzuciłeś, a Część Druga karty gwarancyjnej, którą zgubiłeś, nie została wypełniona i przesłana na adres Thttv ggj, thhtfjhsssjk, Scorsz z podaniem numeru referencyjnego, którego w ogóle nie zauważyłeś. Czy chcesz, żebym usunął zawartość pamięci? — Chochlik wyjął kawałek waty i przygotował się, by wsunąć ją do jednego z wielkich uszu. — Wykasować pamięć T/N?

— Twoją… pamięć…?

— Tak. Wykasować pamięć T/N?

— N! — zdecydował William. — A teraz powiedz, co takiego pamiętasz — dodał.

— Musisz nacisnąć klawisz Odtwarzania — poinformował niecierpliwie chochlik.

— A co się wtedy dzieje?

— Mały młoteczek uderza mnie w głowę, a ja wyglądam i sprawdzam, który klawisz został wciśnięty.

— A czemu zwyczajnie nie… no, nie odtworzysz?

— Słuchaj no, przecież nie ja wymyślam te reguły. Musisz przycisnąć klawisz. Tak jest w instrukcji…

William ostrożnie odsunął pudełko na bok. W kieszeni zabitego było też kilka aksamitnych woreczków. Położył je na biurku.

Krasnoludy zeszły po żelaznej drabinie prowadzącej do piwnicy. Boddony wrócił po chwili, zamyślony.

— Na dole jest jakiś człowiek — oznajmił. — Leży w… ołowiu.

— Martwy? — upewnił się William. Przyglądał się uważnie woreczkom.

— Mam nadzieję. Naprawdę mam nadzieję. Można powiedzieć, że odcisnął swój ślad. Jest trochę… ugotowany. I ma strzałę sterczącą z głowy.

— Williamie, zdajesz sobie sprawę, że okradasz zwłoki? — odezwała się surowo Sacharissa.

— Dobrze — odparł odruchowo William. — To najlepszy moment.

Przechylił woreczek i na zwęglonym drewnie rozsypały się klejnoty.

Dobrogór wydał z siebie zduszony odgłos. Po złocie klejnoty były najlepszym przyjacielem krasnoluda.

William opróżnił pozostałe woreczki.

— Jak myślisz, ile to wszystko jest warte? — zapytał, gdy drogie kamienie przestały toczyć się i mrugać.

Dobrogór wyrwał już z wewnętrznej kieszeni lupę i badał kilka co większych klejnotów.

— Co?… Och, dziesiątki tysięcy. Może i sto tysięcy. Albo o wiele więcej. Ten tutaj wart jest tysiąc pięćset, jak przypuszczam, a wcale nie jest najlepszy z nich.

— Musiał je gdzieś ukraść — uznała Sacharissa.

— Nie — odparł spokojnie William. — Słyszelibyśmy o kradzieży w takiej skali. Słyszymy tu o wielu sprawach. Jakiś młody człowiek z pewnością by ci powiedział. Sprawdź, czy nie ma przy sobie portfela, dobrze?

— Co za pomysł! I co ty…

— Sprawdź ten nieszczęsny portfel, co? To jest sensacja. Ja zaraz sprawdzę jego nogi, a wcale mnie to nie ciągnie. Ale mamy historię! Czas na histerię przyjdzie później. Zrób to. Proszę…

Na nodze martwego człowieka był na wpół wygojony ślad po ugryzieniu. Dla porównania William podwinął własną nogawkę. Sacharissa, odwracając wzrok, wyjęła z kieszeni surduta brązowy skórzany portfel.

— Jakieś sugestie, co to za jeden? — William starannie odmierzał ołówkiem ślady po zębach. Był dziwnie spokojny. Zastanawiał się, czy w ogóle cokolwiek myśli. Miał uczucie, że to jakiś sen dziejący się w innym świecie.

— Ehem… Tutaj na skórze jest coś wypalone — powiedziała Sacharissa.

— Co takiego?

— „Bardzo Niemiła Osoba” — przeczytała. — Zastanawiam się, kto może nosić portfel z takim napisem.

— Ktoś, kto nie jest miłą osobą — odparł William. — Jest tam coś jeszcze?

— Kawałek papieru z adresem. Eee… Nie miałam kiedy ci tego powiedzieć… Williamie. Ehm…

— Co tam jest napisane?

— Ulica Żadnataka 50. Ehm. Właśnie tam ci ludzie mnie złapali. Mieli klucz i wszystko. I… To jest dom twojej rodziny, prawda?

— Co chcesz, żebym zrobił z tymi klejnotami? — spytał Dobrogór.

— To znaczy, dałeś mi klucz i wszystko — tłumaczyła nerwowo Sacharissa. — Ale tam był w piwnicy człowiek, pod bardzo silnym wpływem alkoholu, i on wyglądał zupełnie jak lord

Vetinari, a potem zjawili się ci dwaj i pobili Rocky'ego…

— Niczego nie sugeruję — zaznaczył Dobrogór — ale jeśli nie są kradzione, znam mnóstwo miejsc, gdzie dadzą za nie najlepszą cenę, nawet o tej porze…

— …i oczywiście okazali się wyjątkowo nieuprzejmi, ale naprawdę nic nie mogłam poradzić…

— …a przydałoby się nam trochę szybkiej gotówki, to właśnie chciałbym podkreślić…

Dziewczyna i krasnolud uświadomili sobie nagle, że William ich nie słucha. Siedział z nieruchomą twarzą, jakby otoczony pęcherzem ciszy.

Powoli przysunął sobie De–Terminarz i nacisnął klawisz odtwarzania. Z wnętrza dobiegło ciche „Auć!".

— *...nyip–niap mapniap nyii–uidluidlwiii…*

— Co to za dźwięk? — zdziwiła się Sacharissa.

— W taki sposób chochlik sobie przypomina — wyjaśnił odruchowo William. — Tak jakby odtwarza swoje życie wstecz. Miałem kiedyś wczesną wersję czegoś takiego.

Glos ucichł.

— I co się z nią stało? — zapytał bardzo niespokojnie chochlik.

— Odniosłem do sklepu, bo nie działała jak należy.

— Ale mi ulżyło! Nie wyobrażasz sobie, jakie straszne rzeczy robili ludzie z Mk I. A dlaczego nie działał?

— Został wyrzucony z okna na trzecim piętrze — odparł William. — Za brak skłonności do współpracy.

Chochlik był odrobinę bardziej inteligentny niż większa część jego rasy. Zasalutował sprężyście.

— *...uuiiiuiidluiidlniap–niark… Próba, próba… Chyba działa…*

— To brat Szpila! — zawołała Sacharissa.

— *...niech pan coś powie, panie Tulipanie.* — Teraz zabrzmiał niski i chrapliwy głos siostry Jennifer. — *Co mam mówić. Uważam, że to wbrew naturze gadać do ...onego pudełka. To pudełko, panie Tulipanie, może być dla nas przepustką do lepszej przyszłości. Myślałem, że bierzemy ...one pieniądze. Tak, a to pomoże nam je zachować… nyipnyip…*

— Przesuń trochę do przodu — polecił William.

— *...uuiii… nyippies ma osobowość. A osobowość się liczy. Zresztą precedensy prawne…*

— To Slant! — zawołał Boddony. — Ten prawnik!

— Co mam zrobić z klejnotami? — przypomniał się Dobrogór.

— *...nyipnyip... mogę dodać do waszego honorarium jeszcze pięć tysięcy dolarów w klejnotach... nyip... Chcę wiedzieć, kto mi wydaje te rozkazy... nyip... też nie zachowujcie się bezmyślnie. Moi... klienci mają dobrą pamięć i głębokie kieszenie...*

Przerażony chochlik przeskakiwał fragmenty. William nacisnął klawisz oznaczony „Pauza".

— Slant dał mu pieniądze — powiedział. — Slant mu płacił. Słyszeliście, jak wspominał o swoich klientach? Rozumiecie? Ten tutaj to jeden z ludzi, którzy napadli na Vetinariego! I mieli klucz do naszego domu?

— Nie możemy przecież zatrzymać tych pieniędzy! — oświadczyła Sacharissa.

William znowu przycisnął klawisz.

— *...nyip... mówi się, że kłamstwo może obiec świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty...*

— To przecież jasne, że… — zaczęła Sacharissa. Wcisnął klawisz.

— *Uiidleuiidleuidle kłamstwo może obiec świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty.*

Wcisnął jeszcze raz.

— *Uiidleuiidleuidle może obiec świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty.*

— *Uiidleuiidleuidle świat dookoła, zanim prawda zdąży wciągnąć buty.*

— *Uiidleuiidleuidle prawda zdąży wciągnąć buty.*

— Dobrze się czujesz, Williamie? — zaniepokoiła się Sacharissa, widząc, że stoi nieruchomo.

— Spóźniony szok — szepnął Dobrogór. — Czasami dopada ludzi w ten sposób.

— Panie Dobrogór — rzekł ostrym tonem William, wciąż odwrócony do nich plecami. — Mówił pan, że udałoby się zdobyć nową prasę.

— Mówiłem, że kosztują…

— …garść rubinów? Dobrogór rozprostował palce.

— Czyli one są nasze? — Tak!

— No cóż… Rano mógłbym kupić z dziesięć pras, ale to jednak nie to samo co kupowanie cukierków…

— Chcę za pół godziny zacząć druk. Otto, zrobisz mi obrazki nogi brata Szpili. Chcę wypowiedzi wszystkich, włącznie z Paskudnym Starym Ronem. I jeszcze obrazek Wufflesa, Otto. I chcę mieć prasę drukarską!

— Mówię przecież, nie zdobędę prasy w środku no… Podłoga zadygotała. Zgliszcza zaczęły się osypywać. Wszyscy spojrzeli ku oświetlonym oknom „SuperFaktów". Sacharissa, która obserwowała Williama szeroko otwartymi oczami, oddychała tak gwałtownie, że Otto jęknął, odwrócił wzrok i zaczął gorączkowo nucić.

— Tam jest wasza prasa! — krzyknęła. — Musicie tylko ją wziąć!

— Owszem, ale kradzież jest… — zaczął krasnolud.

— Pożyczka — poprawił go William. — I połowa klejnotów jest wasza.

Gunilla rozszerzył nozdrza.

— Powiedzmy tyle… — zaczął bardzo głośno, po czym rzekł: — Naprawdę powiedziałeś „połowa"?

— Tak.

— No to bierzmy się do roboty, chłopcy.

* * *

Jeden z dozorców w „SuperFaktach" zapukał ostrożnie do drzwi Carneya.

— Tak, Causley? Czy Dibbler już się zjawił?

— Nie, proszę pana. Ale jakaś młoda dama chce się z pa nem widzieć. To ta panna Cripslock. — Dozorca wytarł ręce szmatą.

— Naprawdę? — Carney ucieszył się wyraźnie.

— Tak, proszę pana. Bardzo jest zdenerwowana. I ma ze sobą tego typa, de Worde'a.

Uśmiech Carneya nieco zbladł. Z wielką uciechą obserwował przez okno pożar, ale miał dość rozsądku, by nie wychodzić na ulicę. Słyszał, że krasnoludy są bardzo porywcze, a na pewno obwiniałyby jego. Tymczasem nie miał pojęcia, dlaczego ta szopa stanęła w ogniu. No ale w końcu można się było tego spodziewać.

— Czyli… czas na odrobinę pokory, co? — wymruczał na wpół do siebie.

— Naprawdę, proszę pana?

— Przyślij ich tutaj.

Usiadł wygodnie i przyjrzał się leżącej na biurku azecie. Niech demony porwą tego Dibblera! Najdziwniejsze było, że wszystkie historie, jakie pisał, przypominały te nędzne kiełbaski, które sprzedawał — człowiek widział, co to takiego, a jednak podążał aż do końca i wracał po więcej.

Wymyślanie ich nie było tak łatwe, jak mogłoby się wydawać. Dibbler miał talent. Pisał historię o jakimś wielkim potworze, którego widziano w sadzawce w Rajd Parku, a zaraz zgłaszało się pięciu czytelników przysięgających, że oni też go widzieli. Zwyczajni, normalni ludzie, jakich codziennie spotyka się na ulicy. Jak on to robił? Biurko Carneya zaścielały jego własne nieudane próby. Potrzebna jest jakaś szczególna wyobra…

— Och, Sacharissa — powiedział, wstając, kiedy wsunęła się do gabinetu. — Proszę, usiądź. Obawiam się, że nie mam krzesła dla twojego… przyjaciela. — Skinął Williamowi. — Czy mogę wyrazić współczucie z powodu pożaru?

— To pańskie biuro — odparł zimno William. — Może pan wyrażać wszystko, co pan zechce.

— Nie bądź taki, Williamie — upomniała go Sacharissa. — Właśnie z tego powodu, Ronnie, zjawiamy się u ciebie.

— Doprawdy? — Carney się uśmiechnął. — Byłaś trochę niemądrą dziewczynką, prawda?

— Tak, no bo… Wiesz, wszystkie nasze pieniądze… — Sacharissa pociągnęła nosem. — Prawdę mówiąc… nic nam nie zostało. A przecież… tak ciężko pracowaliśmy, tak ciężko, a teraz wszystko przepadło…

Zaczęła szlochać.

Ronnie Carney pochylił się przez biurko i poklepał ją po ręce.

— Czy mogę ci jakoś pomóc? — zapytał.

— Wiesz, miałam nadzieję… zastanawiałam się, czy… no, czy sądzisz, że byłoby możliwe… żebyś pozwolił nam skorzystać dzisiaj z jednej z twoich pras?

Carney wyprostował się nagle.

— Co takiego?! Oszalałaś?! Sacharissa wytarła nos chusteczką.

— Tak myślałam, że pewnie powiesz coś takiego — stwierdziła ze smutkiem.

Nieco udobruchany Carney znów się pochylił i pogładził jej dłoń.

— Pamiętam, jako dzieci bawiliśmy się razem… — zaczął.

— Nie sądzę, żeby to była zabawa. — Sacharissa zaczęła grzebać w swojej torebce. — Ty mnie goniłeś, a ja biłam cię po głowie drewnianą krową. Ach, tutaj jest…

Odrzuciła torebkę, wstała i wymierzyła prosto w wydawcę jedną ze sprężynowych kusz zmarłego pana Szpili.

— Pozwól nam skorzystać z twojej „onej” prasy, bo jak nie, to zestrzelę ci tę „oną” głowę z „onego” karku! — wrzasnęła. — Chyba tak powinno się to mówić, prawda?

— Nie ośmielisz się pociągnąć za spust! — powiedział Carney, kuląc się w fotelu.

— To była śliczna krówka, a któregoś dnia walnęłam cię tak mocno, że odłamałam jej nogę — powiedziała Sacharissa rozmarzonym głosem.

Carney spojrzał błagalnie na Williama.

— Czy mógłby pan jakoś przemówić jej do rozsądku?

— Chcemy tylko na jakąś godzinę wypożyczyć pańską prasę, panie Carney — oświadczył William. Sacharissa mierzyła rurą kuszy prosto w nos Carneya; na twarzy miała niepokojąco dziwny uśmiech. — Potem sobie pójdziemy.

— Co chcecie zrobić? — zapytał Carney chrapliwie.

— No więc przede wszystkim zamierzam pana związać — odparł William.

— Nie! Zawołam dozorców!

— Myślę, że… są chwilowo zajęci — oświadczyła Sacharissa.

Carney przez chwilę nasłuchiwał. Na dole panowała niezwykła cisza.

Zgarbił się bezsilnie.

* * *

Drukarze „SuperFaktów" otaczali pierścieniem Dobrogóra. — Słuchajcie, chłopcy — rzekł krasnolud. — To działa tak. Każdy, kto dzisiaj wcześniej pójdzie do domu z powodu bólu głowy, dostanie sto dolarów. Jasne? To stary klatchiański zwyczaj.

— A co się stanie, jeśli nie pójdziemy? — spytał brygadzista, sięgając po młotek.

— No vięc… — odezwał się głos przy jego uchu — …vtedy napravdę dostaniesz… bólu głovy.

Zajaśniała błyskawica i zahuczał grom. Otto tryumfalnie wzniósł zaciśniętą pięść.

— Tak jest! — krzyknął, gdy drukarze rzucili się do drzwi. — Kiedy napravdę, napravdę jest potrzebny, to zię zjavia! Spróbujemy jeszcze raz… Zamek! — Grom przetoczył się znowu. Wampir aż podskakiwał z radości, powiewając połami kamizelki. — Ha! Teraz to rozumiem! Jeszcze raz, z uczuciem! Jaki vielki… zamek!

Grom zahuczał jeszcze głośniej.

Otto zatańczył z radości. Nie mógł się opanować. Łzy spływały po jego szarej twarzy.

— Muzyka z Wykrokiem! — wrzasnął.

* * *

W ciszy po huku gromu William wyjął z kieszeni aksamitny woreczek i przechylił go nad biurkową suszką. Carney wytrzeszczył oczy, widząc klejnoty. — Warte ze dwa tysiące dolarów — rzekł William. — Co najmniej. Nasze wpisowe do gildii. Zostawię je tutaj, dobrze? Nie warto wypisywać pokwitowania. Ufamy ci.

Carney nie odpowiedział z powodu knebla. Był przywiązany do fotela.

W tym momencie Sacharissa pociągnęła za spust. Nic się nie stało.

— Musiałam zapomnieć, nie włożyłam tej spiczastej strzały — powiedziała, gdy Carney zemdlał. — Ależ ze mnie głuptaska! „Ona". Wiesz, lepiej się czuję, kiedy to mówię. „Ona". „Onaona — onaonaona". Ciekawe, co to znaczy.

* * *

Gunilla Dobrogór spojrzał wyczekująco na Williama, który kołysał się lekko i próbował myśleć. — No dobrze — powiedział w końcu. Przymknął oczy i ścisnął palcami grzbiet nosa. — Tytuł na trzy linie, tak szeroki, jaki się zmieści. Pierwsza linia: „Spisek ujawniony!". Masz? Następna: „Lord Vetinari niewinny!".

Zawahał się przy tym, ale machnął ręką. Później ludzie mogą dyskutować nad ogólną prawdziwością tej tezy. W tej chwili nie było to ważne.

— Tak? — odezwał się Gunilla. — A następna linia?

— Zapisałem ją. — William podał mu kartkę wyrwaną z notesu. — Wersaliki poproszę. Duże. Największe, jakie znajdziesz. Takie, jakich „SuperFakty" używają na elfy i wybuchających ludzi.

— To? — zdziwił się krasnolud, sięgając do pudełka z wielkimi literami. — To jest nowina?

— Teraz tak.

William przerzucał kartki notesu.

— Nie napiszesz najpierw tego tekstu? — zapytał krasnolud.

— Nie ma czasu. Gotowy? „Spisek zmierzający do nielegalnego przejęcia władzy w Ankh–Morpork został ujawniony wczoraj w nocy, po wielu dniach cierpliwego prowadzonego przez Straż Miejską dochodzenia". Od nowego wiersza… Jak ustalił «Puls», dwóch zabójców, którzy

w obecnej chwili nie żyją, zostało sprowadzonych spoza miasta, by oczernić lorda Vetinariego i pozbawić go urzędu Patrycjusza". Od nowego wiersza… „Wykorzystali niewinnego człowieka, niezwykle wręcz podobnego do lorda Vetinariego, aby podstępem przedostać się do pałacu. Wewnątrz…".

— Czekaj, czekaj — przerwał mu Dobrogór. — Przecież nie straż to wykryła, ale ty.

— Powiedziałem tylko, że pracowali przez wiele dni — odparł William. — To prawda. Nie muszę pisać, że dreptali w miejscu. — Zauważył spojrzenie Gunilli. — Posłuchaj, bardzo niedługo zyskam sobie więcej niesympatycznych wrogów, niżbym chciał. Wolę, żeby Vimes się na mnie wściekał, bo przeze mnie dobrze wygląda, niż za to, że przeze mnie wygląda marnie. Jasne?

— Mimo to…

— Nie dyskutuj ze mną!

Dobrogór się nie ośmielił. William miał taki wyraz twarzy… Chłopak zamarł na chwilę, słuchając tego pudełka, a potem ocknął się… inny. Bardziej drażliwy i o wiele mniej cierpliwy. Wyglądał, jakby miał gorączkę.

— Dobrze… Na czym skończyłem?

— „Wewnątrz…" — podpowiedział krasnolud.

— W porządku. „Wewnątrz…", nie, napisz: „Według ustaleń «Pulsu» lord Vetinari został…", chwileczkę, Sacharisso, mówiłaś, że ten człowiek w piwnicy wyglądał zupełnie jak Vetinari?

— Tak. Fryzura i wszystko.

— Dobra. „Według ustaleń «Pulsu» lord Vetinari został obezwładniony w chwili zaskoczenia, kiedy zobaczył siebie wchodzącego do gabinetu".

— Tak ustaliliśmy? — zdziwiła się Sacharissa.

— Tak. To ma sens. Kto będzie się kłócił? Na czym to… Aha… „Ich plany pokrzyżował pies lorda Vetinariego, Wuffles (16), który zaatakował obu mężczyzn". Nowy akapit. „Hałas zwrócił uwagę sekretarza lorda Vetinariego, Rufusa Drumknotta", niech to, zapomniałem spytać, ile ma lat… „który został uderzony i stracił przytomność". Akapit. „Napastnicy próbowali wykorzystać to nieoczekiwane wtargnięcie w swoim"… jakie będzie najlepsze słowo? Już wiem… „w swoim nikczemnym planie. Jeden z nich przebił Drumknotta sztyletem należącym do lorda Vetinariego, by wyglądało, że Patrycjusz jest szaleńcem lub mordercą". Akapit. „Działając bezwzględnie i przebiegle"…

— Naprawdę coraz lepiej ci idzie — stwierdziła z uznaniem Sacharissa.

— Proszę mu nie przerywać — syknął Boddony. — Chcę się dowiedzieć, co ci nikczemnicy zrobili potem!

— „Działając bezwzględnie i przebiegle, zmusili fałszywego lorda Vetinariego…".

— Dobre słowo, dobre słowo — mruczał Gunilla, składając gorączkowo.

— Jesteś przekonany, że „zmusili"? — upewniła się Sacharissa.

— To nie są… nie byli ludzie, którzy proszą uprzejmie — odparł szorstko William. — Eee… „zmusili fałszywego lorda Vetinariego… by kłamliwie przyznał się do winy w obecności służących zwabionych hałasem na miejsce przestępstwa. Potem we trzech, niosąc nieprzytomnego lorda Vetinariego, nękani przez psa Wufflesa (16), zeszli schodami i ruszyli do stajni". Akapit. „Tam zaaranżowali całą scenę tak, by sugerowała, że lord Vetinari próbował okraść miasto, jak można było przeczytać w"…

— „Wyłącznie w"… — dopowiedziała Sacharissa.

— Słusznie, „wyłącznie w «Pulsie»„. Akapit. .Jednakże pies Wuffles uciekł" myślnik „i stał się przyczyną szeroko zakrojonych poszukiwań, prowadzonych zarówno przez straż, jak i przestępców. Psa odnalazła grupa praworządnych obywateli, którzy…".

Jakaś czcionka wypadła Gunilli z palców.

— Chodzi ci o Paskudnego Starego Rona i tę bandę?

— „…praworządnych obywateli" — powtórzył William, gwałtownie kiwając głową — „…którzy ukrywali go, podczas gdy…".

* * *

Zimowe burze miały całe równiny Sto Lat, by nabrać prędkości. Kiedy uderzały w Ankh–Morpork, były szybkie, ciężkie i pełne złości. Ta złość tym razem przybrała formę gradu. Lodowe kule wielkości pięści rozbijały się na dachach, blokowały rynsztoki i zasypywały ulice.

Bębniły w dach dawnego składu przy Błyskotnej. W jednym czy drugim oknie wybiły szyby.

William krążył tam i z powrotem, starając się przekrzyczeć burzę. Od czasu do czasu przewracał kartki w notesie. Wrócił Otto i wręczył krasnoludom kilka płyt ikonograficznych. Drukarze wlekli się na stanowiska, gotowi do pracy.

William urwał. Ostatnie litery ze stukiem trafiły na miejsca.

— Zobaczmy, jak to na razie wygląda.

Dobrogór pokrył skład farbą, ułożył na nim kartkę papieru i ręcznie przejechał wałkiem. Bez słowa podał wydruk Sacharissie.

— Jesteś tego pewien, Williamie? — spytała.

— Tak.

— Chodzi mi, wiesz, o pewne fragmenty… Jesteś pewien, że to prawda?

— Jestem pewien, że to codziennikarstwo.

— A to niby co ma znaczyć?

— To znaczy, że w tej chwili jest to dostatecznie prawdziwe.

— Ale czy znasz nazwiska tych ludzi? William się zawahał.

— Panie Dobrogór, można wstawić dodatkowy akapit w dowolnym miejscu tekstu?

— Żaden problem.

— Dobrze. No więc proszę złożyć: „«Puls» może poinformować, że zabójców wynajęła grupa wpływowych obywateli, kierowana przez”… „«Puls» może poinformować”… — Nabrał tchu. — Od początku: „Spiskowcami, jak ustalił «Puls», dowodził”… — Pokręcił głową. — „Dowody wskazują”… Hm… „Dowody, jak ustalił «Puls», wskazują”… „Wszelkie dowody, jakie zebrał «Puls»„…jakie zgromadził”…

Umilkł.

— Czy to będzie długi akapit? — spytał Dobrogór. William patrzył żałośnie na wilgotny druk.

— Nie. To chyba wszystko. Na tym skończymy. Dołóż linijkę mówiącą, że „Puls” będzie pomagał straży w śledztwie.

— Dlaczego? — zdziwił się Gunilla. — Przecież jesteśmy niewinni…

— Zrób to, proszę. — William zmiął próbny druk w kulkę, rzucił ją na blat i powlókł się do prasy.

Sacharissa znalazła go po kilku minutach. Hala drukarni zawsze ma sporo zakątków i kryjówek, używanych najczęściej przez tych, których obowiązki wymagają czasem, by zniknęli i mogli w spokoju zapalić. William siedział na stosie papieru i patrzył w pustkę.

— Czy chciałbyś o czymś porozmawiać? — zaproponowała.

— Nie.

— Wiesz, kim są ci spiskowcy?

— Nie.

— A czy prawdziwe byłoby stwierdzenie, że podejrzewasz, kim są spiskowcy?

Rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Próbujesz na mnie codziennikarstwa?

— Czyli mam go próbować na wszystkich pozostałych, tak? Ale nie na tobie?

Usiadła obok. William z roztargnieniem wcisnął klawisz De–Terminarza.

— *Uiidluidl prawda zdąży wciągnąć buty…*

— Twoje stosunki z ojcem nie są najlepsze, praw… — zaczęła Sacharissa.

— Co ja mam teraz zrobić? — przerwał jej William. — To jego ulubione powiedzonko. Mówi, że dowodzi, jak naiwni są ludzie. Ci zabójcy dysponowali naszym domem. On siedzi w tym po uszy!

— Może po prostu wyświadczył komuś przysługę…

— Gdy mój ojciec się w coś angażuje, to on jest przywódcą — oświadczył spokojnie William. — Jeśli tego nie wiesz, to w ogóle nie znasz de Worde'ów. Nie przystępujemy do żadnego zespołu, w którym nie możemy być kapitanami.

— Ale to byłoby trochę niemądre, przyznasz, pozwolić im korzystać z własnego domu…

— Nie, tylko bardzo aroganckie. Widzisz, my zawsze byliśmy uprzywilejowani. Przywilej oznacza po prostu „własne prawo". Dokładnie tyle. On zwyczajnie nie wierzy, że zwykłe prawa jego też dotyczą. Nie wierzy, że mogą go dotykać, a jeśli spróbują, będzie krzyczał, aż dadzą spokój. Taka jest tradycja de Worde'ów i dobrze sobie w niej radzimy. Krzyczeć na ludzi, robić po swojemu, ignorować reguły. To metoda de Worde'ów. Aż do mnie, najwyraźniej.

Sacharissa bardzo się pilnowała, by nie zmieniać wyrazu twarzy.

— I tego się nie spodziewałem — dokończył William, obracając w dłoniach pudełko.

— Mówiłeś, że chcesz dotrzeć do prawdy…

— Tak, ale nie do tego! Ja… musiałem gdzieś się pomylić. Na pewno. Musiałem. Nawet mój ojciec nie może być aż tak… aż tak głupi. Muszę odkryć, co naprawdę się dzieje.

— Nie masz chyba zamiaru się z nim spotykać? — spytała Sacharissa.

— Owszem. Do tej pory na pewno już wie, że wszystko skończone.

— Więc przynajmniej zabierz kogoś ze sobą!

— Nie! — burknął William. — Posłuchaj, ty nie wiesz, jacy są przyjaciele mojego ojca. Są wychowywani do wydawania rozkazów. Wiedzą, że stoją po właściwej stronie, ponieważ jeśli oni tam stoją, to jest właściwa z definicji. A kiedy czują się zagrożeni, przypominają walczących

na gołe pięści, tyle że nigdy nie zdejmują rękawiczek. To zbiry. Zbiry i dręczyciele, dręczyciele najgorszego rodzaju, bo nie są tchórzami i jeśli ktoś im się postawi, biją jeszcze mocniej. Dorastali w świecie, gdzie jeśli ktoś sprawiał za dużo kłopotów, mogli go… zniknąć. Myślisz, że Mroki to niedobra dzielnica? W takim razie nie masz pojęcia, co się dzieje przy alei Parkowej! A mój ojciec to jeden z najgorszych. Ale jesteśmy rodziną. I… troszczymy się o rodzinę. Dlatego nic mi nie grozi. Zostań tu i pomóż im wydać azetę, dobrze? Połowa prawdy jest lepsza niż nic — dodał z goryczą.

— Co zię tu działo? — zapytał Otto.

Podszedł do Sacharissy, kiedy William gwałtownie wymaszerował z hali.

— Och, on… on poszedł się zobaczyć z ojcem. — Sacharissa wciąż była trochę oszołomiona. — A ojciec najwyraźniej nie jest miłym człowiekiem. Był bardzo… rozgorączkowany. Bardzo zdenerwowany.

— Przepraszam… — odezwał się ktoś.

Sacharissa obejrzała się, ale za nią nie było nikogo. Niewidzialny mówca westchnął.

— Nie. Tu, na dole — powiedział.

Sacharissa spojrzała na zdeformowanego różowego pudla.

— Nie ma co owijać w fawełnę — stwierdził. — Tak, tak, psy nie mówią. Trafiliście fezfłędnie, frawo. Więc może macie jakieś niezwykłe siły psychiczne. I uznajemy sprawę za załatwioną. Trudno mi fyło nie usłyszeć, fo słuchałem. Chłopak pakuje się w kłopoty, tak? Potrafię wyczuć kłopoty…

— Czy jesteś kimś v rodzaju vilkołaka? — zapytał Otto.

— Tak, pewno, przy każdej pełni księżyca rofię się strasznie zarośnięty — odpowiedział pies lekceważąco. — Wyofraźcie sobie, jak to wpływa na moje życie towarzyskie. A teraz słuchajcie…

— Ale przecież psy nie mówią… — zaczęła Sacharissa.

— Wielcy fogowie… — westchnął Gaspode. — A czy ja powiedziałem, że mówię?

— No, może nie wprost…

— Właśnie. Wspaniała rzecz, ta fenomenologia. Teraz do rzeczy. Właśnie zofaczyłem, jak wychodzi moje sto dolarów, a chciał — fym widzieć, że wracają. Jasne? Lord de Worde jest najpaskudniejszym typem, jakiego tylko można spotkać w mieście.

— Znasz arystokratów? — zdziwiła się Sacharissa.

— Kot też może patrzeć na króla, nie? To legalne.

— Chyba tak…

— No więc dla psów to też ofowiązuje. Musi, jeśli ofowiązuje dla tych przefrzydłych kiciusiów. Znam wszystkich. Poważnie. Lord de Worde kiedyś posyłał kamerdynera, żefy wykładał zatrute mięso dla ulicznych psów.

— Ale chyba nie zrobi krzywdy Williamowi… Prawda?

— Nie lufie się zakładać — odparł Gaspode. — Ale gdyfy zrofił, to jak, nadal dostanę te sto dolarów?

— Nie volno nam odstąpić od niego w takiej chvili — oświadczył Otto. — Lubię Villiama. Nie vychovano go na miłego człovieka, ale napravdę zię stara, a nie ma nawet kakao i vspólnych śpievów do pomocy. Trudno jest postępovać vbrev własnej naturze. Musimy… mu pomóc.

* * *

Śmierć odstawił ostatnią klepsydrę z powrotem w powietrze, gdzie rozpłynęła się z wolna.

I JAK? — zapytał. CZY TO NIE BYŁO CIEKAWE? CO DALEJ, PANIE TULIPANIE? JEST PAN GOTÓW ODEJŚĆ?

Pan Tulipan siedział na zimnym piasku i wpatrywał się w pustkę.

PANIE TULIPANIE… — powtórzył Śmierć. Wiatr szarpał jego szatę, aż powiewała niczym długa wstęga ciemności.

— Ja… Musi mi być naprawdę przykro?

O TAK TO TAKIE PROSTE SŁOWO. ALE TUTAJ… TUTAJ MA ZNACZENIE. MA… SUBSTANCJĘ.

— Tak, wiem. — Pan Tulipan uniósł głowę. Oczy miał zaczerwienione, twarz opuchniętą. — Tak myślę… żeby naprawdę żałować, trzeba nieźle się do tego przymierzyć.

TAK

— No więc… ile mam czasu?

CAŁY CZAS ŚWIATA.

— Tak… może tyle mi wystarczy. Może wtedy nie będzie już …onego świata, żeby do niego wracać.

WYDAJE MI SIĘ, ŻE TO NIE DZIAŁA W TEN SPOSÓB. JAK ROZUMIEM,

REINKARNACJA MOŻE NASTĄPIĆ W DOWOLNYM OKRESIE. KTO POWIEDZIAŁ, ŻE ŻYWOTY MUSZĄ NASTĘPOWAĆ SEKWENCYJNIE?

— Mówisz… że mogę żyć, zanim się urodziłem?

TAK

— Może mógłbym siebie odszukać i zabić — mruknął pan Tulipan, patrząc na piasek.

NIE, PONIEWAŻ NIE BĘDZIE PAN WIEDZIAŁ. I MOŻE PAN PROWADZIĆ CAŁKIEM INNE ŻYCIE.

— Dobrze…

Śmierć poklepał pana Tulipana po ramieniu, które drgnęło pod jego dotknięciem.

TERAZ PANA ZOSTAWIĘ…

— Niezła ta twoja kosa — pochwalił pan Tulipan, powoli i z wysiłkiem. — Te srebrne zdobienia to prawdziwe mistrzostwo, nie ma co…

DZIĘKUJĘ, powiedział Śmierć. A TERAZ NAPRAWDĘ MUSZĘ JUŻ IŚĆ. ALE BĘDĘ CZASEM TĘDY PRZECHODZIŁ. MOJE DRZWI, dodał, ZAWSZE SĄ OTWARTE.

Odszedł. Przygarbiona sylwetka zniknęła w mroku, ale pojawiła się nowa, biegnąca szaleńczo po niezupełnie piasku.

Wymachiwała ziemniakiem na sznurku. Zatrzymała się na widok Śmierci, a potem — ku tegoż Śmierci zdumieniu — obejrzała się za siebie. Większość ludzi, stając twarzą w twarz ze Śmiercią, przestaje się martwić o cokolwiek, co znajdowało się za nimi.

— Czy ktoś mnie goni? Widzisz kogoś?

NO… NIE. A SPODZIEWAŁ SIĘ PAN KOGOŚ?

— No to świetnie. Nikogo, tak? Świetnie. — Pan Szpila wyprostował ramiona. — No tak. Ha! Patrz, mam swojego ziemniaka!

Śmierć mrugnął błękitem i wyjął spod szaty klepsydrę.

PAN SZPILA? ACH, TEN DRUGI. NO WIĘC JA SIĘ PANA SPODZIEWAŁEM.

— Tak, to ja. Mam ziemniaka, widzisz, i bardzo mi przykro z powodu wszystkiego! — Pan Szpila był teraz całkiem spokojny. W górach szaleństwa często trafiają się niewielkie płaskowyże normalności.

Śmierć spoglądał na jego uśmiechniętą obłąkańczo twarz.

JEST PANU BARDZO PRZYKRO?

— O tak!

ZA WSZYSTKO?

— Tak.

W TEJ CHWILI? W TYM MIEJSCU? OŚWIADCZA PAN, ŻE JEST PANU PRZYKRO?

— Zgadza się. Załapałeś. Niegłupi jesteś. Więc jeśli tylko mi pokażesz, jak wrócić…

MOŻE CHCIAŁBY PAN TO JESZCZE PRZEMYŚLEĆ?

— Żadnych dyskusji. Chcę tego, co mi się należy — odparł pan Szpila. — Mam swojego ziemniaka. Popatrz.

WIDZĘ.

Śmierć sięgnął pod szatę i wyjął coś, co wyglądało jak jego miniaturowa kopia. Tyle że — jak zauważył pan Szpila — spod małego kaptura wystawała szczurza czaszka.

Śmierć uśmiechnął się.

PROSZĘ SIĘ PRZYWITAĆ Z MOIM MAŁYM PRZYJACIELEM, powiedział.

Śmierć Szczurów sięgnął kościstą łapką i porwał rzemyk.

— Hej…

NIE NALEŻY CAŁEGO ZAUFANIA POKŁADAĆ W ROŚLINACH BULWIASTYCH. PEWNE RZECZY CZASEM NIE SĄ TAKIE, JAKIE SIĘ WYDAJĄ, oznajmił Śmierć. JEDNAKŻE NIKT MI NIE ZARZUCI, ŻE NIE PRZESTRZEGAM PRAW. Pstryknął palcami. WRACAJ WIĘC TAM, GDZIE POWINIENEŚ…

Wokół zamigotało niebieskie światło, po czym zdumiony pan Szpila zniknął.

Śmierć westchnął i pokręcił głową.

TEN PIERWSZY… MIAŁ W SOBIE COŚ, CO MOGŁOBY BYĆ LEPSZE, stwierdził. ALE TEN… — Westchnął głębiej. KTO WIE, JAKIE ZŁO CZAI SIĘ W LUDZKICH SERCACH?

Śmierć Szczurów uniósł pyszczek znad ziemniaczanej uczty.

PIP, powiedział.

Śmierć machnął lekceważąco ręką.

NO TAK, PEWNIE, OCZYWIŚCIE, ŻE JA, powiedział. ZASTANAWIAŁEM SIĘ TYLKO, CZYJEST KTOŚ JESZCZE.

Przeskakując od bramy do bramy, William zdał sobie sprawę, że wybrał okrężną drogę. To dlatego, jak pewnie powiedziałby Otto, że wcale nie chciał dotrzeć do celu.

Burza przycichła nieco, choć kłujące kulki gradu wciąż odbijały się od jego kapelusza. O wiele większe kulki z pierwszego ataku wypełniały rynsztoki i zaścielały ulice. Wozy ślizgały się

na nich, przechodnie kulili się pod ścianami.

Mimo emocji wyjął notes i zapisał: *grd wkszy niż piki d golf?* — i pomyślał, że trzeba będzie sprawdzić rozmiar piłki golfowej. Na wszelki wypadek. Jakaś część jego umysłu zaczynała rozumieć, że czytelnicy mogą przyjmować dość swobodną postawę w kwestii winy polityków, ale będą gorąco się spierać o rozmiary opadów.

Zatrzymał się na Mosiężnym Moście i ukrył pod osłoną jednego z wielkich hipopotamów. Grad spadał gęsto na powierzchnię rzeki z tysiącem cichych mlaśnięć.

Żywioł powoli się uspokajał.

Przez większą część życia Williama lord de Worde był odległą postacią, wyglądającą przez okno swego gabinetu o ścianach zastawionych nigdy nieczytanymi książkami. William stał wtedy pokornie na środku całych akrów drogiego, ale wytartego dywanu i słuchał… no, głównie zjadliwości, jak to teraz oceniał — poglądów pana Windlinga, ubranych w bardziej wyszukane słowa.

Najgorsze w tym, ale rzeczywiście najgorsze było to, że lord de Worde nigdy się nie mylił. W ogóle nie pojmował takiego położenia w relacji do swojej osobistej geografii. Ludzie prezentujący przeciwne poglądy musieli być zwyczajnie obłąkani, niebezpieczni, a możliwe, że w ogóle nie byli ludźmi. Nie dało się dyskutować z lordem de Worde. Dyskusja oznacza debatę, wymianę argumentów, perswazję przy użyciu rozumowania. Z ojcem Williama możliwa była jedynie wściekła kłótnia.

Lodowata woda ściekała z posągu i spływała Williamowi po szyi.

Lord de Worde używał słów z intonacją i głośnością, które sprawiały, że działały jak pięści. Sam jednak nigdy nie uciekał się do przemocy.

Od tego miał ludzi.

Następna kropla roztopionego gradu powędrowała po karku Williama w dół.

Przecież nawet jego ojciec nie może być aż tak głupi…

Zastanawiał się, czy nie powinien już teraz przekazać straży wszystkiego, czym dysponował. Ale cokolwiek ludzie mówią o Vimesie, w ostatecznym rozrachunku miał tylko garstkę ludzi i bardzo wielu wpływowych wrogów, pochodzących z rodów liczących sobie tysiące lat, a posiadających tyle honoru, ile można zaobserwować podczas walki psów.

Nie. Należał do de Worde'ów. Straż jest dla innych, którzy nie potrafią sami rozwiązywać swoich problemów. Zresztą co najgorszego może go spotkać?

Tak wiele różnych rzeczy, pomyślał, ruszając w dalszą drogę, że trudno zdecydować, która z nich jest najgorsza.

* * *

Pośrodku podłogi jarzyła się galaktyka świec. W skorodowanych lustrach wyglądały jak światła ławicy ryb głębinowych.

William przeszedł obok przewróconych foteli. Jeden stał prosto, za świecami.

— Ach… William — odezwał się fotel.

A potem lord de Worde wolno wysunął swą kościstą postać spomiędzy obitych skórą oparcia i poręczy, i stanął w świetle.

— Ojcze — powiedział William.

— Domyślałem się, że tu przyjdziesz. Twoja matka też zawsze lubiła to miejsce. Oczywiście, w tamtych czasach było… inne.

William milczał. Rzeczywiście było inne.

— Myślę, że pora już skończyć z tym nonsensem. Prawda? — rzekł lord de Worde.

— Myślę, że on właśnie dobiega końca, ojcze.

— Ale nie wydaje mi się, żebyś miał na myśli to samo co ja.

— Nie wiem, co ci się wydaje, że masz na myśli — oświadczył William. — Chcę tylko usłyszeć od ciebie prawdę.

Lord de Worde westchnął.

— Prawdę? Wiesz dobrze, że tylko dobro miasta leżało mi na sercu. Pewnego dnia zrozumiesz, że Vetinari prowadzi je do ruiny.

— No tak… W tym miejscu wszystko się komplikuje, prawda? — William byl zdumiony, że głos jeszcze mu nie drży. — Przecież każdy powtarza coś takiego. „Chciałem jak najlepiej", „cel uświęca środki"… te same słowa, za każdym razem.

— Czyżbyś się nie zgadzał, że czas już na władcę, który słucha ludzi?

— Możliwe. A o których ludzi ci chodzi?

Łagodna twarz lorda de Worde zmieniła się nagle. William był zdziwiony, że przetrwała tak długo.

— Masz zamiar to napisać w tej swojej szmatławej azecie, tak?

William milczał.

— Niczego nie możesz udowodnić. Wiesz o tym.

William wszedł w krąg światła i lord de Worde zobaczył notes.

— Mogę udowodnić dosyć. Tylko tyle się liczy. Reszta będzie obiektem… śledztwa. Wiesz, że Vimesa nazywają terierem Vetinariego? Teriery kopią, kopią i nie rezygnują.

Lord de Worde położył dłoń na rękojeści miecza. A William usłyszał swoje myśli: Dziękuję ci. Dziękuję. Aż do teraz nie mogłem w to uwierzyć…

— Nie masz krzty honoru, co? — zapytał ojciec, wciąż tonem rozwścieczającego spokoju. — No cóż, opublikuj to i bądź przeklęty. Ty i straż. Nie wydaliśmy rozkazu, by…

— Nie spodziewałem się, że wydacie. Spodziewam się, że powiedzieliście „zajmijcie się tym", a szczegóły zostawiliście takim ludziom jak Szpila i Tulipan. Zakrwawione ręce na odległość wyciągniętego ramienia.

— Jako twój ojciec rozkazuję ci, byś zaprzestał tego… tego…

— Kiedyś rozkazywałeś mi, żebym mówił prawdę — przypomniał mu William.

— Och, Williamie, Williamie… Nie bądź taki naiwny. William zamknął notes. Słowa napływały teraz łatwiej. Skoczył z dachu i odkrył, że umie latać.

— A która to? — zapytał. — Prawda, która jest tak cenna, że musi ją otaczać kordon kłamstw? Prawda, która jest dziwniejsza niż fikcja? Czy też prawda, która wciąż wciąga buty, kiedy kłamstwo biegnie już wokół świata? — Zrobił krok naprzód. — To twoje powiedzonko, zgadza się? Teraz już nie ma znaczenia. Myślę, że pan Szpila chciał cię szantażować… i wiesz co? Ja też spróbuję, choć taki jestem naiwny. Wyjedziesz z miasta. Natychmiast. To nie powinno być dla ciebie trudne. I módl się, żeby nic się nie przydarzyło mnie, ludziom, z którymi pracuję, ani nikomu, kogo znam.

— Doprawdy?

— Natychmiast! — krzyknął William tak głośno, że lord de Wor — de odchylił się do tyłu. — Czy oprócz tego, że oszalałeś, na dodatek jeszcze ogłuchłeś? Wyjedziesz natychmiast i nigdy nie wrócisz, bo jeśli nie, opublikuję każde słowo, które właśnie powiedziałeś! — William wyjął z kieszeni De — Terminarz. — Każde słowo! Słyszałeś? I nawet Slant cię z tego nie wyciągnie! Byłeś tak arogancki, tak głupio arogancki, że pozwoliłeś im korzystać z naszego domu! Jak śmiałeś? Wynoś się z miasta! I albo wyciągnij ten miecz, albo zabierz… od niego… rękę!

Urwał, zaczerwieniony i zdyszany.

— Prawda wciągnęła buty — dodał po chwili. — I teraz zacznie kopać. — Zmrużył oczy. — Powiedziałem ci, zabierz rękę od tego miecza!

— Taki niemądry, taki strasznie niemądry… A ja wierzyłem, że jesteś moim synem.

— A tak, byłbym zapomniał. — William wznosił się teraz w ogniu gniewu. — Znasz taki zwyczaj krasnoludów… Nie, oczywiście, że nie, przecież oni naprawdę nie są ludźmi. Ale ja poznałem jednego czy dwóch, rozumiesz, więc…

Wyciągnął z kieszeni aksamitny woreczek i rzucił go ojcu pod nogi.

— A to jest…? — zapytał lord de Worde.

— Ponad dwadzieścia tysięcy dolarów, o ile dwaj eksperci mogli to ocenić. Nie miałem zbyt wiele czasu, a nie chciałem, byś uznał mnie za nieuczciwego, więc szacowałem z pewną rezerwą. Z pewnością pokrywa to koszty wszystkiego, co na mnie wydałeś przez te lata. Opłaty szkolne, ubrania, wszystko. Muszę przyznać, że nie zainwestowałeś tych pieniędzy najlepiej, skoro właśnie ja jestem produktem końcowym. Wykupuję się od ciebie.

— Ach, rozumiem. Dramatyczny gest. Naprawdę uważasz, że rodzina to tylko kwestia pieniędzy?

— No… tak. Według przekazów historycznych… pieniądze, ziemie i tytuły. Zadziwiające, jak często udawało nam się nie poślubić nikogo, kto nie posiadał przynajmniej dwóch z tych trzech rzeczy.

— Tanie szyderstwo. Wiesz dobrze, o co mi chodzi.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł William. — Wiem za to z całą pewnością, że kilka godzin temu odebrałem te pieniądze człowiekowi, który próbował mnie zabić.

— Próbował cię zabić? — Po raz pierwszy w głosie ojca zadźwięczała nutka niepewności.

— Tak. Jesteś zaskoczony? Kiedy rzucasz coś w powietrze, czy nie powinieneś się martwić, gdzie upadnie?

— Rzeczywiście powinienem — ugodził się lord de Worde. Westchnął i wykonał lekki gest ręką, a William zobaczył cienie wyłaniające się z głębszych cieni. I przypomniał sobie, że nie można zarządzać posiadłościami de Worde'ów bez licznych wynajętych pomocników w każdej dziedzinie życia. Twardzi ludzie w małych, okrągłych kapeluszach, którzy wiedzieli, jak eksmitować, jak zajmować mienie, jak zastawiać potrzaski na zbiegów…

— Za bardzo się przepracowywałeś, jak widzę — stwierdził jego ojciec, kiedy się zbliżyli. — Przyda ci się chyba… tak, długa morska podróż. Wyspy Mgliste, być może, albo Czteriksy. Albo

Bhang–bhangduc. Jak rozumiem, można tam zbić fortunę, jeśli człowiek nie boi się ubrudzić sobie rąk. Tutaj z pewnością nic już dla siebie nie znajdziesz… nic dobrego.

William rozpoznał już cztery postacie. Widywał je tu i tam w rezydencji. Zwykle mieli jedynie nazwiska, jak Jenks albo Clamper, i żadnej wykrywalnej przeszłości.

— No więc, paniczu Williamie — odezwał się jeden z nich — jak panicz będzie rozsądny, załatwimy to miło i spokojnie.

— Co jakiś czas będziesz otrzymywał niewielkie sumy pieniędzy — zapewnił lord de Worde. — Pozwoli ci to na życie w odpowiednim stylu…

Kilka chmurek kurzu spłynęło z mroku pod sufitem; wirowały jak klonowe liście.

Opadły obok aksamitnego woreczka. William uniósł wzrok.

— Och, nie… — powiedział. — Proszę, nie zabijaj nikogo!

— Co? — zdziwił się lord de Worde.

Otto Chriek wylądował na podłodze, wznosząc ręce jak szpony.

— Dobry vieczór — powiedział do zaszokowanych służących. Spojrzał na własne ręce. — Ojej, o czym ja myślę? — Zacisnął pięści i zaczął przeskakiwać z nogi na nogę. — Pięści w gardę, w tradycyjnej ankhmorporskiej sztuce pięściarstwa!

— Pięści w gardę? — Służący podniósł pałkę. — Głupie gadanie!

Prosty Ottona uniósł go nad podłogą. Sługa wylądował, wirując na plecach, i odjechał po wypolerowanej podłodze. Otto odwrócił się tak szybko, że jego kontury się rozmyły. Zabrzmiał głośny stuk i padł kolejny z ludzi.

— Co jest? Co zię dzieje? Staję do vaszej cyvilizovanej valki na pięści, a vy nie chcecie zię bić? — zapytał. Skakał w przód i w tył, jak bokser amator. — Ach… Pan, drogi panie, vykazuje ducha valki…

Pięści rozmazały się od prędkości, uderzając w przeciwnika jak w worek. Mężczyzna upadł, a Otto wyprostował się i nie patrząc, wyprowadził uderzenie w bok, trafiając czwartego ze służących w podbródek. Nieszczęśnik wywinął salto w powietrzu.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Dopiero wtedy William doszedł do siebie i spróbował krzyknąć ostrzegawczo. Ale było już za późno.

Otto spojrzał na wbite głęboko w pierś ostrze miecza.

— No, coś podobnego… — powiedział. — V tej pracy chyba żadna koszula nie vytrzyma dvóch dni…

Zwrócił się do lorda de Worde, który wycofywał się powoli. Rozprostował palce.

— Trzymaj to z dala ode mnie! — krzyknął jego lordowska mość. William pokręcił głową.

— Ach tak? — Otto zbliżał się ciągle. — Myśli pan, że jestem „to”? No vięc zachovam się jak „to”.

Chwycił lorda de Worde za klapy i uniósł w powietrze na wyprostowanej ręce.

— V domu też mamy takich jak ty — oświadczył. — To ci, którzy móvią tłuszczy, co robić. Przyjechałem do Ankh–Morpork, bo podobno vszystko tu miało być inaczej, ale tak napravdę zavsze jest tak samo. Zavsze są gdzieś takie przeklęte typy jak ty! No i co teraz povinienem z tobą zrobić?

Szarpnął za klapę kamizelki i odrzucił czarną wstążeczkę.

— I tak nigdy nie lubiłem tego nędznego kakao — powiedział.

— Otto!

Wampir obejrzał się przez ramię.

— Tak, Villiamie? Czego sobie życzysz?

— To już zaszło za daleko.

Lord de Worde pobladł. William nigdy jeszcze nie widział go w tak oczywisty sposób przerażonego.

— Tak? Tak uvażasz? Myślisz, że go ukąszę? Ukąszę pana, panie lordzie? No vięc może nie, bo ten oto Villiam uvaża mnie za dobrego człowieka. — Otto przyciągnął lorda de Worde do siebie, tak że ledwie kilka cali dzieliło ich twarze. — Teraz vice povinienem zię zapytać: czy jestem dobry? Albo może vystarczy zapytać… czy jestem lepszy od ciebie?

Wahał się przez sekundę czy dwie, a potem nagłym ruchem szarpnął lorda do siebie. Po czym, niezwykle delikatnie, wycisnął mu na czole pocałunek. Odstawił drżącego na podłogę i pogłaskał po głowie.

— Pravdę mówiąc, kakao nie jest aż takie złe, a ta młoda panienka, która gra na klavesynie, czasem do mnie mruga — stwierdził i odstąpił na bok.

Lord de Worde otworzył oczy i spojrzał na Williama. — Jak śmiałeś…

— Nie odzywaj się — przerwał mu William. — Powiem ci teraz, co się stanie. Nie podam żadnych nazwisk. Tak postanowiłem. Nie chcę, rozumiesz, żeby moja matka okazała się żoną zdrajcy. Jest też Rupert. I moje siostry. I ja także. Chronię nazwisko. Prawdopodobnie bardzo źle postępuję, ale postąpię tak mimo wszystko. Właściwie to nie będę ci posłuszny jeszcze pod

jednym względem: nie powiem prawdy. Nie całą prawdę. Poza tym jestem pewien, że ci, którzy chcą poznać te sprawy, szybko wszystko odkryją. I mam wrażenie, że załatwią to dyskretnie. No wiesz… tak jak ty.

— Zdrajca? — szepnął lord de Worde.

— Tak powiedzą ludzie.

Lord de Worde kiwnął głową jak człowiek uwięziony w nieprzyjemnym śnie.

— Nie mógłbym oczywiście wziąć tych pieniędzy — oświadczył. — Życzę ci szczęścia, mój synu. Ponieważ… z całą pewnością jesteś de Worde'em. Powodzenia.

Odwrócił się i wyszedł. Po kilku sekundach skrzypnęły jakieś drzwi, a potem zatrzasnęły się cicho.

William zachwiał się i oparł o kolumnę. Drżał cały. W głowie odtwarzał sobie całe spotkanie. Jego mózg przez cały czas nie dotknął ziemi.

— Dobrze zię czujesz, Villiamie? — zapytał Otto.

— Trochę mnie mdli, ale… tak, w porządku. Ze wszystkich zakutych, upartych, egocentrycznych, aroganckich…

— Ale rekompenzujesz to w innych dziedzinach — pocieszył go Otto.

— Mówiłem o ojcu.

— Och!

— Jest taki pewny, że zawsze ma rację…

— Przepraszam, ale nadal mówimy o tvoim ojcu?

— Chcesz powiedzieć, że jestem do niego podobny?

— Ależ zkąd! Zupełnie inny. Abzolutnie zupełnie inny. V ogóle żadnego podobieństva.

— Nie musiałeś posuwać się tak daleko! — William urwał nagle. — Czy ja ci podziękowałem?

— Nie, nie podziękovałeś.

— Ojej…

— Nie, nie. Zaważyłeś, że nie podziękovałeś, vice nie ma problemu — uznał Otto. — Każdego dnia, pod każdym vzględem stajemy się trochę lepsi. Przy okazji, czy mógłbyś vyciągnąć ze mnie ten miecz? Co za idiota dźga czymś takim vampira? Niszczy tylko bieliznę.

— Czekaj, pomogę… — William ostrożnie wyjął ostrze.

— Mogę dopisać koszulę do svoich vydatkóv?

— Tak, chyba tak.

— Dobrze. No to już jest po vszystkim, pora na nagrody i medale. — Wampir z satysfakcją obciągnął kamizelkę. — Gdzie zię teraz podziały tvoje kłopoty?

— Dopiero się zaczynają — odparł William. — Myślę, że za niecałą godzinę będę oglądał od środka komendę straży.

* * *

Okazało się, że już po czterdziestu trzech minutach William de Worde Udzielał Pomocy Straży, jak to mówią, w Śledztwie. Po drugiej stronie biurka komendant Vimes uważnie czytał „Puls". William zdawał sobie sprawę, że robi to wolniej, niż trzeba, bo chce go zdenerwować.

— Chętnie pomogę z długimi słowami, których pan nie rozpoznaje — zaofiarował się.

— To dobry tekst — przyznał Vimes, ignorując zaczepkę. — Ale muszę wiedzieć więcej. Chcę znać nazwiska. Myślę, że tyje znasz. Gdzie się spotykali? Takie sprawy. Muszę się dowiedzieć.

— Pewne kwestie pozostają dla mnie tajemnicą — zapewnił William. — Ale ma pan dosyć dowodów, żeby uwolnić Vetinariego.

— Chcę się dowiedzieć więcej.

— Nie ode mnie.

— Ależ panie de Worde, stoimy przecież po tej samej stronie.

— Nie. Stoimy po różnych stronach, które przypadkiem położone są obok siebie.

— Panie de Worde, w dniu dzisiejszym dokonał pan ataku na jednego z moich funkcjonariuszy. Zdaje pan sobie sprawę, w jakie wpakował się pan kłopoty?

— Spodziewałem się po panu czegoś lepszego, panie Vimes. Chce pan powiedzieć, że zaatakowałem funkcjonariusza w mundurze? Funkcjonariusza, który się zidentyfikował?

— Proszę uważać, panie de Worde…

— Ścigał mnie wilkołak, komendancie. Podjąłem więc kroki w celu… zniechęcenia go, żebym mógł uciec. Czy chciałby pan dyskutować o tym publicznie?

Jestem bezczelnym, aroganckim i butnym kłamcą, myślał William. I świetnie mi to wychodzi.

— Zatem nie pozostawia mi pan wyboru… Muszę pana aresztować za ukrywanie…

— Żądam prawnika — przerwał mu William.

— Doprawdy? A kogo konkretnie ma pan na myśli w środku nocy?

— Pana Slanta.

— Slanta? Myśli pan, że przyjdzie tu dla pana?

— Wiem, że przyjdzie. Może mi pan wierzyć.

— Ach, przyjdzie?

— Na pewno.

— Niech pan da spokój… — rzekł z uśmiechem Vimes. — Czy naprawdę tego potrzebujemy? Przecież udzielanie pomocy straży jest obowiązkiem każdego obywatela, nieprawdaż?

— Nie wiem. Wiem tylko, że straż tak uważa. Nigdy nie widziałem, żeby coś takiego było gdzieś zapisane. Poza tym nie wiedziałem, że straż ma prawo szpiegować niewinnych obywateli.

William zobaczył, że uśmiech komendanta nieruchomieje.

— To było dla twojego dobra — warknął Vimes.

— Nie wiedziałem, że to wy macie decydować, co jest dla mnie dobre.

Tym razem Vimes zdobył mały punkt.

— Ja też nie dam się podpuszczać — oświadczył. — Ale mam powody, by podejrzewać, że ukrywa pan informacje dotyczące poważnego przestępstwa, a to jest wykroczenie. To wbrew prawu.

— Pan Slant na pewno coś wymyśli. Założę się, że znajdzie jakiś precedens. Przeszuka akta na setki lat wstecz. Patrycjusze zawsze polegali na precedensach. Pan Slant będzie kopał i kopał. Przez całe lata, jeśli to konieczne. A wytrwale kopać potrafi.

Vimes pochylił się nad biurkiem.

— Tak między nami i bez twojego notesu — mruknął. — Pan Slant to przebiegły martwy drań, który potrafi skręcić obowiązujące prawo w pierścionek.

— Fakt — przyznał William. — I będzie moim adwokatem. Gwarantuję.

— Właściwie dlaczego Slant miałby występować w pańskim imieniu? — zapytał Vimes, patrząc Williamowi prosto w twarz.

William dorównywał mu, oko za oko.

— Ponieważ jest prawym człowiekiem? — wysunął przypuszczenie. — A teraz zechce pan wysłać gońca, żeby go sprowadził? Bo jeśli nie, to musi mnie pan zwolnić.

Nie odrywając wzroku od Williama, Vimes wyciągnął rękę i z boku biurka odczepił rurę komunikacyjną. Dmuchnął w nią, a potem przyłożył do ucha. Zabrzmiał odgłos, jakby na końcu

rynny mysz błagała o łaskę.

— Tają lipsi poitl swup?

Vimes przysunął rurę do ust.

— Sierżancie, przyślijcie tu kogoś, żeby odprowadził pana de Worde do celi, dobrze?

— Suidl jumjumpwipwipwip?

Vimes westchnął i odwiesił rurę. Wyszedł zza biurka i otworzył drzwi.

— Fred, przyślij tu kogoś, żeby odprowadził pana de Worde do celi, co?! — krzyknął. — Na razie uznaję to za areszt zapobiegawczy — dodał, zwracając się do Williama.

— A czemu ma zapobiegać?

— No cóż, ja na przykład odczuwam przemożną chęć, żeby solidnie trzepnąć cię w ucho. A podejrzewam, że są też inni, którzy nie panują nad sobą tak jak ja.

W celi było całkiem spokojnie. Prycza okazała się wygodna. Ściany pokrywało graffiti, a William zabijał czas, poprawiając pisownię.

Drzwi otworzyły się znowu. Funkcjonariusz z kamienną twarzą zaprowadził Williama z powrotem do gabinetu Vimesa.

Czekał tam już pan Slant, który obojętnie skinął Williamowi głową. Komendant Vimes siedział przed niewielkim, ale imponującym stosem dokumentów i wyglądał na człowieka pokonanego.

— Wydaje mi się, że pan de Worde jest wolny — powiedział Slant.

Vimes wzruszył ramionami.

— Dziwię się tylko, że nie żąda pan, bym wręczył mu zloty medal i ozdobny dyplom dziękczynny. Ale ustalam kaucję na ty…

— Ach? — Slant uniósł szary palec.

Vimes spojrzał gniewnie.

— Sto do… — Ach?

Vimes burknął coś pod nosem i sięgnął do kieszeni. Po czym rzucił Williamowi dolara.

— Proszę — rzekł z demonstracyjnym sarkazmem. — A jeśli jutro o dziesiątej rano nie zjawi się pan przed obliczem Patrycjusza, będzie pan musiał tego dolara zwrócić. Zadowolony? — zwrócił się do Slanta.

— Którego patrycjusza? — zainteresował się William.

— Dziękuję za tę błyskotliwą wypowiedź — rzekł Vimes. — Po prostu zjaw się tam.

Pan Slant milczał, kiedy wychodził z budynku ze swoim nowym klientem. Odezwał się dopiero po chwili.

— Przedstawiłem dokument o *exeo carco cum nihilpretii* na podstawie *olfacere violarumi siniplenispiscis*. Jutro będę argumentował, że jest pan *ab homo,* a gdyby to nie poskutkowało…

— Pachnący fiołkami? — zdziwił się William, który tłumaczył w myślach. — I kieszenie pełne ryb?

— W oparciu o sprawę sprzed około sześciuset lat, kiedy obwiniony skutecznie argumentował, że choć istotnie wepchnął poszkodowanego do jeziora, ten wypłynął z kieszeniami pełnymi ryb, odnosząc zysk netto — odparł surowo prawnik. — W każdym razie będę twierdził, że jeśli nieudzielanie straży informacji jest przestępstwem, to winni są wszyscy mieszkańcy miasta.

— Panie Slant, nie chciałbym tłumaczyć, gdzie i w jaki sposób zdobyłem swoje informacje — rzekł William. — Gdyby do tego doszło, musiałbym ujawnić je wszystkie.

Światło z dalekiej latarni nad drzwiami komendy ukazywało twarz prawnika. Slant wyglądał, jakby cierpiał.

— Naprawdę wierzy pan, że ci dwaj mieli… wspólników? — Jestem tego pewien — zapewnił William. — Wszystko jest przecież… do odtworzenia.

W tym momencie prawie zrobiło mu się żal pana Slanta. Ale tylko prawie.

— To może nie leżeć w interesie publicznym — oświadczył prawnik. — Powinien teraz nadejść czas… pojednania.

— Absolutnie. Dlatego nie wątpię, że dopilnuje pan, bym nie musiał sączyć wszystkich tych słów do ucha Vimesa.

— Dziwnie się składa, ale istnieje precedens z 1497 roku, kiedy to kot pomyślnie…

— Dobrze. I szepnie pan jedno z tych swoich dyskretnych słówek Gildii Grawerów. Dobrze panu wychodzą dyskretnie szeptane słówka.

— Cóż, naturalnie, zrobię, co będę mógł. Rachunek jednakże…

— …nie zaistnieje — dokończył William.

Dopiero wtedy pergaminowa twarz pana Slanta wykrzywiła się w grymasie cierpienia.

— *Pro bono publico?* — wyszeptał chrapliwie.

— O tak. Bez wątpienia będzie pan pracował dla publicznego dobra. A co jest dobre dla społeczeństwa, jest oczywiście dobre i dla pana. Czy to nie miły zbieg okoliczności?

— Z drugiej strony — powiedział Slant — może w interesie nas wszystkich leży, by zostawić za sobą tę przykrą sprawę. A ja, ehm, z przyjemnością ofiaruję swoje usługi.

— Dziękuję. Pan Scrope jest teraz lor… jest teraz Patrycjuszem?

— Tak.

— W wyniku głosowania gildii?

— Tak, oczywiście.

— Wybrano go jednogłośnie?

— Nie muszę zdradzać… William podniósł palec.

— Ach? — powiedział. Slant cierpiał.

— Żebracy i Szwaczki głosowali za odroczeniem decyzji — wyjawił. — Podobnie jak Praczki i Gildia Tancerek Egzotycznych.

— Czyli… to będzie królowa Molly, pani Palm, pani Manger i panna Dixie Voom. Lord Vetinari musiał prowadzić bardzo interesujące życie.

— Bez komentarza.

— A czy uznałby pan, że pan Scrope szykuje się już, by zmierzyć się z licznymi problemami związanymi z zarządzaniem miastem?

Slant rozważył pytanie.

— Sądzę, że istotnie tak właśnie może być — przyznał.

— Z których nie najmniejszy stanowi ten, że lord Vetinari jest w rzeczywistości człowiekiem całkowicie niewinnym? Co stawia bardzo poważny znak zapytania nad wyborem Scrope'a? Zechce pan mu doradzić, żeby przystąpił do pełnienia obowiązków z kilkoma parami zapasowych kalesonów? Nie musi pan odpowiadać na ostatnie pytanie.

— Nie do mnie należy instruowanie zgromadzenia gildii, by cofnęły prawnie usankcjonowaną decyzję, nawet jeśli ją podjęto na podstawie… błędnej informacji. Nie jest też moim zadaniem doradzanie panu Scrope w kwestii wyboru bielizny.

— Zobaczymy się jutro, panie Slant — rzucił William.

* * *

William ledwie miał czas, by się rozebrać i położyć do łóżka, a już musiał wstać. Umył się jak najlepiej, włożył czystą koszulę i ostrożnie zszedł na śniadanie. Okazało się, że jest pierwszy

przy stole.

Kiedy przybywali kolejni stołownicy, panowało zwykłe powściągliwe milczenie. Większość lokatorów pani Arcanum nie odzywała się, jeśli nie miała czegoś do powiedzenia. Ale kiedy pan Mackleduff zajął miejsce, wyjął z kieszeni „Puls".

— Nie mogłem dostać azety — powiedział. — Więc kupiłem tę drugą.

William odkaszlnął.

— Piszą coś ciekawego?

Ze swego miejsca widział tytuł złożony grubymi, wielkimi literami:

## PIES UGRYZŁ CZŁOWIEKA!

Stało się to nowiną dzięki niemu.

— No… Lord Vetinari wykręcił się ze wszystkiego — odparł pan Mackleduff.

— To było jasne, że mu się uda — stwierdził pan Prone. — Bardzo inteligentny człowiek, cokolwiek by o nim mówić.

— I jego psu nic się nie stało — dodał pan Mackleduff. William miał ochotę potrząsnąć nim ze złości, że tak wolno czyta.

— Jak miło — uznała pani Arcanum, nalewając herbaty.

— To wszystko? — zapytał William.

— Och, jest też dużo o polityce. Trochę to wszystko naciągane.

— Są dzisiaj jakieś dobre warzywa? — zapytał pan Cartwright. Pan Mackleduff starannie obejrzał kolejne strony.

— Nie — stwierdził.

— Moja firma rozważa, czy nie zaproponować temu człowiekowi od warzyw, że będziemy sprzedawali jego nasiona — wyjaśnił pan Cartwright. — Ludzie lubią takie rzeczy. — Pochwycił spojrzenie pani Arcanum. — Oczywiście jedynie te warzywa, które są odpowiednie w warunkach rodzinnych — dodał szybko.

— Owszem, zdrowo jest się czasem pośmiać — oświadczył z powagą pan Mackleduff.

Williamowi przemknęło przez głowę pytanie, czy pan Wintler potrafiłby wyhodować obsceniczny groszek. Na pewno by potrafił.

— Wydaje mi się, że to dość ważne — powiedział głośno — czy lord Vetinari jest niewinny.

— O tak, z pewnością… dla tych, którzy muszą się tym zajmować — zgodził się pan Mackleduff. — Ale nie bardzo widzę, czemu miałoby to nas dotyczyć.

— No przecież… — zaczął William.

Pani Arcanum przygładziła włosy.

— Zawsze uważałam, że lord Vetinari jest niezwykle przystojnym mężczyzną — powiedziała, po czym zrobiła zakłopotaną minę, kiedy wszyscy na nią spojrzeli. — To znaczy… jestem trochę zdziwiona, że nie ma lady Vetinari. Właściwie. Ehem.

— Och, wiecie przecież, co mówią — odezwał się pan Windling. Para rąk chwyciła go za klapy i szarpnęła tak, że twarzą znalazł się o kilka cali od twarzy Williama.

— Ja nie wiem, co mówią, panie Windling! — krzyknął William.

— Ale pan wie, co mówią, panie Windling! Może więc nam pan opowie, co mówią, panie Windling! A może zdradzi nam pan, kto panu to opowiedział, panie Windling?

— Panie de Worde! Doprawdy… — zawołała pani Arcanum. Pan Prone odsunął swoją grzankę w bezpieczne miejsce.

— Bardzo przepraszam, pani Arcanum — powiedział William, wciąż trzymając wyrywającego się Windlinga. — Ale chciałbym się dowiedzieć tego, co wszyscy wiedzą, i chciałbym się dowiedzieć, skąd to wiedzą. Panie Windling?

— Mówią, że on ma jakąś przyjaciółkę, która jest ważną osobą w Überwaldzie — wyjaśnił pan Windling. — I byłbym wdzięczny, gdyby mnie pan puścił!

— I to wszystko? Co w tym takiego złowrogiego? To zaprzyjaźniony kraj!

— No, niby… tak, ale mówią…

William cofnął ręce. Windling opadł na krzesło, ale William stał nadal i oddychał ciężko.

— No więc to ja napisałem ten artykuł w „Pulsie”! — oznajmił.

— I to, co tam jest napisane, ja mówię! Ja! Bo odkryłem pewne fakty, sprawdziłem te fakty, a ludzie, którzy często mówią „ony”, próbowali mnie zabić! Nie jestem bratem jakiegoś gościa, którego spotkaliście w pubie. Nie jestem jakąś głupią plotką, powtarzaną, żeby wywołać zamieszanie! Więc zapamiętajcie to, zanim spróbujecie tego „wszyscy wiedzą”! A za mniej więcej godzinę muszę iść do pałacu na spotkanie z komendantem Vimesem i tym, kto obecnie jest patrycjuszem, i jeszcze innymi ludźmi, żeby wyjaśnić całą sprawę! To nie będzie przyjemne, ale będę musiał to zrobić, bo chcę, żebyście dowiedzieli się tego, co ważne! Przepraszam za imbryk, pani Arcanum, na pewno da się go naprawić.

W zapadłej ciszy pan Prone sięgnął po azetę.

— Pan to napisał? — zapytał. — Tak!

— Boja… no… Myślałem, że mają do tego specjalnych ludzi… Wszyscy patrzyli na Williama.

— Nie ma żadnych „ich". Jestem tylko ja i pewna młoda dama. My to wszystko piszemy!

— Ale… kto wam mówi, co zamieścić? Głowy znowu zwróciły się ku Williamowi.

— Zwyczajnie… decydujemy.

— Ehm… Czy to prawda z tymi wielkimi srebrzystymi dyskami porywającymi ludzi?

— Nie!

Ku zaskoczeniu Williama pan Cartwright naprawdę podniósł rękę.

— Słucham, panie Cartwright?

— Mam ważne pytanie, panie de Worde, skoro tyle pan wie o wszystkim…

— Tak?

— Zna pan adres tego człowieka od zabawnych warzyw?

* * *

William i Otto zjawili się w pałacu za pięć dziesiąta. Przy bramie zgromadził się niewielki tłumek.

Komendant Vimes stał na dziedzińcu i rozmawiał ze Slantem i kilkoma przywódcami gildii. Uśmiechnął się niewesoło na widok nowo przybyłych.

— Trochę się pan spóźnił, panie de Worde — powiedział. — Jestem za wcześnie.

— Chodzi mi o to, że spóźnił się pan na pewne wydarzenia. Pan Slant odchrząknął.

— Pan Scrope przysłał liścik — wyjaśnił. — Jak się zdaje, jest chory. William wyjął swój notes.

Przywódcy społeczności miejskiej skupili na nim spojrzenia. Zawahał się… ale po chwili niepewność się ulotniła.

Jestem de Worde, pomyślał. Nie ważcie się patrzeć na mnie z góry. Musicie tańczyć w rytmie „Pulsu"… Zatem… do dzieła.

— Podpisała to jego matka? — zapytał.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi — odpowiedział prawnik, jednak część przywódców

gildii odwróciła głowy.

— Więc jaki jest stan obecny? Nie mamy władcy?

— Na szczęście — rzekł pan Slant, który wyglądał jak człowiek strącony do osobistego piekła — lord Vetinari czuje się o wiele lepiej i spodziewa się, że jutro będzie mógł podjąć swoje obowiązki.

William zrobił notkę.

— Przepraszam, ale czy to dozwolone, żeby on to zapisywał? — zapytał lord Downey, przewodniczący Gildii Skrytobójców.

— Dozwolone od kogo? — spytał Vimes.

— Przez kogo — mruknął pod nosem William.

— No przecież on chyba nie może notować wszystkiego, prawda? — zdziwił się lord Downey. — Przypuśćmy, że zapisze coś, czego nie chcemy, żeby zapisał?

Vimes spojrzał Williamowi prosto w oczy.

— Żadne prawo tego nie zakazuje — oświadczył.

— Lord Vetinari zatem nie stanie przed sądem, lordzie Downey? — zapytał William, przez sekundę wytrzymując wzrok Vimesa.

Zaskoczony Downey zwrócił się do Slanta.

— Czy on może mnie o to pytać? Tak sobie znienacka zadać pytanie?

— Tak, wasza lordowska mość.

— A czyja muszę odpowiadać?

— W obecnych okolicznościach to dość naturalne pytanie, ale nie, wasza lordowska mość nie musi.

— Czy ma pan coś do przekazania mieszkańcom Ankh–Morpork? — zapytał słodko William.

— Mamy, panie Slant? — upewnił się Downey. Slant westchnął.

— To może być rozsądne, wasza lordowska mość. Owszem.

— Aha. No cóż, w takim razie… Nie, nie będzie procesu, naturalnie.

— I lord Vetinari nie zostanie ułaskawiony?

Lord Downey zerknął na Slanta, który znów westchnął lekko.

— Raz jeszcze, wasza lordowska mość, można…

— Dobrze, dobrze… Nie, nie zostanie ułaskawiony, ponieważ to całkiem oczywiste, że jest zupełnie bez winy — rzekł Downey kwaśnym tonem.

— Czy powiedziałby pan, że stało się to oczywiste dzięki znakomitej pracy, jaką wykonał komendant Vimes i jego zespół oddanych funkcjonariuszy, przy niewielkiej pomocy „Pulsu”? — dopytywał się William.

Lord Downey spojrzał tępo.

— Tak bym powiedział?

— Myślę, że to niewykluczone, wasza lordowska mość — poradził Slant, coraz bardziej posępny.

— Aha. No więc bym powiedział — zgodził się Downey. — Tak. Wyciągnął szyję, by popatrzeć, co notuje William. Kątem oka William dostrzegł minę Vimesa — dziwne połączenie rozbawienia i gniewu.

— A czy dodałby pan, jako przedstawiciel Rady Gildii, że wyrażacie uznanie dla komendanta Vimesa?

— Jedną chwilę… — zaczął Vimes.

— Przypuszczam, że tak, rzeczywiście.

— Jak się spodziewam, planowany jest Medal Straży albo list pochwalny?

— Może jednak… — wtrącił Vimes.

— Tak, to bardzo prawdopodobne. Bardzo prawdopodobne — przyznał lord Downey, bez reszty porwany wichrem przemian.

William zanotował to starannie, po czym zamknął notes, co wywołało powszechną ulgę.

— Bardzo dziękuję, wasza lordowska mość, panie i panowie — rzekł. — Och, pan Vimes… Czy powinniśmy coś jeszcze przedyskutować?

— Niekoniecznie akurat w tej chwili — burknął Vimes.

— No to świetnie. Muszę teraz iść i to wydrukować, dziękuję zatem raz jeszcze…

— Oczywiście pokaże nam pan ten… artykuł, zanim trafi do azety? — spytał lord Downey, przytomniejąc trochę.

William okrył się wyniosłością jak peleryną.

— Hm… Nie, nie wydaje mi się, wasza lordowska mość. Widzi pan, to moja azeta.

— Czy on może…?

— Tak, wasza lordowska mość, może — stwierdził pan Slant. — Obawiam się, że może. Gwarancja wolności słowa jest piękną, prastarą tradycją Ankh–Morpork.

— Na bogów, naprawdę?

— Tak, wasza lordowska mość. — Jakim cudem przetrwała?

— Trudno powiedzieć, wasza lordowska mość. Ale wierzę — dodał Slant, patrząc na Williama — że pan de Worde nie będzie się starał zakłócić płynnego funkcjoncwania miasta.

William uśmiechnął się do niego uprzejmie, skinął głową reszcie towarzystwa i ruszył przez dziedziniec do bramy. Dopiero kiedy przeszedł spory kawałek ulicą, wybuchnął śmiechem.

* * *

Minął tydzień. Był ważny ze względu na to, co się nie wydarzyło. Nie wpłynął protest od pana Carneya z Gildii Grawerów. William się zastanawiał, czy nie został dyskretnie przeniesiony do teczki „zostawić w spokoju". W końcu ludzie mogli sądzić, że Vetinari prawdopodobnie winien jest „Pulsowi" przysługę, a nikt nie chciałby stać się tą przysługą, prawda? Nie zdarzyła się też wizyta straży. Owszem, w okolicy pojawiło się więcej zamiataczy ulic niż zwykle, ale kiedy William posłał Harry'emu Królowi sto dolarów i bukiet kwiatów dla pani Król, ulica Błyskotna znowu przestała błyszczeć.

Przenieśli się do innej szopy na czas odbudowy starej. Pan Cheese nie sprawiał problemów. Chciał tylko pieniędzy. A z takimi prostymi ludźmi człowiek wie, na czym stoi — nawet jeśli musi przy tym trzymać rękę w portfelu.

Sprowadzono nową prasę i po raz kolejny pieniądze praktycznie usunęły wszelkie tarcia. Krasnoludy zdążyły już poważnie ją przebudować.

Nowa szopa była mniejsza od starej, ale Sacharissie udało się wydzielić niewielkie pomieszczenie redakcyjne. Wstawiła palmę w doniczce i wieszak, i z podnieceniem opowiadała, ile będą mieć miejsca po ukończeniu nowego budynku. William uważał, że niezależnie od jego powierzchni nigdy nie będzie w nim porządku. Pracujący w azecie uważali podłogę za wielką szafkę na papiery.

Dostał też nowe biurko. Nawet lepsze niż nowe — prawdziwy antyk, z prawdziwego orzecha, wykończone prawdziwą skórą. Miało dwa kałamarze, mnóstwo szuflad i prawdziwego kornika. Przy takim biurku naprawdę można było pisać.

Nie przenieśli tu kolca.

William rozmyślał właśnie nad listem Ankhmorporskiej Ligi Przyzwoitości, kiedy wrażenie, że ktoś stoi obok, kazało mu unieść głowę.

Sacharissa wprowadziła niewielką grupę obcych osób, choć po sekundzie czy dwóch rozpoznał wśród nich pana Bendy, który był po prostu inny.

— Pamiętasz, mówiłeś, że potrzebujemy ludzi do pisania tekstów? — powiedziała. — Znasz już pana Bendy'ego. A to pani Tilly…

— Drobna, siwa kobieta dygnęła uprzejmie. — Lubi koty i naprawdę straszne morderstwa. I pan O'Biscuit… — Wysoki młody człowiek.

— Przypłynął do nas z Czteriksów i szuka pracy, zanim wróci do domu.

— Naprawdę? A czym się pan zajmował w Czteriksach, panie O'Biscuit?

— Byłem na uniwersytecie w Rospyepsh, koleś. — Jest pan magiem?

— Nie, koleś. Wywalili mnie przez to, co napisałem w magazynie studenckim.

— A co to było?

— Właściwie wszystko.

— Aha. A pani Tilly… To chyba pani napisała do nas pięknie ortograficzny i gramatyczny list sugerujący, że wszyscy w wieku poniżej osiemnastu lat powinni być raz w tygodniu chłostani, żeby tak nie hałasowali?

— Raz dziennie, panie de Worde — poprawiła go pani Tilly.

— To ich nauczy, żeby nie biegali, dookoła tacy młodzi.

William się wahał. Ale prasa wymagała karmienia, a on i Sacharissa potrzebowali czasem wolnego. Rocky dostarczał wiadomości sportowych, a choć były dla Williama nieczytelne, drukował je, zakładając, że kto interesuje się sportem, prawdopodobnie i tak nie umie czytać. Potrzebowali więcej pracowników. Warto było spróbować.

— No dobrze — zdecydował. — Przyjmiemy was na okres próbny, poczynając od… och!

Wstał. Pozostali obejrzeli się, by sprawdzić dlaczego.

— Nie przeszkadzajcie sobie — odezwał się od drzwi lord Vetinari. — To nieoficjalna wizyta. Widzę, że przyjmujecie nowych piszących?

Podszedł bliżej. Drumknott podążał tuż za nim.

— Eee… no tak — przyznał William. — Dobrze się pan czuje, wasza lordowska mość?

— O tak. Mnóstwo pracy, oczywiście. Muszę nadrobić bardzo dużo lektur. Ale uznałem, że powinienem poświęcić nieco czasu i obejrzeć tę „wolną prasę", o której komendant Vimes opowiadał mi dość szczegółowo. — Stuknął laską w jeden z żelaznych słupów prasy. — Jednakże widzę, że jest mocno przyśrubowana.

— Eee… nie, wasza lordowska mość. „Wolna” dotyczy tego, co jest drukowane — wyjaśnił William.

— Ale przecież bierzecie za to pieniądze?

— Tak, ale…

— Ach, rozumiem… Chodzi panu o to, że wolno wam drukować, co tylko chcecie?

Nie było ucieczki.

— No więc… ogólnie rzecz biorąc, tak.

— Ponieważ leży to… jaki był ten drugi ciekawy termin? A tak, w interesie publicznym?

Vetinari wziął do ręki czcionkę i obejrzał ją uważnie.

— Tak uważam, wasza lordowska mość.

— Te historie o złotych rybkach ludojadach i czyichś mężach znikających w wielkich srebrzystych talerzach?

— Nie, wasza lordowska mość. Tym publiczność się interesuje. Ale my zajmujemy się czymś innym.

— Zabawnie ukształtowanymi warzywami?

— No, trochę też. Sacharissa nazywa to zainteresowaniami osobistymi.

— Historie o warzywach i zwierzętach?

— Tak, wasza lordowska mość. Ale przynajmniej są to prawdziwe warzywa i zwierzęta.

— Czyli… mamy to, co interesuje ludzi, i mamy zainteresowania osobiste, czyli to, co interesuje osoby, oraz interes publiczny, który nikogo nie interesuje.

— Oprócz ogółu, wasza lordowska mość. — William starał się dotrzymywać Patrycjuszowi kroku.

— Który nie jest tym samym co ludzie albo osoby?

— Wydaje mi się, że to bardziej skomplikowane, wasza lordowska mość.

— Wyraźnie. Chodzi panu o to, że ogół jest czymś innym niż ludzie, których się widuje, jak chodzą tu i tam? Ogół myśli poważnie, rozsądnie, w sposób wyważony, gdy tymczasem ludzie biegają w kółko i postępują głupio?

— Tak mi się wydaje. Choć przyznaję, że muszę chyba jeszcze popracować nad tą koncepcją.

— Hmm. To ciekawe. Ja na przykład zauważyłem, że grupy rozsądnych i inteligentnych ludzi zdolne są do naprawdę głupich pomysłów — oświadczył lord Vetinari. Rzucił Williamowi spojrzenie, które mówiło „potrafię ci czytać w myślach; nawet to, co jest drobnym drukiem”.

Potem rozejrzał się po hali. — Widzę, że ma pan przed sobą bardzo burzliwą przyszłość, a nie chciałbym czynić jej trudniejszą, niż najwyraźniej będzie. Zauważyłem, że trwają tu prace budowlane…

— Stawiamy semafor — oświadczyła z dumą Sacharissa. — Będziemy odbierać sekary bezpośrednio z głównej wieży. I otwieramy biura w Sto Lat i Pseudopolis!

Vetinari uniósł brew.

— Coś takiego. Zyskacie dostęp do wielu nowych zdeformowanych warzyw. Z zaciekawieniem będę czekał, by je obejrzeć.

William postanowił wstrzymać się od komentarza.

— Zdumiewa mnie, że nowiny, które drukujecie, tak doskonale wypełniają miejsce, jakie macie do dyspozycji — ciągnął Patry — cjusz, przyglądając się stronicy, nad którą pracował Boddony. — Żadnych odstępów. I codziennie zdarza się coś dostatecznie ważnego, żeby trafić na górę pierwszej strony. Niezwykłe… Och, „otrzymał" pisze się przez „rz" po „t", a nie „sz".

Boddony uniósł głowę. Laska Vetinariego ze świstem przecięła powietrze i zawisła nad środkiem gęsto upakowanej kolumny. Krasnolud przyjrzał się z bliska, kiwnął głową i wyjął niewielkie narzędzie.

Dla niego ten tekst jest dołem do góry i od tyłu do przodu, pomyślał William. A słowo było w środku strony. I jednak je zauważył.

— To, co widzimy od tyłu, często łatwiej zrozumieć, jeśli ułożone jest także dołem do góry — stwierdził Vetinari, z roztargnieniem stukając się w brodę srebrną gałką swej laski. — W życiu i w polityce.

— Co pan zrobił z Charliem? — spytał William.

Lord Vetinari spojrzał na niego z wyrazem jedynie niewinnego zdziwienia.

— Ależ nic. A powinienem coś zrobić?

— Nie zamknął go pan w głębokim lochu? — upewniła się podejrzliwie Sacharissa. — Nie musi przez cały czas nosić maski, a posiłków nie przynosi mu głuchy i niemy dozorca?

— Eee… nie, raczej nie. — Vetinari uśmiechnął się do niej. — Choć nie wątpię, że byłaby to znakomita historia. Nie. Jak słyszałem, wstąpił do Gildii Aktorów, choć zdaję sobie sprawę, że są tacy, którzy głęboki loch uznaliby za preferowane rozwiązanie. Mimo to przewiduję dla niego wspaniałą karierę. Na przyjęciach dla dzieci i tym podobnych.

— Jak to? I będzie grał pana?

— Właśnie. Bardzo zabawne.

— I może kiedy będzie pan miał do wykonania jakiś nudny obowiązek albo będzie musiał pozować do portretu, także pan znajdzie mu zajęcie? — spytał William.

— Hmm? — mruknął Patrycjusz.

William sądził, że Vimes miewa kamienną twarz, ale wydawał się cały w uśmiechach w porównaniu z Vetinarim, jeśli Vetinari chciał, by jego twarz nie wyrażała niczego.

— Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, panie de Worde?

— Będę miał wiele. — William wziął się w garść. — „Puls" będzie się bacznie przyglądał sprawom publicznym.

— Godne pochwały — przyznał Vetinari. — Jeśli skontaktuje się pan z tym oto Drumknottem, z pewnością znajdę czas, by udzielić wam wywiadu.

Właściwe Słowo we Właściwym Miejscu, pomyślał William. Choć świadomość ta nie sprawiała mu radości, to jego przodkowie zawsze byli w pierwszym szeregu, gdy dochodziło do konfliktu. W każdym oblężeniu, w każdej zasadzce, w każdym szaleńczym ataku na ufortyfikowane pozycje jakiś de Worde galopował po śmierć lub chwałę, a czasami po obie. Żaden wróg nie był za silny, żadna rana za poważna, żaden miecz za ciężki dla de Worde'a. Ani żaden grób za głęboki. Gdy instynkty walczyły z językiem, William czuł za sobą swych przodków, jak popychają go do boju. Vetinari w zbyt oczywisty sposób się nim bawił.

Co tam, przynajmniej zginę za coś sensownego… Naprzód, po chwałę, śmierć albo obie naraz!

— Mogę zapewnić, że kiedy tylko wasza lordowska mość zechce udzielić wywiadu, „Puls" będzie skłonny go przeprowadzić — rzekł. — Jeśli wystarczy miejsca.

Nie zdawał sobie sprawy z hałasu w tle, dopóki nagle nie ucichł. Drumknott zamknął oczy. Sacharissa patrzyła wprost przed siebie, krasnoludy znieruchomiały jak posągi.

Wreszcie milczenie przerwał Patrycjusz.

— „Puls"? Ma pan na myśli siebie i tę młodą damę? — Uniósł brwi. — Aha, rozumiem. To tak jak ogół. No cóż, jeśli mógłbym „Pulsowi" jakoś pomóc…

— Nie pozwolimy się także przekupić — oznajmił William. Wiedział, że galopuje między zaostrzonymi drągami, ale raczej zginie, niż pozwoli, żeby ktokolwiek traktował go lekceważąco.

— Przekupić? — zdziwił się Vetinari. — Ależ drogi panie, widząc, do czego jesteście zdolni całkiem za darmo, wahałbym się przed wsunięciem panu choćby pensa. Nie, nic nie mam wam

do ofiarowania oprócz podziękowań, które oczywiście znane są ze swych ewaporacyjnych tendencji. Chociaż… wpadła mi do głowy pewna myśl. W sobotę wydaję skromną kolację. Kilku przywódców gildii, kilku ambasadorów… Dość nudna impreza, ale może pan i pańska śmiała młoda dama… przepraszam, może „Puls" chciałby w niej uczestniczyć?

— Nie muszę… — zaczął William i urwał. But drapiący goleń może do tego skłonić.

— „Puls" będzie zachwycony, wasza lordowska mość — zapewniła rozpromieniona Sacharissa.

— Doskonale. W takim razie…

— Prawdę mówiąc, chciałbym prosić o pewną przysługę — rzekł William.

Vetinari uśmiechnął się lekko.

— Oczywiście. Jeśli tylko mogę cokolwiek zrobić dla „Pul…

— Czy zjawi się pan w sobotę na ślubie córki Harry'ego Króla? William ze skrywaną radością zauważył, że tym razem twarz Vetinariego nic nie wyraża, ponieważ najwyraźniej nie wie, co wyrazić powinna. Ale Drumknott pochylił się natychmiast i szepnął mu w ucho kilka słów.

— Ach… — rzekł Patrycjusz. — Harry Król. No tak. Prawdziwe wcielenie tego ducha, który uczynił nasze miasto tym, czym jest dzisiaj. Czy nie powtarzam tego zawsze, Drumknott?

— Istotnie, sir.

— Z całą pewnością się zjawię. Jak sądzę, przybędzie również wiele innych osób publicznych?

Pytanie zawisło, wirując delikatnie w powietrzu. — Jak najwięcej — potwierdził William.

— Piękne karoce, tiary, wspaniałe szaty? — zwrócił się Vetinari do gałki swojej laski.

— Mnóstwo.

— O tak, bez wątpienia będą — rzekł Patrycjusz.

A William zrozumiał, że Harry Król przeprowadzi swoją córkę między dłuższym szeregiem arystokracji niż zwykły hrabia. I chociaż w świecie pana Króla nie było wiele miejsca dla liter, liczyć potrafił doskonale. Pani Król wpadnie w radosną histerię z czystego biernego snobizmu.

— W zamian jednak — rzekł Vetinari — muszę prosić, żeby nie denerwował pan komendanta Vimesa. — Chrząknął lekko. — Bardziej, niż to konieczne.

— Na pewno jakoś razem pociągniemy, wasza lordowska mość. Vetinari uniósł brew.

— Mam nadzieję, że nie. Ciągnięcie razem to cel despotyzmu i tyranii. Ludzie wolni ciągną we wszystkie strony. — Uśmiechnął się. — To jedyny sposób, by osiągnąć postęp. To, i

oczywiście pójście za pulsem nowych czasów. Życzę miłego dnia.

Skinął im głową i wyszedł.

— Dlaczego wszyscy jeszcze tu stoją? — spytał William, kiedy prysnął czar.

— Ehm… Nadal nie wiemy, co mamy robić — odpowiedziała bezradnie pani Tilly.

— Idźcie i szukajcie wiadomości, które ludzie chcieliby widzieć wydrukowane w azecie — odparła Sacharissa.

— I tych, których nie chcieliby widzieć wydrukowanych w azecie — dodał William.

— I interesujących wiadomości — dokończyła Sacharissa.

— Jak ta ulewa psów, która spadła parę miesięcy temu? — upewnił się 0'Biscuit.

— Dwa miesiące temu nie było żadnej ulewy psów! — warknął William.

— Ale…

— Jeden szczeniak to nie ulewa. Wypadł z okna. Słuchajcie, nie interesują nas opady zwierząt domowych, spontaniczne zapalenia ani porwania ludzi przez dziwne obiekty z nieba…

— Chyba że się wydarzą — uzupełniła Sacharissa.

— No tak, oczywiście, że nas interesują, jeśli się zdarzą. Ale dopóki nie, to nie. Jasne? Nowiny to niezwykłe rzeczy, które się zdarzają…

— I zwykłe rzeczy, które się zdarzają — dodała Sacharissa, mnąc sprawozdanie ze spotkania Ankhmorporskiego Klubu Zabawnych Warzyw.

— I zwykłe rzeczy, owszem — zgodził się William. — Ale nowiny to zwykle coś takiego, że ktoś nie chce, byście pisali o tym w azecie…

— Tylko że czasem to nie to — dodała znowu Sacharissa.

— Nowiny są… — zaczął William i urwał. Przyglądali się uprzejmie, jak stoi z otwartymi ustami i wzniesionym palcem. — Nowiny… — powtórzył. — Wszystko zależy. Ale poznacie je, kiedy je zobaczycie. Jasne? To dobrze. A teraz idźcie i poszukajcie jakichś.

— To było trochę raptowne — stwierdziła Sacharissa, kiedy nowi codziennikarze już wyszli.

— Wiesz, zastanawiałem się — odparł William. — Znaczy… ogólnie biorąc, mieliśmy niezłą zabawę z tą sprawą…

— …z ludźmi, którzy próbowali nas pozabijać, z tobą zamkniętym w więzieniu, z plagą psów, z pożarem redakcji, z tą twoją impertynencką rozmową z lordem Vetinarim…

— Tak, tak… więc czy to by naprawdę w czymś zaszkodziło, gdybyśmy, ty i ja, no wiesz… ty i ja… zrobili sobie wolne popołudnie? W końcu — dodał zakłopotany — nigdzie nie jest

napisane, że musimy codziennie publikować numer. Prawda?

— Poza pierwszą stroną azety — przypomniała mu Sacharissa.

— Przecież nie można wierzyć we wszystko, co się przeczyta w azecie.

— Ale… No dobrze. Skończę tylko to sprawozdanie…

— Wiadomości, panie Williamie — oznajmił jeden z krasnoludów, zrzucając na biurko stos papierów.

William jęknął i zaczął je przeglądać. Dostał kilka próbnych sekarów z Lancre i Sto Lat — i już widział, że niedługo będzie się musiał wybrać za miasto i wyszkolić kilku prawdziwych… tak, reporterów nowin, ponieważ nie wróżył wspaniałej przyszłości tym sumiennym listom wiejskich sklepikarzy i oberżystów, którzy dostaną za nie pensa od linijki. W stosie było też kilka wiadomości dostarczonych gołębiami pocztowymi, od ludzi, którzy nie potrafili opanować nowej technologii.

— Na bogów — mruknął pod nosem. — Burmistrz Quirmu został uderzony przez meteoryt… znowu.

— Czy to możliwe? — zdziwiła się Sacharissa.

— Najwyraźniej. Wiadomość przysłał pan Pune z tamtejszego biura rady miejskiej. Rozsądny gość, bez specjalnej wyobraźni. Pisze, że tym razem zaczaił się na burmistrza w jakimś zaułku.

— Naprawdę? Kobieta, u której kupujemy pościel, ma syna, który na uniwersytecie wykłada Mściwą Astronomię.

— Da nam wypowiedź?

— Uśmiecha się do mnie, kiedy mnie widzi w sklepie — odparła stanowczo Sacharissa. — Da na pewno.

— No dobrze. Gdybyś mogła…

— Dzieńdoberek!

Przed biurkiem stanął pan Wintler. Trzymał tekturowe pudełko.

— No nie… — jęknął cicho William.

— Popatrzcie tylko na to — powiedział pan Wintler, człowiek, który nie zrozumiałby aluzji, choćby była nawinięta na ołowianą rurkę.

— Myślę, że mieliśmy już dość zabawnych wa… — zaczął William.

I urwał.

To, co rumiany mężczyzna wyjął z pudełka, okazało się sporym ziemniakiem. Dosyć

guzowatym. William widywał już wcześniej guzowate ziemniaki. Mogły przypominać twarze, jeśli człowiek chciał się w ten sposób zabawiać — ale tutaj nie trzeba było sobie tej twarzy wyobrażać. Ten ziemniak miał twarz. Była utworzona z wypukłości i zagłębień, i oczek, ale wyglądała zupełnie jak ta, która całkiem niedawno wpatrywała się w niego obłąkańczo i próbowała go zabić. Pamiętał ją całkiem dobrze, ponieważ wciąż budził się czasem koło trzeciej nad ranem i widział ją przed sobą.

— Nie jest… właściwie… zabawny… — powiedziała Sacharissa, zerkając z ukosa na Williama.

— Zadziwiający, prawda? — spytał pan Wintler. — Nie przynosiłbym go, ale takie rzeczy zawsze bardzo was ciekawiły.

— Dzień bez rozdwojonego pasternaku jest jak dzień bez słońca, panie Wintler — stwierdziła słodkim głosem Sacharissa. — Williamie?

— Co? — William z wysiłkiem oderwał wzrok od ziemniaczanej głowy. — Czy tylko mnie się wydaje, czy wygląda… na zaskoczonego?

— Rzeczywiście tak wygląda — przyznała.

— Teraz go pan wykopał?

— Ależ nie — odparł pan Wintler. — Od miesięcy leżał w worku. To wykoleiło okultystyczny ciąg myślowy, który sunął z wolna przez głowę Williama. Ale… wszechświat to zabawne miejsce. Przyczyna i skutek, skutek i przyczyna… Chociaż raczej wyrwie sobie rękę, niż coś takiego zanotuje.

— Co pan z nim zrobi? — zapytał. — Ugotuje?

— Nie, na bogów! Ta odmiana jest zbyt mączna. Nie, z tego będą frytki.

— Frytki, tak? — Dziwne, ale wydawało się, że to właśnie odpowiednie rozwiązanie. — Tak. Tak, dobry pomysł. Niech się smaży, panie Wintler. Niech się smaży.

Wskazówki zegara się przesunęły.

Wrócił jeden z reporterów i zawiadomił, że wybuchła Gildia Alchemików — czy to się liczy jako nowina? Wezwano Ottona z jego krypty i wysłano, żeby zrobił obrazek. William skończył tekst o wczorajszych wydarzeniach i przekazał go krasnoludom. Ktoś zajrzał i poinformował, że na placu Sator zebrał się tłum, ponieważ kwestor (71) siedzi na dachu nad siódmym piętrem i wygląda na zdziwionego. Sacharissa, ostrożnie dzierżąc ołówek, wykreśliła wszystkie przymiotniki w sprawozdaniu z mityngu Ankhmorporskiego Towarzystwa Układania Kwiatów,

redukując jego długość o połowę.

William wyszedł, żeby sprawdzić, o co chodzi z kwestorem (71), po czym napisał kilka krótkich akapitów. Magowie zachowujący się dziwacznie nie byli żadną nowiną. Magowie zachowujący się dziwacznie byli magami.

Wrzucił kartkę na tacę „Wychodzące" i spojrzał na prasę.

Była czarna, wielka i skomplikowana. Bez oczu, bez twarzy, bez życia… i patrzyła na niego.

Nie są potrzebne pradawne kamienie ofiarne, pomyślał. Vetinari nie miał racji…

Dotknął czoła. Siniec zniknął już dawno.

Naznaczyłaś mnie. No więc teraz cię wyczuwam…

— Wychodzimy — rzekł.

Sacharissa, wciąż zajęta, uniosła głowę.

— Co?

— Wychodzimy. Idziemy stąd. Już. Na spacer, na herbatę, na zakupy… Gdziekolwiek, byle nie tutaj. I nie dyskutuj, proszę. Włóż płaszcz. Teraz. Zanim nas zauważy. Zanim znajdzie sposób, żeby nas zatrzymać.

— O czym ty mówisz? Zdjął z wieszaka jej płaszcz.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Pozwoliła wyciągnąć się na ulicę. William odetchnął głęboko i uspokoił się.

— A teraz może zechcesz mi wytłumaczyć, o co tu chodzi? — spytała Sacharissa. — Mam tam cały stos roboty. Wiesz przecież.

— Wiem. Chodźmy. Prawdopodobnie nie odeszliśmy jeszcze dość daleko. Otworzyli nowy lokal z makaronami przy ulicy Wiązów. Wszyscy mówią, że całkiem niezły. Co ty na to?

— Ale przecież praca czeka!

— I co? Jutro też tam będzie, prawda? Zawahała się.

— No… godzina czy dwie pewnie bardzo nie zaszkodzą — przyznała.

— Właśnie. No to idziemy.

Dotarli już do skrzyżowania Wiązów i Kopalni Melasy, kiedy ich dopadło.

W głębi ulicy rozległy się krzyki. William odwrócił głowę, zobaczył pędzącą na oślep dwukółkę z browaru, zaprzężoną w cztery konie. Zobaczył kopyta wielkości talerzy, wyrzucające w górę błoto i lód. Zobaczył klamry na uprzęży, lśnienie, parę unoszącą się ze spoconych koni…

Odwrócił głowę w przeciwną stronę. Zobaczył staruszkę o dwóch laskach, przechodzącą przez

ulicę, całkowicie nieświadomą pędzącej ku niej śmierci. Zobaczył szal, siwe włosy…

Coś przemknęło obok. Jakiś człowiek wygiął się w powietrzu, wylądował pośrodku ulicy, przetoczył się przez ramię, chwycił kobietę i skoczył…

Wóz przejechał obok w kłębach pary i błota. Zaprząg usiłował skręcić na skrzyżowaniu. Dwukółka z tyłu nie. Plątanina kopyt, koni, kół, śniegu i krzyków toczyła się dalej, wybijając szyby wystawowe kilku sklepów. Potem wóz zderzył się z kamiennym filarem i znieruchomiał.

Zgodnie z prawami fizyki i narracji ładunek nie znieruchomiał. Beczki zerwały powrozy, spadły na ulicę i toczyły się dalej. Kilka pękło, zalewając rynsztoki pianą. Inne, dudniąc i obijając się o siebie, stały się centrum uwagi wszystkich prawych obywateli potrafiących rozpoznać sto garnców piwa, które nagle nie są już niczyją własnością i pędzą ku wolności.

William i Sacharissa porozumieli się wzrokiem.

— W porządku. Ja załatwię tę historię, ty poszukaj Ottona. Powiedzieli to równocześnie, a potem patrzeli wyzywająco na siebie nawzajem.

— Dobrze, niech będzie — ustąpił William. — Znajdź jakiegoś dzieciaka i zapłać mu, żeby sprowadził Ottona. Ja pogadam z tym Dzielnym Strażnikiem, który porwał staruszkę w Bohaterskim Skoku. Ty załatwisz Wielki Trzask.

— Znajdę dzieciaka — zgodziła się Sacharissa, wyjmując własny notes. — Ale ty się zajmiesz wypadkiem i Beczkową Bonanzą, a ja porozmawiam z Siwowłosą Babcią. Zainteresowania osobiste, jasne?

— Dobra. Uratował ją kapitan Marchewa. Dopilnuj, żeby Otto zrobił obrazek, i zanotuj jego wiek.

— Oczywiście.

William ruszył w stronę tłumu otaczającego rozbity wóz. Wiele osób ścigało uciekające beczki. Czasami głośny wrzask sugerował, że ludzie spragnieni rzadko kiedy zdają sobie sprawę, jak trudno zatrzymać sto garnców piwa w toczącej się wielkiej dębowej beczce.

Starannie spisał z burty wozu nazwisko. Dwaj ludzie uspokajali konie, ale wydawało się, że nie mają nic wspólnego z rozwożeniem piwa. Byli po prostu ludźmi, którzy chcą pomóc spłoszonym koniom, zabrać je do domu i zadbać o ich samopoczucie. Jeśli wymaga to zafarbowania sporych obszarów sierści i przysięgania, że posiadają zwierzęta już od dwóch lat, to trudno.

Zbliżył się do przechodnia, który nie angażował się wyraźnie w żadną podejrzaną działalność.

— Ehem… — zaczął.

Ale wzrok obywatela wykrył już notes.

— Wszystko widziałem — powiedział obywatel. — Tak?

— To była stra–szna scena — zaczął mężczyzna, mówiąc w tempie dyktowania. — Ale straż–nik, wyzy–wając śmierć, rzucił się na ra–tu–nek starszej pani i zaslu–guje na medal.

— Naprawdę? — William notował gorączkowo. — A pan jest…

— Sa–muel Arblaster (43), kamie–niarz, Szory 11b.

— Ja też widziałam — odezwała się z naciskiem stojąca obok kobieta. — Pani Florrie Perry, jasnowłosa matka trójki dzieci z Sióstr Dolly. To była praw–dziwa tra–gedia.

William zaryzykował rzut oka na swój ołówek. Działał jak czarodziejska różdżka.

— Gdzie jest ikonografik? — Pani Perry rozejrzała się z nadzieją. — Jeszcze nie dotarł.

— Och… — Wyglądała na rozczarowaną. — Co za straszna historia, z tą biedną kobietą i wężem, prawda? Przypuszczam, że teraz robi tam obrazki.

— No… mam nadzieję, że nie — odparł William.

To było długie popołudnie. Jedna z beczek wtoczyła się do warsztatu fryzjera i eksplodowała. Pojawili się ludzie z browaru i wybuchła bitwa między nimi a kilkoma nowymi właścicielami beczek, którzy powoływali się na prawa ratowników. Jakiś przedsiębiorczy człowiek ustawił beczkę przy drodze i otworzył prowizoryczny pub. Dotarł Otto. Zrobił obrazki ratowników beczek. Zrobił obrazki bójki. Zrobił obrazki straży, która przybyła, by aresztować wszystkich stojących jeszcze na nogach. Zrobił obrazki siwowłosej staruszki i dumnego kapitana Marchewy oraz, w podnieceniu, obrazek własnego kciuka.

To była dobra historia. Pod każdym względem. William był już w połowie pisania swojego tekstu, z powrotem w „Pulsie", kiedy sobie przypomni ł.

Patrzył, jak wszystko się dzieje. I sięgnął po swój notes. To była niepokojąca myśl, jak powiedział Sacharissie.

— I co? — zdziwiła się ze swojej strony biurka. — „Nieustraszony" razem czy osobno?

— Razem. Rozumiesz, nie próbowałem nawet nic zrobić. Pomyślałem: to jest Historia i muszę ją opowiedzieć.

— Zgadza się. — Sacharissa wciąż była pochylona nad własnym tekstem. — Prasa nas naciska.

— Ale to nie jest…

— Spójrz na to z innej strony. — Sięgnęła po czystą kartkę. — Niektórzy ludzie są bohaterami. A niektórzy piszą notatki.

— Owszem, ale to niezbyt…

Sacharissa uniosła głowę i uśmiechnęła się.

— Czasami są tą samą osobą — dodała.

Tym razem William skromnie spuścił głowę.

— Myślisz, że to rzeczywiście prawda? Wzruszyła ramionami.

— Rzeczywiście prawda? Kto wie. To przecież azeta, zgadza się? Wystarczy, że będzie prawdą do jutra.

William czuł, że robi się gorąco. Jej uśmiech był naprawdę atrakcyjny.

— Jesteś… pewna?

— O tak. Prawdziwe do jutra… to mi całkiem wystarczy.

Za jej plecami wielki czarny wampir prasy czekał na karmienie, na to, że ocknie się w ciemności nocy i dożyje do światła dnia. Rozcinał złożoności świata na krótkie historie. I zawsze był głodny.

Potrzebował też dwukolumnowego tekstu na drugą stronę, przypomniał sobie William.

A kilka cali pod jego ręką kornik z satysfakcją przegryzał się przez antyczne drewno. Reinkarnacja nie mniej od innych hipotez filozoficznych lubi czasem zażartować. Przeżuwając, kornik myślał: „To świetne …one drewno".

Ponieważ nic nie musi być prawdą na zawsze. Wystarczy, że będzie nią dostatecznie długo, prawdę mówiąc.